

WIERCHY



ROCZNIK PIĄTY



1927

SPIS RZECZY.

	Str.
Władysławowi Orkanowi (dedykacja) z portretem	1
Porażka (2 ilustracje) <i>Marjan Sokółowski</i>	3
O czerwonym i żółtym śniegu w Tatrach. <i>Józef Rostański</i>	10
Mallory (wiersz). <i>K. A. Jaworski</i>	12
Górnictwo i hutnictwo w Tatrach Polskich. <i>M. A. Liberak</i>	13
Na Klimkowych „wirstlach“ (3 ilustr.) <i>Jan Rostański</i>	30
Wiatry w Tatrach (1 ilustr., 6 grafikonów). <i>Marjan Sokółowski</i>	36
Rybołówstwo sportowe. (6 ilustr.) <i>Bronisław Romaniszyn</i>	42
Czerpaki. (8 ilustr.) <i>Adam Fischer</i>	63
Wodospad „Skośny“ nad Morskiem Okiem. (2 ilustr.). <i>Kazimierz Sosnowski</i>	69
Sadki w Gorganach. (24 ilustr.). <i>Henryk Gąsiorowski</i>	71
Kolędnicy na Hucułach. <i>Karol Maszkowski</i>	88
Dwa pokolenia. <i>Mieczysław Świerż</i>	109
W jednym dniu cztery pory roku. (3 ilustr.). <i>Kazimierz Sosnowski</i>	111
Niesamowita opowieść z Beskidu. <i>Wład. Midowicz</i>	127
Kronika.	
Pius XI jako alpinista. <i>Miecz. Świerż</i>	135
Dookoła utworzenia pogranicznych Parków Narodowych. <i>Walery Goetel</i>	138
Konsolidacja turystyki polskiej. <i>Walery Goetel</i>	146
Idea łączności wśród turystyki słowiańskiej (1 ilustr.). <i>Walery Goetel</i>	148
Gospodarka turystyczna w Beskidach. <i>Wład. Midowicz</i>	152
Gruźlica wśród stałych mieszkańców Zakopanego. <i>Tadeusz Gabryszewski</i>	156
Mieczysław Szczuka. <i>M. Sokółowski</i>	158
Badania naukowe	159
Ochrona przyrody	169
Turystyka	176
Pol. Tow. Tatrzańskie	180
Stowarzyszenia i instytucje	185
Kronika zakopiańska	195
Z Podhala	202
Książki i czasopisma	203
Różne sprawy	215
Od Redakcji	217

Ilustracje. — Rocznik ten zawiera 57 ilustracji i grafikonów w tekście i 8 tabel poza tekstem a to: na okładce: Potok z Czarnego Stawu Gąsienicowego, — przed kartą tytułową; Na ścieżce do Czarnego Stawu Gąsienicowego; — Potok Białki koło Łysej Polany, z Wołoszynem i Kosistą na tylnym planie po str. 48, — Staw Toporowy po str. 80, — Św. p. Bartłomiej Obrochta po str. 112, — Z zabytków przyrody tatrzańskiej po str. 128, — Dwaj znakomici przewodnicy po str. 192.

WIERCHY (LES CIMES).

ANNUAIRE DE LA SOCIÉTÉ POLONAISE DES TATRAS.

TABLE DES MATIÈRES.

Dédicace au poète-jubilairé Ladislas Orkan. — La débâcle (Histoire d'une excursion). — La neige rouge et jaune dans les Tatras. — Mallory (vers). — Mines et forges dans les Tatras. — Une excursion aux schis. — Les vents dans les Tatras. — La pêche sportive. — Les puisoirs chez les montagnards. — Une chute d'eau peu connue sur le lac de Morskie Oko. — Le groupe „Sadki“ dans les montagnes des Gorgans. — Les chanteurs de Noël chez les Houtsouls. — Deux générations des touristes. — Quatre saisons dans un jour; (Une excursion des écolières) — Un conte démoniaque de Beskides.

Chronique. — Le pape Pie XI comme alpiniste. — Les parcs nationaux sur la frontière polono-tschécoslovaque. — La consolidation du tourisme en Pologne. — L'idée de consolidation du tourisme slave. — L'organisation du tourisme dans les Beskides de l'ouest. — La tuberculose chez la population indigène a Zakopane. — Miecislav Szczuka (nécrologue).

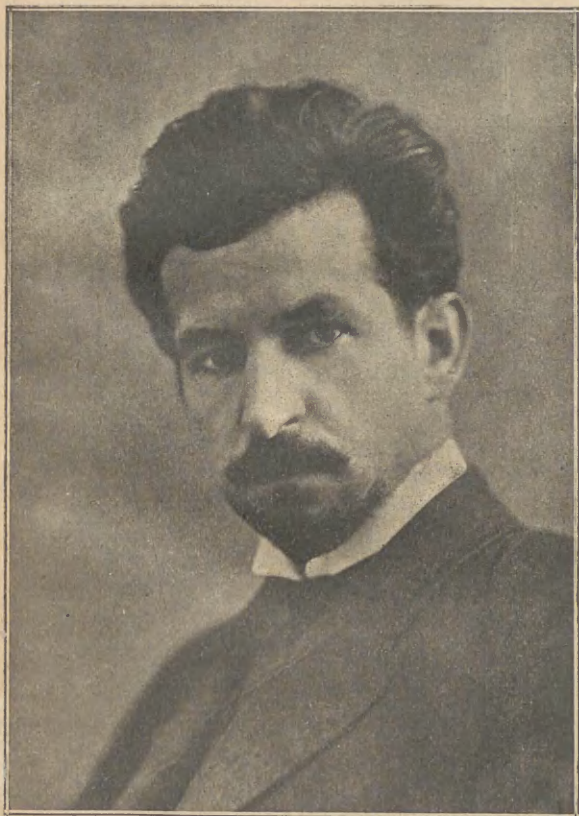
Recherches scientifiques. — Protection de la nature. — Le tourisme. — Société Pol. des Tatras. — Associations et institutions. — Chronique de Zakopane. — Chronique de Podhale. — Livres et revues. — Variées.

Tables hors texte.

WŁADYSŁAWOWI ORKANOWI

W JUBILEUSZOWYM ROKU TWÓRCZOŚCI V-TY ROCZNIK
„WIERCHÓW“ POŚWIĘCA POL. TOW. TATRZAŃSKIE.

Upłynęło lat trzydzieści w bieżącym roku od chwili, gdy rozpoczął literacką twórczość pisarz, szczególnie nam bliski, jeden z rozstawicieli estetycznych i etnograficznych wartości naszych gór.



Działalność Władysława Orkana, o cechach wybitnie regionalnych, osnuła się niemal wyłącznie dookoła pasma Gorców, to zstępując ku osiedlom, na ich zboczach położonym, to ku nowotarskiej dolinie, ku właściwemu Podhalu. Po raz pierwszy w naszej literaturze pojawił się prawie nieznaną dotąd, a tak czarowny zakątek Polski, gęstwą lasów okryta wyniosłość górską, gdzie panuje Turbacz z mnogimi rozgałęzieniami, z kąd jak na dłoni po przeciwnej stronie Nowotarszczyzny widać granitowe wierchy Tatr. Po raz pierwszy miejscowy odłam górali wszedł jako główny

czynnik w powieść i dramat. I po raz pierwszy z głęboką znajomością jego życia i obyczajów, z głębokim współczuciem jego doli, zatroszczył się nieodrodny syn tej właśnie pięknej, a tak ubogiej krainy, losem i przyszłością rozrzuconych na jałowej glebie i zapomnianych w zapadłym zakątku góralskich wiosek.

Dziś, kiedy całe Podhale składa hołd podhalańskiemu twórcy, wyraża cześć i wdzięczność za tyle lat artystycznej i społecznej pracy ku chwale i lepszej przyszłości górskiego kraju, przyłączamy się całym sercem do jubileuszowych życzeń, jako gór opiekunowie i poplecznicy w całej pełni oceniając twórczy trud Jubilata i niezwykle wprost znaczenie jego dzieł dla tych samych celów, jakie i my mamy w swoich zadaniach. Niech nasz skromny dar będzie wyrazem głębokiego podziwu i zasłużonego uznania.

Porażka.

Roją się Tatry latem od różnej narodowości, wyznania i wieku „tury-
stów“, rozbrzmiewają doliny ich gwarém, a szlaki ich wędrówek znaczą się
wszelkiego rodzaju śmieciem.

Ale mimo to są w naszych górach, nawet w okolicach najbliższych Za-
kopanemu, takie ostępy i mateczniki skalne, do których nie zabłądzi nigdy
„turysta“, nie doleci nawet echo z pobliskich dolin, nie znajdzie się żaden
ślad bytności ludzkiej. Cisza tu panuje niezmacona, a przerywana chyba
tylko poświstami wiatru lub szmerem ciekącej po turniach wody.

Jednym z takich bajecznych uroczysk jest żleb spadający na północ
z Koziej Przełęczy Wyżniej. Poznałem go już dawniej przy przejściu pół-
nocnej ściany Koziego Wierchu. Otoczony jest do dziś dnia nimbem tajemni-
czości, gdyż mimo wielokrotnych prób zdobycia przełęczy tą drogą, podej-
mowanych przez najwybitniejszych nawet taterników, problem nie został
rozwiązany.

O trudnościach piętrzących się w tym żlebie, o niesłychanej kruchości
skały, o istnych siklawach spadających na głowy śmiazków, dochodziły nas
już zdawna głuche wieści. Dokładnych szczegółów z odbytych prób zdo-
bycia nie można było zebrać, jako że taternik nie rad opowiada o swych
porażkach. — To wszystko podniecało naszą ciekawość i budziło tem większą
żądę przypuszczenia szturm do broniącej się tak zaciekłe przełęczy.

Pewnego tedy pogodnego letniego poranka — gdy od dłuższego czasu
panująca pogoda pozwalała przypuszczać, że i tak skąpe tego lata śniegi
stajały w żlebie do reszty i oszczędzą nam zimnej kąpieli pod kaskadami
śniegówki — znaleźliśmy się w Koziej Dolince.

Słońce zalewało ciepłymi blaskami dno kotlinki i wschodnie ściany
Kościelców, stawki śmiały się do nas wesoło, raźnie więc posuwaliśmy się
ku pogrążonym w cieniu ścianom Koziego, pełni werwy i najlepszych na-
dziei. Stanąwszy na najwyższym piętrze dolinki spostrzegliśmy, że ktoś nas
tu już wyprzedził. Na olbrzymim gładzie oparci, stali jacyś taternicy, o czym
świadczyły zwoje lin przewieszane przez ramię; wpatrzeni w ściany, ku któ-
rym zmierzaliśmy, zdawali się robić nad niemi fachowe spostrzeżenia. Zanie-

pokojeni tem nieoczekiwanem spotkaniem przyspieszyliśmy kroku. Uczucie niemiłej niespodzianki zmieniło się jednak rychło w miłe zdziwienie, gdy w naradzających się taternikach poznaliśmy naszych dobrych znajomych: panią Z., księdza H. i pana B. Od słowa do słowa wyszło na jaw, że i oni wybrali się na Kozią. Uśmialiśmy się z tego niezwykłego zbiegu okoliczności, poczem stanęła umowa, że partja ks. H. pójdzie pierwsza, a my jako później przybyli, podążymy za nią. Rozkład ten sił atakujących Kozią Wyżnią uległ następnie o tyle zmianie, że brat przeszedł do grupy ks. H., a mnie związał los liną z panią Z. Do bielejącego u wylotu naszego żlebu płata śnieżnego był jeszcze spory kawał po stromym piąrgu, nie tracąc więc czasu ruszyliśmy dalej w zakosy. Minąwszy skalną bułę stanęliśmy wreszcie u stóp północnej ściany Koziego i zapuściliśmy badawczy wzrok w czerniejący żleb. Wcale zachęcająco on ztąd nie wyglądał. Za turnie Koziego Wierchu zachodzące kulisowato turnie Kozich Czub, tworzyły mroczny i zimny, przez promienie słońca nigdy nie odwiedzany zakamarek skalny. Żleb sam spada ku wschodowi szeregiem potężnych przewieszek, z których dwie najniższe dosięgają kilkudziesięcio-metrowej wysokości. Ograniczające żleb ściany czernią się gładkimi krzesanicami i nie obiecują wcale łatwego niemi obejścia przewieszek, z których z cichym szmerem sączy się woda, zresztą wcale tak znów nie obfita. Chłód i zgroza tchnie z tej okropnej rozpadliny. Wzrok ucieka od niej z rozkoszą na wysłonecznione łagodne stoki Granatów, na zieleń Hali Gąsienicowej, na miękkie upłazy kopy Magóry... Punktualnie o 12 w południe rozpoczynamy szturm, każdy z nas chwytą w garść po ostrym kamyku i wspina się przy pomocy jego po stromym stwardniałym śniegu. Czekany bowiem i różne rzeczy zostawiamy poniżej śniegu. Przeszedłszy w ten chytry sposób 80-metrowej długości półko śnieżne, stajemy tuż pod dolną przewieszką. Zadzieramy głowy, badając, czy ściana po Kozim Wierchu nie puści. Ani mowy o tem! Urwisko pionowe, skała mokra z dachówkowatym układem chwytów. Trzeba szukać obejścia po Kozich Czubach. Tu, na razie przynajmniej, teren znacznie łatwiejszy. Stroma, ale bogato spękana, charakterystyczna podłużna płyta wiedzie na grzędę również niezłe rzeźbioną.

Nią pewnie da się obejść pierwszą przewieszkę, a dalej — no, co dalej będzie, to nas na razie nie obchodzi. Zrucamy buty i w trzewiczkach zmierzamy ku płycie. Nie przedstawia istotnie żadnych trudności i wkrótce obie nasze partje stoją na grzędzie. Nią po dużych progach i ściankach wiedzie nas ks. H. aż powyżej pierwszej przewieszki.

Teraz wypadałoby przetrawersować na dno żlebu. Manewr ten okazał się jednak bardzo trudnym. Grzęda opadała do żlebu niezmiernie gładkimi ścianami, u dołu nawet popodcinanemi. No, ale niema rady, do żlebu trzeba zejść,

tembardziej że dalsze posuwanie się grzędą nie bardzo już jest możliwe wobec tego, że ta gubi się w przewieszanej ścianie. Długi, bardzo trudny i bardzo expowany trawers, jaki teraz odbyliśmy, był najładniejszą pod względem technicznym częścią całej wycieczki. Opuściwszy grzbiet grzędy musieliśmy przekroczyć



Na pierwszym planie skrawek Czarnego Stawu Gąsienicowego pod śniegiem; w głębi w pośrodku Kozi Wierch.

Zakład fot. Studnickiego w Zakopanem.

przedewszystkiem ogromną, zupełnie gładką i ku przepaści otwartą załupę. Ks. H. chrzci to miejsce „Małym Corsem“ i przebywa je, ubezpieczony z góry, potężnym susem, chwytając rękami przeciwległą krawędź załupy; za tym przykładem idą i dwaj inni uczestnicy jego partji. Ja z panią Z., odkrywszy małą listewkę na ścianie załupy, używamy jej jako stopnia i przekraczamy załupę. Stoimy teraz tuż nad dnem żlebu, do którego zejście wiedzie jednak przez gładką, o bardzo skąpych chwytach ścianę. Trzeba dotrzeć do małego cypla sterczącego ze ściany, który mamy zamiar zużytkować do zjazdu w żleb. Trawersujemy tedy dalej poziomo niemal, wykorzystując wążiuchne listewki i orzechy skalne. W połowie ściany bardzo niemiłe wybrzuszenie odpychające człowieka ku przepaści. Przewijamy się przezeń kocim ruchem i wkrótce stajemy przy wspomnianym cyplu. Przebyta część drogi napawa nas dumą i zadowo-

leniem, jako bardzo logiczne i technicznie ładne obejście pierwszej przewieszki. Dodać tu jeszcze należy, że na obu końcach trawersu są świetne miejsca asekuracyjne. Miałem to, jak się wnet okaże, osobiście i namacalnie stwierdzić. —

Z cypla, jak przewidywaliśmy, zjazd po pionowej ścianie, jakie 10 m do żlebu, tuż ponad platformą utworzoną przez dolną przewieszkę. Pierwsze zamki — jak się w gwarze taterniczej mówi — puściły. Co dalej? Dalej wcale nie lepiej, ale bodaj że gorzej. Druga przewieszka, zawarta między pionowemi i gładkiemi ścianami obu sąsiadujących turni, piętrzyła się nad naszymi głowami o jakie 30 m i zbudowana była z niesłychanie kruchej, o łupkowym układzie warstw, czerwonej skały. Zrozumieliśmy że tu musi być właściwy zamek do Koziej Wyżniej. Ponad drugą przewieszką bowiem teren wydawał się znowu łatwiejszym. Znając układ jego na całej północnej ścianie Koziego Wierchu, przypuszczałem, że w górnej części będzie można znaleźć niezbyt trudne obejście dalszych przewieszek po turniach Koziego. Cała tedy trudność zdobycia Koziej Wyżniej polegała na pokonaniu dwu dolnych przewieszek. Jedną już mieliśmy za sobą. Druga jednak, z innego względu niemniej trudna, zdawała się szczyżyć do nas zęby i pazury splekanych i opatrnością Bożą chyba jedynie trzymanyh skał. Nie było jednak innej drogi i wkrótce nieustraszony nasz przodownik wspinał się po złowrogiej ścianie. To, co teraz nastąpiło, miało charakter najwspanialszych, jakie kiedykolwiek widziałem, zmagania się człowieka z naturą. Turnie zdawało się, że ożyły i uniesione srogim gniewem na nędznych mącieli ich ciszy i gwałcicieli nietkniętej dotąd dziewiczości ich skalnych łon, miały na nasze głowy nieustanny grad kamiennych pocisków. Co chwila z pod stopy lub ręki walczącego w ścianie towarzysza wymykał się głaz i z hukiem walił się do żlebu, pociągając za sobą lawinę kamieni... Ponure ściany gromowem echem, niby rykiem boleści czy wściekłości, odpowiadały na każdą ranę wydartą w ich cielsku ręką człowieka. My wszyscy, którzy czekaliśmy na dole na wynik walki toczącej się wysoko nad nami, pochowaliśmy, o ile się dało, przynajmniej nasze głowy za cyple i załomy, lub nakrywaliśmy je plecakami. Osłona ta miała oczywiście znaczenie raczej moralne, a co najwyżej wystarczała przeciw małym kamykom. Co pewien czas ktoś wzywał ze schowka na świat boży i zwykle wtedy otrzymywał uderzenie jakimś odłamkiem. Wkrótce każdy z nas broczył zaszczytnie krwią, ciekącą z czoła lub ręki. Tylko panią Z. mijały pociski jakoś łaskawie.

Wreszcie kanonada ustała na dłuższą chwilę. Wysunęliśmy głowy. Ksiądz stał już pod samą przewieszką. Objął ją okiem i uznał snąć, że bez porządnej asekuracji niema mowy o dalszej akcji, bo wyjąwszy jeden z po-

tężnych haków, jakie miał w zapasie, zaczął go wbić w skałę tuż pod przewieszką.

Długo próbował, kuł, znów wyrywał hak, zanim go jako tako umieścił, zapewniając nas jednak, że niezbyt mu ufa, poczem spróbował przewieszki. — Skryliśmy znowu głowy, bo pociski znowu zaczęły furczeć koło nas, pękać z łoskotem i obsypywać gradem odłamów... Cisza... Wyzieramy. Ksiądz stoi na dawnym miejscu i odpoczywa widać. „Bardzo tu ciężko będzie“ — słyszemy. — „Panie Adamie, niech pan tu do mnie podejście i ztąd mnie zaasekuruje“. Brat uwalnia z uścisków liny pana R. który zostaje z nami, i rusza do księdza. Chować znowu głowy! Ulewa kamieni wali ze wzmożoną siłą,

bo brat mój znudzony czekaniem i zadowolony, że wreszcie może się poruszać, pnie się całą siłą pary i spycha potrójną ilość głazów. P. R. ugodzony celnie w czoło rejteruje znacznie niżej i chowa się w jakąś lepszą skrytkę, aby się spokojnie opatrzeć. Głowa już boli od tego nieustannego i piekielnego łoskotu i huku, potęgowanego tysiącrotnie echem aż do Granatów idącym. Brat dociera do księdza, który wbija drugi hak. „No, ten dobrze siedzi“ — leci ku nam depesza.

Lina przechodzi przez oba kółka, brat przypiera się do ściany i trzymając się jedną ręką haka popuszcza drugą linę. Ksiądz szturmuje naprzód przewieszkę wprost do góry. Oczyszcza teren krok za krokiem, chwyt za chwytem, chcąc, jak powiada, dobrać się do twardej skały. Napróżno! każdy



Czarny Staw Gąsienicowy; w głębi Kozi Wierch.

Zakład fot. Studnickiego w Zakopanem.

chwyt zostaje w garści lub leci w przepaść. „Może ksiądz spróbuje więcej na lewo“ — radzi pani Z. „Słusznie rzekł prorok Mahomet — słychać z góry — bacz, co mówi kobieta i czyn odwrotnie“.

Naszego nieustraszonego księdza nie opuszcza jak widać dobry humor, bo droczy się z panią Z., ale swoją drogą idzie wkrótce za jej radą i bierze się ku ścianie Koziego. Tu skała pewniejsza, ale zato absolutny brak chwytów. Widać jak palce księdza wędrują bezradnie po skale i wreszcie opadają jakby ze zniechęceniem. „I tędy nie puści“ — komunikuje nam i wraca do haka. „Może pan spróbuje, panie Adamie“. Brat raźnie bierze się do dzieła, wspina się parę metrów — i utyka w tem samem co i ksiądz miejscu. Widzę jak i on przebiera rękami, strąca kamienie, rozgląda się na lewo i prawo, spoziera tęsknie w górę — ale tkwi w miejscu. „A tam dalej już zupełnie łatwo wygląda“ — konstatuje ze smutkiem fakt dawno nam znany. Jeszcze jakiś czas szereg daremnych wysiłków i wraca do księdza. „Przewieszka bez zaryzykowania widać nie do zdobycia“ — myślę, i już zaczynam rozglądać się poza siebie i medytować, jaki tu będzie powrót na grzędę i jak dalej będziemy obchodzić tę drugą przewieszkę po turniach Kozich Czub. „Spróbuję jeszcze raz“ — woła ksiądz i zaczyna wspinać się znowu wprost do góry.

Pani Z. przykrywa głowę plecakiem i zwraca się twarzą do mnie. Zabezpieczam i ja swoją głowę podobnie, ale party ciekawością, spozieram ku obu zawieszonym na ścianie postaciom. Ksiądz przypuszcza widać ostatni szturm. Chwył za chwytem wspina się powoli, ale stale. Już oddalił się o jakie 5 m ponad brata i znajduje się wyżej nawet niż poprzednio... Jeszcze jeden krok wzwyż... Śledzę go ze wzrastającą nadzieją... Czyżby tym razem?... O, teraz decydujący moment! Widzę go, jak przyłgnął do skały tuż tuż pod samą przewieszką i wysuwa ostrożnie rękę ku brzegowi przewieszki... Uchwycił go... Próbuje... Trzyma... Wysuwa się druga ręka i ta znajduje chwyt na krawędzi przewieszki... Chwila namysłu czy odpoczynku przed decydującym choć nader ryzykownym manewrem, który ma przynieść zdobycie przewieszki... Już!... Podnosi się na samych rękach, robiąc wspięcie... Trach!... Kamień z pod lewej ręki wylatuje ze swego łożyska... Ksiądz z rozpędem obrócił się w powietrzu plecami do ściany, przez co wypuścił i chwyt z pod prawej ręki i runął na przypartego niżej do ściany brata... przesunął mu się na szczęście tylko po grzbiecie, spadł jeszcze parę metrów, tłukąc teraz sobą po sterczących skałach urwiska i zawisł wreszcie na linie... Załomotały wydarte przy upadku kamienie, ostatni raz jeszcze zahaczały okoliczne turnie niby echem tryumfu nad człowiekiem i cisza zaległa ponurą rozpadlinę. Po skałach, po których odbył ksiądz mimowolną podróż, widnieją krwawe smugi...

Kozia Przełęcz odparła i tym razem zapędy zdobywcze. Opatrzywszy rany i stłuczenia księdza, na szczęście nie groźne choć bardzo bolesne, zabraliśmy się do odwrotu. Słońce schylało się już ku zachodowi... Zamiar zjazdu wprost z dolnej przewieszki okazał się nie do wykonania z powodu braku dostatecznej ilości lin i miejsca odpowiedniego do wbicia haka. Nie było innej rady, tylko wracać tą samą drogą. Podeszliśmy pod cypel, który umożliwił nam poprzednio zjazd do źlebu. Zdobyć go w odwrotną stronę przez małą u dołu przewieszkę i gładką 10-metrową ściankę nie miało nam przyjść z łatwością. Zabrałem się niezwłocznie do dzieła, ale zgrabiące w zimnej wodzie palce (opatrywałem bowiem niedawno księdzu rany) nie pozwoliły mi na uchwycenie skały. Wyręczył mnie więc brat i po krótkiej, ale nader wyczerpującej walce wdarł się na cypel i zrzucił nam z niego podwójną linę. Wkrótce znaleźliśmy się wszyscy u początku trawersu. Brat z księdzem i panią Z. przeszedł go i zniknął za grzędą. Ze mną szedł teraz p. R. Puściłem go pierwszego, asekurując z cypla. Gdy znalazł się na grzędzie, ruszyłem i ja, zamykając pochód. Minałem pierwszą część trawersu, przewinałem się szczęśliwie przez owo niemiłe wybrzuszenie i zabierałem się do trudniejszej części ścianki, którą należało przejść po listewce. P. R. ubezpieczał mię z za dużego głazu na grzędzie z boku. Byłem więc pewnego rodzaju wahadłem o długości paru metrów, odchyłone od pionu pod kątem prostym. Oparty rękoma o gładką ścianę, przeciskam lewą nogę między skałą i prawą nogę, aby posunąć się dalej po listewce. Wtem... zanim jeszcze oparłem lewą stopę, prawa ześlizgnęła się z listewki i... spadam po chropowatej ścianie, trąc o nią całym ciałem... Krótki moment dzikiej jakiejś rozkoszy zlatywania w rozwierającą się podemną głębię i silne szarpnięcie w górę. Zawisłem na linie... Palce odarte ze skóry, krew obficie broczy i spływa po płycie... kilku chwytami wydobywam się na grzędę... krótki uścisk dłoni, której zawdzięczam życie... Opatrunek, jodyna, bandaż — i jazda dalej za resztą towarzyszy, które, słysząc mój upadek, było poważnie zaniepokojone, czy nie poniosłem większego szwanku.

Jeszcze jeden rzut oka na fatalne miejsce i jadę na podwójnej linie pozostawionej przez brata. Mijam „Małe Corso“ i ląduję na owej wielkiej spękanej płycie, która nas już bez wypadku sprowadza na śnieg. Spoglądam na zegarek. Szósta! Sześć godzin temu opuszczaliśmy to miejsce pełni żądy zdobywczej, otuchy i nadziei zwycięstwa... Sześć godzin trwał uporczywy bój, w którym wyczerpaliliśmy do ostatka wszelkie sposoby, całą umiejętność taternicką, wszystkie siły, wazyliśmy się na wszystko, na co może się człowiek w takiej walce odważyć, nie cofnęliśmy się nawet przed ryzykiem, a hasło do odwrotu daliśmy dopiero wtedy, gdy padł przywódca wy-

prawy, gdy okazało się, że zadanie przechodzi prawdopodobnie granice ludzkiej możliwości... I dlatego teraz, gdy staliśmy u stóp mrocznych krzesanic, gdy ocieraliśmy pot z czoł naszych uznojonych, a krew z ran, gdy w uszach huczały nam jeszcze gromy walących się lawin kamiennych — nie doznawaliśmy wcale przykrego uczucia, jakiego doznaje się zwykle po doznanej klęsce. Piersi nasze rozpieierało owszem uczucie dumy, że przez pół dnia toczyliśmy walkę do upadłego, że nie wyszliśmy z niej wprawdzie zwycięzcami, ale w każdym razie z zaszczytnymi ranami, że broniliśmy się umiejętnie w momentach, gdy wróg nacierał, skoro oba wypadki dzięki prawdziwej i sumiennej asekuracji zakończyły się szczęśliwie. Taka przegrana to zaiste więcej zadowolenia przynosi, niż łatwe i liche zwycięstwo...

Poczem zeszliliśmy w doliny leczyć się z odniesionych ran, aby wyruszyć — na nowe boje.

Marjan Sokołowski.

O czerwonym i żółtym śniegu w Tatrach.

Wiedziano od dawna, że w podbiegunowych okolicach świata wielkie obszary śniegu bywają do znacznej głębokości zabarwione na czerwono. Zbadano też, że to zabarwienie zależy od pewnego mikroskopowego, drobnego glonu. Taki czerwony śnieg daje się widzieć i w Alpach europejskich, ale naturalnie na niewielkich przestrzeniach. Zajmując się czerwonym śniegiem i pokrewnymi mu glonami, napisałem o tem rozprawę i ogłosiłem ją bawiąc w Cherburgu w 1875 r., w rocznikach miejscowego Towarzystwa przyrodników.

W roku 1880, poznawszy już przedtem Tatry, postanowiłem szukać w nich czerwonego śniegu, a znalazłszy na miejscu go zbadać. W tym celu kazałem sobie sporządzić przenośny stolik do mikroskopowania i zabrawszy z sobą mikroskop znalazłem się w Zakopanem. Memi przewodnikami w wycieczkach bywali zwykle Szymon Tatar i Wojciech Roj, z nimi więc, zabrawszy stolik przenośny, stołek, mikroskop i wszystko, co jest do mikroskopowania potrzebne, wybrałem się w góry.

Szymon Tatar, dowiedziawszy się o co chodzi, orzekł, że na Mięgoszowieckich turniach musimy szukać takiego śniegu. Rzeczywiście tam z za Mnicha, ponad piargami, dojrzałem lunetą takie pole. Ale dostać się do niego nie było rzeczą łatwą, owszem bardzo długą i mozolną. Tuż przed doj-

ściem do celu czułem się wyczerpany. Na piargach bardzo stromych odpoczywać trudno, skoro się zaraz usuwają. Dodał mi rezonu Szymek, mówiąc żartobliwie: „Nie bądźcie głupi panie, bo tu nie chodzi o waszą duszę, ino o wasze ciało; idźcie...” Ale też od czegoż tatrzańscy przewodnicy! Nigdzie takich nie było na świecie, jak ci starzy myśliwi na kozice. Widząc moje wyczerpanie zrobili mi drabinę, wsuwając coraz wyżej rękojeści ciupag w piargi i tak bez dalszego utrudzenia się znalazłem się u celu.

Tam mikroskopując przekonałem się, że trafnie pisałem przed pięciu laty w Cherburgu o czerwonym śniegu.

Ówczesne, bardzo pierwotne, ale miłe schronisko nad Morskiem Okiem było już otwarte, ale w owej porze jeszcze puste. Bawiłem w niem przez kilka dni zwiedzając świeże pola pod szczytami otaczającymi Czarny Staw. Trzeciego dnia na Rysach spostrzegłem na śniegu płyty niewielkie, które można było pokryć jedną lub dwiema dłońmi, barwy żółto-zielonej, bladej. Moi przewodnicy, widząc mnie zatrzymującego się przed temi plamami, zaczęli debatować, od czego one mogą zależeć. Po namyśle zgodzili się obaj i orzekli, że plamy te mogą jedynie pochodzić od przebiegających tędy kozic.

Mikroskop przekonał mnie o czem innym. Przekonał mnie, że tu chodzi o inny glon (niż dający czerwień), również żyjący na śniegu¹⁾. Moi przyjaciele ze Szwecji, którzy zajmowali się badaniem glonów, donieśli mi potem, że ów glon tworzący żółto-zielony śnieg w Tatrach, jest w polarnych okolicach świata wszędzie pospolitem zjawiskiem.

Józef Rostafiński.

¹⁾ Chlamydomonas flavo virens. Patrz Rozprawy Wydziału Mat. Przyr. Akad. Umiej. Posiedzenie z 20 października 1880 r.

MALLORY.

Przez dżungle zwrotnikowe i cedrowe bory,
skroś wichru mrożącego śmiertelne opłoty,
przedziera się uparty i twardy Mallory
ku błyszczącym lodowcom swej górnej tęsknoty.

Gna go serce krzyczące, nagli pulsu tętno,
jak biała pierś kochanki lśnią szczytu pancerze,
a on wciąż wyżej pnie się, gardząc ziemią wstrętną,
ku gwiazdom, choć mu wicher kąsa pierś jak zwierzę.

O jak bezradnie słaba jest namiotu płachta,
gdy bije w nią z wściekłością nawałnica śnieżna!
W oczach pali się wola i czuwa jak wachta,
w górach noc jest jak wieczność, czarna toń bezbrzeżna.

A rano, kiedy słońce, pasterz złotolicy,
z błękitnej hali nieba zgoni stado owiec,
Ewerest ¹⁾ znowu się srebrzy blaskiem tajemnicy,
Mallory znów się wspina na gładki lodowiec.

Aż nagle w pewnej chwili noga się pośliznie
i powietrza się chwycą odmrożone palce,
żrenice się uśmiechną dalekiej ojczyźnie
i mięśnie już odpoczną po zażartej walce.

Wśród modrych lodozwałów śpi twardo Mallory
pod ciepłą kołdrą śniegu, gdy wicher się miota.
Ponad dżungli zarośla i cedrowe bory
szczyt bielą bije w gwiazdy, jak ludzka tęsknota.

Kazimierz Andrzej Jaworski.

¹⁾ Czytaj: Iwrist (Przyp. Red.).

Górnictwo i hutnictwo w Tatrach polskich.

Dziedziną pracy, która przez długie lata odgrywała ważną rolę na terenach tatrzańskich, jest górnictwo i hutnictwo. Za króla Aleksandra w roku 1502 odkryto w Tatrach srebro. Podania dziś jeszcze żywe mówią, że za króla Zygmunta Starego wypłukiwano w potoku płynącym przez dolinę Kościeliską (dzisiejszy potok Pyszna) piasek złoty. Wypłukiwał go według podania młynarz królewski. Za Polaną Pisaną stał t. zw. Młyn Złoty. Były to prawdopodobnie złoża wtórne, które się szybko wyczerpały wskutek bardzo małych złóż pierwotnych. Według podania młynarza królewskiego zabili zbójnicy, a na miejscu gdzie miał być pochowany, znajduje się kamień młyński, w który Wincenty Pol, bawiąc w Tatrach, wstawił krzyż drewniany z napisem: „I nic nad Boga“. Krzyż ten Towarzystwo Tatrzańskie, gdy spróchniał, zamieniło na żelazny, z różnicą że krzyż Pola stał tuż przy drodze, krzyż zaś Towarzystwa Tatrzańskiego wraz z kamieniem, przeniesiono o jakie 20 kroków od drogi. Zachował się zwyczaj od najdawniejszych czasów aż do lat ostatnich, że każdy przechodzący góral rzucał koło dawnego krzyża Pola t. zw. „chraść“, t. j. garść suchych, połamanych gałązek, co w tej okolicy oznacza, że na tem miejscu zdarzył się jakiś nieszczęśliwy wypadek, rozegrała się jakaś tragedia, lub że miejsce to jest czyjąś mogiłą. Zwyczaj rzucania chraści przetrwał tutaj wieki i jest prawdopodobnie starym zabytkiem pogańskim. Stos, który powstał w ciągu roku, zapalał zwyczajnie gazda, do którego pole należy, w noc zaduszną, tu zaś w Tatrach zwyczajnie w miejscach koło hal położonych baca, w noc świętojańską. Baca na drugi dzień znów ponownie pierwszą garść chraści rzucał. W ostatnich latach, od czasów wojny światowej, zwyczaj ten ustaje.

Z początku XVII wieku odkryto w Tatrach kopalnie żelaza i srebra. Król polski Zygmunt III przywilejem w dniu 20 maja 1619 roku zezwolił na utworzenie stowarzyszenia górniczego (późniejsze gwarectwa), celem eksploatacji metalu w Starostwie Nowotarskiem i Czorsztyńskiem. Prócz tego Zygmunt III, nadając prawo do wydobywania kruszców, pozwoił na wolny wyrąb w lasach królewskich na domy dla górników. Stowarzyszenie to dla braku robotników rozwiązało się. Król Władysław IV w roku 1647 dozwala

w górach Starostwa Nowotarskiego na poszukiwanie kruszców, uwalniając przedsiębiorcę na 10 lat od opłaty olbory.

Komisja skarbową, pracującą z rozkazu króla Stanisława Augusta, postanawia odnowić kopalnie kruszców i rudy żelaza w Starostwie Nowotarskiem. Przytaczam dosłowny odpis z elaboratu p. Józefa Bocheńskiego z 10-go października 1904 r.¹⁾ pod tytułem „Górnicy opis rud żelaznych w Tatrach“: „Król wezwał Jana Augusta Knoblaucha inspektora górniczego, Jana Rudolfa Knorra górnistrza (w sierpniu 1767 r. przeniesionego do Szczakowej) i Chrystjana Wilhelma Friesego do Polski, którzy też we wrześniu 1765 r. udali się do Dzianisza. Górnistrz Knorr pojechał na Spiż, aby sprowadzić górników, zkąd przywiózł 7 „hawiarzy“.

Prócz kruszcu na Ornaku, doszukano się też i rudy żelaznej w Jaworzynce, którą wówczas zwano Jaworzyną Łuszczkową. Baron Gartenberg, zarządca spiskiego starostwa, zamianowany kierownikiem kopalń i poszukiwań kruszców w Tatrach, zwiedził je w jesieni w 1766 r. Roboty górniczne postąpiły tak daleko, że w r. 1767 przystąpiono do budowy huty dla topienia kruszcu srebrnego w dolinie Kościeliskiej. Inspektor miedzianej mennicy Konstanty Jabłonowski w jesieni r. 1767 lustrował „góry mineralne“ w Tatrach. Został on hutę jeszcze nie wykończoną. On też zwrócił uwagę na Małą Łąkę, która wedle ówczesnych podań górali miała być obfitą w kruszce. Według inwentarza spisane podczas tej lustracji, zastał inspektor Jabłonowski zapas rudy karniastej (grubej) 333 kubły i drobnej (miału) 49 kubłów, t. j. 360 cetnarów i 24 funty razem.

Z końcem roku 1767 robił inspektor Knoblauch próby z wytapianiem kruszcu miedzianego z Giewontu, w piecu postawionym na sposób węgierski.

W roku 1768 roboty górniczne w Tatrach ustały z powodu wypadków politycznych.

Po zajęciu Galicji przez Austrię zbadał hr. Ybarra z polecenia rządu stan górnictwa w Tatrach, poczem odnowiono dawne kopalnie miedzi i srebra na Ornaku, jakoteż wystawiono hutę żelaza w Kuźnicach Zakopiańskich, wówczas zwanych Hutami Hamerskimi, co w późniejszych latach wyrobiło się w gwarze góralskiej na nazwę „Hamry“.

Kamera posiadała dwa wysokie piece i dwie fryszerki w Zakopanem, które zarządzał Ott.

Po pożarze huty w 1795 r. na dłuższy czas zaniechano produkcji surowca. Profesor Hacquet w swym dziele, że z końcem XVIII wieku

¹⁾ Rękopis p. Józefa Bocheńskiego znalazłem w aktach Zarządu dóbr Zakopane. Dla jakich celów i z jakiej okazji był sporządzony, nie wiem.

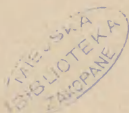
jest w ruchu kopalnia rudy żelaznej Św. Klementyna w dolinie Kościeliskiej. Miejsce to nazywa profesor Pisczurowa. Natomiast w kopalni na Miętusi i pod Magórą wówczas nie pracowano. Pod Magórą najdłuższa była sztolnia Leopolda, pędzona z zachodu na wschód, a mająca długości 140 sążni.

W pierwszej ćwierci XIX wieku rząd austriacki rozsprzedał wszystkie swe dobra kameralne położone w Tatrach. Wskutek tego w następnym dwudziestopięcioleciu przypada bardzo silne wzmożenie się ruchu górniczego w Tatrach, gdyż rodzina Homolaczów i baronów Borowskich starała się o jaknajwiększe wyzyskiwanie przysługujących im praw.

Pierwsze zapiski dotyczące się górnictwa tatrańskiego znalazłem w aktach dóbr zakopiańskich z roku 1800. Jest to sprawa tocząca się między Ernestem Blutowskim i Gotlibem Langem a Janem Wincentym Homolaczem o przepisanie temu ostatniemu pewnej części praw górniczych, chociaż rodzina Homolaczów posiada te dobra dopiero od roku 1824, w którym to roku nabyła je na licytacji we Lwowie. Akt odnoszący się do sprawy przepisania Homolaczowi pewnej części praw górniczych, wydany został ze sądu górniczego w Wieliczce i nosi datę 17 września 1800 roku. Podobne sprawy, co do nabywania praw górniczych przez rodzinę Homolaczów, ciągną się w roku 1801, w roku 1804 i 1807.

Józef Bocheński wspomina w swem piśmie, że spadkobiercy Emanuela Homolacza otrzymują nadanie 9 wielkich miar górniczych listami lennemi z dnia 23 marca 1839 roku, a mianowicie: na Magórze górną sztolnię Zapadłą (nazwa pochodzi od rzeczywistego zawalenia się sztolni wskutek zaprzestania w niej prac górniczych), wyższą sztolnię Pauliny, sztolnię Józefa, sztolnię Barbary, sztolnię Hrdiny, sztolnię Wilhelma, Edwarda, Klementyny. Wszystkie sztolnie, z wyjątkiem sztolni Klementyny, która była prowadzona na północny wschód, prowadzono na południowy wschód. Pracowano w nich do roku 1871, w którym to roku zaprzestano. Na prośbę ówczesnego właściciela Ludwika Eichborna zniesiono miary górnicze i koncesjonowano na nowo w roku 1884 sztolnię Józefa, Hrdiny, Wilhelma i Klementyny. W roku 1840 prof. dr. L. Zejszner przeprowadził badania w Tatrach i w swoich opisach twierdzi, że kopalnie rudy żelaznej koło Zakopanego położone są z całych Tatr najbogatsze. Pierwsze miejsce przyznaje Magórze, która wówczas była w pełnym ruchu. Jako powód zastanowienia prac w innych sztolniach podaje, że kopalnie te mają chwilowy spoczynek wskutek stagnacji w pędzeniu wysokiego pieca w Zakopanem.

W wąwozie Porońca (Sucha Woda), listem lennym z roku 1874 z dnia 26 kwietnia, nadano dla eksploatacji nowe pole górnicze o nazwie „Nowy Józef“. Założono tam dwie sztolnie, mianowicie sztolnię Poroniec i sztolnię Józef.



Pole górnicze Hrdiny zostało nadane listem lennym z dnia 26 kwietnia 1874 r. Posiadało ono na północnej stronie Magóry sztolnię Hrdiny i sztolnię Barbary. Prócz tego od strony t. zw. wówczas Królewskiej Góry (prawdopodobnie mowa o Kopie Królowej) posiadało płytki szybk, w którym natrafiono na pokłady rudy żelaznej. Pole to całe było na miejscu dawnych kopalń. W tym samym roku nadano pole górnicze Wilhelm, na którym założono sztolnię tej samej nazwy. Leżało ono na północnym stoku Magóry. Poniżej tego pola, także w tym samym roku nadano pole górnicze Nowy Edward ze sztolnią Edwarda. W tymże czasie nadano pole górnicze Nowa Klementyna, a na tem polu, prócz starej istniejącej sztolni, założono nową, różniącą się kierunkiem południowym od poprzedniej, która miała kierunek wschodni.

W roku 1834 w sierpniu nadano pole górnicze o nazwie „Segen Gottes“, leżące na Tomanowej w Czerwonym Żlebie, gdzie istniała sztolnia tej samej nazwy, przeistoczona w roku 1874 na „Neu Segen Gottes“.

Roboty odkrywkowe prowadzono przez krótki czas, to jest tylko przez letnie miesiące, podziemne zaś przez cały rok.

W roku 1839 w dolinie Miętusi, po stronie Upłazu, założono sztolnię Fortuna. Nadanie pola górniczego o tej samej nazwie pochodzi z tegoż roku. W tej samej dolinie istniała jeszcze druga kopalnia Wantula. Istniała ona według profesora Zejsznera po wschodniej stronie doliny Miętusi, prawie w środku wysokości grzbietu, przedzielającego tę dolinę od doliny Małej Łąki. Podobno była ona bardzo ubogą w rudę żelazną, która to ruda składała się tylko ze sproszkowanego limonitu. Wszystkie te sztolnie na Tomanowej i Miętusi były rezultatem usilnych poszukiwań przez ówczesną dyrekcję majątków Homolaczków w Zakopanem. Najdłużej z nich była w ruchu kopalnia Fortuna o sztolniach jednakowej nazwy, leżących na wysokości od 1176 do 1302 metry nad poziomem morza. Prócz tego przez bardzo krótki czas istniała od strony doliny Miętusi w wierchu zwanym Przysłop, mała sztolnia też tej nazwy, która już w roku 1840 była zaniechana.

W Dolinie Mała Łąka były dwie sztolnie, jedna na wysokości 1288 m., druga na wysokości 1316 m. Leżały one na południowej stronie doliny.

Od granicy Witowa pod Kopką istniało pole Bronisław, nadane w roku 1842. Około roku 1840 sztolnie tam już istniejące były w pełnym ruchu. W dolinie Kościeliskiej, na północnym stoku Kopki, istniała sztolnia na wysokości 1260 m. nad poziomem morza, kilka metrów niżej druga sztolnia. Kopalnia ta była przez dłuższy czas w ruchu z powodu znalezionej w znacznej ilości żelaza w rudzie, było go około 30%. Prof. Zeisner opisuje, że wywóz z tej kopalni odbywał się w sankach, w skrzynkach, po łąkach drewnianych,



co przy znacznej spadzistości terenu ułatwiało transport tej rudy, a jedną z przyczyn utrzymania przez dłuższy czas tej kopalni w ruchu był tani transport.

W dolinie Kościeliskiej nad leśniczówką istniało pole górnicze „Johannes“, nadane w roku 1842. Naprzeciw góry Saturnus w dolinie Kościeliskiej było pole górnicze Klementyna w dolinie Żeleźniaka. Kopalnię tę zwano wówczas „Maturką“.

Przy rekonstrukcji dawnych kopalń srebra i miedzi, które to kopalnie na górze Ornak już od bardzo dawnych czasów istniały, jednak często bywały zaniechanemi, natrafiono na pokłady rudy żelaznej, i po komisji odbytej na miejscu w sierpniu 1852 r., nadano listem lennym z tego samego roku w grudniu pokłady te jako pole górnicze pod nazwą Klementyna. Ludność i hawiarze nazywali je wówczas „Orniakiem“ lub „Dziewiątą“ także „Dziewiątką“. Istniała tam sztolnia tej samej nazwy. Podczas mej bytności w tym miejscu w roku bieżącym znalazłem dwie sztolnie, które jeszcze istnieją, do kilku metrów nie zasypane, a w dolnej nawet można było z trudem kilkanaście metrów w głąb się posunąć. Sztolnie te według opisu leżały nad wybraną już dawniej żyłą rudy srebrnej i miedzianej. Na miejscu dawnej sztolni srebra i miedzi, które już zastałem całkiem zasypane, są tylko stosy rumowisk, leżące prawdopodobnie w okół względnie u dołu tych sztolni, które niegdyś tam były. Wejścia żadnego nie znalazłem. Ruda srebra na Ornaku, według badania na kilka lat przed wojną urzędu państwowego węgierskiego w Budapeszcie, gdzie eksponaty złąd przesłano, miała podobno tylko 4 pro mil., tak, że eksploatacja rudy tej zupełnie się nie mogła opłacać. To samo było z rudą miedzianą. Historia wydobywania rudy srebrnej ciągnie się od dawien dawna i prawdopodobnie sięga czasów pierwszych poszukiwań górniczych regularnie prowadzonych, t. j. gdzieś pierwszej połowy XVII wieku.

Na tej samej górze, na północnym jej stoku, istniało pole górnicze „Jan Baptysta“ od roku 1852, z tą samą nazwą sztolni. Na Ornaku w wąwozie Jaraczyna istniało nadane w roku 1860 pole „Bronisław“, z jedną sztolnią tej samej nazwy. P. Józef Bocheński pisze, że na wysokości 1400 m. nad poziomem morza jest sztolnia, która kończy się pięciometrowym głębokim szybikiem. W roku 1851 Klementyna Homolaczowa, ówczesna właścicielka Zakopanego, zaczęła poszukiwania w dolinie Chochołowskiej, która należała do Witowa, Witów zaś do państwa „Czarny Dunajec“, które było własnością barona Borowskiego. Na górze Stara Robota nadano jej w r. 1872 pole górnicze „Jadwiga“. Sztolnia na tem polu, o tej samej nazwie istniała prawie pod szczytem góry. Do br. Hieronima Borowskiego należało pole górnicze

na tej samej górze, „Aleksander“. Naturalnym biegiem spraw, wskutek sąsiedztwa bezpośredniego powstały między p. Homolaczą a br. Borowskim spory, które rozstrzygnął sąd górniczy w Wieliczce, pozostawiając obu właścicielom na terenie tejże góry, motywując, że jedno pole od drugiego leży o kilkaset sążni niżej. W dolinie Stara Robota na wysokości 1530 i 1540 m. znajdowały się sztolnie rudy żelaznej. Uprzednio, podobnie jak przed laty na Ornaku, w rozmaitych czasach wydobywano tu rudę miedzianą.

W dolince Trapkowa nad Trzydniówką w Witowie, było pole górnicze „Rudolf“, nadane listem lennym w styczniu w r. 1855. Sztolnia leżała bezpośrednio nad potoczkiem, który powyżej polany Trzydniówka wpada do potoku Chochołowskiego.

Ruda żelazna w kopalniach: Klementyna, Jan Baptysta, Jadwiga i Rudolf miała około 18% żelaza.

Prócz wymienionych kopalń prof. Zejsner wspomina o opuszczonej kopalni na północnym stoku Giewontu, gdzie znajdują się dwa opuszczone szyby. Twierdzenia są tutaj sprzeczne. Tradycja ludowa mówi, że kopano tu miedź. To samo mówią protokoły i dokumenty z roku 1767, wspominając o próbie inspektora Knoblaucha, co do wytapiania kruszcu miedzi z Giewontu. Prof. Zejsner, który w r. 1840 przeprowadził poszukiwania, twierdzi, że nie znalazł w ułamkach rudy ani śladu wspomnianego metalu. Według p. J. Bocheńskiego tradycja i próby Knoblaucha były prawdziwsze jednak niż prof. Zejsnera.

Dotychczasowe pola, sztolnie, szyby, o których wspominałem, należały do terenów objętych przez kamery, następnie przez właścicieli majątków zakopiańskich. Równolegle w niższej części Tatr, od strony Orawy, rozwijały się przedsiębiorstwa górnicze barona Borowskiego z centralnym zarządem w Witowie.

Na siodle nad Lejową była kopalnia rudy żelaznej o nazwie Borowiec. Znajdowała się ona na zachodniej części doliny Chochołowskiej, tuż na granicy węgierskiej. Nazwa pochodziła od nazwiska rodziny Borowskich.

W roku 1840 w październiku nadał sąd górniczy w Wieliczce br. Kajetanowi Borowskiemu następujące sztolnie dla eksploatacji rudy żelaznej: sztolnia Segen Gottes nad doliną Chochołowską, sztolnia św. Kajetan, góra Chochołowska, Sucha Dolina, sztolnia Aleksander, o której już wspominaliśmy na górze Kulowiek za dolinką Stara Robota, sztolnia Hilfe Gottes na górze nad polaną nad hutami, sztolnia św. Franciszek Xawery nad hutami, sztolnia św. Hieronim w Kominach Tylkowych nad Stołami, sztolnia św. Ludwika w Kominach Tylkowych pod Spadami, sztolnia św. Justyna w Lejowym

Potoku u dołu, sztolnia św. Krystyna w Lejowym Potoku poniżej sztolni św. Justyna, sztolnia Adama w Lejowym Potoku pod Kopką.

W maju 1842 r. tenże sam sąd górniczy nadał listy lenne dla następujących pól górniczych: w Jarńcu od granicy doliny Kościeliskiej pole górnicze Marja Anna Karolina, w Dudowych Kominach pole górnicze Karol, w Lejowym między Siodłem a Spadami pole górnicze Magdalena. Na górze Czoło Chochołowskie wyżej Kajetana pole Bernhard. Nad hutami pole Elżbieta. W Lejowym Potoku pod Kopką na granicy posiadłości Witowa od strony Kościelisk pole Krystyna. W Lejowym Potoku pod Lachówkami pole Jan, tamże nad hutami pole Jakób. Pod polaną Kryta pole górnicze Ferdynand. Niżej polany Jaworzyńskiej pole górnicze Józef. Pod Krzystką od granicy Orawskiej pole Jadwiga. Pod Wołowcem pole Marja.

P. Bocheński podaje, że na polanie Huty na wysokości 1153 m. w roku 1904 znajdowała się jeszcze sztolnia. Roboty górnicze sięgają wysokości 1200 m. Podobno miano pracować w tych kopalniach do r. 1865, a rudę wożono do Luptowa. W Kominach „Nad Spady“ około 1854 r. kopano rudę żelazną w sztolniach, do których dochodziło się po drabinach przybitych do turni.

Przedsiębiorstwo górniczo-hutnicze, że je tak nazwę Kościeliska—Zakopane, obejmujące także tereny dzisiejsze pp. Uznańskich, nietylko co do eksploatacji rud przechodziło wciąż wraz ze zmianą właścicieli Zakopanego z rąk do rąk, aż wreszcie Władysław hr. Zamoyski w r. 1921 zrzekł się swych praw górniczych, względnie sprzedał je Tow. Ud. „Rudy żelazne“, które od tej pory ma dalej prowadzić poszukiwania za rudami i kruszcami w Tatrach. Kopalnie Witowskie wydzierżawiono w r. 1846 arcyksiężęcej kamerze na lat 12. W r. 1848 kamera jednak wypowiedziała kontrakt, który skończył się procesem i przejściem z powrotem tych kopalń na br. Hieronima Borowskiego. Roboty w tych kopalniach spoczywały od roku 1847 do 1849. Br. Borowski zrobił następnie kontrakt co do prawa użytkowania i kierownictwa tych kopalń z Franciszkiem v. Huerem, kapitanem wojsk austriackich, mieszkającym w Dziańszu. Tenże kapitan wszczął z Klementyną Homolaczkową spór w roku 1854 o nadanie pola górniczego „Rudolf“ w dolinie Trzydniówki.

W roku 1858 Ludwika Wężyk, zarządczyni masy spadkowej po Hieronimie Borowskim, wniosła prośbę do starostwa górniczego w Wieliczce o wykreślenie wszystkich pól górniczych nadanych Borowskim. W r. 1846 w październiku starostwo górnicze w Krakowie nadało listami lennemi arcyksiężęcej dyrekcji kameralnej w Cieszynie (zarząd górniczy tej dyrekcji był w Białej), prawa do poszukiwania za manganitem. Pole górnicze Berta, od-

krywka na południowej stronie pochyłości góry nad Hutami w odległości 130 sążni poniżej na zachód od potoku wpadającego do Suchej Wody. Pole Ludwik, odkrywka na Siodle na stromej południowej pochyłości. O produkcji jednak tych kopalń nigdzie nie znaleźć nie można. Przymuszczenie więc skończyło się tylko na odkrywkach. Wskutek zrzeczenia się kamery arcyksiążęcej wykreślono nadania te w roku 1880.

Rok 1880 można zanotować jako właściwy rok, w którym skończyły się wszelkie roboty górnicze w Tatrach, gdyż po roku tym prowadzono tylko tu i ówdzie poszukiwania, które według ustaw miały być corocznie przeprowadzane. Prowadzono je głównie dlatego często tylko bardzo powierzchownie, by móc dawać relacje do starostwa górniczego, że poszukiwania się robi, celem nie utracenia praw związanych z nadaniami.

Jak już wspominałem, kamera posiadała w Zakopanem dwa wysokie piece i dwie fryszerki (ogniska fryszerskie). W r. 1795 objął huty te pożar i zaprzestano na dłuższy czas pracy. W roku 1767, 1768 i 1769 zbudowano piec w dolinie Kościeliskiej do wytapiania srebra. W r. 1854 zestawiono kosztą produkcji żelaza w Zakopanem. Wynoszą one przy jednym cetnarze wiedeńskim surowizny, trzy floreny i trzydzieści krajcarów. Kosztą produkcji jednego cetnara wiedeńskiego rudy żelaznej wynosiły loco huta 26'25 kr. Kosztą przetopienia wraz z administracją, daniną z huty, utrzymaniem i amortyzacją huty, wynosiły 46'03 kr. Sąd górniczy wielicki w r. 1835 w styczniu zezwolił na przeniesienie opuszczonego w Kościeliskach młota do Zakopanego i urządzenie drugiej fryszerki z młotem. W sierpniu w tym samym roku zezwolił na budowę walcowni dla blachy. W r. 1842 zezwolono na budowę podwójnej fryszerki i walcownię żelaza sztabowego.

W statystycznym roczniku z r. 1886 pod tytułem „Przemysł górniczy cesarsko austriacki“, znajdujemy wzmiankę, że rudę i surowiec sprowadzano do Zakopanego z Węgier, gdyż kosztą produkcji surowca węgierskiego wynosiły 1 fl. 80 kr. za cetnar wied., podczas gdy u nas te same kosztą wynosiły 2 fl. 50 kr.

Powoli zabijała tutejsze hutnictwo zagranica. Tam już zaprowadzono płomienne piece do pudlingowania. Tu zatrzymano ogniska fryszerskie. Wyborny produkt krajowy podjął walkę z taniem żelazem pudlingowym, sprowadzanem z obcych stron, głównie zaś z Prus. Prusy głównie przyczyniły się do zabicia tutejszej produkcji. Przyspieszały także upadek produkcji nowe ustawy, zniżające cło przywozowe za żelazo z zagranicy. Materiał opałowy był coraz droższy, gdyż lasy co bliższe wycięto na wyrób węgla, z dalszych lasów zaś transport był bardzo utrudniony.

Rok więc 1854 to pierwsze zarysy upadku. Rok 1867 to już stacanie

się coraz bardziej w dół. Prócz tego jedną z przyczyn upadku była mała procentowość naszej rudy i taniaść węgla z ziemi wydobywanego w Prusach.

Prof. Zejszner podaje w swym elaboracie następujące daty, odnoszące się do produkcji hutniczej w Zakopanem.

W roku 1835 wyprodukowano rudy żelaznej 16.669 cet. wied.

„ 1836 „ „ „ 21.700 „ „

„ 1837 „ „ „ 18.631 „ „

Wyrobiono z tego żelaza w roku 1835 — 4.232 cet. wied.

„ „ „ „ 1836 — 4.583 „ „

„ „ „ „ 1837 — 6.623 „ „

Wynika z tego, że w r. 1835 i 1836 wypadało na jeden cetnar wiedeński surowca 4 cet. wied. rudy. W r. 1837 potrzeba było na tę samą ilość surowca, rudy 2'81 cet. w. Różnica pochodzi ztąd, że w r. 1837 przerabiano więcej z Tomanowej i Maturki. Według Rudolfa Elsnera, który do r. 1856 prowadził zakłady górniczo-hutnicze w Zakopanem, wypadałby następujący procent dla poszczególnych rud. Ruda z Magóry 30—32%, Miętusia 11%, Tomanowa 18—30%, Borowiec 8—11%, Maturka 40—70%, a było to pole górnicze Klementyny, ruda zaś prawie czystym hematytem. Niestety wydobywanie z Maturki tej rudy było bardzo ograniczone wskutek małych gniazdkowych pokładów.

W roku 1871 pracowało w hutach w Zakopanem 17 robotników, w kopalniach 56 górników.

W rekursie wniesionym przez dwie role sołtysów z Leśnicy 6 października 1871 r. mamy wzmiankę o hucie na polanie Kiera Leśnica, którą tu przytaczam: „Polana Kiera Leśnica, mająca 14 morgów 752 s. była zawsze własnością sołtysów w Leśnicy, a zajęcie jej naprzód pod hutę żelaza stało się za czasów dominikalnych, w których włościanie byli poddanymi, zależnymi od dworu i zostającymi pod jego władzą. Komisja krajowa wywodzi prawo dworu do własności z zasiedzenia od roku 1832, lecz nie wykazuje, że sołtysi po tym roku występowali przeciw nieprawnemu posiadaniu tej polany. Skargi wnosili do urzędu cyrkularnego, który jako ówczesna władza opiekuńcza poddanych, miał obowiązek bronięcia ich przeciw nadużyciu dworu. Że dwór na tej polanie, z pozwoleniem sołtysów, postawił hutę żelaza (Frieschfeuer) i szopę na węgle, to jeszcze nie dowód, że cała polana jest dworska“.

Kopalnie w roku 1876 miały posiadać sztolnie dochodzące do 3110 m. W roku tym kopalnie zakopiańskie stanęły.

Zakłady hutnicze w owym czasie składały się z wysokiego pieca i pralni nieczynnych od lat kilku i czterech czynnych fryszerek z młotami, walcowni sztab i blachy, poruszanych kołami wodnemi. Całość majątku miała

w posiadaniu wówczas firma Goldfinger z Nowego Targu, względnie Goldfinger nabył dobra te na licytacji, która potem wskutek nieformalności w niespełna rok została obalona. Był to rok 1889, w którym nabył te dobra Władysław hr. Zamoyski. Huty zatrudniały w owym czasie, t. j. w roku 1888 za Goldfingera, 23 robotników. Wyroby hutnicze rozchodziły się tylko po zachodniej Małopolsce. Dostawiano je do Krakowa, Bochni i Nowego Sącza drogą kołową. Odległość do Krakowa lub Bochni wynosiła 105 km., do Nowego Sącza 98 km. Płacono za jeden cetnar metryczny dostawy żelaza wozem do Krakowa i Bochni 60 kr., do Nowego Sącza 45 kr. W roku 1874 Ludwik Eichborn, ówczesny właściciel Zakopanego, zrzekł się części pól górniczych, które też z ksiąg górniczych wykreślono, tak że Władysław hr. Zamoyski objął już tylko pięć pól górniczych na Magórze, jedno pole na Tomanowej i jedno na Ornaku. W r. 1894 na życzenie Władysława hr. Zamoyskiego przeprowadził inspektor górniczy i hutniczy Franciszek Bartonec badania górnicze, a p. Wł. Szczytnicki analizy chemiczne. Ważniejsze wyniki tych analiz są: Szczytnia Kościelisko żelaza metalicznego 36·15%, — Tomanowa tlenku żelaza i glinu 36·80%, — Witów, Stara Robota tlenku żelaza i glinu 37%, — Witów nad Hutą 14·60%, — nad gospodą w Kościeliskach żelaza jako metal 84·50%. — Pyszna w Kościeliskach miedzi metalicznej 1·35%, druga analiza przeróbki z Pysznej miedzi metalicznej 4·20%, — Magóra żelaza metalicznego 50·56%, — druga próba z Ornaku w Kościeliskach żelaza metalicznego 27·82%, — ruda miedzi próbka z Ornaku 7·23%.

Jeszcze raz powracam do opisu prof. Zejsznera, który na podstawie badań swoich już w r. 1840 mówi, że chociażby produkcja rudy była zupełnie wystarczającą, to nie wydaje mu się prawdopodobne, aby produkcja węgla drzewnego mogła nastarczyć jego zapotrzebowaniu, gdyż, jak pisze, drzewo w tych wysokich górach zbyt wolno rośnie, a z wielu miejsc tylko już z największymi trudnościami można je sprowadzać.

W owym czasie niemal tylko jedyną przeróbką drzewa było wypalanie węgla do hut. Wypalanie to zajmowało sporą liczbę ludzi t. zw. węglarzy, tutaj na Podhalu od niemieckiej swej nazwy zwanych „Brajarami“. Ludzie ci podlegali dyrekcji górniczo-hutniczej jako najwyższej swej instancji, byli jednak pod zarządem w pierwszym rzędzie leśniczych.

Co do zużycia węgla i drzewa to daty przeciętne z ostatnich już lat pędzenia zakładów, przedstawiają się następująco: do fryszowania używano węgla drzewnego, co przeciętnie w jednym roku pochłaniało sumę 6985 m³ tegoż węgla. W walcowniach używano drzewa opałowego, a suma przeciętna roczna wynosiła 3472 m³. Są to bardzo duże cyfry. Licząc, że najróżnorodniejszych sortymentów drzewa używano do przeróbki na węgiel (zwęglania

w mielerzach), musimy przyjąć cyfrę około 55% otrzymanego węgla. Robiłoby to więc sumę 12.660 m³ drzewa użytego do mielerzenia. Dodając do tego 3472 m³ zużytego w naturze, otrzymujemy sumę 16.132 m³ drzewa, które było zużyte do hut, dla wytopienia żelaza i uzyskania produktów żelaznych, jak sztab, blach i t. d.

Z okazji wystawy wiedeńskiej wydało austriackie ministerstwo rolnictwa w r. 1873 książkę pamiątkową, gdzie w referacie radcy górniczego Henryka Wachtla znajdujemy między innymi: „Tatrzańskie złoża limonitu, hematytu i t. d. nie odznaczają się ani mięsznością, ani znacznieszą rozciągłością. Niema pewności, że złoża sięgają głęboko w spód, gdyż wszystkie kopalnie znajdują się wysoko pod szczytami gór“. Daty statystyczne podane są tam z r. 1871. Z okazji wystawy w Paryżu wspomniane ministerstwo wydało w r. 1878 opis kopalń i rud żelaznych według stanu z r. 1876. Powiedziano tam, że „Limonity koło Zakopanego, będące produktem zwierzałych spad żelaznych, są już w znacznej części wybrane“.

Na zjazdach geologów poruszano sprawę eksploatacji rud tatrzańskich kilkakrotnie. Czytając sprawozdania i protokoły z tych zjazdów możemy sobie wyrobić następujące o tem zdanie: Tatry nasze posiadają najrozmaitsze rudy nawet dość wartościowe, lecz wszystko to w bardzo ograniczonej ilości, na okazy, na próbki niemal. Nie zdaje się przeto, aby z gospodarczego punktu widzenia eksploatacja tych rud mogła stać się kiedyś znowu problemem aktualnym.

Podczas całego trwania eksploatacji rud, produkcji surowca żelaznego i przetworów żelaznych, nie istniał osobny, tak dziś nazwany, zarząd dóbr. Miejsce jego zastępowała t. zw. dyrekcja górniczo-hutnicza. Dużo różnych aktów odnoszących się do tych czasów, a pochodzących z tej właśnie dyrekcji, znalazłem w archiwum w Kuźnicach. Niestety akta te wskutek nieuporządkowania ich odpowiedniego, jak również wskutek porządkowania budynku i przenoszenia biur, uległy zniszczeniu. W przeważnej części może o mniejszej wartości i nawet bezwartościowej co do spraw majątkowych i prawnych, rzucają one dużo światła i przyczyniają się do poznania minionej epoki. Były one niemal ułamkami codziennego życia, luźnymi kartkami książki, na podstawie której można było nie jedną rzecz zrozumieć i że tak powiem odpowiednio wżyć się myślą w ówczesne stosunki. Część tych aktów tworzy jeszcze dziś nieuporządkowany plik papierów.

Biorę w rękę jedną z takich drobnych zapisek. Nosi ona datę Zakopane, dnia 4 listopada 1846 r., a obejmuje wykaz urzędników zatrudnionych w dyrekcji górniczo-hutniczej w Zakopanem, z czasów gdy właścicielką Zakopanego była Klementyna Homolacz. A więc czytamy: Rudolf Elsner,

inspektor hut., Rudolf Korzuszek, górmistrz, Franciszek Mały, skarbnik, Jan Maciaż, magazynier, Rudolf Marhewkay, górniczy pisarz kancelaryjny. Na końcu figuruje nazwisko Antoni Brosik, nadleśniczy i Henryk Luitt, lekarz górniczy. Widzimy z tego, że leśnictwo było doczepką górnictwa i hutnictwa, było wprawdzie rzeczą konieczną, jednak już drugorzędną. Nadleśniczy, jako najwyższy przedstawiciel lasu, był ściśle związany z dyrekcją górniczo-hutniczą, był jednak tylko urzędnikiem, który prócz drobiazgu w wydawaniu drzewa dla okolicznych włościan, starania się wraz ze swoim personelem leśnym o odpowiednie utrzymanie zwierzostanów w Zwierzyńcu, starania o paszę, miał główny obowiązek ewidencji węglarek, zawiadywał opałem do hut i materiałami drzewnymi potrzebnymi do sztolni, na reparację wozów, sań i t. d., gdyż innego zajęcia lasy wówczas nie dawały, a czego innego nie żądano od całego personelu leśnego.

Ważnym czynnikiem w życiu codziennem górnictwa tutejszego, była t. zw. Puszka bracka. Zastępowała ona dzisiejszą Kasę chorych. Każdemu górnikowi, który zachorował, każdej wdowie, dziecku po górniku lub hutniku, wypłacano stale i regularnie zasiłki. Do takiej Puszeki brackiej należeli i wszyscy urzędnicy. Wkładka była niska. Puszka przewyższała czasami dzisiejszą instytucję Kas chorych, gdyż o podaniach i udzielaniach zasiłków stanowili zarządzający Puską, którzy byli na miejscu i znali świetnie stosunki miejscowe. Do zarządzających należeli stosownie do wyboru ze swego grona, urzędnicy i robotnicy, którzy razem wszystko załatwiali. Czasami były i mankamenty, zależnie od składu zarządu, lub przez wywieranie nacisku ze strony dyrekcji na zarząd Puszeki, by w taki lub inny sposób sprawę załatwił. Bywały to rzadkie wypadki.

Leśniczowie i leśni był to przeważnie personal wysortowany z pracowników górniczo-hutniczych. Górnicy i urzędnicy po przejściu pewnego okresu lat służby, lub w razie jakiegoś lżejszego nieszczęśliwego wypadku, prosili o przeniesienie ich do służby leśnej, która też była właściwie w tutejszych warunkach niemal częścią integralną górnictwa i hutnictwa. Fachowego wykształcenia żądano jedynie od nadleśniczego. Np. Kocjan Antoni był przez 12 lat magazynierem w górniczo-hutniczej dyrekcji w dzisiejszych Kuźnicach, w roku 1864 okaleczony w kuźniach przypadkowo na lewe oko, tak że na nie zaniewidział, został leśniczym w Kościeliskach, gdzie przez dłuższy czas pełnił służbę. Stopka Jan pełnił przez 49 lat i 9 miesięcy służbę jako robotnik fabryczny i jako górnik, a na starość, będąc zupełnie zdrow i czerstwy, sam prosił by mu dano dozór Zwierzyńca, gdzie jako leśny (dozorca Zwierzyńca) służbę swą niemal do śmierci pełnił. Takich przykładów mamy bardzo dużo.

Nic dziwnego, że wskutek tego gospodarka w lesie musiała szwankować, gdyż nie miała odpowiednio wyrobionego personalu.

Osobny typ ludzi stanowili węglarze, należący także właściwie nie do lasu, lecz do górników i także wpisywani do Puszek brackiej. Jak już wspominałem, tylko częściowo zależeli oni od personalu leśnego.

Górnictwo i hutnictwo pozostawiło nam dość dużo wspomnień, legend i opowiadań, krążących między tutejszym ludem. Z budynków pozostały kapliczki przydrożne, stawiane przez „hawiarzy“ i „hamerników“, jak nazywano tutaj górników i hutników. Kapliczki te niejednokrotnie fałszywie kapliczkami zbójnickimi nazywają, jak np. kapliczkę w dolinie Kościeliskiej, gdyż zbójnicy nigdy kaplic nie stawiali, chyba tylko w legendach i podaniach. Pozostało trochę większych budowli, które zamieniono na budynki gospodarcze i domy mieszkalne, a dużo z nich już rozebrano, ponieważ były one budowane z kamienia i jako łatwo nasiąkające wilgocią nie były już możliwe do zamieszkania.

Wracając do sprawy t. zw. fałszywie kapliczki zbójnickiej w dolinie Kościeliskiej, którą tak nazwano dla upiększenia legend krążących o tej dolinie, są jeszcze ludzie, którzy pamiętają że na szczycie jej były dwa młoty na krzyż złożone, oznaka górników. Porównując jej budowę, zwłaszcza co do formy dachu, z taką samą kapliczką stojącą przy gościńcu głównym, wiodącym z Zakopanego do Poronina, dojdziemy do wniosku, że musiały one być budowane niemal w tym samym czasie. Na tej drugiej kapliczce widać jeszcze dziś dokładnie rzeźbione emblematy hawiarzkie, starodawnej roboty. Kapliczkę kościeliską zeszpecono przy odnowieniu w roku 1922 przez dorbienie drzwi w stylu podhalańskim, względnie zakopiańskim, zamiast reaktywować drzwiczki tej kapliczki tak jak były, t. j. z kraty drewnianej. Uprzednio dwa boczne wypusty murowane koło wchodu tej kapliczki powoli uległy zniszczeniu.

W książce pod tytułem „Życiorys ks. Wojciecha Blaszyńskiego plebana w Sidzinie“ czytamy: „Krzyż na wieży w kościele Chochołowskim wykonany w hamrach zakopiańskich ważył 3 cetnary 6 funtów a był dwa sążnie długi i jeden sążeń szeroki, pozłacany wraz z banią kosztował 85 złr. 80 centów“. Mowa tu o nowym kościele obecnie stojącym. Krzyż ten, jak się można zorientować, był wykonany w roku 1866 czy też w roku 1867. Jest to jeden z zabytków hawiarstwa tatrzańskiego, który dotrwał do dzisiejszych czasów.

Z budynków hutniczych stoi dawna kuźnia budowana z kamienia, którą przerobiono po kupnie przez hr. Zamoyskiego na kancelarję zarządu majątku. Do 1 kwietnia 1926 r. mieściły się w niej biura zarządu głównego. Budynek

duży, zwany dziś popularnie „Murowanicą“, między Bystrem a Kuźnicami, był dawną walcownią żelaza. W dolinie Kuźnic stoją ciągle reperowane i ciągle walące się do dziś dnia trzy domki drewniane dawnych hutników, wybudowane na starym, wówczas obowiązującym prawie, a mianowicie że pozwalano hutnikom na budowę własnych domków z tym warunkiem, że grunt pozostaje dworski i tegoż niepodzielną własność stanowi, domek natomiast na nim stojący jest własnością danego górnika czy hutnika. Ponieważ hutnicy ci pozostawiali domki w spuściznie swoim synom i wnukom, a grunt pod budynkami, jak wspominałem, jest własnością dworu, obecnie Fundacji narodowej, sprawy te są ciągłymi przedmiotami sporów.

Z większych prac z żelaza kuźnickiego, które przedostały się poza obręb Podhala, wspomnę o poręczach żelaznych do mostu i całości materiału żelaznego na tenże most łączący Kraków z dawnym Podgórzem. Był to pierwszy most na Wiśle o silniejszej trwałej konstrukcji.

Centrum górnicze ze strony Polski, względnie byłego ówczesnego zaboru austriackiego, było najpierw w Wieliczce, następnie w Krakowie. Ze strony węgierskiej w Nowej Soli (Neu Soll) jako komisarjat górniczy, a w Schemnitz starostwo górnicze. Na Podhalu prócz Kuźnic zakopiańskich istniały Kuźnice w Maniowach, Tylmanowej, w najbliższym zaś otoczeniu Podhala w Suchej i Węgierskiej Górze. Homolaczowie mieli prócz tutejszych terenów górniczych, tereny należące do Orawy (Komitat Orawski) a mianowicie pola górnicze Jan w Pustyni, Emanuel. Prócz tego dzierżawili oni huty za granicą w Jaworzynie. Między temi punktami odbywała się ciągła wędrówka ludzi, o czem i akta świadczą. A najrozmaitszy żywioł składał się na ten świat górniczy. Oprócz ludzi miejscowych byli tu i przybysze z różnych stron, obiężyświaty nie mogący nigdzie miejsca zagrzeć. Przeglądając wykazy górników przesyłane do starostw górniczych, znajdujemy różne nazwiska. Biorę np. listę z dnia 1 listopada 1855 r. Mamy w niej naszych Gąsieniców, Bachledów, Trzebuniów, Obrochtów, Tatarów, mamy nazwiska które były i znikły, jak Kunc, Stiegel, Droppa, Wilczek, Czerwienka, Hascherl Tomlan inni. Wskutek mieszania się tych żywiołów pozostały rozmaite zwroty językowe, pozostało dużo wyrażeń, nad którymi nieraz zastanawiają się ludzie, z kąd one tutaj mogły zawędrować. Do dziś pozostałości te spotkać można jeszcze w gwarze góralskiej.

Kuźnice były wówczas większe od Zakopanego, dość popatrzeć na mapę pochodzącą z czasów około roku 1846. Kuźnice były centrum życia i ruchu. Zakopane było przystankiem dla fur i karetek jadących z Kościelisk, przystankiem dla furmanów stałych, którzy wybierali się w długie kołowe wyprawy, wioząc produkty żelazne lub surowiec, a wracając z zapasami żywno-

ności. Wyrażenie „karetka“ jeszcze przed niedawnymi laty można było spotykać w gwarze góralskiej na oznaczanie zabawek dzieciennych w formie wózków kupowanych na jarmarkach. Karą nazywano dzisiejsze taczki. Nazwy te pochodzą od wózków hawiaarskich, które wówczas karetkami hawiaarskimi zwano. Karetki te hawiaarskie były w przeważnej części dwukołowe, w niektórych tylko miejscach używano czterokołowych. Najciekawszą formą zaprzęgu używanego do zwózki były tak zwane sankowozy, których używano do zwózki rudy z Magóry. Był to przód kołowy wozu, z tą różnicą, że koła były pełne, z tyłu zaś wlokły się sanki niemal identyczne z dzisiejszymi włótkami, lub sanie do których przy jeździe pod górę podkładano małe kółeczka. Po wszelkich tych formach zaprzęgów dzisiaj ani śladu nie zostało. Nie były one do czego innego użyteczne, jak tylko do zwózki rudy po wysokich, stromych terenach górskich. Niedawno temu rozmawiałem z jednym ze starych górali o dzisiejszym ruchu drożkarskim, tak silnie rozwiniętym w Zakopanem. Patrzyliśmy na rząd przejeżdżających, zanikających już furek góralskich, wiozących gości powracających z Doliny Kościeliskiej. Mówi do mnie stary góról: „Bełe inkse casy, kiek beł jesse hłopakiem. Stoły tu wiecie i jeździły ino krzynke wysej drugom pod regłami inkse pikniejse fijakry, a beło ik godnie. Wieźły żelazne skole ku hamerniom“ (Droga pod regłami nosiła zanikającą już dziś nazwę „żelaznej drogi“).

Na humorze często hawiarzom nie zbywało. Tam, gdzie dzisiaj zakład wychowawczy dla panien, popularnie „czepculkami“ zwanych, a mianowicie tam, gdzie kancelarja tego zakładu, była karczma. Druga taka karczma stała tam, gdzie dzisiaj stara Spółka Handlowa, koło starego kościoła w Zakopanem. Często, gdy wiara sobie podochociła, to gonili się hawiarze i furmani z ciupagami z jednej karczmy do drugiej. Znaną z awantur była szczególnie ta druga karczma przy ulicy Kościeliskiej. Na środku tej karczmy stał słup drewniany, w który po przyjsciu każdy swoją ciupagę wbijał, by mu nie zawadzała. Hawiarze składali pod nią swoje młoty. Po wyplatach, gdy się to wszystko zeszło, a atmosfera w porze zimowej zwłaszcza, w izbie tej stawała się duszną, w głowach zaś szumiała wódka, przeplatana zwyczajnie lichem węgierskiem winem i arakiem, wtedy wystarczyło kilka słów, by doszło do krwawych bójek. Dzierżawca tej karczmy, o którym pamięć do dzisiejszego dnia w Zakopanem istnieje, musiał nieraz, zostawiwszy swój szynk na łasce Bożej, uciekać w pole lub do stajni, by głową w tych bójkach nie nałożyć. W karczmie Kuźnickiej znane były tańce i muzyki, na których bez rozlewu krwi się nie obeszło. Że te dwie szanowne instytucje zniknęły z terenu Kuźnic i Zakopanego, to mamy do zawdzięczenia hr. Władysławowi Zamoyskiemu, gdyż pomimo ustania ruchu hawiaarskiego, karczmy te miały

zawsze stałych swoich gości, składających się z fiaków i przewodników. Pod tym względem tradycję furmanów i hawiarzy przejęli dorożkarze i przewodnicy.

Górnicy mieli własną kapelę i własną chorągiew w Kuźnicach, na której szczycie, wykonanym z mosiądzu i ozdobionym dwoma skrzyżowanymi młotami, widniał wyryty rok 1846. Szczyt ten do roku 1923 był w kancelarii rysunkowej zarządu dóbr Zakopane, w wymienionym zaś roku ktoś postarał się, by on ztamtąd zginął, tak że pomimo poszukiwań nie mogłem go odnaleźć.

Z legend hawiarzkich mnóstwo snuje się pod Tatrami. Począwszy od znanych legend, przywiązanych do doliny Kościeliskiej, o złotym młynie i młynarzu królewskim, o kowalu z kuźni tamtejszej, mieszczącej się pod Skalą Pisaną, który w noc Zmartwychwstania Pańskiego chodził śpiącym w skałach rycerzom konie kuć, za co dostawał złote wystrużyny z kopyt koni, a skończywszy na baśniach o rozmaitych duchach i jakichś widziadłach w starych sztolniach Magóry, ciągnie się nieprzerwana nić baśni wśród ludu, zamierając jednak coraz bardziej. Starzy ludzie opowiadają sobie jeszcze, a właściwie młodemu pokoleniu czasami te baśnie. Jedno z takich opowiadań przytaczam.

Gdy jeszcze dolina Kościeliska tętniła życiem hawiarzy, gdy roilo się tam od najróżnorodniejszych ludzi, między którymi było dużo przybyszów niemieckich, czeskich, wielu Słowaków, Węgrów a nawet Włochów, niedaleko młota żelaznego stała gospoda hawiarzka. — Była to noc wigilijna. Kaganki zapalone rzucały słaby blask na dość obszerną izbę. Na polu mróz, który w ostatnich dniach silnie trzymał, nieco zelżał, natomiast począł padać gęsty śnieg. — W gospodzie zasiedli hawiarze, którzy właśnie dostali wypłatę na święta. Pieniądzy nie brakowało, humoru też. Atmosfera stawała się duszną, rozmowa żywszą, cienie migotały po izbie od słabego odbłasku oliwnych kaganków. W kącie izby przy kominku grupa hawiarzy tutejszych omawiała sprawę pójścia na Pasterkę. Z pośród wszystkich najgorętszą rozmowę prowadzili dwaj Niemcy, Hans i Josef. Hans, chłop na schwał, silny i barczystej budowy, górnik który już z niejednego pieca chleb jadł, kłócił się z młodszym Josefem i kończył rozmowę temi słowy: „Nie wierzę w żadne przesady, w żadne święta, i wogóle tych wszystkich świąt razem ze świętami nabożeństwami mam już dość; dziwię się jednak że są głupi, którzy chodzą do kościoła i księżom kieszenie pieniędzmi nabijają. Przewędrowałem Niemcy, Francję, Italię, Węgry, a nigdzie nie spotkałem tyłu głupich co tu. Josef oponował, lecz grono siedzące koło Hansa coraz bardziej go zakrzykiwało. Z grupy od kominka powstał silny chłop i zorientowawszy się o co chodzi, gdyż jako staremu hawiarzowi różna mowa w różnych językach niedziwną

była, wyskoczył na stół i starał się uciszyć towarzystwo. Godzina już robiła się późna. Kaganki skwierczały i przygasały. Część hawiarzy zaczęła wybierać się na Pasterkę. Usłyszawszy to Hans porwał młot, leżący koło stołu i zawołał: „Bracia górnicy, kto mojego zdania, niech dziś zemną pójdzie do naszej sztolni pracować!“ Wkrótce zrobili się dwa obozy. Większa grupa obejmowała wybierających się do domów i na Pasterkę, mniejsza, a było ich dziewięciu, wzięwszy młoty na ramiona zbierała się na robotę. Hansowi coraz bardziej się w głowie mroczyło. Łyknąwszy jeszcze kilka kubków, wzięwszy młot na ramię i zwiesiwszy lampkę u pasa pierwszy rozwarł szeroko drzwi gospody hawiarskiej i puścił się drogą w górę doliny. Za nim posunęło się osiem postaci.

Śnieg przestawał padać, niebo jednak było pochmurne. Za chwilę z gospody wysunęła się druga, większa grupa, i zdążyła w dół doliny. W gospodzie został sam Josef, gdyż żał mu było Hansa, z którym, pomimo przeciwnych zapatrywań, łączyły go czasy wspólnych wędrówek po świecie za zarobkiem hawiarским. Napiwszy się jeszcze i podumawszy wsunął narzędzia pod ławę i wyszedł chwiejnym krokiem z gospody, podążając za grupą Hansa. O dogonieniu ich ani mowy być nie mogło, gdyż już sporo czasu upłynęło od ich wyjścia. Wlókł się niemal bezmyślnie śladami kompanji Hansa. Uszedł już spory kawał, gdy nagle doszedł go straszny łoskot i huk. Przerażony oprzytomniał i ruszył szybciej drogą. Przyspieszając kroku gdzie się tylko dało, dotarł do olbrzymiego zwału śniegu świeżo zesypanego; ślady ludzi ginęły pod stosami śniegu. Zwały i góry śniegowe piętrzyły się jedne nad drugimi. Kawałki potrzaskanych drzew leżały zgmatwane wokół. Była to lawina, która spadłszy w tę noc Bożego Narodzenia zasypała i zdusiła dążących na Ornak do sztolni hawiarzy. Lawina ta spadła, jak wieść niesie, z Ornaku, a sztolnię tę nazwano od tych dziewięciu zasypałych hawiarzy „Dziewiątką“. Tak opowiada legenda. Naturalnie co do zasypiania hawiarzy, to może być prawdą, gdyż po ostatnie lata, niemal co roku, słabsze lub silniejsze, zależnie od opadów śnieżnych, spadają lawiny z Ornaku, niszcząc wszystko wokół. Niedawno temu była tam tak wielka lawina, że zasypała górną część polany Ornak i przeszła na drugą stronę potoku niszcząc całą połąć lasu i przynosząc ze sobą bardzo duże ilości zgmatwanej i połamanej kosówki wraz ze szczątkami zniszczonych zupełnie świerków. Prawdopodobnie jednak nazwa tej sztolni ma uzasadnienie górnicze czy według kierunku kompasu czy dla jakich innych powodów.

Podobną historję zasypiania przez lawinę sztolni słyzałem także w odniesieniu do sztolni które istniały na Kupce w dolinie Kościeliskiej, a dowodem pewnego prawdopodobieństwa byłby krzyż żelazny, który niedawnemi

czasu ztamtąd zniosła podczas roztopów wiosennych woda niespodziewanie w dół. Krzyże takie, przykute do skał lub zawieszane między turniami wpuszczane w kamień, umieszczali hawiarze zwyczajnie tam, gdzie się jakiś nieszczęśliwy wypadek zdarzył. Były to krzyże formą podobne zupełnie do krzyży używanych przy orderach, z tą naturalnie różnicą, że były dużo większe.

Zdarza się, że ludzie, którzy nieznają przeszłości Tatr, natrafiwszy na dawne, częściowo zasypane roboty hawiarские, myślą że odkryli nowe groty; podobnież tak zwane „studnie“ są często niczem innym jak małemi szybami. Albo znowu owe roboty ziemne wiążą się z opowiadaniem o zbójnikach, którzy je jakoby zrobili. Wprawdzie w opuszczonych sztolniach i szymbach mogli się ukrywać zbójnicy, jednak aby mieli czas i ochotę prace takie przedsiębrać, jest zgoła nieprawdopodobnem.

Minęło górnictwo i hutnictwo tatrzańskie, a dziś już, po niewielu latach, trzeba jego ślady mozolnie odszukiwać, postępując zatartemi już dawno szlakami hawiarскими. Całe to rojne niegdyś życie należy do umarłej przeszłości.

M. A. Liberak.

Na Klimkowych „wirstlách“.

Było to wczesną wiosną 1904 r. W Krakowie na plantach puszczała się młoda zieleń, pachniało wokoło już wiosną. Słońce dobrze przygrzewało. Jednego takiego dnia przyniesiono mi telegram z Zakopanego od p. Kaźmierza Brzozowskiego, że spadł młody śnieg i że mamy jechać jak najprędzej z Klimkiem Bachledą na Gąsienicową.

Nazajutrz wczesnym rankiem byłem w Zakopanem.

Rok, o którym piszę, były to jeszcze te czasy, kiedy prawie poza p. Barabaszem, nami i kilku zapalonymi zwolennikami „deszczułek“, nikt tego cudnego sportu nie używał. Patrzano się nawet na nas z ukosa. A każdy z nas jeździł, w swoim przekonaniu, niby-to szkołą alpejską, a naprawdę posiłkował się nogami i długim kijem bambusowym, jak Bóg dał; jeździło się własnym przemyśłem. Chodziło o to, by jechać, wgramolić się po zboczu i potem cało jakoś zjechać. To ostatnie odbywało się w pozycji rzadko stojącej, zwykle przykucniętej i — co siłą, aż się kurzyło, waliło się „szusem“ na dół.

W Tatrach bywała wtedy cisza, której narciarze nie mącili, i panowała tam nie głużona niczem powaga gór ubielonych, ten urok i czar, jaki daje zima ze słońcem i pustka głębokał.

Zaraz po przyjeździe do „Szałasu“ poszliśmy z Gazdą (tak bowiem się

wołało p. Brzozowskiego) do sąsiadującego z jego domem Klimka Bachledy. Stało na tem, że jutro, raniem pójdziemy na Gąsienicową, a może i do Czarnego Stawu, o ile „puści“ a siły nie zawiodą.

Tak się też stało.

Kuźnice były jeszcze w śniegu miękkim, który może trochę hamując ruchy, ułatwiał jednak posuwanie się w górę. Mozolnie i równo pracując weszliśmy na Boczań, aż potem wychynęliśmy się na Skupniowy Uplaz. Tu już słonko dobrze grzało. Serdaki poszły do plecaków. W dalszej drodze pokazało się jednak, że trafiliśmy na śnieg zlodowaciały, z którego był ów młody odwany w dół, ku zboczom Olczyńskiej doliny.



W drodze ku Gąsienicowej hali.

Na to, żeby się po nim posuwać znalazła się rada w Klimka zapobiegliwości. Mieliśmy jego pomysłu hamulce, wyglądające jak klocek czworokańciasty o jednym boku ściętym, i długi jak narta jest szeroka. Zapomocą sznurka przewleczonego przez poprzeczne otworki w kločku, przymocowywało się go pod nartą, a koniec sznurka wiązało do Lilienfeldzkiej więźby. Skantowanie kločka, przy obsuwaniu się narty, zacinało się w śnieg i utrzymywało w miejscu ciężar, jaki narta dźwigała na sobie. Że zaś to miało mieć — w oczach Klimka — podobieństwo jakby do kielbaski, czy serdelka, nazwał swoje hamulce „wirstlami“¹⁾.

W ten sposób, gwarząc wesoło, bo się szło dość lekko, minęliśmy zbocze nad Jaworzynką, drogę pod Kopą Królową, potem Karczmisko. Tu odpieliśmy hamulce, żeby mózdz na lekko falistej równinie hali Królowej przyspieszyć biegu. Ponieważ byłem jeszcze nowicjuszem w tym szlachetnym kunszcie, Klimek podrwiwał ze mnie, ironizując z lekka swoim zwyczajem w formie pytań mówionych w pół do siebie, a w pół do otoczenia: jak to będzie ze zjeżdżaniem w dół doliny, ku hali Gąsienicowej? Odpowiedź nie

¹⁾ Na rycinie „W drodze powrotnej“ widać u Klimka przy torbie i u mego plecaka przytroczone owe „wirstle“, wiszące na sznurkach. Fotografie są roboty p. K. Brzozowskiego.

dała długo na siebie czekać, bo niebawem stanęliśmy u zębów hali Królowej, na zboczach spadzistego żlebu idącego od Kopy Magóry.

U stóp naszych, w pełnym słońcu, lśniły się sfalowania śniegu i jego zwały i nawiania, z pośród których, jak ciemne plamy, wystawały zaledwie dachy szałasów Gąsienicowej hali. Horyzont zamykały pyszne, śniegiem ubielone ściany skalnej, tak nam dobrze znanej, zawsze ładnej panoramy od Kosisiej do Kasprowego Wierchu.

A teraz, — jazda w dół!...

O zjeździe w zakosy nikt z nas nie wiedział. Sam zaś zjazd, według nauk Klimka, który nas jeżdżenia uczył, polegał na tem, że się kij ujmowało w połowie jego długości prawą ręką, lewą zaś, podsunętą pod lewe kolano, brało kij u jego dolnego, okutego końca. W ten sposób zbliżając prawą ręką kij ku sobie, prostowało się go w stosunku do zbocza, „orało“ silniej w śniegu i hamowało temsamem pęd, jakiego się nabierało tocząc się jak kula ze spadkiem.

A była to jazda szalona, oszałamiająca.

Skuleni, zgięci, gnaliśmy jak jakieś ciemne żuki, pędzone w dół, po śniegu, który furkotał dookoła nas, sypiąc białym puchem i skrami w pełnym słońcu, które zalewało dolinę i góry. Że jednak spadek był silny, że pozycja nasza nie dawała nam możności jakiegokolwiek zwrotu, że teren nie był gładki, ale znajdująca się spodem kosówka stwarzała różne bule i bulki, zatem upadki i wkopywania się ze łbem w śnieg były na porządku dziennym. Aleśmy ostatecznie dojechali cało i weseli na dół, tam jeszcze próbowali przejeżdżać poprzez dachy zawianych szałasów na drugą ich stronę, a potem przecięli dolinę i znów rozpoczęli mozolne wspinanie się, już ku Czarnemu Stawowi.

Braliśmy się — dobrze zgłodnieli — zboczem Małego Kościelca, jak obecnie idzie nowa droga do Czarnego Stawu. Znowu się przypięło „wirstle“, aż w końcu, dobrze umęczeni, około pierwszej z południa byliśmy przy nieistniejącem dzisiaj już schronisku nad stawem. Latem rezydowała tam piękna swego czasu Rojowa. Można się tam było posilić, od biedy przenocować na ławce i wynająć przejazd tratwą po Czarnym Stawie, co dawało dopiero wówczas pojęcie o jego wielkości. Dzisiaj mało kto o tem pamięta, że to tam tak było...

Ponieważ maszynek spirytusowych w Tatrach się wtedy mało jeszcze używało, więc Klimek rozpalił jakiś nikły ogienek i w kotliku uwarzył herbaty, do której była w zapasach słonina z chlebem.

Pod ten czas, gdy Klimek jął się roli kucharza, po odpoczynku chwilowym, zaczęliśmy chodzić przy schronisku i rozglądać się dokoła. Byliśmy

we dwu po raz pierwszy zimą przy Czarnym. A było na co się patrzeć. Śniegu nawaliło co niemiara; dość powiedzieć, że tablica umieszczona na wysokiej żerdzi z napisem „Droga na Zawrat i na Kozi Wierch“ wystawała że śniegu ledwie, czyli że go było chyba dobre dwa metry w tem miejscu. Pozatem cisza — głęboka cisza — śnieg zaścilał wszystko, a staw przedstawiał się jako jedna płaska tafla, o lekko wzniesionych brzegach.

Z tego kotła, na którego skraju siedzieliśmy, zaczęło po dłuższej chwili słońce nam uciekać. Jeszcze świeciło na pół stawu, jeszcześmy razem ze schroniskiem byli w jego promieniach, ale czuć już było chłód idący od ścian północnych i od zachodu: mróz zaczynał brać górę nad chwilowem ciepłem.



Na Gąsienicowej hali.

Zjadamy więc co Bóg dał a Klimek przyrzadził, i zabieramy się w drogę powrotną. Licho jednak podkuśiło mnie, mimo ostrzeżeń towarzyszy, poskoczyć na zboczce leju idącego ku stawowi od Karbika. Nie wysoko się wspiałem, niemniej jednak, gdy nieopatrznie stanąłem nosami nart ku dołowi, w sekundę potem niosły mnie one w dół, a za kilka dalszych sekund tkwiłem najprzypadniej, z twarzą pociętą dotkliwie o nawierzchną skorupkę śniegową, prosto głową w śniegu na stawie... Wróciłem jak niepyszny do schroniska, gdzie zastałem p. Kazimierza bez nart, bo Klimek maścił jego i swoje deszczułki kawałkiem skóry od słoniny. To samo zrobił i z mojami.

Za dobrą chwilę potem byliśmy w drodze powrotnej.

Mróz brał zwolna coraz to silniej. Zaciągało chłodem — ale zato niosło tak, że i tchu było trudno złapać. Szczęściem pierwszy spadek zjechaliśmy bokiem ku ścianom Małego Kościelca. Sypnęliśmy się kilka razy, potem jazda dalej. Jechałem trzeci, mało co widząc, a bacząc by się mniejwięcej trzymać śladu mych towarzyszy.

Niesie!...

Aż tu nagle zrobiło mi się ciemno. Bęc, bęc, i walę się, ale nie w śnieg, tylko w Klimka i w p. Brzozowskiego. Co się stało?

Oto przez ten czas gdyśmy gospodarzyli nad stawem, spadła mała

lawinka ze zbocza Małego Kościelca, bodajże w temsamem miejscu, gdzie potem w kilka lat zginął śp. Karłowicz. Na te zwały śniegu, których przedpołudniem nie było, wpadł pierwszy Klimek, na niego wparł się p. Brzozowski, a ja wbiłem się na obu! Trochęśmy się potłukli, ale mimo wszystko niceśmy sobie na prawdę nie zdawali sprawy z niebezpieczeństwa, jakie nam w tych miejscach grozić mogło. Wiedziało się, że są lawiny na świecie, ale

żeby akurat tutaj..., a ta, co była powodem naszego upadku, to było tak coś stosunkowo niewielkiego... no i spadła, gdy nas nie było. Zatem jazda dalej.

Minęliśmy szczęśliwie Halę Gąsienicową, wdarliśmy się już umęczeni na Królową, i tam dosięgły nas znowu promienie skłaniającego się do snu słońca. Zalewało nas purpurą, w której tonęła ostra igła Giewontu i na horyzoncie znacząca się potężną plamą ciemnego granatu Babia Góra. Doliny zalegał zwolna mrok, który poczynił szybko gęstnieć.



W drodze powrotnej na hali Królowej.

Klimek był w doskonałym humorze. Pan Kazimierz robi ostatnie dzisiaj zdjęcia fotograficzne. Idąc wolno zastanawiamy się, jaką drogą wracać, żeby było prędzej, bo ćma była już za pasem. Klimek radzi się spieszyć, żeby dojechać poza Karczmisko, to tam już się to „uradzi“.

Każdy z nas zna dobrze ten zakręt, co od Karczmiska słabym zakosem obejmuje Kopę Królową, by potem pod ostrym kątem skrócić w lewo i przejść w linię prostą Skupniowego Uplazu. Otóż w dwu trzecich drogi od Karczmiska, tam gdzie spada główny lej węzowy ku Jaworzynce i gdzie w dole, po lewej ręce, sterczy dość potężna turniczaka, tam się Klimek zatrzymał i my za nim.

Trzeba będzie tędy zjechać dołu — mówił, to będzie droga najkrótsza. Jest przysłowie, że nad pijanymi i nad dziećmi Pan Bóg czuwa. Można by dodać, że czuwał też i nad takimi narciarzami, jakimi byliśmy my, cośmy torowali drogę w Zakopanem do tej cudnej jazdy.

Ten nasz zjazd, to była epepeja.

Tego chyba nikt po nas nie dokona, bo drugich takich warjatów więcej

się nie znajdzie! Ale dla nas Klimek i jego słowo było rozkazem. Bez apacji robiło się to, co on zarządził. Uważaliśmy to za naturalne.

Widzę jeszcze do dzisiaj siebie, stojącego tam, na górze. Widzę, jak Klimek się skórczył, skulił, przysiadł cały do śniegu i ruszył z miejsca. Po chwilce był malutki, kulką ciemną się znaczył w dole i stanął. Za nim pomknął p. Brzozowski, w końcu ja. I nic się złego żadnemu z nas nie stało. A kto jeździ na nartach, kto szusuje, kto zna czem jest szref i spadek, i to taki szalony jaki tam jest, co to jest, gdy narta „niesie“, a człowiek nad nią nie panuje prawie, ten jest zdolny sobie zdać sprawę z tego, jak nas w jednej chwili „brało dołu“, ile trzeba było zużyć siły nóg, rąk, kija i zdania się na łaskę losu, by to zrobić!..

Ile sekund, czy jak ten czas zmierzyć i nazwać, upłynęło od chwili ruszenia do chwili gdy stanąłem przy moich towarzyszach, nie wiedziałem i nie wiem do dzisiaj. Do świadomości mojej, która była w chwili jazdy pozamną, dotarł jakby zgrzyt, ostry śmiech ich obu, którego źródłem byłem ja. W czasie mego zjazdu, przytroczone na dość długich sznurkach u mego plecaka „wirstle“ bimbały się za mną, wirowały ponoć w powietrzu, co sylwetkę zamykało dość oryginalnie, jakby jakimś jaskółczym ogonem. Każdy też z nas wzięty z osobna, miał zapewne wygląd dość pocieszny przy takim szalonym pędzie w szusie, po tem lawiniastem i prawie prostopadłem zboczu.

I oto jesteśmy, za przykładem Klimka na dole!

Po lekkim spadku doliny Jaworzynki jechało się już spokojnie, wolno. Ćma rosła, droga, a raczej kierunek zjazdu, znaczyła się jednak wyraźnie. Jak wilcze ślepie lśniły w zapadającym zmroku światełka naszych papierosów. Dojechaliśmy mocno zdrożeni do Kuźnic, a potem szosą do Zakopanego, gdzie czekała nas w ciepłym pokoju, w gościnnym Szalacie kolacja, pogawędka miła o przeżyciach dnia dzisiejszego, potem muzyka w zacisznym salonie państwa domu i na koniec zasłużony nocleg.

Mieliśmy za sobą dzień piękny, niezapomniany, którego nikłe wspomnienia pro memoria czytelnikom „Wierchów“ dzisiaj po latach rzucam na papier.

Jan Rostafiński.

Wiatry w Tatrach.

O stosunkach anemometrycznych, jak zresztą wogóle o czynnikach klimatycznych w Tatrach, wiemy naogół bardzo niewiele. Jakie wiatry tu przeważają, jakie wytwarzają się lokalne prądy, jakim jedne i drugie ulegają zmianom pod wpływem tak bogato ukształtowanego terenu — oto pytania, które budzą zaciekawienie nie tylko klimatologa, ale w równej mierze i geografa roślin i leśnika. Meteorologia nie da nam prawdopodobnie nigdy dostatecznych w tej mierze wyjaśnień, gdyż trzeba by w takim razie po całym badanym obszarze rozrzucić setki, a nawet tysiące anemografów, któreby zapisywały w różnych wzniesieniach, ekspozycjach, na grzędach i żlebach, siłę, a przede wszystkim kierunki tych prądów i wirów lokalnych, których stałość wpływa kształcąc na zasięgi roślin.

Na szczęście sama natura przychodzi nam w tem z pomocą, ustawiając szczególnie w górnej granicy lasów, na całej jej przestrzeni niezliczone ilości takich właśnie anemografów, które nie zapisują nam wprawdzie siły, ale wskazują zato z niezmierną dokładnością kierunek przewiewających w danej okolicy wiatrów, prądów lokalnych i wirów. Mam na myśli tak zw. chorągiewki świerkowe, t. j. okazy świerków z jednostronnie wykształconą koroną (Ryc. 1). Nie wdając się w szersze omawianie tej dla pokroju świerka

górskiego nader charakterystycznej cechy, wspomnę tylko, że forma chorągiewkowa, albo, jak ją inaczej zwieemy, „sztandarowa“, powstaje na skutek dwójakiego oddziaływania wiatrów na drzewa: mechanicznego i fizjologicznego. — Do pierwszej kategorii wpływów należy zaliczyć 1) nacisk, ciągnięcie i odwracanie gałązek w cień wiatru, 2) uszkodzenia gałą-



Ryc. 1. Chorągiewki świerkowe, rozwinięte wskutek jednostronnych wiatrów na wschodnich zboczach Kopy Królowej.

Fot. S. Sokołowski.

zek od strony dowietrznej przez łamanie, uderzanie kamykami, lodem i śniegiem. Jeśli przytem weźmiemy pod uwagę fakt, że maximum substancji drzewnej (ligniny) u świerka występuje w nim na obszarze optimum jego rozmieszczenia, a ku górnej jego granicy zawartość ligniny maleje — to jasną nam się stanie owa dziwna plastyczność świerka u górnej granicy jego występowania, uwidaczniająca się w formach sztandarowych, stołowych, kobiercowych i t. p.

Drugą kategorią czynników wpływających na interesującą nas szczególnie formę sztandarową świerka, są czynniki fizjologiczne, a mianowicie wzmożone parowanie gałęzi jak i liści i, co zatem idzie, słabe wykształcenie gałęzi po stronie dowietrznej; — to szczególnie w porze zimowej, gdy dopływ wody z gleby jest utrudniony albo nawet wprost niemożliwy, powoduje usychanie wystawionej na wiatry części korony. Zniekształcona tak przez wiatry korona przybiera różną postać, jak to wskazują poniższe schematy (Ryc. 2).

Skoro chorągiewki takie wskazują nam przebieg prądów powietrznych w danem miejscu, na którym świerk taki rośnie, to wkreśliwszy na warstwicową mapę symbole chorągiewek, możemy na ich podstawie stworzyć sobie obraz stosunków anemometrycznych pewnej doliny lub góry.

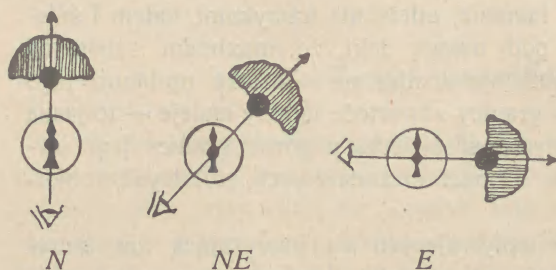


Ryc. 2. Schematy wykształcenia chorągiewek świerkowych.

Załączona mapa anemometryczna sporządzona jest właśnie tą metodą. Oczywiście dokładność takiej mapy zależy od ilości poczynionych nad kierunkiem „chorągiewek“ spostrzeżeń na całym obszarze górnej granicy lasów. Sposób czynienia spostrzeżeń, ich notowania i wkreślenia do mapy anemometrycznej był następujący: kierunek chorągiewki ustalałem w ten sposób, że z kompasem w ręce stawałem twarzą do strony dowietrznej i badałem kierunek płaszczyzny połówiącej koronę „chorągiewki“, w stosunku do 16 stron świata. (Ryc. 3):

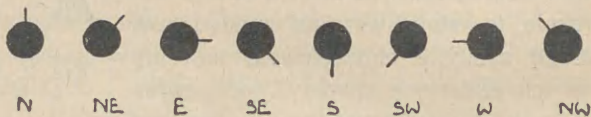
- N — północ
- NNE — północno-północny-wschód
- NE — północny-wschód
- NEE — północno-wschodni-wschód
- E — wschód
- SEE — południowo-wschodni-wschód
- SE — południowy-wschód, itd. (S. — południe, W — zachód).

Przy notowaniu obserwacji zapisywałem miejsce poczynionego spostrzeżenia, jego wzniesienie przybliżone (wedle aneroidu), ekspozycję, kierunek



Ryc. 3. Sposób mierzenia kierunku chorągiewek.

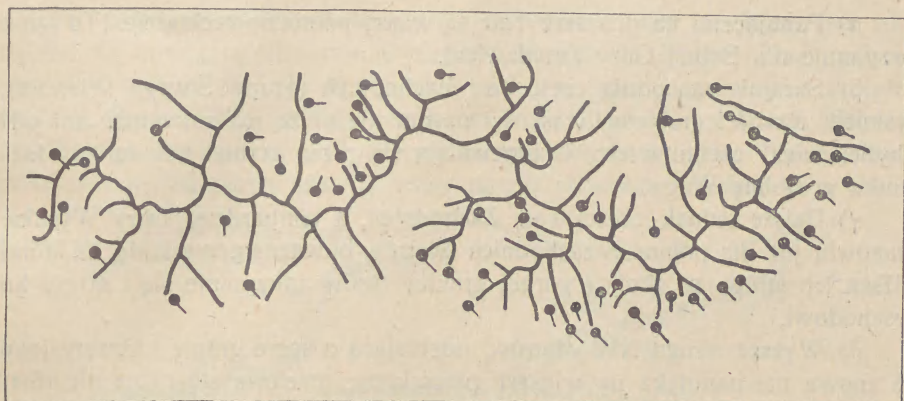
linje przedstawiające różne kierunki wiatrów. Ponieważ spostrzeżenia nad kierunkiem chorągiewek świerkowych czyniłem przeciętnie w pasie od 1200 do 1700 m, przeto załączona mapka przedstawia stosunki anemometryczne w zasadzie w tym tylko pasie panujące. Wnioski z tej mapy i z obserwacji w terenie (Ryc. 6) nasuwają się następujące: 1) Przedewszystkiem z pierwszego na nią rzutu oka widać, że ze wszystkich kotłów w górnych częściach dolin położonych, spływają regularne i wielkie rzeki powietrzne. Regularność ta wyraża się w stałym kierunku, co jest jasne



Ryc. 4. Znaki konwencjonalne dla różnych kierunków chorągiewek.

wobec istnienia stałych koryt w postaci dolin. 2) Prócz owych wielkich rzek, spadają wszystkimi, nawet najmniejszymi dolinkami, a nawet żlebami, jarami i t. d. lokalne prądy, niby małe potoki, które łączą się w dolinie z poprzednimi prądami dużemi. 3) O głębokości tych prądów możemy wnioskować na podstawie pionowego zasięgu chorągiewek w dół doliny, wyznaczonego w pewnym poprzecznym profilu doliny. 4) Szybkość tych prądów nie jest zapewne wszędzie jednakowa. Wpływać na nią muszą: wielkość górnego kotła doliny, w którym zimne powietrze się zbiera, jego wzniesienie, stromość doliny i jej wąskość. Im kocioł zbiornikowy większy i wyżej położony, im stromsza a węższa dolina, tem szybszy będzie ów lokalny prąd. Przypuszczam, że w takiej dolinie Stawków Gąsienicowych prądy lokalne muszą z tych właśnie powodów płynąć znacznie wolniej niż w dolinie Czarnego Stawu. 5) Jeśli przyjrzymy się mapie rozmieszczenia chorągiewek świerkowych na obszarze całych Tatr, stwierdzimy: a) że w skrajnie zachodniej połaci Tatr zachodnich, w grupie Siwego Wierchu,

chorągiewki i uwagi. Tak zebrane materiały wkreślałem na mapę, przyczem posługiwałem się następującymi znakami dla „chorągiewek“: rycina 4 i 5. Następnie na podstawie spostrzeżeń na miejscu poczynionych, oraz na podstawie obrazu ukształtowania terenu i kierunków chorągiewek, wykreślałem



Ryc. 5. Mapka chorągiewek świerkowych na obszarze Tatr.

chorągiewki te zarówno po północnej jak i po południowej stronie grzbietu zwrócone są ku SE, *b*) że w dalszej części Tatr zachodnich, i w Tatrach wysokich po północnej stronie chorągiewki na N-zbozczach zwrócone są ku E, *c*) że w tychże samych częściach Tatr po południowej stronie na południowych zboczach chorągiewki wskazują kierunek SE, *d*) że zarówno w dolinach Koperszadów Zadnich i Przednich, jak i na obszarze Tatr Bielskich, chorągiewki zwrócone są naogół na SE.

Z tego wyciągnąć można, jak sądzę, wnioski następujące:



Ryc. 6. Mapka wiatrów głównych i lokalnych, wiejących na obszarze Tatr.

α) Panującymi na obszarze Tatr są wiatry północno-zachodnie. (To samo przyjmuje dla Babiej Góry Zapałowicz).

β) Skrajnie zachodnia część Tatr Zachodnich (grupa Siwego Wierchu), wskutek niskości grzbietu i wąskości pasma nie może ich zatrzymać ani odchylić, dzięki czemu wiatry te przewalają się przez grzbiet bez zmiany kierunku w dolinę Wągu.

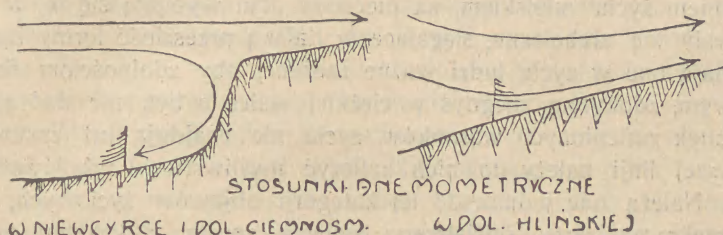
γ) Dalsze jednak części Tatr Zachodnich, a tembardziej Tatry Wysokie stanowią już dla północno-zachodnich wiatrów poważną przeszkodę, na której niższa ich struga w okolicy górnej granicy lasów zatrzymuje się i skręca ku wschodowi.

δ) Wyższa struga NW-wiatrów, uderzająca o same granie i szczyty, jako że znowu nie napotyka na większe przeszkody, przelewa się przez nie również bez żadnych odchyień (lub z bardzo nieznacznymi ku wschodowi) i spływa po południowych zboczach Tatr Zachodnich i Wysokich ku SE.

ε) Tatry Bielskie nie stanowią wreszcie również żadnej przeszkody dla północno-zachodnich wiatrów, ale nie tyle niskością i wąskością swego grzbietu, ile przebiegiem jego, zgodnym z kierunkiem panujących wiatrów, które też nie zatrzymują się na Tatrach Bielskich, tylko opływają je niby wąski ostrów.

6) Stosunki wzajemne tych dwu rodzajów prądów powietrznych (lokalnych i północno-zachodnich) są niewątpliwie bardziej złożone, niż to przedstawiłem na mapie anemometrycznej, ale narazie z posiadanego materiału obserwacyjnego nie mogłem wyciągnąć dalej idących wniosków. Przypuścić należy, że w wypadku gdy kierunek prądu lokalnego zgadza się z kierunkiem wiatru panującego, to ten ostatni może wzmacniać prąd lokalny (np. w dolinie Suchej Wody, w Koperszadach Przednich, w dolinie Staroleśnej, Miękuszwieckiej). W wypadku gdy oba prądy się krzyżują w przestrzeni, nie wywierają na siebie żadnego wpływu (np. prąd lokalny z Pysznej w stosunku do zachodniego wiatru z za Ornaku). — W wypadku wreszcie, gdy oba prądy płyną w kierunkach sobie przeciwnych, to wiatr północno-zachodni znosi poniekąd, a w każdym razie utrudnia często powstanie prądów lokalnych (np. na Tomanowej Hali, w dolinie Hlińskiej, Koperszadów Zachodnich). W tym ostatnim wypadku jednak ogromną rolę odgrywa głębokość doliny. Jeżeli dolina jest bardzo głęboka i wąska, to zachodnie wiatry mimo obniżenia swego nie spadną tak nisko, by uderzyć o dno doliny i wtedy pod temi górą przebiegającymi zachodnimi prądami mogą powstać normalne, w przeciwną stronę płynące prądy miejscowe (np. w Krakowie NW prądy, zmieniane nieco kierunkiem doliny ku SEE, płyną górą, podczas gdy na dnie widać chorągiewki w dół wąwozu skierowane). Zwykle jednak obniżanie się

wiatrów półn.-zachodnich (ewentualnie zachodnich) poza grzbietem jest tak znaczne, że dosięgają dna doliny naprzeciw grzbietu leżącej. Doskonałym tego dowodem są stosunki panujące na Wielkiej Kopie Koprowej i w dolinie Hlińskiej. Pasma Wielkiej Kopy ciągną się od NE ku SW, a dolina Hlińska przebiega prostopadłe ku powyższemu kierunkowi, bo ku NW. Chorągiewki świerkowe ponad górną granicą lasów na SE zboczach Wielkiej Kopy skierowane są ku S — widocznie dolne partie NW strugi są odginane przez płynący spodem ku SW prąd lokalny doliny Koprowej). Na dnie zaś doliny Hlińskiej chorągiewki skierowane są w górę doliny (Ryc. 7). Widocznie więc NW wiatry przewalają się przez grzbiet Wielkiej Kopy, przelatują ponad doliną Koprową, uderzają o dno doliny Hlińskiej i biegną nieco do góry. Ponieważ Wielka Kopa Koprowa wznosi się na 2053 m, a górna granica lasów w dolinie Hlińskiej przebiega na wysokości 1513 m, przeto obniżenie NW-wiatrów wynosi co najmniej różnicę tych wzniesień, t. j. 540 m. Podobne spostrzeżenia można robić w szeregu innych dolin. Bliższe badania i rozważania na temat wzajemnych stosunków obu tych rodzajów wiatrów (t. j. półn.-zachodnich i lokalnych), dalej badania nad zmianami w ich przebiegu pod wpływem ukształtowania terenu, jak tworzenie się różnego rodzaju wirów (patrz ryc. 7, dolina Ciemnosmreczyńska), odbijanie się ich od ścian, rozdzielanie się na odnogi i t. p., mogłyby stanowić temat do znacznie obszerniejszego studjum anemometrycznego. Do tego trzebaby jednak zebrać znacznie obfitszy materiał obserwacyjny. Przed młodymi turystami-przyrodnikami otwiera się na tem polu możliwość czynienia nienużących, łatwych a ciekawe nader wyniki obiecujących spostrzeżeń, do czego autor niniejszego szkicu gorąco zachęca.



Ryc. 7. Stosunki anemometryczne w dolinie Ciemnosmreczyńskiej i Hlińskiej.

rowane są też ku SE; (niżej, u górnej granicy lasów stojące chorągiewki, skierowane są ku S — widocznie dolne partie NW strugi są odginane przez płynący spodem ku SW prąd lokalny doliny Koprowej). Na dnie zaś doliny Hlińskiej chorągiewki skierowane są w górę doliny (Ryc. 7). Widocznie więc NW wiatry przewalają się przez grzbiet Wielkiej Kopy, przelatują ponad doliną Koprową, uderzają o dno doliny Hlińskiej i biegną nieco do góry. Ponieważ Wielka Kopa Koprowa wznosi się na 2053 m, a górna granica lasów w dolinie Hlińskiej przebiega na wysokości 1513 m, przeto obniżenie NW-wiatrów wynosi co najmniej różnicę tych wzniesień, t. j. 540 m. Podobne spostrzeżenia można robić w szeregu innych dolin. Bliższe badania i rozważania na temat wzajemnych stosunków obu tych rodzajów wiatrów (t. j. półn.-zachodnich i lokalnych), dalej badania nad zmianami w ich przebiegu pod wpływem ukształtowania terenu, jak tworzenie się różnego rodzaju wirów (patrz ryc. 7, dolina Ciemnosmreczyńska), odbijanie się ich od ścian, rozdzielanie się na odnogi i t. p., mogłyby stanowić temat do znacznie obszerniejszego studjum anemometrycznego. Do tego trzebaby jednak zebrać znacznie obfitszy materiał obserwacyjny. Przed młodymi turystami-przyrodnikami otwiera się na tem polu możliwość czynienia nienużących, łatwych a ciekawe nader wyniki obiecujących spostrzeżeń, do czego autor niniejszego szkicu gorąco zachęca.

Marjan Sokołowski.

Rybołówstwo sportowe.

O łowieniu pstrąga, łososią i lipienia na sztuczną muchę.

Wśród wszelkiego rodzaju sportów, wywołanych, jak wiadomo, fizjologiczną potrzebą wyzwania i rozwijania sił fizycznych, zniedołężniałych w spokojnem życiu miejskiem, na pierwszy plan wybijają się te, w których przechowały się archaiczne, sięgające w daleką przeszłość formy bytu człowieka. Mają one w życiu ludzi ważne zadanie, aby zdolnościom fizycznym i duchowym, zdobytym niegdyś w ciężkiej walce o byt, nie dać zmarnieć, gdy wskutek zmienionych warunków życia nie znajdują już zastosowania. W pierwszej linii należy do nich zaliczyć myśliwstwo i rybołówstwo oraz alpinizm. Należą one jednak do tej kategorii objawów życiowych, których istota przekracza ramy ściślejszego pojęcia sportu, z którym, zwłaszcza w ostatnich latach, zwykliśmy łączyć czynnik współzawodnictwa. Wykonywane wśród wspaniałej i potężnej natury, stają się one przede wszystkim niewyczerpanem źródłem tej radości, jaka jest owocem harmonji człowieka z przyrodą.

Bardzo stare myśliwstwo i młodsze od niego taternictwo rozwinęły się w Polsce w sposób świetny i wszechstronny, stając jeszcze przy końcu ubiegłego stulecia na równi z Zachodem. Bogata literatura łowiecka i taternicka, liczne i rozsiane po całym obszarze Rzeczypospolitej towarzystwa myśliwskie, zwiększające się z roku na rok rzesze taterników, świadczą najwymowniej o wysokim poziomie i o wzmagającej się popularności łowiectwa i taternictwa w Polsce. Natomiast dziedzina sportu wędkowego leżała u nas jeszcze do końca ubiegłego stulecia, rzec można, odłogiem. Nie należy wprawdzie zapominać, że pojawiały się od czasu do czasu jednostki, które ją uprawiały, jak np. Artur hr. Potocki, prof. Józef Rozwadowski, Antoni hr. Wodzicki, hr. Starzeński i inni. Niewątpliwie stali oni, tak pod względem umiejętności technicznej jak i poglądów na istotę sportu, na poziomie europejskiego rybołówstwa sportowego, uprawianego wówczas już oddawna, zwłaszcza w Anglii, jako sztuka dla sztuki. Były to jednak jednostki odosobnione, dla szerszego ogółu dziedzina ta była zupełnie nieznaną. Dopiero z powstaniem w Krakowie Towarzystwa Miłośników Sportu Wędkowego, założonego przed 25 laty przez prof. Juljana Nowaka, Adama hr. Potockiego i Kazimierza Zielińskiego, coraz więcej ludzi zaczęło u nas zapoznawać się z pojęciem i istotą rybołówstwa sportowego, organizować je i wzmacniać oraz przyswajając sobie nowoczesne środki techniczne. Obecnie, wobec zwiększenia się liczby zwolenników kunsztu wędkarskiego i powstania szeregu

nowych klubów, (na samym terenie Podhala działają już trzy towarzystwa, t. j. krakowskie, nowotarskie i czarnodunajeckie), coraz więcej daje się odczuwać w Polsce brak dzieła w dziedzinie rybołówstwa sportowego. Wszystkie kraje zachodnio-europejskie, jak np. Anglja, Francja, Niemcy, Szwajcarja, posiadają wiele doskonałych dzieł w tym zakresie. Sama Anglja, gdzie sport wędkowy doszedł do niebywałego rozkwitu i znaczenia, gdzie m. in. przeszło 200.000 robotników uprawia ten sport z zamiłowaniem, poszczycić się może całym szeregiem znakomitych dzieł, napisanych przez lorda Grey'a, Ward'a, Shaw'a, John Enright'a i w. in. Literatura polska w zakresie rybołówstwa sportowego jest ubogą, gdyż ogranicza się jedynie do wydanej na kilka lat przed wojną książki prof. Józefa Rozwadowskiego, obecnie już wyczerpanej.

Nie zamierzam zgoła pisać traktatu ichtjologicznego, ani też podręcznika sportu wędkowego. Podając rzeczy znane wszystkim, którzy się zajmowali łowieniem pstrąga i łososia na sztuczną muchę, pragnę mówić w niniejszym artykule o pięknym i szlachetnym sporcie wędkowym do tych, którzy go dotychczas nie znają, w ten sposób, jak się opowiada o rzeczy, którą się zna dobrze i której się zawdzięcza wiele chwil ukojenia i radości. Rzeczy, które nie sprawiają nam radości, stają się nam, jak mówi Rabindranat Tagore, albo ciężarem, którego za wszelką cenę pragniemy się pozbyć, albo też są nam pożyteczne, a przeto znajdują się w pewnym czasowym i częściowym z nami związku, który staje się uciążliwym, gdy ich użyteczność się kończy. Rzecz jest zupełną własnością tylko wówczas, kiedy znajdujemy w niej radość. Można zaś śmiało twierdzić, że rybołówstwo sportowe pod względem radości, jaką nam daje, nie ustępuje wiele alpinizmowi, natomiast dorównywuje myśliwstwu, a nawet niejednokrotnie je przewyższa. My wszyscy, którzy idziemy nad szalejące w omszałych wądołach strumienie górskie, by łowić w nich pstrąga o krasnej cętcie, lub też brniemy wśród spienionych, jakby ciężko spracowanych, strug Dunajca, by pokonać i wydobyć na brzeg wspaniałego i jak błyskawica zwinnego łososia, mamy przedewszystkiem jeden cel: cieszyć się przyrodą i jej pięknnością, choćby grały przy tem rolę słabiej albo silniej, zależnie od charakteru i usposobienia, różne inne motywy.

Niezwykły urok, tkwiący w sporcie wędkowym, wywołany zostaje zasadniczo przez dwa czynniki. Pierwszy z nich, to ścisły i intymny kontakt z przyrodą, w który musi wejść każdy, kto chce osiąść umiejętność sportowego łowienia pstrąga i łososia. A więc, poza intelektualną kontemplacją otaczającego go piękna, musi on poznać życie i zwyczaje ryb, które łowić pragnie, musi skrzętnie badać świat owadów, których imitację w postaci t. zw. sztucznych much, podaje rybom jako przynętę, musi wreszcie baczenie śledzić warunki atmosferyczne, wpływające znacznie na charakter i rezultat

połowu. Drugi, czynnik nazwałbym artystycznym, gdyż polega on na umiejętności posługiwania się przyrządami sportowymi, które pod względem precyzyjności i delikatności nie mogą się porównać z przyrządami w innych gałęziach sportu. Chęć opanowania artystycznego przyrodą — oto definicja drugiego czynnika, składającego się na urok sportu wędkowego.

Nie sposób jednak snuć dalej ogólnych tylko rozważań. Uwagi te, rzucane w przelocie, szkicowo, bez dowodów objaśniających, nie mogą dać należytego pojęcia o treści i formie, o przyjemnościach i uroku rybołówstwa sportowego. Pełniejszy obraz ukaże się we właściwym świetle wtedy, gdy w opisach swych poprowadzę czytelnika nad górską rzekę i na charakterystycznych, może nieco barwniejszych przykładach, spróbuję zapoznać go z istotą sportu wędkowego, podając trochę informacji o rybach łososiowatych i przyrządach sportowych, którymi się je łowi, oraz wplatając refleksje natury ogólniejszej o gospodarce rybnej w Polsce.

* * *

Dla połowu najszlachetniejszych ryb, z rodziny łososiowatych, a więc pstrąga (*Trutta Fario*), lipienia (*Salmo Thymallus*), łososia (*Salmo Salar*) oraz głowacicy (*Salmo Hucho*), powstał i rozwinął się sport wędkowy. Górny bieg rzek, z wodą czystą, zimną i rwącą — oto kraina pstrąga i lipienia, jako ryb głównych, oraz łososia i głowacicy, jako ryb wędrownych. Kraina ta obejmuje w Polsce rozległe obszary. Niektóre rzeki województw Pomorskiego, Wileńskiego i Kieleckiego, oraz wszystkie niemal rzeki w województwach Śląskiem, Krakowskiem i Stanisławowskiem, posiadają znakomite warunki dla życia i hodowli tych ryb. Przy racjonalnie prowadzonej gospodarce, opartej na rozumnym ustawodawstwie rybackim, wody te stałyby się nie tylko najcenniejszymi terenami sportowymi w Europie, lecz mogłyby zaspokoić potrzeby rynku wewnętrznego, a nawet i rynki zagraniczne. W jak wielkie bogactwo szlachetnych ryb obfitowały niegdyś te rzeki, dowiadujemy się z dawnych kronik. Jeszcze z początku XVIII stulecia taka np. Brda, lewy dopływ Wisły, słynęła jako łososiowa rzeka. Pojawiały się w niej łososie w tak wielkiej ilości, że ludność, godząc się na służbę do dworów, wymawiała sobie, aby nie częściej, jak trzy razy w tygodniu podawano jej tę rybę do jedzenia. Jeszcze niedawno, gdyż w latach przedwojennych, pstrągi z Małopolski wschodniej znajdowały zbyt na rynku wiedeńskim, bądź-cobądź otoczonym gospodarstwami pstrągowymi. Na pomyślne warunki rozwoju gospodarstwa pstrągowego w Polsce, poczyna już zwracać uwagę zagranica, i to nie kto inny jak Danja, gdzie hodowla pstrągów jest doprowadzona do bardzo wysokiego poziomu i gdzie posiada duże ekonomiczne znaczenie.

Dość wspomnieć, że znany ichtjolog duński Otterström, w jednym z numerów czasopisma fachowo-rybackiego „Fiskeriverwandsbladet” wskazuje pstrągarzom duńskim Polskę jako kraj dla ich ekspansji.

Niestety, cennemu gatunkowi tych ryb grozi w naszych rzekach zagłada, zwłaszcza na obszarze dawnego Królestwa Polskiego, gdzie do dzisiejszego dnia nie obowiązuje żadna ustawa rybacka. Jedynie jeszcze w Małopolsce, dzięki opiece Krajowego Towarzystwa Rybackiego oraz pożytecznej działalności niektórych klubów sportowych z najbardziej zasłużonym w tej mierze Krakowskim Towarzystwem Miłośników Sportu Wędkowego na czele, zachowały się w szeregu rzek, jak np. w Sole, Skawie i Dunajcu na zachodzie, oraz w Oporze, Łomnicy, Prucie i Czeremoszu na wschodzie, dobre tereny dla rybołówstwa sportowego. Gdy staniemy w ciepły wieczór letni nad jedną z tych rzek, a w szczególności nad przezrystą wodą Dunajca, widzimy, jak na jasnej toni, nad którą roi się w tanecznych kołach maleńkie życie muszek, pluskają liczne pstrągi, rozcinając złocistymi kółkami niebieski atlas wody. Corocznie z wiosną przybywa jeszcze z dalekiego Bałtyku do tatrzańskich rzek wspaniały łoś, cel marzeń każdego miłośnika sportu wędkowego. Ciekawa to ryba, otoczona nimbem niewyświetlonych naleźycie tajemnic swego życia. Warto jej poświęcić drobny chociażby ustęp w niniejszym artykule.

Gdy przejdziemy się późną jesienią wzdłuż brzegów Dunajca, spowitych jedwabistą mgłą pajęczyn babiego lata i wpatrzmy się w wesołą, przezroczystą wodę, która gdzieś spieszy, dokądś nieustannie pędzi z tajemniczym szumem, dostrzeżemy po pewnej chwili kamienne kopce, wznoszące się tu i ówdzie na dnie rzeki, w miejscach o silnym a niegłębokim prądzie. Są to tak zwane tarliska łośsi. Przedziwny instynkt, nieugięta przezorność i troska o przyszłość gatunku, zbudowały te kamienne kopczyki. Nadchodzi oto czas tarła; samica ruchem ciała porusza spoczywające na dnie rzeki drobne kamienie, które silny prąd wody unosi nieco dalej. W ten sposób powstaje dołek, który ryba ruchem płetw i ogona starannie oczyszcza z mułu i glonów. Po ukończeniu żmudnej i misternej pracy przystępuje samica do składania w tem zagłębieniu ikry. W czasie tego samiec trzyma się zwykle o kilka metrów wyżej i wypuszcza z siebie mleczo, które, porwane prądem, otacza samicę, jakby obłokiem, zapładniając składane przez nią dołka ziarna. Następnie ryby przykrywają zagłębienie kamyczkami, budując kopic, wznoszący się na wysokość około 30 cm nad powierzchnię złożonej w dołku ikry. Zostaje ona w ten sposób zabezpieczoną przed zniszczeniem jej przez żarłoczne pstrągi i lipienie oraz larwy ważek i świtezianek. Silny prąd wody umożliwi nieustanną filtrację kopiczka, w którym nieruchome różowe ziarnka zaczynają już żyć życiem indywidualnym. Po upływie 70 do 105-ciu dni,

zależnie od temperatury wody, lęgnie się narybek. Żyje on zrazu w szczelinach kopczyka, w zbitej gromadce, odżywiając się wyłącznie treścią woreczka zwieszającego się mu u brzuszka. Woreczek powoli zanika, narybek zaczyna już odżywiać się drobnymi owadami, rosnąc szybko i przybierając formę kształtnej rybki. Po sześciu miesiącach życia łososik mierzy już około 8 cm długości; po upływie roku waży od 70—100 gr., osiąga długość 12—17 cm i staje się podobny kształtem i ubarwieniem do pstrąga. Mnogie niebezpieczeństwa czyhają nań dokoła; trzyma się więc miejsc niegłębokich, żyjąc zwykle między kamieniami w pobliżu rodzinnego kopca.

Mija pierwsza, druga wiosna i nadchodzi wreszcie trzecia. Łososik zmienił się bardzo, jego korpus okrył się srebrzystą łuską, niby nową zbroją, pod którą zniknęły dawne czerwone cętki. Zdaje się, jakgdyby tracił apetyt, rzadko już podnosi się po płynącą na powierzchni wody muchę. Nagle pewnego dnia, jakby wiedziony jakimś wezwaniem, odwraca głowę w dół prądu i wraz ze swymi towarzyszami zaczyna płynąć w daleką podróż do nieznanego morza.

Skąpe i niepewne posiadamy wiadomości o jego losach i życiu w otchłaniach morza. Wiemy tylko tyle, że przebywa tam od 2—3¹/₂ lat, że właściwości chemiczne słonej wody sprzyjają jego rozwojowi, że znajduje w niej pożywienie obfite i że po upływie tego czasu dorasta do stanu dojrzałego.

Z tą chwilą wzywa go instykt do spełnienia obowiązków wobec swego gatunku. Opuszcza więc głębiny morskie, gromadzi się u ujść rzek i jakby na jakiś tajemny znak puszcza się pewnego jesiennego dnia w podróż do rodzinnych stron, płynąc w górę rzeki. Teraz cała jego siła, cały temperament, zdobyte podczas pobytu w słonej wodzie, łączą się w cudownym instynkcie, aby go szczęśliwie doprowadzić do celu poprzez liczne niebezpieczeństwa i trudności, jakie go czekają w dalekiej podróży. Nietylko więc omija zasadzki rybaków i niebezpieczeństwa, grożące mu ze strony innych nieprzyjaciół, lecz, zbliżając się do rodzinnej rzeki, musi walczyć przeciw coraz silniejszym prądom, przebywać straszliwe, spienione garby pienińskie, niejednokrotnie nawet przeskakiwać wodospady, poprzez które dwa lub trzy lata temu, jako łososik tak lekko i wesoło płynął w dół ku morzu. Gdy podczas tej wędrówki zostanie zraniony, a znajduje się jeszcze w dolnym biegu rzeki, momentalnie zawraca do morza, jakby wiedziony instynktem, że pobyt w wodzie słodkiej z tą raną mógłby się stać dla niego fatalnym, gdyż mikroby, przedostawszy się w głąb mięsa, mogłyby go zabić; w zdrowej zaś wodzie morskiej rana jego będzie się mogła zagoić.

Posuwa się coraz dalej w górę rzeki. Unika światła, wędruje w nocy, ukrywając się w ciągu dnia w głębokich i zacienionych prądach. Wreszcie,

kiedy życiodajna wiosna obejmie władanie nad podtatrzańską ziemią, kiedy brzegi Dunajca ocienią zielone gaje olszyn, wśród których jaśnieją jaskrawe gwiazdki żółtego kaczeńca, pierwsze łososie stoją już w tych samych prądach, w których przed laty wznosiły się ich rodzinne kopce. Pozostaną tu one do później jesieni, t. j. do odbycia tarła. W jaki sposób żyje łosoś w ciągu tych kilku miesięcy, a przede wszystkim czy odżywia się podczas pobytu w wo-



Łososie płynące na tarło w Dunajcu.

dzie słodkiej, nie jest rzeczą wyświeconą należycie. Wiele książek, rozpraw i dyskusyj poświęcono temu problemowi. Fakt, że ta ryba daje się łowić w rzekach na przynętę, wysuwany jest przez niektórych ichtjologów jako dowód przyjmowania przez nią pożywienia również i w wodzie słodkiej; inaczej — utrzymują — nie chwyciłaby łosoś sztucznej muchy, zarzuconej na prąd przez rybaka-sportowca. Przeciwnicy tej teorii zaś twierdzą, że w żołądku łososia, złowionego w wodzie słodkiej, jedynie w rzadkich wypadkach znajdujemy ślady pożywienia, że również i inne ryby, jak np. śledź lub makrela, nie odżywiają się w okresie tarła, wreszcie, że łososie, przybywające corocznie w tysięcznych gromadach do rzek, wyniszczyłyby w krótkim przeciągu czasu większość stałych ryb, gdyby chciały zaspokoić ogromną żarłoczność, właściwą im podczas pobytu w morzu; zdaniem ich, łosoś rzuca się

na przynętę w celu ochrony gatunku, gdyż, jak wiadomo, nie tylko pstrągi lecz i larwy niektórych much stanowią groźne niebezpieczeństwo dla jego ikry. Nie można odmówić ostatnim tym poglądom pewnych cech prawdopodobieństwa. Każdego, kto spędził niejedną godzinę na obserwowaniu życia i obyczajów tej wspaniałej ryby, brodząc z wędką w dłoni wśród nurtów Dunajca, uderzyć musiało spostrzeżenie, że zachowanie się łososia wobec rzuconej na wodę przynęty posiada raczej cechę napastliwości niż żarłoczności. Z niesłychaną gwałtownością atakuje on poruszający się na wodzie przedmiot, imitujący muchę lub rybkę, chwytą go zapalczywie, natomiast nie połyka, lecz, zmiażdżywszy swemi potężnymi szczękami, odrzuca. Ten instykt chronienia gatunku, objawiający się w atakowaniu groźnych dla swej ikry nieprzyjaciół, posiadają i inne ryby, jak np. mała kolka, znana z roboty przeszlicznych i misternych gniazd, uwitych z roślin wodnych.

Porzućmy jednak tę dla zwykłego czytelnika obojętną może kwestję i nie budujmy jednego jeszcze systemu w zakresie bądź co bądź należycie niewyświetlonym. Zadowolnijmy się jeno prowizorycznym wnioskiem, a mianowicie, że łosoś podczas pobytu w wodzie słodkiej nie przyjmuje pożywienia i żyje wyłącznie zapasami własnego tłuszczu, że zdarzyć się jednak może, iż pochwyli czasem pstrąga lub podniesie się do muchy, nie gardząc smacznym kąskiem gdy mu go prąd wody do paszczy przyniesie.

Mija lato, gaśnie barwny blask kwiatów, czernieje zieleń nadbrzeżnych olszyn, nadchodzi jesień. Odbyło się już tarło, na dnie Dunajca stały nowe kopce, kryjące zarodki przyszłych pokoleń. Łososie złożyły geniuszowi gatunku okrutną ofiarę: znaczna część samców wyginęła z wyczerpania po odbytych godach. Nieliczne i wyjątkowo silne osobniki podążą z samicami do oceanu. Kiedy i z jaką szybkością odbywają łososie trące się w Dunajcu swą powrotną wędrówkę do morza i czy wracają zamtąd na powtórne tarło do Dunajca, nie jest rzeczą zbadaną dokładnie. Celem uzyskania bezpośrednich danych, dotyczących losów łososia po tarle, delegaci Wydziału Rybactwa Min. Rolnictwa, przeprowadzający w Dunajcu odłów tarlaków dla celów sztucznego zapłodnienia i wylęgu, wpuścili w r. 1924, po pobraniu ikry, 69 samic, opatrzonych znaczkami srebrnymi, umieszczonymi za pomocą srebrnego drucika na płetwie grzbietowej; na ślad tych ryb do tej pory jednakowoż nie natrafiono.

Musimy się jednak streszczać, inaczej bowiem nie dotarlibyśmy nigdy do końca. Ciekawych odsyłamy do źródeł, wskazując na pierwszym miejscu wydawane w Bydgoszczy „Archiwum Rybactwa Polskiego“. Wydawnictwo to, zamieszczające prace najwybitniejszych ichtjologów polskich, powinno się znaleźć w ręku każdego obywatela, któremu nie jest obojętną go-



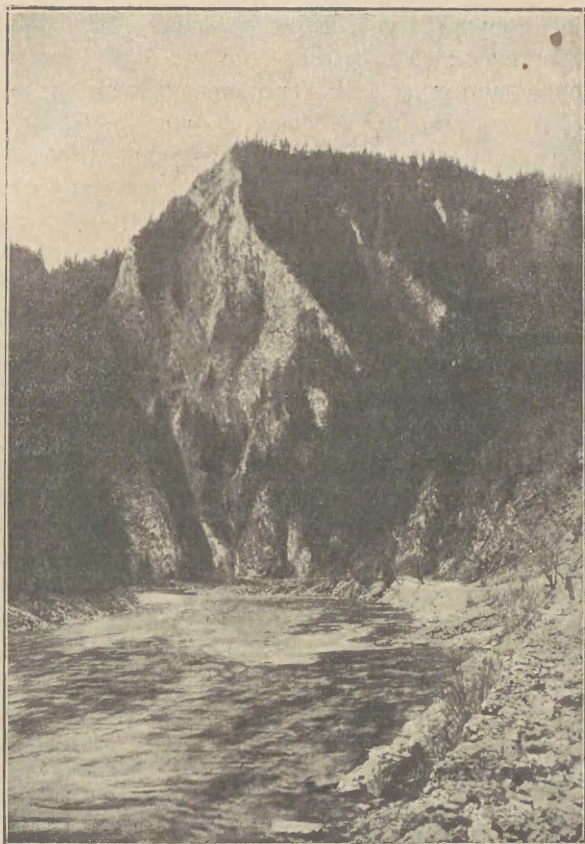
POTOK BIAŁKI KOŁO LYSEJ POLANY, Z WOŁOZYNYM I KOSISTĄ NA TYLNYM PLANIE

spodarcza przyszłość Rzeczypospolitej. Znajdzie on w niem nietylko jasne, bezpośrednie i pełne uroku opisy naszych wód i ich mieszkańców, lecz i zapozna się z podstawowymi wiadomościami z zakresu przyrodzonych warunków gospodarstwa rybackiego w Polsce, niestety jeszcze u nas zapoznanego i zaniedbanego.

* * *

Szeroko rozpowszechnionem jest u nas mniemanie, że sport wędkowy jest zajęciem nudnem. Ileż razy zdarza się nam słyszeć słowa: „...łowić pstrągi?! — siedzieć godzinami nad rzeką z wędką w rękę?! — ależ do tego trzeba zasobu wyjątkowej cierpliwości, a tej mi brak!“ Tymczasem już pobieżne zaznajomienie

się z istotą sportu wędkowego wykazać może, że pospolite przyrównywanie sportowego łowienia pstrąga lub łososia do tego rybołówstwa, które oglądamy nad Wisłą w Warszawie lub nad Sekwaną w Paryżu, polega na powierzchownej analogji. Z tem rybołówstwem, którego obraz mieszkańcy Paryża złośliwie i dowcipnie przedstawiają w postaci kija z przywiązaną do jednego końca glistą a z przyczepionym do drugiego... niemądrym człowiekiem, sport wędkowy niema nic wspólnego. Przy niesportowem łowieniu ryb, a więc na robaki, dżdżownice, główacze i t. d., ryba połykając zanurzoną w wodzie przynętę, łapie się sama, a czynność rybaka, wyczekującego niejednokrotnie godzinami na ten moment, ogranicza się wyłącznie do wyciągania z wody



Bieg Dunajca pod Facimiechem w Pieninach.

już złowionej ryby. Zupełnie inaczej przedstawia się rzecz w rybołówstwie sportowym; tu ryba nie łapie się sama, lecz musi być złowioną przez rybaka-sportowca. Jeśli rzuci on umiejętnie na prąd wody właściwą muszkę, (jest ona zrobiona z barwnych piór, wśród których jest ukryty maleńki haczyk), skoczy do niej w błyskawicznym ruchu pstrąg. W tym momencie, stanowiącym ułamek sekundy, rybak nieznacznym ruchem dłoni musi podciągnąć linewkę, do której przywiązana jest muszka i rybę zaciąć. Jeżeli tego nie zdąży wykonać, ostrożny pstrąg spostrzeże podstęp i ucieknie. Szczęście nie odgrywa tu najmniejszej roli; z matematyczną dokładnością ten osiąga najlepszy rezultat połowu, kto posiada najwyższą sprawność techniczną, największą wiedzę, oraz najlepsze doświadczenie. Rybak-sportowiec nie siedzi nigdy w jednym miejscu, lecz idzie z biegiem wody, zarzuca nieustannie na prądy muszkę, polując niejednokrotnie na upatrzoną już zdobycz. Sport ten można zatem nazwać raczej myśliwstwem niż rybołówstwem.

Przyjrzyjmy się jednak, bodaj pobieżnie, służącym do tego celu przyrządom, zwłaszcza najgłówniejszym, tj. wędce i sztucznym muszkom. Wędka składa się z silnego pręta, zwanego wędziskiem, kołowrotka i sznurka, do którego przyczepia się na cienkiej żyłce, zwanej przyponem, muszkę. Wędzisko musi być lekkie, giętkie, nadzwyczaj sprężyste a zarazem mocne. Nie jest ono więc zrobione z jednolitego kawałka bambusu lub leszczyny, lecz sklejone z sześciu cieniutkich i stopniowo zwężających się trójkątnych pręcików, wykrojonych ze specjalnego gatunku bambusu i następnie wiązane co pewien odstęp jedwabiem. Jeśli uprzytomnimy sobie, że około 3 metrów długie wędzisko pstrągowe posiada u nasady grubość zwykłego ołówka, a przy końcu jest cieńsze od zapalki i że ten filigranowy kijek jest sklejony z sześciu mikroskopijnych pręcików, zrozumiemy, jak wielkiej dokładności i precyzji wymaga sporządzenie tego narzędzia. Wędzisko, służące do połowu łososa, jest dłuższe i silniejsze, lecz w ten sam sposób wykonane.

U nasady wędziska zakłada się kołowrot. Mniejszego, pozwalającego nawinąć około 40 m sznurka, używa się do połowu pstrąga lub lipienia, większego, umożliwiającego nawinięcie około 120 m linewki, używamy do połowu łososa. Dobry kołowrot sporządzony jest zwykle z oksydowanego metalu, musi być lekki, trwały i zaopatrzony w przyrząd, umożliwiający w razie potrzeby nadawanie obrotom stopniowo coraz to większego oporu. Przede wszystkim jednak musi on być niezmiernie czuły. Zacięty łosoś umyka z błyskawiczną szybkością, trocząc za sobą sznur z kołowrotka, wykonywującego wówczas kilkadziesiąt obrotów na sekundę. Najmniejsza niedokładność w funkcjonowaniu kołowrotka powoduje zerwanie się linewki lub przypona i w następstwie utratę zdobyczy.

Linewki muszą być cienkie a równocześnie mocne i nieprzemakalne. Na pierwszeństwo zasługują więc sznurki jedwabne, sporządzone pod ciśnieniem pompy vacuum dla zapobieżenia, aby pomiędzy włóknami nie pozostało po-



Rybne wody granicznej rzeki Białki.

wietrze, a następnie odpowiednio impregnowane, najczęściej gumowane. Linewki te są pozatem specjalnie przedzone, a mianowicie nie posiadają jednolitej grubości, lecz wzdłuż całej swej długości co kilka metrów są cieńsze. Tylko taki zwężający się sznurek umożliwi precyzyjny rzut muszką.

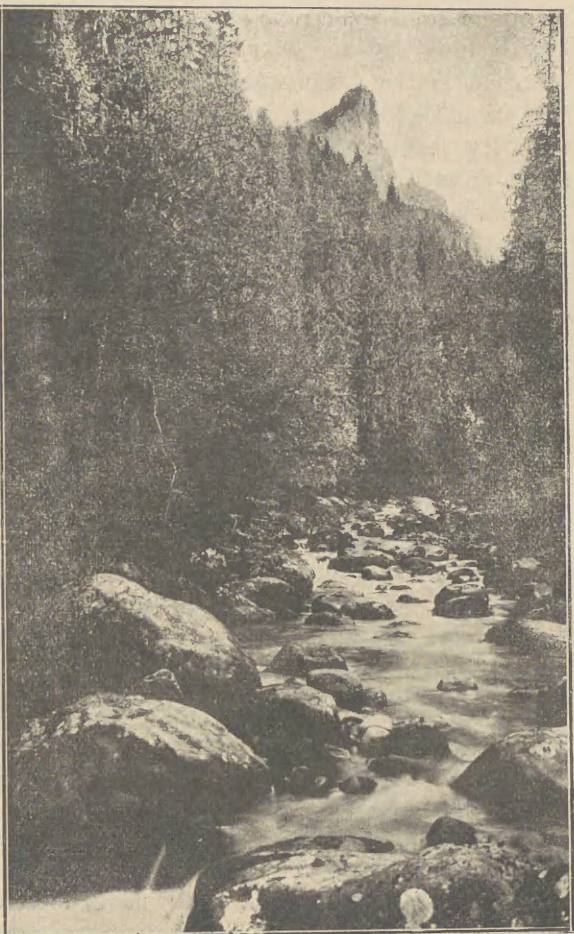
Kołowrotek wraz z nawiniętą nań linewką przymocowujemy do rękojeści wędziska. Następnie przeciągamy linewkę przez umieszczone na wędzisku metalowe pierścienie i przymocowujemy do niej około 3 m długi przypon. Jest to przezroczysta i jak włos cienka żyłka, sporządzona z cieczy jedwabnika. Do jej końca przywiązujemy wreszcie przynętę w postaci t. zw. sztucznych muszek. Są to imitacje przeróżnych owadów, nietylko lądowych

lecz i wodnych, t. j. tych, które, jak wiadomo, w formie poczwarki oraz w stanie niedojrzałym (subimago) żyją w wodzie, ulatują zaś z niej w powietrze w postaci doskonałej, t. j. nimfalnej (imago). Do pierwszej kategorii należą więc gatunki ciemek, motylków, much, mrówek skrzydlatych i t. d., do drugiej zaś świtezianki, jętki, muchy majowe, komary i i. Można śmiało twierdzić, że niema przyrządów, używanych w różnych gałęziach sportu, których sporządzenie wymagałoby takiej precyzji i takiej dokładności naukowej, jak wykonanie sztucznych much. Tu nie tylko kadłub, łapki i skrzydełka muszą być jaknajdokładniej naśladowane i do haczyka przymocowane, kolory i materiał (najczęściej piórka) dobrze dobrane, lecz muszka musi się dobrze na wodzie unosić. Znamy i używamy około tysiąc odmian sztucznych much i to różnorodnych wielkości w każdym gatunku. Najlepsze muszki, oraz wszystkie inne przybory do rybołówstwa sportowego, wyrabiają w Anglii, zwłaszcza w słynnej na cały świat firmie Hardy w Alnwick.

Istnieją dwa sposoby łowienia pstrąga na sztuczną muchę, znane pod nazwą łowienia na muchę mokrą lub utopioną, oraz łowienia na muchę suchą. „Mucha utopiona“ imituje nieżywą muszkę, którą prąd wody unosi, „mucha sucha“ naśladuje muszkę żyjącą, która leciuchno opuściła się na powierzchnię wody, by z niej po kilku sekundach z powrotem ulecieć w powietrze. Przy użyciu pierwszego sposobu posuwamy się w dół rzeki, zarzucając nieustannie muszkę i puszczamy ją z prądem wody. Łowiąc zaś na muchę suchą posuwamy się zawsze w górę rzeki. Ten sposób łowienia jest jednak trudniejszy, gdyż muszka nie może ulegać najmniejszym wpływom ruchu linewki lub wędziska z tą chwilą gdy opadnie na wodę. Pstrągi stoją w wodzie zawsze z głową zwróconą przeciwko prądowi, czyhając na żywność, która może płynąć w ich kierunku albo na powierzchni wody albo we wodzie. Musimy więc podać im to pożywienie w jaknajnaturalniejszy sposób. Delikatność, precyzja i lekkość rzutu są nieodzowne przy tym sposobie łowienia. Linewka w żadnym wypadku nie może chlapnąć o wodę, muszka musi opaść na powierzchnię wooy z lekkością płatka śniegu i unosić się w kierunku ryby. Gdy zobaczymy skaczącego do muszki pstrąga, nieznacznym ruchem dłoni musimy go zaciąć. O ile jednak przy łowieniu na muchę utopioną ryba w wielu wypadkach zacina się sama, to przeciwnie przy połowie za pomocą muszki suchej, t. j. rzuconej pod prąd, o sukcesie decyduje niemal wyłącznie zręczność i umiejętność w zacinananiu ryby. Z tego więc względu łowienie pstrąga na „muskę suchą“ jest więcej zajmujące niż połów za pomocą „muskę utopionej“.

Widzimy więc, że sztuka łowienia pstrąga czy łososia na sztuczną muchę polega w bardzo znacznej części na umiejętności rzutu. Znamy i używamy

kilku sposobów zarzucania muszki. Przy rzucie zwykłym, używanym wówczas, gdy za nami niema żadnych przeszkód w postaci drzew, krzaków, skał i t. d., musimy nietylko uważać, aby nie uderzyć poza sobą muszką o kamień, co pociąga za sobą ułamanie lub utratę przynęty, lecz aby przy powrotnym ruchu linewka za nami była w powietrzu wyciągnięta, gdyż w przeciwnym razie usłyszymy za sobą jakby strzelenie z bata i po chwili przekonamy się, że straciliśmy muszkę. Jeśli mamy poza sobą przeszkody, używamy rzutu pionowego, jeśli chcemy ominąć przeszkody znajdujące się w tyle i z boku, używamy t. zw. rzutu w zwojach. Rzut boczny, rzut omijający prąd, a właściwie przerzut na drugą stronę prądu, rzut przeciw wiatrowi itp., oto są różne sposoby umieszczania przynęty na powierzchni wody.



Typowy potok pstrągowy w Tatrach. (Potok Jaworowy).

im delikatniej, im pewniej i celniej a równocześnie im na większą odległość potrafimy zarzucić muszkę, tem pewniejsze i większe osiągniemy rezultaty połowu. Są to więc te same elementy, które odgrywają zasadniczą rolę w strzelaniu, a więc szybkość, dalekość i celność strzału. Również i z tych względów można więc nazwać sport wękowy raczej myśliwstwem niż rybołówstwem.

* * *

Poznajmyż jednak na żywych a charakterystycznych przykładach ten niezwykły urok, tkwiący w rybołówstwie sportowym. Nie przeciążajmy artykułu balastem faktów i szczegółów technicznych, pozbawionych uroku w oczach tych czytelników, którzy nigdy może nie słyszeli o tem, że rybołówstwo sportowe jest jednym z najpiękniejszych i najbardziej zajmujących sportów. W dalszych opisach poprowadzę czytelnika nad górską rzekę i przejdę kolejno w naturalnym porządku wszystkie epizody tego sportu, a mianowicie połów pstrągów, walkę z królewskim mieszkańcem naszych wód tatrzańskich, łososiem, oraz jesienne łowy na lipienia. Każdy z owych epizodów sam przez się może rozświetli nam wszystko co trzeba, ukaże nam to wszystko w sposób nie tak ścisły, ale zato może żywszy i owocniejszy.

* * *

Z potężnym oddechem halnego wiatru spłynęła na ziemię podtatrzańską, niby jakąś zaczarowaną siłą, upragniona wiosna. Jednem swoim tchnieniem obudziła życie i zaczęła stroić martwe ugory blaskiem młodej zieleni i barwą kwiatów. Z każdym dniem coraz bujniejsze i bogatsze życie opanowuje brzegi Dunajca. Wśród zwartej gęstwy nadbrzeżnych olszyn lśnią złotem cudowne pierwiosnki i jaskrawe kaczęńce. Na słonecznych polanach, mieniących się falą kwiatów, uwijają się pierwsze motyle, bladeżółte cytrynki i barwne pokrzywniki. Nad brzegami potoków i młak, ponad kielichami lilij wodnych unoszą się strojne świtezianki, lśniąc błękitem swych wysmukłych skrzydełek; wszędzie tańczą roje skrzydlatych muszek.

Sezon rybacki już dawno rozpoczęty, w schronisku klubowem na Kowańcu koło Nowego Targu już rojno i gwarno. Wczesnym rankiem niesie i nas szybkie auto nad wartki Dunajec. Pełne nieskończonej różnaitości widoki wsi, uprawnych pól, gajów olszyn i szumiących potoków lecą po obu stronach drogi. Na lewo od nas Dunajec toczy swe nurty z większą powagą, zwłaszcza w miejscach, gdzie pozostawił za sobą skaliste samorody. Pęd ранego powietrza chłodzi udręczoną miejskiem życiem głowę. Łąki i wody w dali błękitny łańcuch Tatr i to przeczyste górskie niebo nad nami, wywołują w nas jakąś niedającą się opanować wesołość i bez troskę. Mijamy biały dworek z gankiem w Łopusznej, czcigodny dom Tetmajerów, który gościł w swych ścianach Seweryna Goszczyńskiego, staczamy się po stromem zboczu ku pamiętającej wieki średnie Harkłowej, przelatujemy koło starego drewnianego kościółka w Dembnie, zadudniły pod nami bierwiona mostu pod Hubą i oto stajemy przed gęstwiną olszyn, w której chowa się przezroczysta toń Dunajca. Skontrolujmy, czy mamy wszystko potrzebne ze sobą i czy jesteśmy należycie wyekwipowani na łowy. Kolor ubrania jest dobry,

nie rażący. Na nogach mamy tak zw. „wodery“, rodzaj gumianych pończoch, sięgających wyżej kolan. Na stopy wciągnęliśmy grube skarpety, a na nie buty specjalnie okute. Będziemy więc mogli brodzić w nich po wodzie „suchą nogą“. Nad górną kieszenią kurtki wisi maleńka flaszeczka z płynną parafiną do impregnowania much; w kieszeni znajdują się okulary z dymnego szkła, metalowy portfel z kolekcją sztucznych much, oraz pensetka do wyciągania haczyka z paszczy pstrąga. Szybko wyciągamy z futerału wędzisko, składamy je, przymocowujemy kołowrot, przeciągamy linewkę i wiążemy przypon. Na ramię zarzucamy kosz na ryby, składamy małą siatkę, służącą do podnoszenia z wody złowionego na muszkę pstrąga — i ruszamy nad brzeg Dunajca.

Zbadajmy uważnie warunki dzisiejszego łowienia! Dzień będziemy mieli skworny, ani jednej chmurki nie widać na niebie. Ponieważ pogoda trwa od kilku dni, a woda w Dunajcu niewielka i czysta jak roztopione szkło, będziemy dziś łowić na muchę suchą. Jesteśmy już nad rzeką i patrzmy uważnie na wodę, czy niema na niej kółek, powstałych z podnoszenia się ryb do muszek. Toń Dunajca spokojna, nic się na niej nie porusza. Może jest jeszcze za wcześnie, może niema jeszcze dosyć ciepła dla wyłęgu nimf i wypłynięcia ich na powierzchnię wody. Dostrzegamy jednak po chwili płynącą krajem wody muszkę, łowimy ją i konstatujemy, że jest to subimago owada nazwanego Blue-Quil. Muszek tych ukazuje się coraz więcej na wodzie — prawdopodobnie zacznie się ich wyrojenie. Szybko wydobywam z portfela imitację Blue-Quil i wiążę do przypona. Robi się coraz cieplej, w powietrzu unosi się już coraz więcej owadów. Chodźmy ostrożnie, aby ryb nie płoszyć, w górę rzeki i patrzmy, czy gdzie pstrąg się nie podnosi. Ponieważ nie pokazała się żadna ryba, będziemy jej szukać. Ten spokojny prąd, płynący tuż koło kwietnej polany, musi przecież kryć w sobie niejednego pstrąga. Będę usiłował uplasować muszkę o jakieś 2 metry od brzegu polanki i pozwolę jej spływać tam, gdzie zaczynają się krzaki olszyny. Będzie to rzut łatwy i ładny, około 14 metrów przed siebie w górę rzeki. Mucha padła w dobrym miejscu, skrzydełka jej się wyprostowały i spływa spokojnie ku nadbrzeżnym olchom. W miarę zbliżania się jej ku mnie, podnoszę stopniowo ku górze koniec wędziska, by utrzymać sznurek w stanie napiętym. Ach! — chybiłem. Skoczył pstrąg do mojej muszki i spóźniłem się z zacięciem ryby. Dwa razy bicząc powietrze linewką, by muchę obsuszyc, i rzucam ją znowu na wodę. Muszka spływa i w tem samym miejscu chybiam znowu pstrąga.

Zostawmy go więc na razie w spokoju i spróbujmy zarzucić muszkę nieco wyżej, tam, gdzie rzeka bije w stromy brzeg. Woda tam głęboka

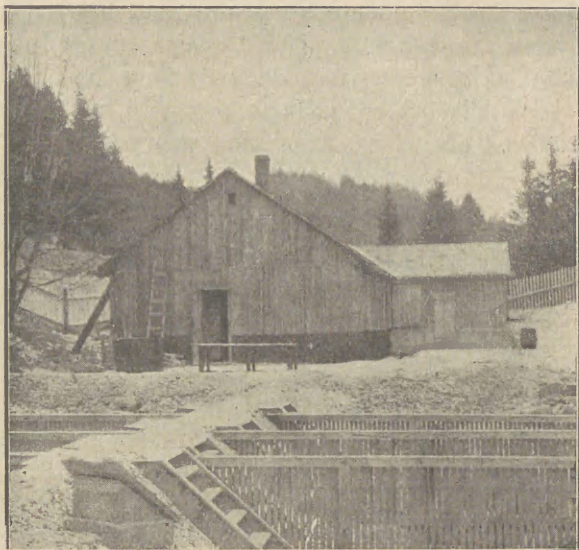
i jeśli złowimy rybę, to napewno dużą. Trzy razy rzucam muszkę i niestety bez rezultatu. Spróbujmy zmienić muszkę na inną, o kolorze więcej ciepłszym. Wybieram więc czerwonawą Red-Quil, o podwójnych misternych skrzydełkach, impregnuję parafiną i rzucam na dawne miejsce koło olszyn. Tym razem udało się. W błyskawicznym ruchu skoczył do niej pstrąg, małym ruchem dłoni zaciąłem go i odciągnąłem od niebezpiecznego sąsiedztwa gałęzi olszyny. Chce się zanurzyć w ciemnym odmęcie wody; tam może być również niebezpiecznie, dostrzegam bowiem w głębi korzenie jakiegoś drzewa. Trzymam go więc w górze i powoli holuję na spokojniejszą i płytszą wodę. Lewa ręka spoczywa na kołowrotku, który wspaniale broniącą się rybę ściga coraz bliżej. Jeszcze kilka chwil, jeszcze kilka gwałtownych szarpnięć i nareszcie mogę ją wydobyć z wody siatką.

Podczas zdejmowania przez nas pstrąga z haczyka, powyżej, na głębokiej płani ukazał się błysk skaczącej ryby. Patrzymy uważnie i dostrzegamy tuż pod brzegiem małe kółeczko na wodzie. Tym razem będzie to zapewne większa sztuka — wiadomem jest bowiem niejednemu rybakowi, że im większy pstrąg, tem lżej i ostrożniej podnosi się i chwytą muszkę. Znowu, jakby delikatne muśnięcie wody i srebrzysty krąg rozchodzi się na granatowym atłasie toni. Nie widzimy na wodzie muszek Red-Quil, założmy więc ponownie Blue-Quil. Mamy zadanie już uproszczone, gdyż wiemy, gdzie jest ryba i jaką muchę należało założyć. Zakotłowała nagle woda, odezwał się, niby przeraźliwy wrzask, warkot kołowrotka, wędzisko gwałtownie wygięło się — mam go i to wielkiego! Jak wspaniale walczy! Zrazu chce osiągnąć krzaki olszyny w dole, zawraca jednak i sunie szybko ku nam. Skręcam kołowrotek, gdyż linewka musi być ciągle napięta. Oddała się jeszcze kilka razy, zanurza się w ciemną głębię, to znów, niby świetlista strzała, wyskakuje do góry. Wreszcie po dłuższem zmaganiu się wyciągam go siatką na brzeg. Jest to rzeczywiście okazała sztuka, wagi około jednego kilograma. Przy odhaczaniu muszki dostrzegamy w jego uzębionej paszczy ogon sporego pstrąga, którego widocznie niedawno temu ten nasz tatrzański rekin pochwycił.

Słońce jednak coraz silniej przygrzewa, ryby przestały się podnosić, zbliża się południe — możemy więc zjeść śniadanie w miłym cieniu olszyn i prowadzić dalszą rozmowę o łowieniu pstrąga na muchę suchą. Wśród wielu polskich pstrągarzy utarło się mniemanie, że na nielicznych tylko wodach w Polsce można łowić pstrągi na muchę suchą. Rwące prądy naszych rzek pstrągowych nie nadają się — zdaniem ich — do łowienia na muchę suchą. Łowi się więc u nas przeważnie na muchę utopioną. Niestusznie jednak; jestem bowiem przekonany, że w odpowiedniej porze roku i przy pewnych warunkach można używać muchy suchej z powodzeniem na każdej rzece,

w której żyją pstrągi. Na Białym i Czarnym Dunajcu, nawet wśród gwarnych wodospadów Białki, znajdziemy miejsca, gdzie sucha mucha będzie najskuteczniejsza. Chodzi tylko o zdobycie doświadczenia, kiedy i w jakich miejscach należy używać jednej z tych dwóch metod. Na Dunajcu np. „mucha sucha“ w lipcu i sierpniu będzie w tym samym stopniu użyteczna, jak „mucha utopiona“ w kwietniu i maju. W miejscach o prądach spokojnych, w pełni lata, podczas pięknej pogody, kiedy woda jest czysta jak kryształ, łowienie pstrąga za pomocą muchy suchej wydaje bezwątpienia najlepsze rezultaty. Może się jednak zdarzyć, że jeszcze tego samego dnia, kiedy przejściowy deszcz wodę wzburzy, jedynie na muchę utopioną można złowić rybę. Najlepsze więc rezultaty osiąga zawsze ten sportowiec, który umie uprawiać obydwa sposoby łowienia pstrąga.

Południa, spędzane nad brzegami Dunajca, wywierają na każdego, wrażliwego na piękno przyrody człowieka, swój szczególny urok. Lustrzana i oślepiająca gorącym blaskiem słońca toń wody, cisza, milknące głosy ptaków, upajająca woń rozgrzanych macierzanek i rozkoszna, cicha bezczynność — wszystko to przenosi nas w jakiś inny świat. Rozmowa urywa się i milknie. Kontrast między przepięknym, wielkim, niczem niezmaconym spokojem milczącej i niezgłębionej Przyrody a naszymi troskami powszednimi, jest tak wielki, że zaczynamy sobie coraz wyraźniej uświadamiać jak nikłe i marne, jak przemijające, jak tragicznie, nic nieznaczące są te przedmioty naszych waśni i sporów, ambicij i pożądań, wobec niezmiernej wzniosłości przyrody. Jest wielka głębia uczucia i szerokie tchnienie spokoju w tych łąkach i lasach, zalanych powodzią światła, w tych wzgórzach, ciągnących się aż ku widnokręgowi, w tej błękitnej zjawie Tatr; —



Wylęgarnia Towarzystwa Miłośników Sportu Wędkowego w Nowym Targu. Widok zewnętrzny.

to wszystko przyrasta do serca, woła i zatrzymuje myśl ludzką przy sobie i składa się na jeden wielki pean radości: czy jest gdzie drugi kraj, na którym oko spoczywałoby z taką lubością i który dusza mogłaby tak objąć?

Tymczasem słońce zaczyna już rzucać szerokie złote pasma promieni przez dolne gałęzie olszyn; szmery i szelesty w gałęziach wskazują, że ptactwo obudziło się z południowej drzemki. Z nad młak i łąk wstają słodkie opary i rozpościelają po całej okolicy nikłą, podobną do błękitnawej pajęczyny zasłonę. Lekkie podmuchy wiatru zaczynają chłodzić i odświeżać spieczoną twarz. Na głębokiej płani Dunajca plusnął nagle pstrąg, pozostawiając po sobie na spokojnej toni złociste kółko. Czas ruszyć więc na dalsze łowy!

W kilka chwil zacinam pstrąga i holuję go do brzegu. Jakkolwiek posiada on ustawowo przepisaną miarę długości, 20 cm wynoszącą, będę go musiał puścić z powrotem do rzeki. Regulamin Klubu jest surowszy od ustawy i nie pozwala swoim członkom łowić pstrągów o mniejszej niż 24 cm długości. Wyciągam więc delikatnie z pyska ryby maleńki haczyk, ukryty w muszce i puszczam ją do wody. Łowią jednak jeszcze kilka niemiarowych ryb; opuśćmy to miejsce i chodźmy wyżej, gdzie głęboka woda płynie spokojnie pod omszałym głazem, oświetlonym jasno słońcem! Jestem pewny, że niejeden duży pstrąg w tej głębi się kryje. Musimy działać ostrożnie. Uplaszujemy muszkę na głazie i pociągniemy ją lekko, aby spadła na wodę. Udało się! Nie zmąciłem wody linewką a mucha opadła delikatnie na gładki kamień. Ciągnę ją lekko; ześlizguje się ze skały, osiada na wodzie i spokojnie płynie w naszą stronę. Jest — i kto wie, czy to nie większy od wszystkich dziś złowionych pstrągów! Zanurza się głęboko, może pod skałę chce się dostać. Trzymam go jednak na wygiętem wędzisku mocno, nie pozwalam na znaczniejsze rozwijanie sznura i po kilkuminutowej walce przyciągam do brzegu.

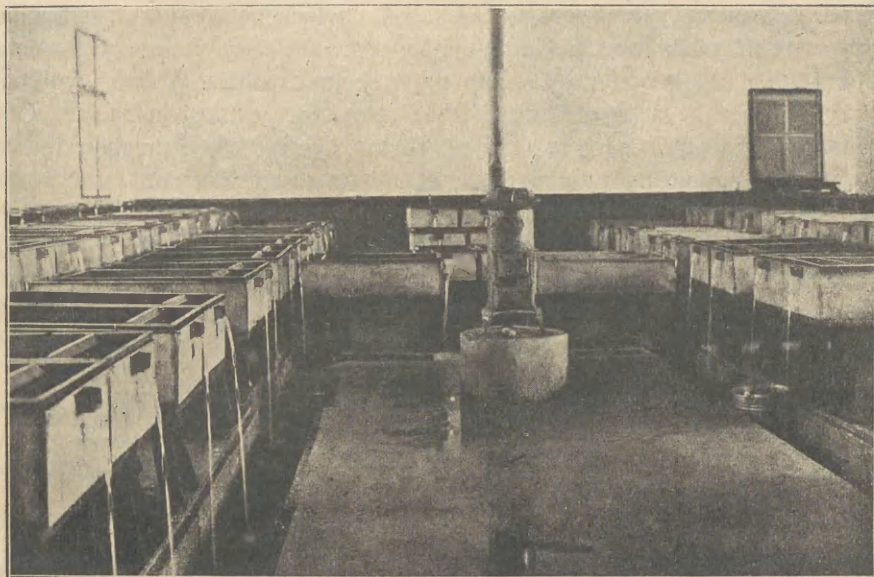
Idziemy dalej, wrzucamy jeszcze kilka ryb do kosza, lecz wieczorny mrok spędza nas z wody. Wstał księżyc i rzucił świetlisty promień srebrny na strugę Dunajca. Słodki śpiew niestrudzonych drozdów, ukrytych w gęstym listowiu olszyn, rozlega się dokoła. Nie silmy się na opisywanie wszystkich tych dziwnych rzeczy, które działy się koło nas w ową księżycową noc. Zdawało się nam, że podmuchi wiatru, brzemiennego wszystkimi aromatami wzgórz i lasów, pędził przed nami urywki jakiejś przepięknej baśni...

Dotarliśmy do czekającego nas auta i pomknęliśmy do domu.

* * *

Nie popełnimy najmniejszej przesady twierdząc, że złowienie na wędkę pierwszego łososia stanowi niezapomnianą chwilę w życiu każdego rybaka-

sportowca. Niema emocji rozkoszniejszej, jak pierwsze dwadzieścia minut walki, kiedy nerwy i mięśnie są napięte w celu wytrzymania pierwszych ataków obronnych ryby, kiedy od dłoni do mózgu przebiega przez zgięte wędzisko nieustanne drżenie, kiedy wśród „krzyku“ kołowrotka potężna ryba mknie w strasznym rozpędzie w górę, by się ocalić. Nie znamy w dziedzinie



Wylęgarnia w Nowym Targu: instalacje wewnętrzne.

sportu większej satysfakcji od tej, której doznaje rybak-sportowiec, wyciągając po ciężkiej walce srebrzystą rybę z wody.

Do najbardziej przejmujących momentów należy pierwsze podniesienie się łososia do muchy. Nagłe ukazanie się wśród głębokiego prądu potężnej, białą obramowanej paszczy wywiera zawsze silne wrażenie, nawet na rybaku, który w swem życiu niejednego już łososia złowił. — Ponieważ łososie stoją wśród głębokich i silnych prądów, łowimy je na „muchę utopioną“. Rzut nie wymaga tej lekkości, która jest niezbędną przy łowieniu pstrąga na „muchę suchą“, natomiast zmuszeni jesteśmy rzucać muchę na wielką odległość, niekiedy 20—30 metrów wynoszącą. W przeważających wypadkach łososia zacinąć jednak nie potrzebujemy. Gdy zobaczy on na wodzie ruchomy przedmiot, a więc muszkę lub sztuczną rybkę, rzuca się na tę przynętę, chwytą

w paszczę i popycha językiem ku zębom, by ją zmiażdżyć. Jeśli koniec haczyka podczas tego ruchu napotka język lub żuchwy, w większości wypadków łośoś zatnie się sam. Przy rzuceniu się łośosia do muchy rybak powinien pozostać nieruchomy i ograniczyć się do trwania w baczem pogotowiu. Przy zacinaniu możnaby bowiem łatwo wyrwać hak z paszczy jeszcze otwartej, zanim mógł się wbić w żuchwy lub złamać go przez silne szarpnięcie. Zdarza się jednak często, że łośoś chwyci muszkę tak delikatnie, jakby to robił wielki pstrąg. Następuje to przeważnie wówczas, gdy mucha znajdzie się na słabszym prądzie lub na spokojnej wodzie. W tym wypadku, gdy rybak poczuje słabe dotknięcie przez rybę muchy, musi ją zaciąć. Gdy gwałtowne wygięcie wędziska oznajmi, że łośoś jest zacięty, trzeba się zachowywać spokojnie, by ryby nie płoszyć, ani na chwilę nie spuszczać z niej oka, trzymać na napiętej linewce, aby ją móżdż zmęczyć i bez przeszkody przyholować do brzegu. Nadchodzi wreszcie moment, w którym ryba znajduje się na płytkiej wodzie, tuż koło nogi rybaka. Zakłada on wtedy na jedną rękę nicianą rękawiczkę, powoli posuwa ją do ogona ryby, jednym zdecydowanym chwytem łapie ją w najcieńszym miejscu, t. j. między płetwą ogonową a kadłubem, i wydobywa na brzeg.

Opis mojego spotkania z łośosiem, jakie miało miejsce przed kilku laty w Dunajcu w okolicach Huby, uwypukli może lepiej tą emocję, którą przechodzi każdy z nas podczas walki z królewskim mieszkańcem naszych tatrzańskich wód. W upalny wieczór lipcowy przyjechaliśmy wraz z dwoma towarzyszami do karczmy pod Hübą, gdzie oczekiwał nas nocleg. Nazajutrz wczesnym rankiem mieliśmy się udać na polowanie na łośosia. Tymczasem jednak w nocy nadciągnęła burza, lunęła ulewa, i gdy rankiem wyrzeliśmy na świat boży, ukazał się naszym oczom wezbrany Dunajec, toczący mętną, koloru białej kawy wodę. Zniechęceni towarzysze odjechali do Nowego Targu, ja jednak postanowiłem wytrwać na miejscu i doczekać się oczyszczenia wody.

W takich warunkach nie pozostaje rybakowi nic innego do roboty, jak uzbroić się w cierpliwość i zająć się doprowadzeniem swych rybackich przyrządów do jak największego porządku. Trzeba rozebrać i naoliwić kołowrotek, wysuszyć linewkę, wypróbować wytrzymałość przyponów, sprawdzić, czy nie stępiły się haczyki muszek, słowem zająć się drobiazgami, których niedopatrzenie naraża nas tak często jednak na ucieczkę wielkiej ryby.

Doczekawszy się wreszcie czystiejszej wody, ruszyłem na łowy. Poniżej ujścia Białki do Dunajca, w miejscu, gdzie połączone rzeki biją głębokim prądem w zacienione olszyną brzegi, nastąpiło moje spotkanie z łośosiem. Rzucił się gwałtownie do muchy, wędzisko zgięło się niemal w podkowę,

przeraźliwy krzyk kołowrotka dał się słyszeć i ryba zaczęła pędzić z ogromną szybkością w dół rzeki. Spoglądałem w tę stronę z przerażeniem: w odległości jakichś 120 metrów leżała w wodzie duża olcha, która wraz z brzegiem runęła do rzeki w czasie ostatniej powodzi. Wiedziałem, że jeśli ryba zdoła dopłynąć do płataniny gałęzi i korzeni drzewa, stracę ją niechybnie. Na całe szczęście dla moich nerwów łosoś, wytroczywszy z 90 metrów linewki, zawrócił i począł się zbliżać ku mnie. Rzucił się jednak w poprzek prądu, zatoczył koło i w kilka sekund znowu się znalazł w pobliżu leżącej w rzece olszyny. Tylko mocy mojej wędki mam do zawdzięczenia, że zdołałem go zatrzymać niemal o piędziesiąt od gąszczu. Ruszył znowu całym pędem ku górze, nagle zanurzył się i stanął na dnie rzeki pośród głębokiego prądu. Nieobe-znanemu ze zwyczajami tej ryby zdawałoby się mogło, że muszka zahaczyła się o pień drzewa. Z 15 minut stał jak głaz nieporuszony. Oczy, wpatrzone w jedno miejsce na rwącej wodzie, zaczęły mnie boleć, brzegi z olszynami zdawały się szybko pędzić w górę rzeki, gdy na nie spojrzałem. Nagle łosoś poruszył się i wypłynął na powierzchnię wody. Jak strzała śmignął w poprzek prądu, przepłynął kilka jeszcze razy w górę, to znów w dół rzeki, i nareszcie zaczął powoli zbliżać się do mnie. Powoli podciągałem piękne, mieniące się ciało ryby ku brzegowi i przyholowawszy je do małej zatoczki, wyciągnąłem na brzeg. Była to okazała ryba wagi około 8 kg, a walka z nią trwała około 45 minut.

* * *

Szybko przeleciało upojne lato, nastał wrzesień a z nim ochronny czas dla pstrąga i łososia, które późną jesienią odbywają swoje tarło. Sezon rybacki jednak nie zakończył się, gdyż w jesieni możemy jeszcze łowić lipienie, których gody odbywają się, jak wiadomo, na wiosnę, a między nami są tacy, którzy przekładają polowanie na lipienia nad łowy pstrągowe.

W pogodny ranek październikowy wyruszamy więc w stronę Witowa, by jeszcze raz w tym roku spędzić kilka przyjemnych godzin nad brzegami Dunajca. W nocy był silny przymrozek, szron bieli się na zacięzionych uto-rach, koło południa, gdy słońko silniej grzać zacznie, lipienie będą z pewnością chętnie brać muchę. Na wytartej pozłocie ściernisk rozciągnęły swe mgły jedwabiste pajęczyny babiego lata. Skaliste brzegi Czarnego Dunajca przybrały wygląd surowy; jesień ogałaca je z przystroju listowia i krzewów i obnaża ich kamienne oblicze. Głogi jeno i jarzębiny, choć nie mają prawie już liści, czerwienią się jeszcze wspaniale jagodami. Podmuchy rzeźwe roz-cieńczają słabe ciepło jesiennego słońka i zdzierają z nadbrzeżnych olszyn

liście, zasypując niemi wodę, tak, że spokojne płanie giną pod grubą warstwą, jakby pod rdzawo-żółtym kobiercem.

Około południa mamy już po kilka lipieni w koszach. Łowimy je w ten sam sposób, jak pstrągi, z tą jednak różnicą, że do linewki przymocowaliśmy cieniutki przypon z mikroskopijnych rozmiarów muszką. W zacinaniu ryby jest również pewna różnica, lipień bowiem, w przeciwieństwie do pstrąga, nie skacze do muszki, lecz atakuje ją od spodu, jedynie błyskiem swych srebrnych łusek zdradzając swoją obecność. Zacięty broni się wspaniale i jeży swą górną pletwę, zdobną w pomarańczowe plamki. Kończył się tymczasem piękny jesienny dzień. Czerwień zachodzącego słońca kładła się na grzbiety gór, z pobliskich pól przylatywała ostra a wyraźna woń dymu z palących się ognisk, przy których wykopywali ludzie ostatnie grube z ziemi. Przez serce przemknęły przelotne fale smutku. Długie miesiące zimowe przyjdzie nam czekać na owe dni, w których będziemy mogli znowu cieszyć się świadomością faktu, że ciałem i duszą żyjemy w jak najściślejszym związku z przyrodą, że stojąc w blaskach rozpętanego słońca górskiego nieba, pozdrawiamy błękitne góry, płynącą wodę i rodzącą kwiaty ziemię, jako przejawy tej samej żywej przyrody, która wraz z tem wszystkiem i nas trzyma w objęciu.

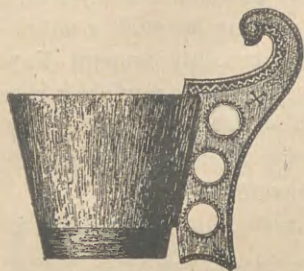
Mógłby ktoś rzec, że te nasze przygotowania do pstrągowych czy łososiowych łowów są właściwie nic nieznaczącym bawieniem się zabawkami, że te nasze wędrówki nad brzegami Dunajca z wędką w dłoni są tylko przyjemnym marnowaniem czasu. Czyż jednak istotnie żadnego znaczenia nie ma to, co napawa nas wielką i czystą radością? Czysta radość, to radość dziecka — mówi Rabindranat Tagore. Ten, kto dorósłszy, potrafił w sobie zachować tę zdolność radości, jest istotnie szczęśliwym. Albowiem on nie tylko widzi rzeczy okiem, a słyszy uchem, ale prócz tego wyczuwa je sercem.

Rybołówstwo sportowe nie jest u nas dotąd owiane, jak taternictwo i myślistwo, poezją, jest ono mniej dostępne i dla wielu z nas obce. Ale jeśli zdolamy się z niem zapoznać, z jego treścią, kulturą i etyką, niezawodnie z czasem i w Polsce pokochamy je, gdyż tkwi w niem źródło nowej i wielkiej radości.

Bronisław Romaniszyn.

Czerpaki.

Czerpakiem nazywamy drewniane naczynie do czerpania, które od najdawniejszych czasów właściwe jest dla kultury pasterskiej. W starych browarach określano tak rodzaj kubła osadzonego na drążku¹⁾. Do tej grupy należą też rozmaite kubki, chochle, warzechy, miary na zboże i t. d.



Ryc. 1. Czerpak podhalański.
(Wedle W. Matlakowskiego).

Na Podhalu czerpak oznacza drewniany kubek z uchem do nabierania żętycy lub mleka, mający pojemność około kwarty. Górny obwód wynosi zwykle 37 cm, dolny obwód 27 cm, wysokość 12½ cm, wielkość rączki 19 cm. Czasem jednak wymiary te są o parę cm większe²⁾.

Kubek taki (ryc. 1) wytacza się zwykle z drzewa jaworowego, poczem denko wbija się w odpowiednią wrębę; rączkę czyli ucho przyprawia się w jeden i ten sam typowy sposób, a mianowicie brzeg rączki przytwierdza się w rowku na czerpaku; ząbek zahacza się za krawędź kubka, a dolną wąską część rączki obejmuje drewniana lub żelazna obręcz, opasująca spód czerpaka. Rączka bywa zwykle bardzo ozdobnie wyrzeźbioną w kształcie kapliczki, koguciej głowy z grzebieniem, psa, baranich rogów i t. d.³⁾.

Typ podhalańskiego czerpaka występuje również na obszarze liptowskim⁴⁾. Przeważnie jednak na Liptowie i Zwoleniu mamy odmienny rodzaj czerpaków, właściwych dla terytorjum słowackiego. Czerpak słowacki ma kształt niskiego walca, do którego dostraja się szerokie ucho, nieraz mało wystające ponad górny obwód czerpaka, a posiadające zwykle oryginalne zakończenie zupełnie odmienne, niż w rączkach podhalańskich⁵⁾ (Ryc. 2). Czasem i na tem uchu można zauważyć ozdobne zakończenie w kształcie koguciej głowy, ale formy takie powstały wyraźnie pod wpływem czerpaków podhalańskich⁶⁾.

¹⁾ Karłowicz J. Słownik gwar polskich t. I, str. 280—1; Gloger Z. Budownictwo drzewne, str. 195.

²⁾ Miary podane wedle 4 okazów czerpaków z Zakopanego w Muzeum im. Dzie duszyckich.

³⁾ Matlakowski Wł. Zdobienie i sprzęt na Podhalu. Warszawa 1915, str. 100—1, tabl. XLIV—XLV.

⁴⁾ Socháň P. B. Slovenské národné ornamenti. Turč. Sv. Martin. B. r. Tabl. 79.

⁵⁾ Socháň tabl. 149—150.

⁶⁾ Socháň tabl. 149 (trzy czerpaki u góry).



Ryc. 2. Czerpak słowacki.
(Wedle P. Socháña).

Pod względem kształtu podobne są do czerpaków słowackich drewniane miary na ziarno, które spotykamy czyto na Rusi (Ostrów koło Bóbrki)¹⁾ czy nawet w Albanji²⁾.

Do typu słowackiego zbliżają się też nieco czerpaki południowoślowiańskie, które możemy zauważyć w Bośni i Dalmacji. Kubek pasterski w północnej Bośni (ryc. 3) posiada kształty owalne³⁾, które wskazują na pewną łączność z naczyniami metalowymi⁴⁾, zwłaszcza łódkowatemi. Forma ucha i ornamentyka na kubku zawiera różne wpływy późniejsze, nieraz nawet nowoczesne. Typ

kubka jest zapewne dawny, gdyż podobnych używają pasterze w południowej Francji (Basses Pyrenées)⁵⁾ i Osetyńcy na Kaukazie⁶⁾.

Wogóle jednak przy tych studjach porównawczych należy pamiętać, że w kulturze pasterskiej mamy wiele innych drewnianych naczyń, które w zupełności zasługują także na miano czerpaków. Nazwa ta dałaby się zastosować przede wszystkim do niektórych warzech zwłaszcza wtedy, gdy mają one krótką rączkę, podobną do ucha w kubkach pasterskich. Warzechy te bywają nawet nieraz wręcz nazywane czerpakami. Tak np. określa się na Huculsczyźnie długą warzechę o rączce dłuższej na 42 cm, a chochli o średnicy 18 cm, służącą do czerpania mleka⁷⁾. Czerpakiem zo-



Ryc. 3. Czerpak półn. bośniacki.
(Wedle A. Haberlandta).

¹⁾ Dwa okazy w Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie o wysokości 10 cm, a średnicy 17 cm z charakterystyczną rączką, pochyloną do środka naczynia.

²⁾ Haberlandt A. Kulturwissenschaftliche Beiträge zur Volkskunde von Montenegro, Albanien und Serbien. Wien 1917, tabl. IX, Nr. 15.

³⁾ Haberlandt A. Volkskunst der Balkanländer. Wien 1919, str. 60—61, tabl. XX; Peasant Art in Austria and Hungary. London, „Studio“ 1911, Nr. 525—535.

⁴⁾ Spiess K. Bauernkunst. Wien 1925, s. 43.

⁵⁾ Buschan G. Völkerkunde. Stuttgart 1926. II 2, Tabl. 214, Nr. 1—2.

⁶⁾ Buschan j. w. II 2, str. 821, ryc. 501, Nr. 4.

⁷⁾ Okaz w Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie.

wie się też płaska drewniana łopatką, używana do skrapiania t. zw. „ryz“, czyli żłobów zrobionych z okrągłaków¹⁾.

Do poprzednio omówionych czerpaków zbliża się natomiast huculski czerpak na wodę (ryc. 4), znacznie jednak większy od podobnych naczyń podhalańskich; ma on w górnym obwodzie 60 cm, w dolnym 54 cm, wysokość wynosi $16\frac{1}{2}$ cm, a długość rączki 25 cm²⁾. Rączka umieszczona jest tak jak przy warzechach, u góry naczynia, a nie z boku.

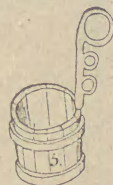
Wśród warzech szczególnie ciekawe są małe czerpaczki, które można zauważyć na różnych słowiańskich obszarach. Do tego typu należą przede wszystkim słowackie „varechy“ z Nohradu, owe jakby płytkie filiżanki o uszkach różnokształtnych³⁾. Bardzo podobne do nich są niektóre czerpaki rosyjskie⁴⁾ (ryc. 5).

Dość zbliżone są także drewniane naczynia białoruskie⁵⁾ (ryc. 6) i ruskie⁶⁾.

Te ostatnie wykonane z jednego kawałka drzewa odznaczają się nieraz prymitywnością, jaką spotykamy u ludów pierwotnych.

Analogiczne płytkie czerpaczki występują niekiedy w Czarnogórze⁷⁾, na Węgrzech w komitacie Heves⁸⁾, w Siedmiogrodzie⁹⁾, a nawet i Finlandii nie są one obce¹⁰⁾.

Forma małych czerpaczków zalicza się do bardzo dawnych, gdyż znajdujemy jej liczne odpowiedniki już w czasach przedhistorycznych. Można je spotkać już w polskim neolicie w grupie ceramiki wstęgowej promienistej¹¹⁾. Do tego typu należy czerpak z wielkiem silnie wzniesionem uchem z Poleskita¹²⁾ w pow. miechowskim (ryc. 7), a także czerpak o dnie półkuli-



Ryc. 4. Czerpak huculski. (Wedle Włodz. Szuchiewiczza).



Ryc. 5. Czerpak rosyjski. (Wedle Peasant Art in Russia).

¹⁾ Szuchiewicz Wł. Huculszczyzna. Kraków 1902. T. I. str. 212.

²⁾ Okaz w Muzeum im. Dzieduszyckich; Prw. Szuchiewicz, T. I. 298—9.

³⁾ Sochãň tabl. 78—79; Spiess, Bauernkunst, s. 43, ryc. 15, nr. 2.

⁴⁾ Peasant Art in Russia. London 1912, nr. 236.

⁵⁾ Ziemia IV (1913), s. 668.

⁶⁾ Peasant Art in Russia, nr. 435—441, nadto bliżej nieokreślony okaz w Muzeum im. Dzieduszyckich.

⁷⁾ Haberlandt A. Montenegro, Albanien und Serbien, Tabl. IX, nr. 10.

⁸⁾ Peasant Art in Austria, nr. 589—590.

⁹⁾ j. w. nr. 725—726.

¹⁰⁾ Buschan, Völkerkunde s. 1015, ryc. 666, nr. 4, 5.

¹¹⁾ Kozłowski L. Młodsza epoka kamienna w Polsce. Lwów 1924, s. 59.

¹²⁾ Kozłowski j. w. Tabl. XIII, nr. 1, 6.

stem z wzniesionem dużym uchem, z Mogiły w Krakowskim. Badania prehistoryczne stwierdziły na ziemiach polskich istnienie rozmaitego rodzaju glinianych czerpaków. W późnej epoce brązowej, wśród t. zw. ceramiki łużyckiej w półn. części Wielkopolski znajdują się też płaskie czerpaczki z wystającym ponad brzeg uchem i małą wytłaczaną z zewnątrz wypukłością w środku kulistego dna. Inne czerpaczki są głębsze o kształcie podwójnie stożkowym lub lejkowym¹⁾.



Ryc. 6. Naczynia drewniane białoruskie.

pierwotniejsze wpłynęły w wielu wypadkach na formy ceramiczne i nadały im pewien specjalny styl, zwany stylem drewnianym; szczególnie oddziaływały rozmaite czerpaki, kubki, warzechy, łyżki itd.²⁾

Z czasem w kulturze łużyckiej w okresie wczesnej epoki żelaznej zmieniają się nieco kubki i czerpaki, które cieniutkimi swymi ściankami przypominają wzory metalowe. Czerpaki z tego czasu przeważnie są podobne do misek i bądźto mają również zwężoną nieco szyjkę i brzeg nazewnątrz wygięty, bądź też szyjkę cylindryczną, osadzoną na nieco szerszym brzuścu. U wielu czerpaków i kubków dno włócone jest z zewnątrz ku ośrodkowi, ucho zaś występuje zwykle silnie ponad brzeg³⁾. Typy czerpaków płtykich trwają jeszcze w późnym okresie rzymskim⁴⁾.



Ryc. 8. Czerpak neolityczny z Mogiły w Krakowskim.
(Wedle L. Kozłowskiego).



Ryc. 7. Czerpak neolityczny z Poskwitowa w Miechowskim.

(Wedle L. Kozłowskiego).

Oczywiście nie należy sądzić, że naczynia gliniane wyparły zupełnie bez śladu naczynia drewniane; człowiek nadal wyrabia naczynia z drzewa, które ulegają jedynie pewnym przemianom. Zrazu wytwarzano różne kubki, garnuszki i czer-

¹⁾ Kostrzewski J. Wielkopolska w czasach przedhistorycznych. Poznań 1923, s. 68-69.

²⁾ Ebert M. Reallexicon der Vorgeschichte. Berlin. 1926, T. V, s. 356.

³⁾ Kostrzewski, Wielkopolska, s. 94-5, 97-8.

⁴⁾ Kostrzewski, s. 194-195.

paki z jednego kawałka drzewa¹⁾. Takie prymitywne naczynia mamy już w palafitach szwajcarskich w Robenhausen i w starożytnościach tak duńskich jak skandynawskich²⁾. W tym celu pień drzewny wydrążano kamienną siekierą lub też wypalano otwór przy pomocy ognia. Przykłady takiej pierwotnej techniki utrzymały się do dzisiejszych czasów na Sardynji³⁾.

Nie brak wzmianek, które dowodzą, że w świecie klasycznym było wiele rozmaitych naczyń z drzewa. W Grecji oznaką prostego, surowego obyczaju był kubek wyrżnięty z buczyny a powleczony woskiem. Pasterze w Arkadii wyrabiali czerpaki z jodłowych korzeni⁴⁾. W kulturze rzymskiej pojawiają się naczynia drewniane już zbijane z klepek. Forma ta występuje szczególnie w w. III—IV w wiadrach o metalowem okuciu. Prawie równocześnie występują także naczynia toczone⁵⁾.

Na naczynia drewniane podobnie jak na ceramikę wpływają bardzo silnie także typy naczyń metalowych. Szczególnie wyraźnie oddziaływanie to zaznacza się w łódkowatych czerpakach z obustronnymi rączkami w kształcie ptasich głów. Czasze o takich łódkowatych kształtach pochodzą ze Skandynawji i tam do dziś są bardzo częste zarówno w Szwecji, jak Norwegii⁶⁾. Formy te oddziaływały na drewniane czerpaki rosyjskie⁷⁾ (ryc. 9), a prawdopodobnie za pośrednictwem rosyjskim przedostały się także na terytorjum fińskie, gdzie je spotykamy u Zyrjanów nad Wyczegdą⁸⁾. Bardzo jednak możliwe też, że są to wyniki dawnych łączności kulturalnych między temi obszarami, skoro zupełnie identyczne naczynie bronzowe z wczesnej epoki żelaznej znaleziono w Szatmár na Węgrzech⁹⁾.



Ryc. 9. Czerpak rosyjski.
(Wedle Peasant Art in Russia).

Na tle tych zestawień występuje czerpak podhalański bardziej plastycznie, a zarazem jaśniej przedstawiają się nam porównania dawniej wyrażone. Dzięki Witkiewiczowi bowiem już Puszet¹⁰⁾ zwrócił swego czasu uwagę, że

¹⁾ Schrader, Reallexicon d. indogerman. Altertumskunde. II. wyd. T. I, s. 356; Hoops J. Reallexicon der germanischen Altertumskunde, T. II, s. 559.

²⁾ Buschan, Völkerkunde. II 2, s. 485.

³⁾ Rütimeyer L., Ur-ethnographie der Schweiz. Basel 1924, s. 150.

⁴⁾ Haberlandt, Volkskunst d. Balkanländer, s. 60.

⁵⁾ Hoops, Reallexicon II, s. 559.

⁶⁾ Buschan, Völkerkunde II, 2, s. 490—492; Spiess, Bauernkunst, s. 42.

⁷⁾ Peasant Art in Russia, s. 239.

⁸⁾ Buschan j. w. s. 970.

⁹⁾ Spiess, Bauernkunst, s. 42.

¹⁰⁾ Puszet L. Studja nad polskiem budownictwem drewnianem. I. Kraków 1903, s. 85.

czerpak z wysp Admiralskich¹⁾ z uchem zakręconem ozdobionem ząbcami, możnaby wziąć za typowy okaz zakopiańskiego zdobnictwa. Puszet oczywiście, ulegając obowiązującym wówczas ewolucyjnym zasadom, dziwił się, że tak identyczne prawie rezultaty osiąga ludzkość w niezależnych od siebie wypadkach. Dziś objaśniamy tę zgodność inaczej, już nie przypadkową zbieżnością, ale widzimy w tem wynik wędrówki form kulturalnych, jaka się odbywała w znacznym czasie i na znacznej przestrzeni.

Zresztą w tym szczególnym przypadku czerpak z wysp Admiralskich nie zbliża się specjalnie do typu podhalańskiego, lecz należy właśnie do grupy płytkich, łyżkowatych czerpaków, występujących szczególnie we wschodniej Europie i podobny jest raczej do niektórych ruskich czerpaków²⁾. Natomiast z czerpakami podhalańskimi pod względem formy najbliższą są spokrewnione kubki pasterzy francuskich z Basses Pyrenées³⁾.

* * *

Przegląd materiału, dotyczącego czerpaków, pozwala na wyróżnienie następujących grup kulturalnych:

1) Płytkie łyżkowate czerpaki właściwe dla obszaru wschodniej Europy (Słowianie wschodni, Finowie) ale występujące także w Czarnogórze, na Węgrzech i w Siedmiogrodzie. (Ryc. 5, 6, 8).

2) Owalne, prawie półkuliste czerpaki południowoślowiańskie, mające swe analogie w południowej Francji i na Kaukazie. (Ryc. 3).

3) Łódkowate czerpaki skandynawskie, rosyjskie i fińskie. (Ryc. 9).

4) Podhalańskie czerpaki o kształcie lejkowatym, zbliżone do typu prehistorycznego (ryc. 7) oraz do form francuskich z Basses Pyrenées.

5) Walcowate czerpaki słowackie (ryc. 2), do których nieco podobne są czerpaki rumuńskie⁴⁾.

6) Huculskie czerpaki, które są jakby mieszaniną form wschodniosłowiańskich (rączka) i rumuńskich (kubek).

Adam Fischer.

¹⁾ Ratzel Fr. Völkerkunde. Leipzig 1894. T. I, s. 231.

²⁾ Peasant Art in Russia, nr. 441.

³⁾ Buschan j. w. ryc. 214, nr. 12.

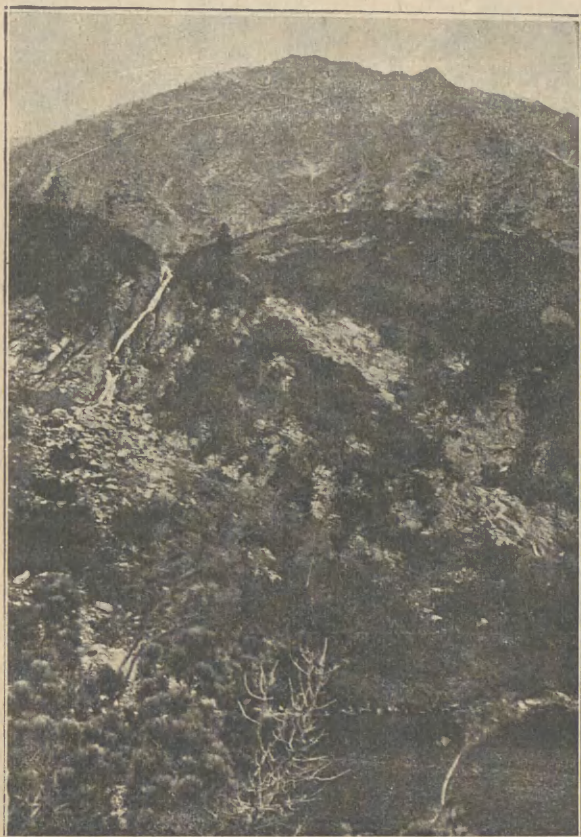
⁴⁾ Tzigara—Samurcas Al. L'art du peuple roumain. Genève 1925, s. 41.

Wodospad „Skośny“ nad Morskiem Okiem.

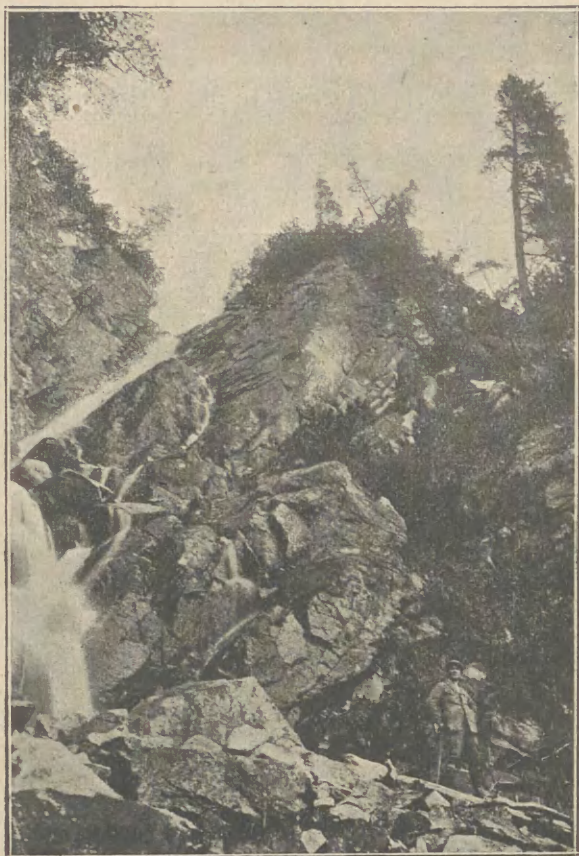
Wielką ozdobą otoczenia Morskiego Oka jest wodospad wpadający do jeziora w jego najbliższym i najgłębszym połudn.-zachodnim kącie, naprzeciw siklawy idącej z Czarnego Stawu. Niewidoczny z moreny, ukryty w kosówce, nie zwraca na siebie uwagi podziwiających krajobraz jeziora, chyba tych, którzy je łodzią przepływają, albo tych, co schodzą z moreny Czarnego Stawu, lub wreszcie tych, co Morskie Oko dokoła obchodzą. To też nie słycać o nim w opisach, nie widać go na rycinach, nie wiadomo nawet, czy i jaką ma nazwę. A przecież jest on wcale piękny i oryginalny, ożywia wielce nadbrzeżny krajobraz, więc choć w normalnym stanie skromne ma rozmiary, godzi się bliższą zwrócić na niego uwagę.

O nazwę dla niego nie trzeba sobie biedzić głowy, bo sama się narzuca. Kto go zobaczy, a chce innym zwrócić na niego uwagę, zawsze powiada:

O patrz-no, jaki to skośny wodospad! Główna jego część bowiem tworzy w ścianie granitowej białą, skośną kreskę, to też nazwa „Skośny wodospad“ będzie dla niego najtrafniejszą. Potok, który go tworzy, płynie z dolinki za Mnichem i jest odpływem Stawu Staszica. Odpływ ten nie przeci-



Wodospad „Skośny“ nad Morskiem Okiem.



Górna część wodospadu „Skośnego“ nad Morskiem Okiem.

na jednak moreny, jak to niegdyś być musiało, lecz uchodzi podziemnymi szczelinami głazów, skutkiem czego nastąpiło znaczne zmniejszenie powierzchni stawu, na rzut oka dotychczas widoczne. Przebywszy stoki Miedzianego z odchyleniem do podnóża Mnicha i Cubryny, przedziera się potoczek przez gęstą kosówkę i za olbrzymim, w łóżysku jego leżącym głazem, dostaje się na brzeg urwistej ścianki, ku Morskemu opadającej. Tu niestety następuje rozdzielenie potoku, które siłę wodospadu znacznie osłabia. Z niedość głębokiego korytka odchodzi na lewo boczna struga, zabierająca prawie połowę wody potoku i odchylając się coraz więcej w lewo, spada w licznych, szerokich kaskadach jako zwyczajna siklawica wprost do Morskiego Oka. Nieznającemu stanu rzeczy wydaje się, iż ta si-

klawa i wodospad „Skośny“ są ujściem dwóch odrębnych potoków.

Właściwy potok tworzy na wspomnianej ściance trzy kondygnacje spadku: pierwsza, górna część, to kilka 2—3 metrowych kaskad, dość szeroko rozlanych, trzecia, dolna — tak samo. „Skośny wodospad“ jest częścią środkową całości. Woda zbiera się tu w jedną strugę, która wpada w skośnie na prawo nastawiony komin skalny i z siłą i z głośnym szumem opada w wirujący basen, a z tego wylewa się na dolne kaskady, zlekka pyłem wodnym parskając. Przy wyższym stanie wody odchodzi z jego środka boczna, półkolista strużka wodna. Spadek wody nie jest prostopadły, ale zaledwie o kilkanaście stopni od prostopadłości odbiega, ścianka zaś prawobrzeżna kominka tak nad niego

płytami wybiega, iż prawie wodospad nakrywa. „Skośny wodospad“ jest do obejrzenia i do fotografowania trudno dostępny; nie cieszy się liczną frekwencją, bo we właściwe swe oblicze zajrzeć nie pozwala, a tylko rąbki swoich powabów uchyla. Ma on wiele podobieństwa do Niżnego Wodogrzmotu Mickiewicza, lecz jest niższy, słabszy siłą i poszumem od niego, za to o wiele skośniejszy. Na 15—20 m wysokości odchylenie spadku wynosi dołem 6 m; wysokość wszystkich trzech kodygnacyj wodospadu wynosi około 40 m.

Wiele powabu dodaje naszemu wodospadowi bujna i urozmaicona roślinność, jaka jego skaliste ścianki fantastycznie porasta. Nie mówiąc o wysokich trawach, przeróżnych ziołach, malinach, porzeczkach, trudno nie zwrócić uwagi na gęsty płaszcz kosodrzewiny, ponad który wychylają się głowy rzadkich smreków, brzoź, jarzębin i krzewów wierzbowych, a także i limb. Na zrębie jego lewobrzeżnej skałki stoi piękna limba sztandarowa, uskoki prawobrzeżnej ściany porasta młody zagajnik limbowy.

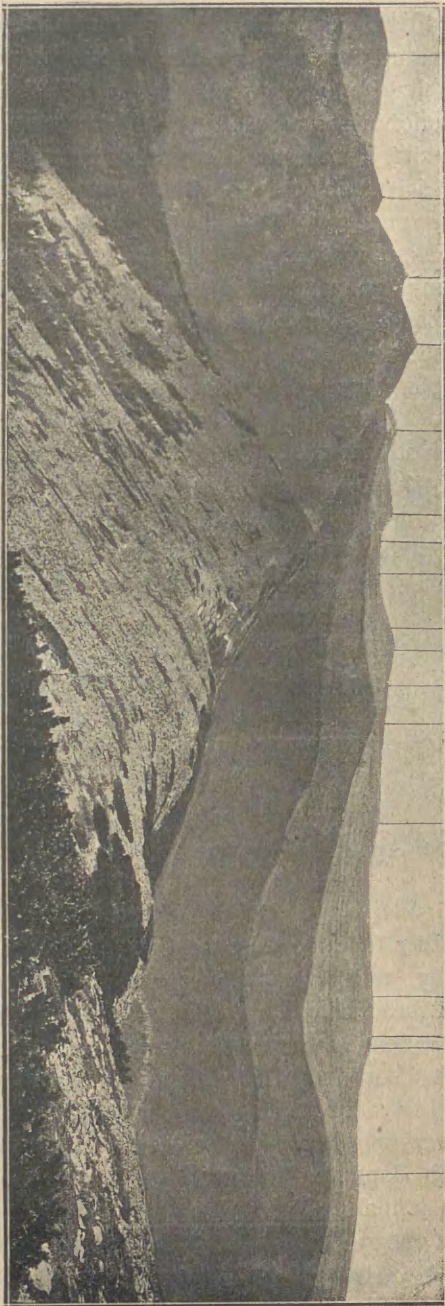
Jak zaczął tak i kończy potok „Skośnego“ swój żywot podziemnie.

Gdy kroczymy brzegiem jeziora w pobliżu Mnicha, w owym najdzikszym kącie, zawalonym wielkimi złomiskami skalnymi, wprost w ciemną toń wody zapadającymi, słyszymy nieco dalej z pod zwaliska głazów bulkot żwawo bieżącej wody. To właśnie ujście „Skośnego“ do Morskiego Oka.

Kazimierz Sosnowski.

„Sadki“ w Gorganach.

Jak zwykle w turystyce górskiej bywa, cieszą się najwyższe szczyty nieporównanie większą popularnością i liczniejszym nawiedzaniem ich przez turystów, aniżeli ich niższe sąsiady, mimo że tak swoją ekspozycją, jak i innymi szczegółami mogą być od tamtych więcej zainteresowania godne. Tak było w Tatrach z Łomnicą, Krywaniem i Gałuchem w stosunku np. do Ganku lub Wideł, tak było również na Czarnohorze, gdzie długie lata Howyrla i Pop Iwan spychały na drugi plan Kozły lub Szypci. Nie inaczej jest wreszcie w Gorganach, gdzie obecnie szczyt dążności wszystkich rzesz turystycznych jest wyjście na Siwulę lub Popadję. Wycieczki na te szczyty, w gruncie rzeczy bardzo nietrudne, są jednak z tego powodu uciążliwe, że na każdą z nich, choćby z najbliższej położonego Stanisławowa, zużyć się musi 3 do 4 dni czasu: więc nie dziw, że każdy turysta chce wobec tego zażyć możliwie



Panorama z Siniaka w stronę północno-zachodnią: 1. Skalki (1597 m), 2. Pikun (1657 m), 3. Doboszanka, szczyt półn.-zach., 4. Doboszanka szczyt główny (1757 m), 5. Siwulia (1836 m), 6. Polenski (1697 m), 7. Siniak-Gorgan (1600 m), 8. Kiewka od Polenskiego, 9. Kiewka od Kozłego Gorganu, 10. Róg (1815 m), 11. Wysoka—Igronaszczce (1805 m), 12. Kozł Gorgan (1616 m), 13. Wierch Sredni (1647 m), 14. Zapłata (1508 m), 15. Przełęcz Kozia (1255 m), 16. Wierch Pasteczny (1485 m), 17. Kozia (1447 m).

najwięcej emocji, której nie spodziewa się w tej mierze od szczytów niekulminacyjnych. Ponadto robi tu swoje i reklama, jak to ma miejsce zwłaszcza z Doboszanką, a obecnie i z Popadją. Dlatego w niegościnnych Gorganach, znanych ze swej niedostępności, jest wiele pomniejszych szczytów, nietkniętych dotąd stopą turysty.

Grupą takich szczytów są między innymi tak przez tubylców zwane „Sadki“ w grupie Doboszanki. Zwracają one uwagę każdego turysty, oglądającego panoramę Doboszanki czy z Siwuli, czy też ze Siniaka, jako dodające jej w wysokim stopniu charakteru nie ramienia lecz grupy o szczytach ostrych i smukłych, bogactwem stromych linii znacznie wyróżniając ją od dalszego otoczenia. Dominuje nad nią oczywiście królowa jej Doboszanka, używając ich, jakby swojej świty, do podniesienia własnego uroku.

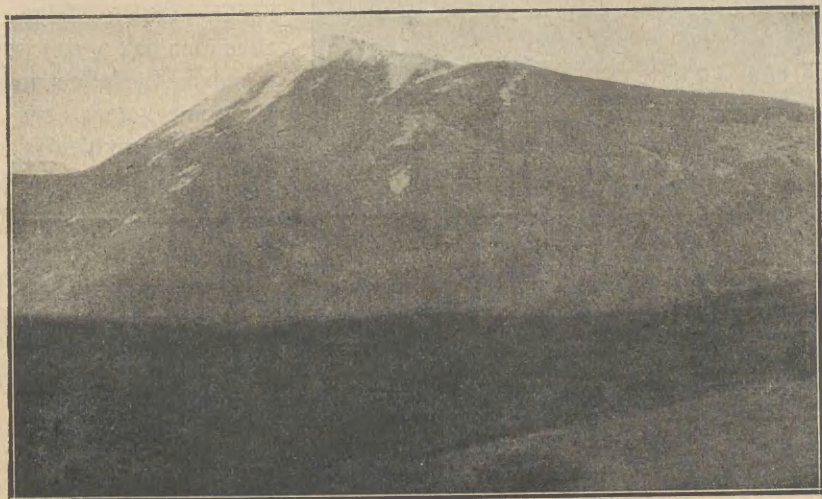
Orograficznie rzecz biorąc są to północ-wschodnie rozgałęzienia ramienia doboszańskie-

go, stanowiące grzbiet, a zarazem dział wód, między dopływami Zielnicy: Sitnym a Czernikiem, ze szczytami Kozim Gorganem, Kływkami jedną i drugą (na mapie nieoznaczonymi), wreszcie stanowiącym kulminację grzbietu Poleńskiego, 1697 metrów n. p. m.

Grzbiet ten wyróżnia się tem, że zajmuje kierunek poprzeczny do regularnego rzędu karpackich łańcuchów, stanowiąc esowaty, do znacznej wysokości wzniesiony pomost między grzbietem ramienia Doboszańskiego, a najbliższym na północo-wschodzie wałem, na który składają się podłużne grzbiety Koziej, Toustego i Jawornika-Gorganu nad Jaremczem.



Róg (1815 m) zdjęty z Igrowiszcza.



Szczyt Poleńskiego (1697 m) zdjęty z Nadziei Poleńskiej.



Skałki (1597 m) z połominki pod Nadzieją Poleńską.

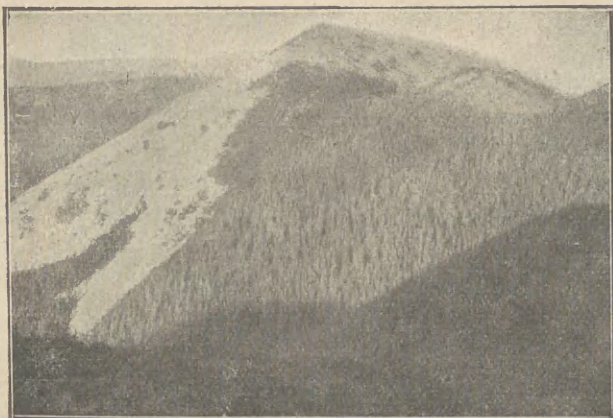
ści Gorganów w grupach Popadji i Grofy, lub z Rogiem, mylnie nazwanym Igrowiszczem, obok Wysokiej¹⁾.

W „Sadkach“ tych wyróżniają się głównie dwa szczyty, a to Poleński i Kozi Gorgan. Pierwszy z nich, jak wspomniałem, wchodzi w skład ramienia doboszańskiego, wznosząc je na północo-zachodzie od przełęczy między nim a Pikunem (1657 m n. p. m.) na wysokość 1700 m n. p. m. Znamien-

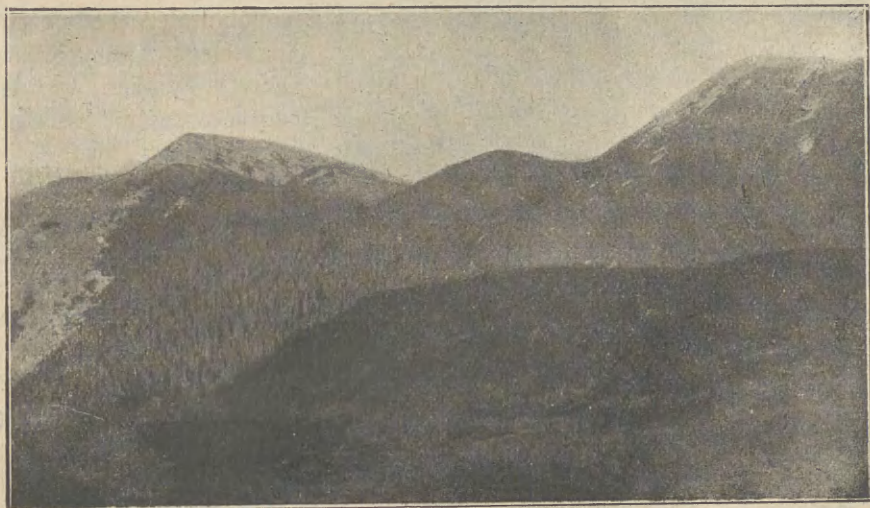
Ramienia doboszańskiego czepia się na wysokości blisko 1700 m n. p. m. w Poleńskim, natomiast z przedłużeniem grzbietu Jawornika spaja się w kulminacji Koziej, 1447 m n. p. m. Ponieważ północo-wschodnie zbocza ramienia Doboszańskiego są jednolicie pozbawione poprzecznych rozgałęzień szczytowych i opadają bezpośrednio i bardzo stromo w podłużne, dolinki spływających na tej stronie z pod ich stóp potoków, grzbiet ten stanowi silną dywersję w monotonnej regularności budowy tych antyklin, podnosząc pod względem krajobrazowym bardzo ten karpacki zakątek, dając mu znamiona, jak wyżej wspomniałem, bezładnej grupy. Podobnie rzecz się ma z budową grzbietów karpackich w zachodniej czę-

¹⁾ Igrowiszczem nazywają tubylcy niewielką przestrzeń, położoną na południowej stronie szczytu Wysokiej w strefie złomisk, niezwykle dziką i jałową; w miejscu tem igrają na pełniach księżycowych t. zw. „majki“, t. j. dusze zmarłych przed chrztem dzieci. Natomiast szczyt, a raczej grzbiet z kulminacją 1815 m n. p. m. zwie się Rogiem.

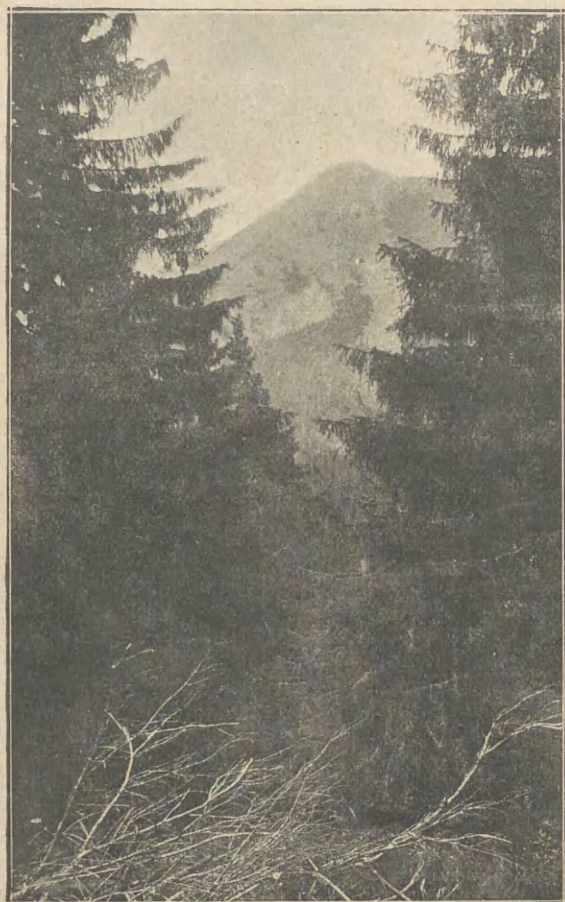
nem jest, że mimo tak znacznej wysokości Poleński od strony zachodniej pozbawiony jest, za wyjątkiem samego szczytu, niemal zupełnie złomisk. Jest on na tej stronie bardzo nieznacznie nachylony i pokryty szachownicą połoniny z kosodrzewiem. To też, by dostać się na szczyt od tej strony, musi się w kilku miejscach przedzierać mozolnie przez gąszcze kosodrzewiny. W stronę półn. zachodu obniża się przez t. zw. „Nadzieję Poleńską“ (1617 m n. p. m.) w przełęcz tej samej nazwy (przejście z doliny Czernika do doliny Doużyńca), nad którą wznosi się po przeciwnej stronie końcowy szczyt ramienia doboszańskiego „Skałki“ (1597 m n. p. m.),



Kozi Gorgan (1616 m) od strony Skalek.



Szczytowa linja „Sadków“ od Koziego Gorganu na lewo, do Poleńskiego na prawo.



Kozi Gorgan (1616) od strony Skałek.

„Poleńska Góra“) i drugą pod Szteryszorką (1569 m n. p. m). Obie są w lecie zużywane na wypas bydła przez górali z Rafajłowy, Doużyńca i Maksymca.

Kontrastowo odmiennie kształtuje się teren na półn.-wschód od Poleńskiego. W kierunku tym szczyt jego opada nagle i stromo białem od złomisk zboczem w strefę kosodrzewiny, gdzie przypiera doń ów pomost, łączący go z Kozią. Następuje więc poszyta kosodrzewiną Klewka jedna i druga, wreszcie stanowiący „clou“ tutejszego krajobrazu „Kozí Gorgan“.

Wynurza się on z głębokich depr Czernika od północy i Sitnego od po-

będący najlepszym punktem widokowym na grupę Skałek. Pod Skałkami opada ramię Doboszańskie dwoma działami w dolinę Czarnej Bystrzycy. Jednym z nich obniża się statecznie w zach. zach.-półn. przedłużeniu Skałek w dno doliny tuż poniżej ujścia Doużyńca, zaś drugim wygina się zrazu na północ, następnie na półn.-zachód, tworząc potężny grzbiet Berezowaczki z kulminacją 1521 m n. p. m. Oba te działki zamykają między sobą najpiękniejszy w dorzeczu Czarnej Bystrzycy zwór Dziurdzińca, którym też wiedzie najdogodniejszy dostęp z doliny Bystrzycy na Poleńskiego.

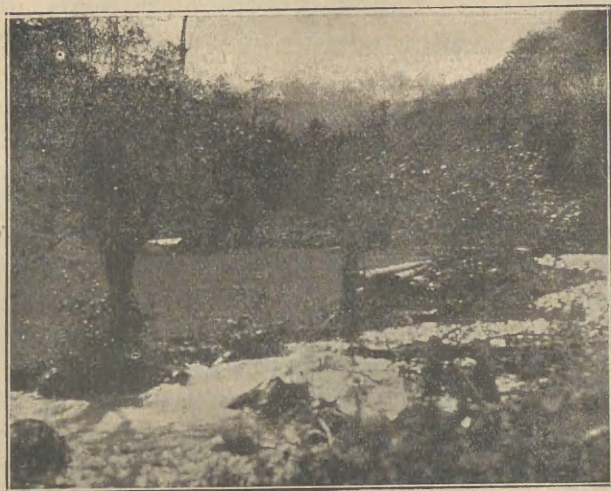
Południo-zachodnie stoki Poleńskiego opadają w normalnych formach w dolinę Doużyńca, dając miejsce nad górną granicą lasu dwom nieznacznym połoninkom, a to jednej tuż pod Nadzieją Poleńską (na mapie 1:75.000

łudnia szeroko rozsiadłym masywem, wydłużonym w kierunku od połudn.-wschodu na półn.-zachód, jak gdyby resztką odrębnego grzbietu zaległego pośrodku między ramieniem Doboszanki a grzbietem Koziej, i strzela nagiemi złomiskami wysoko ponad pas kosodrzewiny do wysokości 1616 m n. p. m. Szczególnie od północy i półn.-wschodu złomiska są na nim niezwykle silnie rozwinięte, a pas ich poczyna się tu głęboko w strefie regli, jak mało gdzie w Gorganach. Gdy zaś półn.-wschodnie zbiega się w nich z reguły poszycie na tych wysokościach kosodrzewiem, dając obraz ponury, Kozi Gorgan tym jasnym od złomisk stokiem wyróżnia się w niezwykle silny sposób w tutejszym krajobrazie, robiąc przy stosownej grze światła wrażenie bajecznej, iście kryształowej góry.

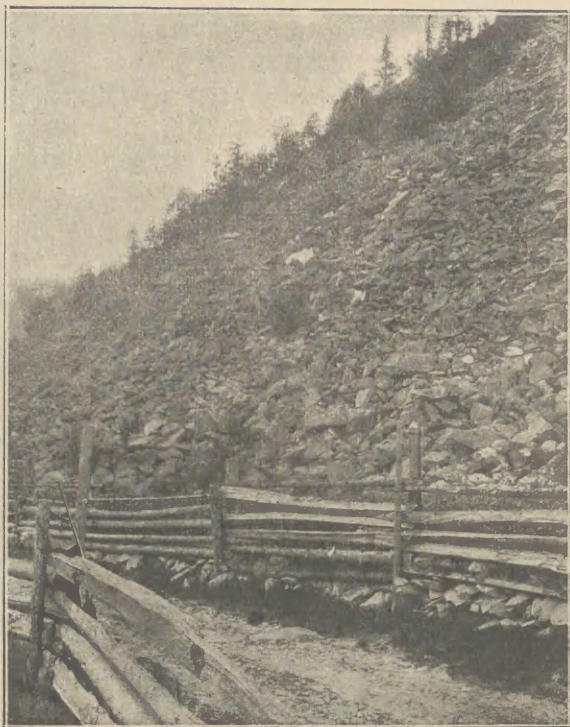
Boki tego pomostu w jego części bliższej Poleńskiego zciosał od strony półn.-zachodu niezwykle dziki w tym miejscu potok źródłowy Czernika, mający swe obfite źródło pod samym szczytem Poleńskiego. Spada on z onej wyniosłości po pochyłej, mało co od prostopadłej odchylonej linii, płytkim, słabo wyrobionym, bo zupełnie młodym żłobem z wysokości blisko 400 metrów. Dla widza obserwującego go z dna doliny, zapadłej w głuchej, czarnej puszczy, przedstawia ten pionowy zwór widok niezrównany. Z powodu zawrotnej wysokości nie da się on jednak żadnym aparatem fotograficznym ująć.

Niezwykle silne spadki wód znajdują się tu nie tylko w strefie nad reglami lub w górnej ich części, ale także niżej, w zamieszkałej części doliny Czernika. Trzeba tu wspomnieć, że nad wodami temi (dopływami Zielenicy), pojawia się choroba wola, nieznaną zresztą we Wschodnim Beskidzie, co przypisuje się właściwościom ich chemicznego składu.

Na Kozim Gorganie wygina się grzbiet w stronę połudn.-wschodu, rozciągając się na



W dolinie Czernika.



Złomiska w Zielenicy sięgające aż do dna doliny.

długości blisko 1 km równoległe z Kozią, poczem zmieniając z powrotem kierunek na półn.-wschodni, obniża się do przełęczy między nią a Kozią (można nazwać ją „przełęczą Kozią“), na wysokość 1256 m n. p. m., poczem łączy się wreszcie z grzbietem Koziej w jego kulminacji 1447 m n. p. m.

Grzbiet Koziej to typowy grzbiet złomiskowy, nie różniący się niemal niczem od Gorganu-Jawornika nad Jaremczem. Południowo-zachodnie stoki jego bowiem zasłane są tak samo na przestrzeni około 1 $\frac{1}{2}$ km złomiskami, które na grani urywają się nagle, jak wszędzie w Gorganach, zwisając od strony półn.-wschodu przewieszkami nad pasem regli.

Występowanie złomisk w tak znacznym stopniu na Koziej oraz na tak bliskim od niej Kozim Gorganie, którego pola złomiskowe łączą się ze złomiskami Poleńskiego, a następnie mają niemal nieprzerwaną łączność z obszarami złomiskowymi Doboszanki, stworzyło pierwotnie warunki sprzyjające dawniej gnieźdzeniu się na tych skalnych pustkowiach kozic, jako w jedynym w polskich Karpatach, poza Tatrami, miejscu. Dowodem tego nie tylko topograficzne nazwy: Kozia, Kozi Gorgan i Kozi potok, ale nadto stare akta łowieckie oraz ustna tradycja u tych tubylców, którzy z dziada pradziada są zawodowymi strażnikami łowieckimi. Stanowiąc obiekt łowiecki wyginęły one zupełnie zapewne jeszcze przed czasem obowiązywania ustawy z r. 1869 o ich ochronie, tak, że dziś, prócz wymienionych wyżej nazw, i śladu po nich niema.

Dostęp w „Sadki“, o ile obrałoby się tak wyjście jak zejście do doliny

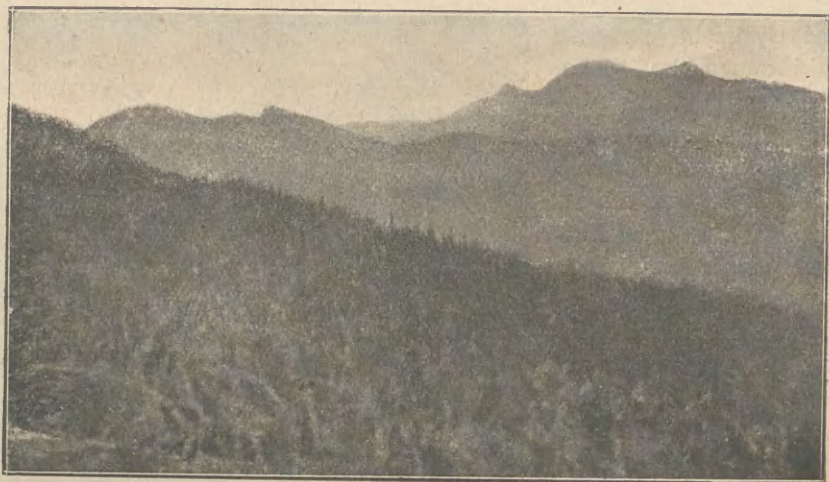
Czarnej Bystrzycy, jest wcale łatwy i niemożliwy. Zwiedzenie ich można objąć wycieczką na Poleńskiego z wyjściem z Dzierżnińca a z zejściem w Doużyniec lub odwrotnie. Tak założona tura nie daje jednak wszystkiego, co by winno wejść w program zwiedzenia Sadków. Szłoby bowiem, jeśli nie o zwiedzenie także i samego szczytu Koziego Gorganu, to w każdym razie o zwiedzenie wspaniałych skupień limby, występujących w kilku miejscach w Sadkach z siłą gdzieindziej w Gorganach prawie nie spotykana, a nadto o zwiedzenie przełęczy i szczytu Koziej,



Sadki ze szczytu Koziej. — Dominuje Kozi Gorgan, z poza niego po lewej wygląda Poleński, na prawo Nadzieja Poleńska, dalej przełęcz tejsze nazwy, potem Skalki i zbocze Berezowaczki.



Szczyt Koziej (1447 m).

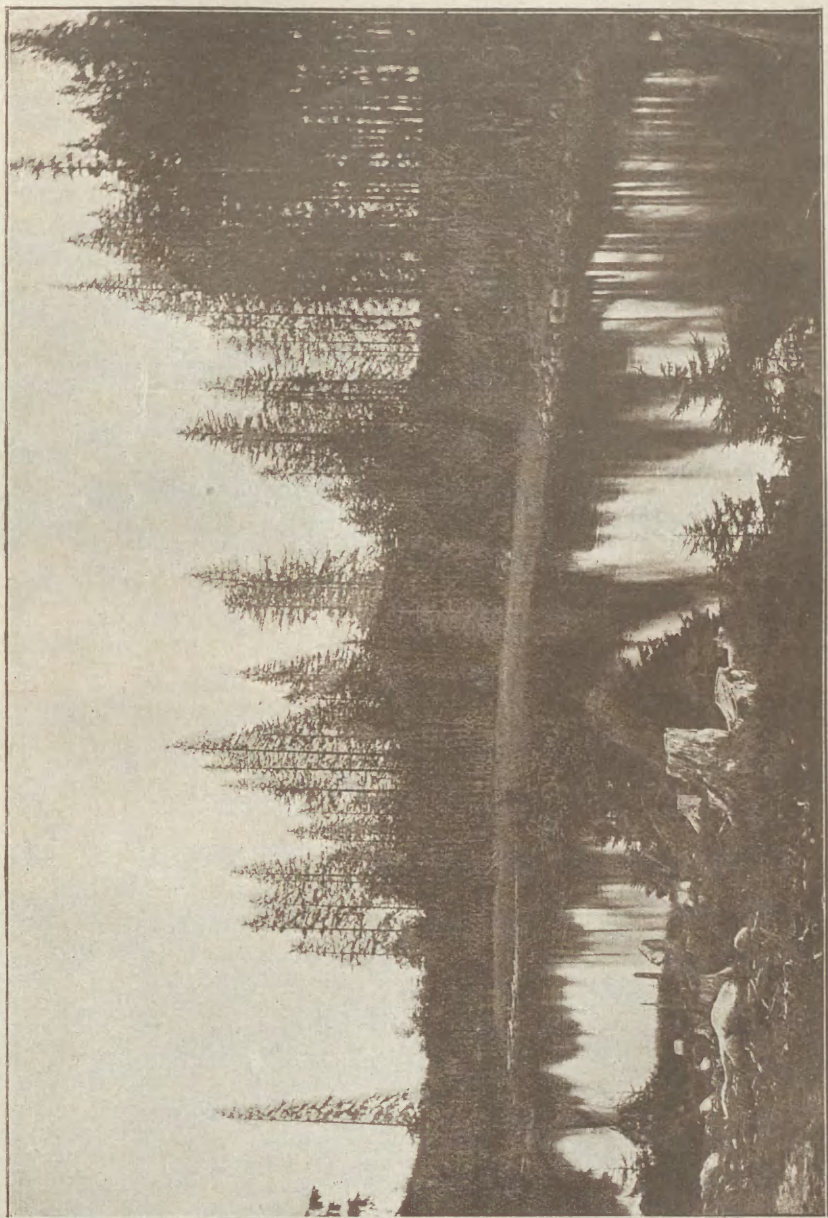


Widok z Koziej w stronę połudn. zach. Od lewej do prawej: Bukowiec, Jawornik-Gorgan, Hrebła nad Tatarowem, Chomiak, Siniak i Siniak-Gorgan.

jako dających niezrównany widok na grzbiet Siniaka z jego dwoma narożnymi basztami: Chomiakiem od południowego-wschodu i Siniakiem-Gorganem od północnego-zachodu. Tak wyniosłe i okazałe nie przedstawia się on



Dolina Czarnej Bystrzycy poniżej ujścia Dziurdzińca.

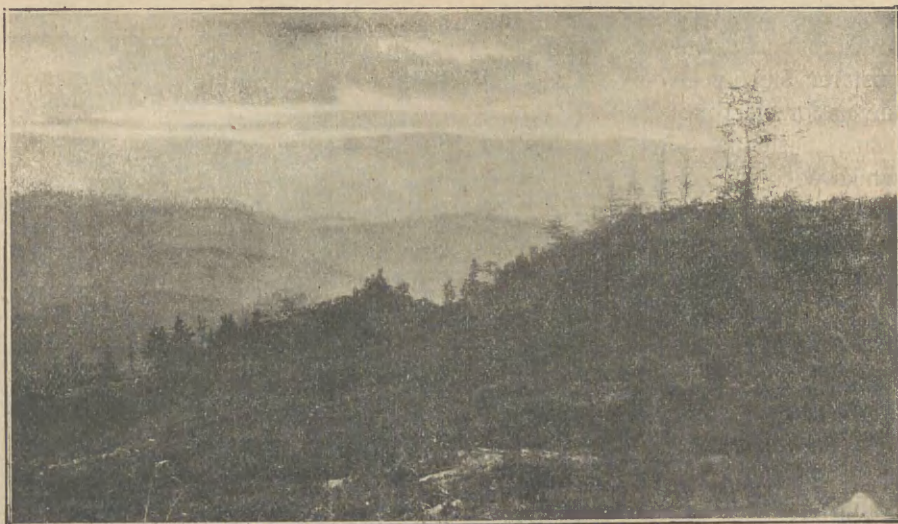


STAW TOPOROWY (TYP NISKO POŁOŻONEGO STAWU TATRZAŃSKIEGO)

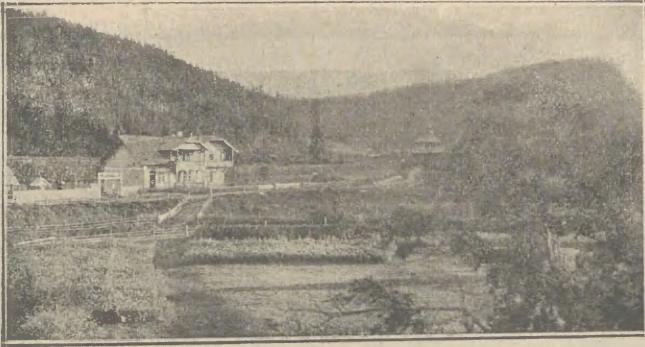
1 2 3 4 5 6 7



Panorama z połoninki Par w stronę północno-zachodnią: 1. Siwula (1836 m), 2. Bojaryn (1679 m). 3. Róg (1815 m), 4. Wysoka (1805 m) 5. Berezowaczka (1521 m), 6. Wierch Średni (1642 m), 7. Stanimir (1549 m).



Widok ze szczytu Skalek na pasmo Bratkowskiej.



Rafajłowa. Z lewej strony oberża Wundermana, z prawej w głębi rzym.-kat. kościołek.

dopływu, Zielenicy, i to przez Kozią. Zejście bowiem do tej ostatniej zworem Czernika, chociaż najkrótsze, obok tego że nie daje możliwości oglądania panoramy z Koziej, jest nadto niezwykle mozolne i uciążliwe wskutek zupełnego w wielu miejscach zniesienia zalewami potoka płaju w górnej części doliny.

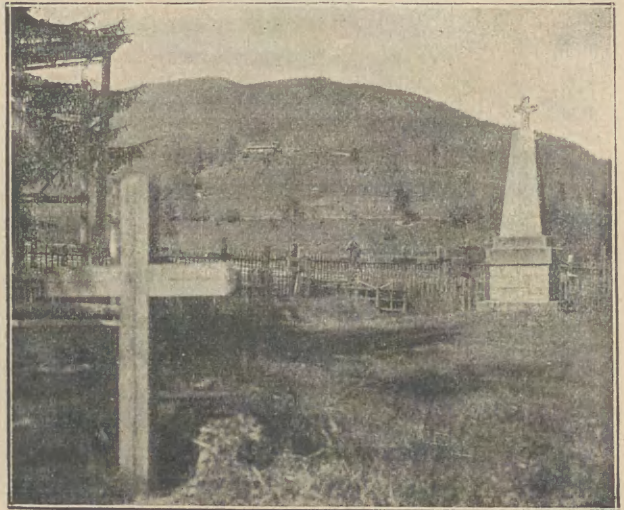
Zalecałbym przeto następujący układ wycieczki:

W Zarządzie tartaku w Nadwornie (u kierownika ruchu kolejki) postarać się o zezwolenie na przejazd kolejką leśną, następnie kierownika pociągu poprosić by zatrzymał pociąg w Dziurdzińcu przy Zimnym Zworze (Studenyj Zwir), w normalnym ruchu bowiem pociąg tam się nie zatrzymuje. Tu wysiąść i rozpocząć pieszą część wycieczki.

Miejscowość Dziurdziniec jest to najpiękniejsze miejsce w dolinie Czarnej Bystrzycy.

bowiem z żadnego ze szczytów w dorzeczu Prutu. Podobnie imponująco przedstawia się ztąd również i Jawornik-Gorgan nad Jaremczem.

Względy te przemawiają przeto za tem, by z Poleńskiego nie wracać w dolinę Czarnej Bystrzycy, lecz w dolinę jej



Pomnik poległych na cmentarzu w Rafajłowej.

Składa się tu na piękno krajobrazu zwężenie doliny i zwężeniu takiemu zwykle towarzyszący przełom rzeki przez jądro grzbietu, w tym wypadku grzbietu Berezowaczka — Maksymiec, następnie tuż powyżej przełomu uchodzący w dolinę wspomniany wyżej zwór Dziurdzińca z orograficznie prawej, oraz Zimnego Zworu ze stoków Maksymca z lewej strony. Sze-



Las świerkowy na grani poniżej Skałek.

roka kładka prowadzi tuż powyżej ujścia Dziurdzińca przez Bystrzycę w jego zwór. Po około 2 km drogi jego dnem zbroczyć należy w prawo w poboczny potoczek, zwany „Koniak“, z którego prowadzi ścieżyna dalej



Dolina Doużyńca.



Skupienie limb w pasie kosodrzewiny w okolicy przełęczy między Skałkami a Berezowaczką.

to stoki, to wododziałem między nim a Dziurdzińcem na połoninkę „Par“ a następnie wychodzi na przełęcz pod Nadzieją Poleńską. Tu dla pięknego widoku opłaci się zboczyć z drogi na Skałki (15—20 minut czasu), poczem dopiero wróciwszy na przełęcz ruszyć dalej na szczyt Poleńskiego.

Ktoby ze względu na nocleg znalazł się w Rafajłowej, temu wygodniej bez zawracania do Dziurdzińca puścić się od razu z Rafajłowy na stok od Doużyńca i nim osiągnąć grań między nim a Dziurdzińcem, którą wiedzie ścieżyna wprost na szczyt Skałek. Dostęp ten

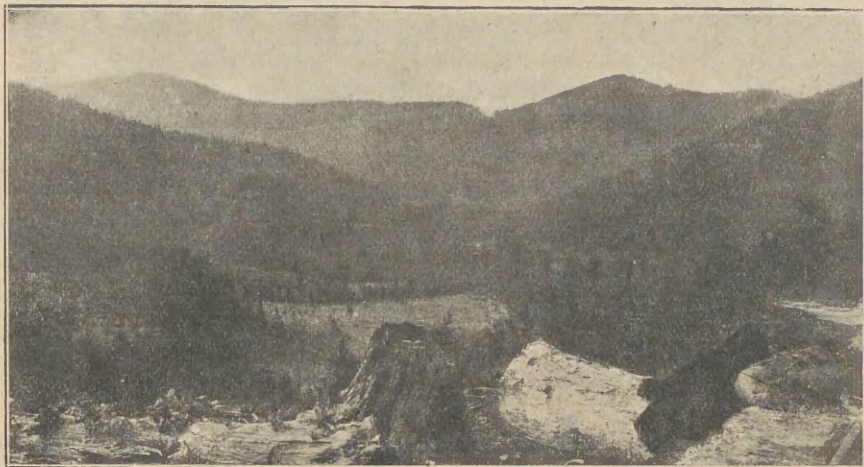
Ktoby ze względu na nocleg znalazł się



Brzeg gaju limbowego rosnącego wśród złomisk na póln.-zachodnich stokach Koziego-Gorganu.

pod względem widokowym nie ustępuje poprzednio opisanemu; bardzo pięknie z tej drogi przedstawia się podłużna dolina Doużyńca.

Ze szczytu Poleńskiego można albo zdecydować się na przejście przez Klewki granią wprost na szczyt Koziego Gorganu, a następnie z połudn.-wschodniego jego końca zejść na przełęcz Kozią, albo wróciwszy na przełęcz



Dolina Rosiczy.

pod Nadzieją Poleńską opuścić się w kierunku grzbietu Berezowaczki, dojść na nim do pierwszej od tej strony przełęczki, w całości szczawiem zarosłej, poczem zawrócić z niej na wschód w zwór owego dzikiego potoka „z pod Poleńskiego“. Tu musi się odszukać płaj myśliwski i nim stokami Klewek, a następnie Koziego Gorganu okrążyć jego masyw i dostać się wreszcie na przełęcz Kozią. Pierwsza droga nastęrcza dużo trudu i mozołu koniecznością przedzierania się przez gęstą kosodrzewinę na Klewkach i karkołomnego skakania po chwiejnych złomiskach, daje natomiast obok niezwyklej sportowej emocji piękne widoki szczytowe, zwłaszcza na Doboszankę. Droga druga natomiast jest znacznie łatwiejszą; nastęrcza ona możliwość oglądania owego źródłowego potoku Czernika „z pod Poleńskiego“, oraz dwu znacznych skupień limb, a to jednego po drodze do owej przełęczki w kierunku Berezowaczki, zaś drugiego na zachodnim, złomiskowym stoku Koziego Gorganu. Z uwagi na łatwość zabłądzenia radziłbym w razie użycia tej drogi nająć w kolebie pod Nadzieją Poleńską pastucha, któryby zaprowadził do płaju



Widok z nad Poharczeny na Doboszankę i zwór Sitnego.

myśliwskiego wiodącego ponad potok „z pod Poleńskiego“ do domku łowieckiego na Koziej przełęczy.

Po osiągnięciu już bez żadnych trudności szczytu Koziej, 1447 m n. p. m., pozostaje zejście jedyną drogą, granią, mając po prawej stronie zwór Koziej a po lewej zwór Rosiczy, wprost do widniejącej w dole Zielenicy, z kądem albo do kolejki leśnej w Zielonej albo przez Poharczenę i dalej popod Siniaczkę do Dory.

Jest to w każdym razie dobry dzień drogi, licząc, że po zancowaniu w Rafałowej wyszło się wczesnym rankiem. Jeśli jednak wyjechało się rannym pociągami kolejki leśnej z Nadworny, który zazwyczaj wychodzi dopiero o 8 godzinie rano, a w Dziurdzińcu jest dopiero około 11, oczywiście dzień tu nie wystarczy i dlatego należy się liczyć z prznocowaniem wśród drogi. Jedyne punkty noclegowe są tu albo szałas pasterski pod Nadzieją Poleńską, albo schronisko łowieckie na Koziej przełęczy.

Aby ostrzedz przed dezorientacją, zwracam uwagę, że liczne ślady kopyt końskich na płaju łowieckim między Kozim Gorganem a Kozią, w obu kierunkach nie zawiodą turysty bynajmniej do jakowejś stacji: pochodzą bowiem od koni puszczanych przez górali z Zielonej i Zielenicy samopas na nieznacznych rozmiarów połoninki, znajdujące się na południowych upadach szczytu Koziej, oraz w okolicy Koziej przełęczy. Wypędzone tu na lato konie

bez żadnej opieki pasterskiej pasą się wędrując swobodnie w poszukiwaniu za lepszą paszą z miejsca na miejsce. Zdarzają się jednak wypadki, że niedźwiedź czasem konia ubije, lecz to nie odstrasza gospodarzy od zdawania swych koni na łaskę Bożą, gdyż sądzą, że w danym wypadku i pasterz nie wiele pomoże.

Wobec niezwykle tragicznego wypadku, jaki miał miejsce w tych stronach (pod Bojarynem) przed dwoma laty, uważam sobie za obowiązek ostrzedz na tem miejscu turystów, tych zwłaszcza którzyby w tych stronach znaleźli się przed okresem wypasania bydła na hałach lub po nim, na pułapki, zastawiane przez tutejszych strażników łowieckich na niedźwiedzie i wilki. W pułapkę taką dostał się jeden z funkcjonariuszy eksploatacji oleju z kosodrzewiny pod Bojarynem. Schodząc jesienią leśnym płajem w towarzystwie kolegi do Rafajłowy, stanął przed rusztowaniem z kłód i pni, zatarasowującym drogę. Mimo przestrogi towarzysza, któremu to rusztowanie wydało się podejrzane, nie chcąc okrzyć go bokiem wskutek zasieków powstałych z jakby wiatrem powalonych drzew po obu bokach płaju, usiłował podpełznieniem minąć przeszkodę. W chwili, gdy skulony znalazł się pod rusztowaniem, runęło ono nań całym swym ciężarem, kładąc go trupem na miejscu. Pułapka taka nazywa się „słup“, po rusku „slip“.

Załączona fotografia przedstawia ją w stanie nienastawionym. By ją nastawić, unieść trzeba leżący w poprzek na płaju słup przygnieciony z obu stron równoległymi do płaju kłodami i prawy jego koniec zahaczyć drutem

na umieszczonym z prawej strony na podpórcie ruchomym belku. Zewnętrzny koniec tego ostatniego, przy pomocy widocznej na zdjęciu pętli, jest cienkim drutem, poprowadzonym od niej pod poprzeczną kłodę na lewą stronę pułapki, lekko tu zahaczony, by przy lada ruszeniu go zluźnił się i pozbawił zaczepienia poprzecznego belka. Druć ten znajduje się mniej więcej w połowie wy-



Pułapka („Słup“) na niedźwiedzie lub wilki na płaju w „Sadkach“ w stanie nie nastawionym.

sokości między ziemią a wzniesioną poprzeczną kłoda. Za zluźnieniem się jego kłoda, naciskana ciężarem podłużnych pni, wali się na niedźwiedzia, który nie widząc innego sposobu omińnięcia zatarasowanej drogi, usiłuje podejść pod nią i w ten sposób o śmierć się przyprawia. Z uwagi na przejazd bydła i wałowanie się po płajach koni, „słupy“ te nastawiają strażnicy łowieccy dopiero w jesieni, kiedy z hal spędzono już bydło w doły, a do nastawienia takiego słupa potrzeba kilku silnych chłopów. W Sadekach napotkałem tych „słupów“ kilka.

Henryk Gąsiorowski.

Kolędniczy na Hucułach.

(Fragment niewydanej książki o Huculszczyźnie).

Skończył się nareszcie długi sześciotygodniowy post adwentu „Pełypiwka“. Żołądki, pozbawione przez tak długi czas rzetelnego pokarmu, upominają się o swoje prawa, a zaostrzone apetyty oczekują niecierpliwie smacznej sztuczki mięsa, mleka i „hołubciw“ z kukurudzianymi krupami i mięsem zamiast nieomaszczonej kapusty, „rosywnyci“, barszczu postnego, fasoli i bobu.

Radość i wesele przejmuje Hucuła na myśl o zbliżających się „Miesnyciach“, a przez rok cały z miłym utęsknieniem o nich się wyraża. Jednym z głównych motywów tej uciechy jest właśnie kwestja jadała pożywniejszego i smaczniejszego. Rzecz to zupełnie naturalna, niezrozumiała chyba dla tych tylko, którzy nigdy głodu nie zaznali. Dla ludzi, którzy jadać zwykli wtedy tylko, gdy są głodni i tylko na to, aby mieć siłę do ciężkiej fizycznej pracy, którzy się zagładzać umieją w imię zasady religijnej do tego stopnia, że zdrowie na szwank narażają, dla tych myśl o możliwości nakarmienia się sutego jest sprawą poważną, odgrywającą rolę nawet w ich życiu psychicznem.

„Miesnycie“ to nasz mięsopust.

Roboty w polu w tym czasie niema żadnej. Całodzienne zajęcie tylko ściśle przy gospodarstwie domowem.

Jesienne szarugi i mgły leniwemi brzuchami ścielące się po ziemi przeszły — gęste błota po drogach ścięły się w twarde bruzdy — a brudne szmaty zwędłej i rdzawej trawy po carynach (łąkach), na gruniach (wzgórzach) okryły się dziewiczą białością śnieżnych płaszczów.

Cała przyroda przywdziała niejako odświętne szaty oczekując jakoby niedzielnych uroczystości, a świeży i zdrowy powiew mroźnego wiatru dmie

przed sobą tumany oparów z niezamarzniętej miejscami rzeki, jakby kłęby dymów kadzielnic kościelnych. Dalekie echa smętnych i żałobnych przez cały czas adwentu poryków trembity, niosą teraz po górach wesołą melodię hejnałów weselnych.

Wstępem — otwarciem tego okresu „Miesnyć“ — jest „Rizdwo“, albo „Rizdwieni święta“ — to znaczy święta Bożego Narodzenia czyli, wedle kalendarza Gregorjańskiego, 7-go, 8-go, 9-go stycznia i ruski Nowy rok aż do Widorszczy — po małopolsku wodochrzy — t. j. Jordanu. Są to święta najuroczystsze, obchodzone z największą okazałością. Zająć gospodarskich w tym czasie niewiele, ludzie więc mają czas oddać się zabawie, wywczasowi, tańcom i hulance. Umysł swobodny, wolny od trosk i interesów daje sobie folę. Bawią się i młodzi i starzy, używają sobie całą pełnią temperamentu gorącego i sił zdrowych, a krzepkich. Jakaś fala zapomnienia o wszystkich żurach (zgryzotach) i tuskach (smutkach) w gruncie rzeczy twardego życia huculskiego, opanowuje wyobraźnię ludzką i przelewa się po wszystkich chatach, przysiołkach i gruniach. Echa trembit kolędniczych mieszają się z wesołymi pośpiewkami taneczników, ze skoczną muzyką skryпки i tupotem nóg hulających, który z chaty z dala słychać. Nigdy się tyle rzeźka młódź huculska, jurni łęginyki (zadzierzyste parobczaki) i hoża, a zalotna czeladź (kobiety) nie wyhasa jak w tym czasie. W żadnym innym okresie roku tak długich litanji zapowiedzi ślubnych usta księdza z ambony nie wygłaszają, w żadnym innym tyle wesel hucznych nie zadudni po chatach co wówczas. A ile się wypije w tym czasie piwa, wina, rumu i horywki, o tem mogą powiedzieć dopiero lichwiarskie kieszenie żydów szynkujących wszelakie trunki.

* * *

W obszernej cerkwi księża prawią nabożeństwo wystawne w pierwszy dzień Rizdwa. Lud wystrojony bogato zjeżdża saniami, konno, lub schodzi pieszo zgrabnie po stromych górach i ślizgim śniegu tłumnie do cerkwi. Jedni przeciskają się przez ciżbę do wnętrza, — inni zostają na cmentarzu cerkiewnym, opasując jak zakwitłe gęsto piwonie i maki, girlandą jaskrawych kolorów szaro-brunatne ściany cerkwi. Jedni się modlą we wnętrzu cerkwi, inni pozostając z ochotą na dworze gwarzą wesoło, dowcipkując, podając sobie w kółko najnowsze ploteczki. Łęginię wystrojeni jak pawie pyszną się swoją dziarską postawą; każdy z nich z dumą jak lew salonowy spogląda na ten bukiet krasnych mołodyc pewny swego zwycięstwa. Dziewki zaś i chorosze mołodycie kokietują wszystkich dookoła zgrabnem dreptaniem drobniutkiemi nóżkami w nowych postołach po skrzypiącym śniegu, odszu-

kując między tłumem mężczyzn swoich lubasów (kochanków), którym rzucają ukradkiem zalotne spojrzenia.

Jest w tym obrazie młodzieży dziarskiej i krzepkiej jakaś taka tężyzna zdrowia, radości życia i zdolności używania go pełnemi siłami, że mimowoli działa to na widza jak powiew świeżego wiosennego wiatru; budzi energię i zapał do życia.

* * *

Słońce południowe siłą swych promieni rozwała otwór w chmurach i naraz oblewa złotem i tę cerkiew o lśniących gontach i ten śnieg iskrami błyszczący i te wiśniowo-czerwone serdaki, pomarańczowe i żółte chustki i łyskające złotym szychem zapaski niewiast. Wtem dolatuje z wnętrza cerkwi brzechot dzwonek — cała zebrana na dworzę Huculja przykłęka i chyli czoła ku ziemi

Patrząc na tę scenę sądzisz, że te podane kornie ku ziemi głowy chyłą się w głębokiej pobożności przed majestatem Bożym, że te usta, których nie widzisz, wtórują westchnieniem i modlitwą tajemnicy Bożej, spełnieniu cudu na ołtarzu. Otóż jest inaczej. Obrazek ten niema nic wspólnego z tym głęboko pobożnym nastrojem ludu podlaskiego na obrazie Szymanowskiego, gdzie tęczą jakoby skrzydeł anielskich przesiewające przez mgłę kadzidel ołtarzowych światła różnokolorowe, mieszają się w tej atmosferze ciszy ciasnego, mrocznego wnętrza polskiego kościołka. Nic z tem wspólnego. Tutaj wszystko jest uroczystością piękną, pyszną, wystawną, bogatą rozrzutnie w kolory i światła, ale uroczystością świecką, wystawą ceremonji okazałej. Na odgłos dzwonka kościelnego oddaje się hołd w przepisanej formie, odgrywa się rolę scenarjusza odprawy kościelnej chętnie i z całą skrupulatnością jak na dane tempo. Ale tych głów pochylonych nie owiewa myśl i zaduma religijna, usta nie szepcą kornych modlitewnych zaklęć. Ciekawe i figlarne oczka młodych rzucają nawet i wtej chwili zalotne strzały na tłum klęczących łeginiów. Lud huculski jest nabożny i bardzo nabożny. Zachowuje surowe posty, smaga swoje żołądki naddatkami dobrowolnych jeszcze postów; chodzi do cerkwi każdej niemal niedzieli, bije tuziny rannych pokłonów, spowiada się i kaja przed Bogiem, ale w głębi serca tego ludu niema tej tajemniczej poezji religijnej ani tego ascetycznego smętku głęboko pobożnego, jaki jest naprzykład u ludu unickiego na Podlasiu.

* * *

Nabożeństwo się kończy, zbliża się scena główna dnia dzisiejszego. Ścisk się robi koło wrót głównych cerkwi, bo wszystko się garnie i ciśnie, by zobaczyć kolędników, których ksiądz zaraz będzie pajował, t. zn. na wszystkie strony rozległej wsi odprawiał. Odezwał się z bliska hejnał trembity, a skrzypki rzempolą rytmiczną melodię w tempie marsza skoczego. Pierwszy „tabir“, „kumpanja“ (drużyna) kolędników zbliża się do cerkwi. Dziesięciu lub dwunastu mężczyzn bogato, odświętnie ubranych w szybkim tempie przestępując skocznie a zgrabnie z nogi na nogę, maszeruje w jednym szeregu ku drzwom cerkiewnym i po nagłym zwrocie maszeruje napowrót; tak powtarzając trzy razy. Ta defilada w marszowym tempie tam i napowrót, nazywa się „plesem“ albo „plesaniem“. Polak mówi „pląs“ albo „pląsanie“.

Silne i zdrowe płuca w basowych męskich głosach śpiewają chórem, unisono, rytmiczną melodię do marsza skoczego, melodię dziwną w swoich tonacjach, pełną ozdobników półtonowych. „Bereza“ t. j. naczelnik „taboru“, „kumpanji“, z krzyżem w ręku idąc na przedzie zaczyna każdorazowy refren kolędy, a dziesięć lub dwanaście piersi chórem głośno kończy melodię.

Każdy z kolędników potrząsa bartką (ciupagą) wysoko, oraz dzwonkiem uwiązany u lewej ręki. „Skrypycznyk“ albo „skrypnyk“ akompaniuje idąc także na przedzie, a „trembitacz“, na boku szeregu wydmiewa ze swej długiej trembity organowe dźwięki, które mieszają do tej skocznej kolędy przeciągłe hejnały.

— Ihi — a se szo za kolednykie, ta jak starci (żebracy) z klabukamy (laskami)? Szieśmy takie ne wydiw.

— A wże maj tak nastało. Wże nam zaboronyły bartkie nosyty.

— A to dłączoho?

— A wysty szie ne czuły, szo nam rada gminna zaboronyła bartkie nosyty seji oseny. Panydzi (żandarmi) zaberajut het ludym bartkie. Ta wże i kolednykie bojeły se bartkie do plesu braty.

— Wid kołyż to taka ustanowa?

— A hen tam wid seho wysiła u Ihnactia Sztefuriyka, szo to Dmytro Płajczuk zatiew sokierow Gocynieka. Za odnoho durnia wsi majut terpity.

Hucul podchmielony wódką ciął w sprzeczce swego przeciwnika tak nie-szczęśliwie, że go położył trupem na miejscu. Na skutek tego wypadku sławetna Rada gminna wsi Żabia wydała zakaz noszenia Hucułom bartek. Stało to się na posiedzeniu Rady gminnej żabskiej 1902 r.

Naturalnie, że tego rodzaju „ukaz“ wydaje się nie dla jakiegoś istotnego dobra publicznego, bo zakaz noszenia bartki nie powstrzyma Hucula, kiedy się upije, aby poturbował wroga swego wśród sprzeczki na śmierć. Porwana wśród sprzeczki tęga pałka w ręku silnego Hucula sprawi to samo. Widzia-

łem na własne oczy, jak na weselu jednym Hucuł podchmielony, wpadłszy w gniew, porwał ciężki dębowy blat stołu i tak nim ciął swego przeciwnika w tył czaszki, że nakrywą jej utracił mu jak czapkę.

Cytuję ten fakt jako przykład nierzadkich niedorzeczności, które za czasów austriackiego panowania w Galicji takie Rady gminne popełniały, w celu popisania się wobec swych wyższych władz czujnością i energią powierzonej im władzy. Bujnej i popędliwej natury Hucuła nie zmienia się w ten sposób, ani się nie powiększy bezpieczeństwa publicznego. Natomiast zmienia się bezmyślnie etnograficzne piętno w życiu huculskim, zmienia się Hucuła powoli z chwackiego chłopca, z tego typowego mieszkańca gór rozległych, pustkowiecia i lasów, w jakiegoś prostego „muzyka”. Jak ciupaga w ręku górala tatrzańskiego, tak bartka w garści (użmeny) Hucuła jest zakończeniem, dopełnieniem obrazu tej, ze względu na cały strój typowej postaci etnograficznej. Bartka ma dwojakie dla Hucuła znaczenie: raz, jako narzędzie i broń, a powtóre jako konieczna część jego stroju. Jest mu ona przedewszystkiem rodzajem siekiery, z którą zrósł się od maleńkości tak jak każdy piśmienny człowiek z piórem. Dziesięcioletni chłopiec, przytrzymując nogą kłoc drzewa, wali z całym rozmachem siekierą i łupie go w mgnieniu oka na pojedyncze polana, a nie słyhać o wypadku, by sobie przytem nogę skaleczył. Sprawność w robocie siekierą dochodzi do tego, że Hucuł rzucając siekierą w powietrze odcina pojedyncze gałązki drzewa. Ona sama w jego ręku siedzi i balansuje tak jak ołówek w ręku rysownika. Hucuł siekiery z rąk nigdy nie wypuszcza, by się od niej nie odzwyczajając; dopiero gdy wychodzi z domu w drogę, bierze bartkę, która jest mu niczem innem jak siekierą. Nie jest to laska do podpierania, bo i tak rękojeści jej ująć wygodnie nie można. Hucuł trzyma ją zawsze za toporzysko. A przechodząc np. przez cienkie bierwiono, chwiejące się wysoko nad wartkim potokiem, używa jej jako balansu dla utrzymania równowagi. A zatem Hucuł bez bartki to obraz nie dopełniony, nieskończony; to szlachcic polski w stroju narodowym bez karabeli, ułan polski bez lancy, góral tatrzański bez ciupagi.

Tymczasem tak jak w niedawnych czasach „kris“ (flinta) zniknąć musiał z szerokich bar Hucuła-myśliwego, dzięki filisterskim wymogom burżuazyjnego porządku rzeczy, tak z rąk Hucuła-junaka, Hucuła-zucha, Hucuła-górala, urodzonego cieśli, zniknąć może bartka. Powoli pójdzie za tem przepiękny, bogaty, pełny fantazji i hardości strój huculski, bo fabryczne wyroby internacjonalnej tandety koniecznością rzeczy przebiorą Hucuła, dzisiejszego, wolnego mieszkańca gór i lasów, w zwyczajnego podmiejskiego proletariusza,

Kiedy tak biadamy i wyśmiewamy się z tych kolędników, co zamiast bartkami, potrząsają w garści brzydkie zakrzywione „klabuki“ (laski), zbliża się drugi tabir kolędników-łeginiów-zuchów, jakichś śmielszych, którzy niezbyt do serca wzięli sobie nowy ukaz.

— A! to szo jenszoho, cesi z bartkami. Ałe, bo cesi kolednykie hordi. To naszi — horiski (ci z gór), nie toti selencki (ci wsiowi, ci z nizin). — Ałe, bo cesi i koledowaty znajut mudro — wsi starowicki (staroświeckie) koledy spiwajut. To ne żadni perewidnykie!

Aż serce rośnie na widok tego szeregu chwackich, tęgich chłopów, podskakujących żwawo i hardo, że aż ziemia pod nimi dudni. Czapki ozdobione „cziczamy“, „trisunkamy“, zasunięte na bakier, „rohom na sobotu“. Mimo mrozu koszula na piersi otwarta. Bartki podniesione w górę błyszczą miedzią jak pałasze atakującej kawalerji. Mina wesoła, głowa w takt podrzucana do rzeźkiej w tempie melodji starowickiej kolędy:

My se pustylły hroszi zberaty
Cerkow Chrystowu pomaluwaty.
Ałe my bratia raz obernim se
Cerkwi Chrystowej wsi pokłonim se.

Szjepoczki zdojmim
Bohu seu-kłonim
Sami znajete, nam hroszi treba
Nam Hospod' ne ziszle hroszi iz neba.

Dzwonki dzwonią, skryпка rzezi, a trembita dudni i po gruniach a lasach niesie dalekie echa — hen.

Ścisk się robi dokoła. Tłoczą się i baby i młodycie, a dzieciśka ciekawe popod nogi się pchają. Dokoła gwar, śmiech i wesołość. A jasne południowe słońce odbijając się od olśniewającego białego śniegu wtóruje także radością i weselem.

Idzie trzeci tabor i czwarty i piąty. Każdy z osobna plesze przed cerkwią i kolęduje, a potem pod przewodnictwem swego „berezy“ idzie każdy w swoją stronę, od chaty do chaty w góry kolędować u gazdów i zbierać na cerkiew pieniądze. Kolędują dniem i nocą bez przerwy i bez wypoczynku, robiąc miłowej odległości marsze; tak przez dwa tygodnie aż do „Widorszi“ t. j. do Jordana.

* * *

Obrzęd kolędników to korona towarzyskiego pożycia Huculów. Chaty oświetlone lampką oraz buchającą z szerokiej paszczy pieca czerwoną łuną watry, ściągają tłumy gości zachęcając ich gościnnie objuczonymi suto stoły. Gazda z lulką w gębie wita i zaprasza za stół przybywających, częstując „horiwką“. A gazdini wynosi raz wraz kupiaste, dymiące zapasne misy „hołubciw“ i tłusto oblaných „pyrohyw“. Znajomi i krewni rozrzućeni w odległych od siebie osiedlach witają się pieśczoćliwie i serdecznie po roku niewidzenia się. Wśród głośnych pocałunków i cmokań słyćhać zdrobniałe pieśczoćliwie imiona.

— A jak hostyły? Cy myrno?

— Bohu diekuwały szojesmy se uwydyły — chto znaje, szo za rik bude?

— Kumoczko sołodeńka.

— Doneczko lubeńka — pyta się matka dawno niewidzianej córki — a dytyna cy dużia — a tieżki were były złohy?

— A cy łegini stajet wże do branki?

Starzy, mądry i poważni gazdowie, uproszeni do swatania chłopca, z namaszczonem czołem, z okiem przymrużonem, wybadują przebiegle „figlawo“ majątek dziewczki upatrzonej dla powierzonego sobie pupila. Łegini z pozą pełną godności męskiej przyglądają się z podełba swatanym dla nich dziewczkom. Nawzajem zaś dziewczęta zerkają ciekawie i zalotnie na tęgich chłopaków, których im los przeznacza! Atmosfera jakaś przyjazna, swobodna, ciepło watry i serdecznych powitań owiewa wszystkich. Wśród gwaru, śmiechu i komplementów zlewa się ta rozmaitość temperamentów i charakterów w jeden akord, pełen odrębnego wyrazu indywidualnego, który jest w sobie skończony i nie mający do siebie nic podobnego.

* * *

Ale „kolędnicy“, to nietylko wesola towarzyska zabawa — zapustna hulanka, to równocześnie służba Boża, to służba cerkwi, bractwa kościelnego. Kolędników wysyła cerkiew — błogosławi ksiądz. Ksiądz mianuje „wybirciu“, t. zn. przewodnika każdej kompanji, dając mu „chrest“ z cerkwi i pieniądz na cerkiew, potem błogosławi każdą kompanję i składa na drogę życzenia:

— Abyste myrno hostyły.

Wybircia każdy dobiera sobie śród gazdów starszych i łeginiów dzieściu lub dwunastu kolędników. Każdy z nich musi umieć na pamięć całą litanję kolęd, ale jeden z nich, starszy gospodarz, „berezha“, rozpoczyna każdy dorazowy refren, który reszta kolędników kończy. Oprócz tych dwóch przewodników jest jeszcze w każdym taborze „skrypocznyk“ (skrypnyk), „trem-

bitacz“ i po dwu „koni“, to są ci, którzy noszą na plecach „besahy“, w które ofiarowane na cerkiew ziarno, chleb i „powisma“ (pęki przędzywa czesanego) zbierają.

* * *

Kiedy ostatni tabor jeszcze przed cerkwią „plesze“ i kolęduje, pierwszy już zbliża się do chat gazdowskich. Powoli cmentarz cerkiewny wyludnia się, bo wszyscy czempredzej do domów pospieszają, by przygotować jadło i napoje na przyjęcie kolędników, u siebie w domu.

Tu, gdzie przed chwilą taki był ścis, gwar, wrzask i śpiew, teraz pustka. Cerkiew ciemne swoje wnętrze przyparła ciężkimi podwojami. Służba Boża skończona. Słysząc tylko z dala pomruki trembit i urywane rżężenia skrzypek. Na pochyłych stokach górskich, zaspanych białym śniegiem, kraszą się czerwone serdaki i zapaski zbitych w gromadki kobiet i mężczyzn, spieszących za kolędnikami. Kolędnicy zbliżywszy się do chaty, stają w szeregu i zaczynają swój „ples“. Trembita ryknie znowu basem, drobnutki pokwiki skrzypek wtórują jej cieniutkim, cichym głosikiem skoczne melodyjki, a wystrzały pistoletowe hukami rozchodzą się po górach.

Przy tej orkiestrze kolędnicy „pleszą“, intonując odpowiednią na powitanie kolędę:

Kukała zaulka z za kałynoczki
 Jichały ludy z Urainoczki
 My koledujem
 De hroszi czujem
 Za toti hroszi
 Szo-uny charoszi
 Za toti hroszi skarby ne kłasty!
 Pomoży Boże cerkwy dopasty
 Cerkwy dopasty
 Swiczu pokłasty
 Bohu na chwałę
 Gazdi na sławu

Z odnoi hory sunut se dwory,
 A z za druhoi sami czerwoni,
 A z za treti my kolednyczki
 My kolednyczki, jek Bożi dieczki
 My koledujem, de hroszi czujem

Raz se obernim
 A jek se obernim
 Po boku wernim
 Nożeńki moi pobihajte se
 Szist sorokiwciw spodiwajte se
 Szist sorokiwciw, piw zołotoho
 Naszi postoly za czerwonocho
 Nasza koladka ne potakomu
 Takij nam dajut po czerwonomu.
(zmiana melodji i rytmu)

Na dwori moroz
 Spiwaty ne moż,
 Boły mia horło
 Spiwaty darmo
 Bidko ma temna!
 Jek boły stehna!
 Kolina kriszsziat
 Niżki sia błyszsziat

Treba se bhaty
Chotiwszy wziaty

Ne stij w poroha!
Daj! bij se Boha

Stij u połyć
Tiehny z rukawyc

(rozumie się: tiehny hroszi — wyciągaj pieniądze).

(Zaznaczam, że wierność wymawiania wyrazów ściśle jest zachowana, a nawet w druku należałoby pisać tak np.:

Bohu seu-kłonim
a nie: Bohu se ukłonim

tego wymaga rytm wiersza, rytm melodji. O całym szeregu pokrewieństw treści tych kolęd i pokrewieństw językowych z polskim duchem — mówię na innym miejscu).

Przemaszerowawszy tam i napowrót trzy razy, skupiają się gromadką pod oknami chaty, intonując kolędę t. zw. „pidskinną. Skrypnyk zmienia melodię i rytm na „prokież“ do słów poniżej podanych. Tekst recytuje śpiewając „bereza“, reszta kolędników powtarza tylko po każdym refrenie: „Daj jemu Boże sziestie, zdrowie“.

Bereza: Oj zabaryw se (zapóźnił się), misiec u kruzi (w swoim kręgu — w swoim biegu). Daj Boże.

Kolędnicy: Daj jemu Boże sziestie, zdrowie.

Bereza: Oj zabaryw se hist' u doroz.

Kol.: Daj jemu Boże sziestie, zdrowie.

Ber.: Iszło tuda dewiet, kupciw, Daj Boże.

Kol.: Daj jemu Boże sziestie, zdrowie.

Ber.: Dewiet kupciw, chłopciw, mołodciw. Daj Boże.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: Oj pytały sie desietoho. Daj Boże.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: Oj seho gazdy, taj grecznoho. Daj Boże.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: Pana (czysto polskie: Pan) Jury, jeho gazdyni. Daj Boże.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: Ony sedie w swoim domu. Daj Boże.

Kol.: W swoim domu, taj koło stoła. D. B.

Ber.: Koło stoła jaworowoho. D. B.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: A pered nymy bili kołaczi D. B.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: Z jeroho żyta taj przenyçi D. B.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: Winczujem was sribłom, zołotom, D. B.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: Jerou przenyceu D. B.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: Oj wyjdy jed nam, greczny gazdo. D. B.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: Oj, wyjde jed'nam, taj podiekuj nam, taj podiekuj nam. Daj Boże.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: Oj szomy Tobi pryszebetaly D. B.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: Oj zazułycia w łuzi, w tuzi D. B. (łuh = łęg np. olszynka nad rzeką; u tuzi — nominativus: tuha = smutek).

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: Oj sołowijka w wysznwym sadku D. B.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: A łastywoczka pry ocym domu D. B.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: Pry ocym domu taj wesełomu. Daj Boże.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: Oj wesełomu, taj ne samomu D. B.

Kol.: Daj jemu Boże sz. zd.

Ber.: Szoby dizdaly aż na druhyj rik, w dim pryjmaty; taj winuwaty Daj Boże.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: Win was winuje sribłom zołotom D. B.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: My ho winujem sziestiem, zdorowiem D. B.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Ber.: Sziestiem, zdorowiem, mnoha litamy, kolednykamy, taj Nowym Rokom, Bud'te nam zdorow D. B.

Kol.: D. j. B. sz. zd.

Kolęda pidskinna (bo pod ścianami domu) to próba, czy gazda przyjmie kolędników, czy zaprosi ich do chaty. Jeżeli gazda niema zamiaru kolędników do chaty zaciągnąć, wynosi im wówczas na dwór miskę z ziarnem zboża, grochu lub bobu i bochen chleba wraz z pieniędzmi, oraz „powismo“ (pasma) przędzy, które kładzie na chrest, który mu wybircia do pocałowania podaje.

Ziarno i chleb wraz z pieniędzmi podaje berezie witając kołędników pytaniem: „Jek wam se hostyt panowy kolednykie?“ Bereza chowając pieniądze, a chleb i ziarno podawszy „koniowi“ mówi: „Podarował nas pan gazda zi swojow gazdynew i zy swemi ditmy kołaczem, my ich sziestiem i zdorowiem. Daj Boże w dim zdorowie“, na co reszta kołędników odpowiada po każdym z osobna życzeniu, „Daj Boże“.

Ber.: Daj im Boże w hołow rozum.

Kol.: Daj Boże.

Ber.: Daj im Boże w zahorodu woły taj korowy.

Ber.: U koszjeru wiwci taj kozy.

Ber.: Tam, de bezrohy probuwajut, aby najmenczomu sim rik buło.

Ber.: Tam de pasika, aby se bđzioły roły i bujno buło.

Ber.: Abyste ci sietki oprowadyły, taj druhych doczekały.

Ber.: A wam pane gazdo daj Boże myłyj wik, abyste diźdały i na druhyj rik.

To są życzenia tradycyjne, ceremonjalne. Nie idzie zatem, aby tu i ówdzie nie dodawano różnych warjantów, czasem dowcipnych, żartobliwych, np.: „Daj Boże gazdyni w kuźdyj kutyni taj po dytyni“.

Gazda wysłuchuje z powagą uroczystą każdego życzenia, a wysłuchawszy je dziękuje kołędnikom uprzejmie i żegna ich słowami: „Daj wam Boże panowy kolednykie abyste diźdały cej rik i na druhyj myrno wychodyty, wykoleduwały“. Wtenczas kołędnicy stają znowu w jeden szereg i jak z początku znowu poplesawszy trochę, zabierają się dalej w drogę do następnej chaty.

* * *

Zgubiliśmy naszych kochanych „horiskich“ kołędników tych „najmudrijszych“, którzy jeszcze wszystkie starowickie kołędy znają, których prowadzi stary, poczciwy gazda Onufryj Chimczak „wybircia“, oraz typowy facecjonista żabski Hrycio Skirczuk, jako bereza.

Ale bo wieś rozległa, a po ślizgim śniegu i po stromych stokach górskich nie zaraz dostaniemy się do chaty gdzie oni kołędują. Z trudnością dopędzamy gromadkę wesołych mołodyć i dziewcząt, które również za tymi zuchami podążają:

„A were najdemo naszych kolednykiu?“ Najstarsza z nich pociesza nas żartobliwie: „Taże, my wże znajemo, szo was fajni oczka dobre zadedut łysze, by wam z czelydew doriżki najty“.

„No to i idim! — ałe pobihajte skoro!“

Wtem nagle najładniejsza młodocia pośliznęła się i jak długa wykoprtnęła się na śnieg, a jasny śmiech rozbawionych dziewcząt zadźwięczał wesoło i odbił się czystym, głośnym echem o twarde płaszczyzny śniegu, wśród cudownej pogody gasnącego dnia zimowego. Pomagają jej się podnieść, ale ona jednym susem wydobywa się ze śniegu i staje na wzgórku na wpół zawstydzona, na wpół rada, że na nią wszystkie oczy zwrócone. Zalotnym ruchem unosi wysoko koszulkę i czerwone zapaski w górę, otrzepuje z nich śnieg i rzuca żartobliwe wezwanie młodemu, rzeźkiemu łęgniowi: „Kobys buw na mene upaw, a ne teper se śmiew“. Chłopiec z iskrzącymi oczyma zbliża się chwacko ze zwinnością dzikiego zwierza porywa ją wpół i podrzuciwszy w górę niesie jak piórko przed sobą po stromej śniegowej ścianie, wreszcie stawia na ziemi jak figurkę szachową. Szach! — Mat!

Zachodzące słońce oświetlając jeszcze szczyty oblewa ją nagle jakby złotą błyskawicą, w której ta zgrabna kobieca figurka promienieje wdziękiem kolorów, gracji i czaru młodocianego. W jednej chwili mamy przed sobą obrazek tak dziwnie piękny, ponętny, a tak przytem płynący prosto, bezpośrednio, z tej bujnej, pierwotnej, swoistej przyrody!

Wtem odgłos trembity zwraca naszą uwagę; potrzebujemy wdrapać się tylko na szczyt sąsiedniego grunia i już jesteśmy przy obszernej zagrodzie bogatych gazdów Sokołowskich.

Dzwonki dzwonią — skrzypka rzepoli — trembita ryczy. To nasi kolędnicy kolędują i pleszą skoczno i dziarsko, a chóralny ich śpiew przy szybkim i skocznym marszu robi wrażenie jakiegoś junacko-zbójnickiego harcu.

Huculi chciwie uczą się wszelakich „śpiwanek“ i niezmiernie łatwo chwytają je pamięcią, dlatego słysząc kolędę starowicką, którą zaledwie już starzy pamiętają, garną się i ciekawie jej słuchają. A kolędnicy nasi intonują słowa:

Błądyły błudci, sim sot młodci,
 Prybłądyły se yd cemu domu,
 Yd cemu domu taj wesołomu.
 Dwory umeteni, stoły stełeni,
 A pozastilu ta wse światyje, i t. d.

Gazda okazałej postawy o skończonym typie polskiego szlachcica, wyszedł wraz z rodziną i gośćmi na obszerny ganek „galery“, a coraz to nowe gromadki „prychożych“ grupują się na podworcu pod gankiem. Robi się tłumno, ciasno i gwarno. Jedni się witają, drudzy się śmieją, dzieciśka prze-

ciskają się pomiędzy starszych, ciekawe przypatrzeć się kołędnikom. „Chorosze“ młodzie i dziewczki, którym nogi skaczą już do tańca, wybiegłszy z hałasem z chaty w samych tylko króciutkich kożuszkach bez rękawów, chowają drobne rączka w otwór kożuszka pod pachą: „zahriduszki“, wyszukując ciekawym wzrokiem młodszych kołędników, którzy z nimi za chwilę będą ochoczo hołubce wywijać.

I znów obraz jedyny w swoim rodzaju, dziwnie potężny w kolorach, roztacza przed okiem malarza swój czar chwytający za rozradowaną duszę.

Słońce schowało się już poza szczyty, ale jasna łuna, rozścielając się przestronnie na niebie, oblewa śnieg, chatę i ludzi, złoto-różowym blaskiem przepajając je nawskroś i roztopiając pojedyncze barwy w jednej złocisto-czerwonej harmonji. Kolory pojedyncze śniegu, wiśniowych serdaków, pomarańczowych chustek, czerwonych zapasek i białych rękawów koszul, zlewają się w jedno, mimo to jednak dziwnie na swej mocy, potędze nie tracą, lecz owszem stają się stokroć żywsze, soczystsze i przejrzystsze.

Cały obraz wygląda jakbyśmy z ciemnego wnętrza patrzyli na zawisły w otworze okna witraż jaśniejący i przejrzysty. Światło zda się przeświecać z poza tych płatów kolorowych, wprawiając niejako w wibrujący ruch pojedyncze cząstki barw olśniewających swym blaskiem i siłą. I malarz, chcąc oddać rzeczywistość skalę siły tych barw, musiałby obraz taki tylko jako witraż zawisły w otworze okna wykonać.

„Panowy Gazdy, idit proszu do chaty“ odzywa się głos gospodarza domu, a cała zebrana gromadka gości wraz z kolednykami tłoczy się do ciasnego wnętrza, schylając głowy pod niskie oddrzwia. Ta niskość drzwi, tak niewygodna dla nieobytych z chatą huculską, ma w sobie właściwy urok, bo każdy wchodzący do chaty zmuszony jest choćby mimowoli oddać głęboki ukłon domowi, gazdom i Bogu, który w chacie zamieszkał. Niejeden z kołędników, chłopiec młody a śmiały, to uszczypnie za kolano, to ujmie za szyję niespostrzeżenie dziewczynę siedzącą na przypiecku, przed czem ona, zda się, wcale nie stroni.

Stół przykryty białym obrusem „skatert'a“, na którym umieszczono już wpierw „kołacz“, miskę z ziarnem, chleb i „powismo“ na chlebie, oraz flaszki z wódką, zaprasza nęcąco do siebie strudzonych i zgłodniałych kołędników. Wybircia daje chrest do pocałowania gazdyni, która na nim powismo zawiesza. Chrest ten, ze swoją szarfą powisma, zostaje teraz na stole, jako jego główna ozdoba przez całą kołędnicą „służbę“, jako symbol służby kościelnej.

Gazda częstuje kołędników najpierw wódką, rumem, herbata, kawą, puszczając szklanę (puharec) lub kieliszek (porcju) kolejką z rąk do rąk; na-

stępnie usadza ich za stół na ławie. Kolędnicy zabierają miejsca w przepisanym porządku. „U czoła“ stołu zasiada wybircia, po jego lewej ręce skrypyk, za skrzypakiem bereza, potem „plesakie“, a u „konec“ stołu „kiń“. Na rogu naprzeciw wybirci, trembitacz, przedzielony od niego znowu plesakami.

W tej chwili zaczyna się właściwa kolęda, akt główny obrzędu kolędniczego.

I znowu obraz pełen charakteru, skończony w swoim typie, a odmienny zupełnie od obu poprzednich. W pierwszym — słońce południowe, scena na dworze na tle wysokiej ściany cerkwi, tłum ludzi rozrzucony szeroko na cmentarzu, efekta światła i kolorów rozrzucone, roztrwaniające się na dużej przestrzeni. W drugim — pomrok dnia — pejzaż otwarty z daleką perspektywą blado-różowego pasma gór. Scena odgrywa się na płaszczyźnie pagórka. Obraz ujęty w jedną całość, nie przez skupienie linii tylko przez efekt kolorystyczny zorzy wieczornej. W obu, czy tam na cmentarzu cerkiewnym, czy w tłumie figurek niejako transparentowo prześwietlających, roztacza się przed nami bogactwo typów różnorodnych, męskich i kobiecych. Kompozycja rozpadająca się na pojedyncze grupy. Tutaj, w chacie, efekt skoncentrowany, sprowadzony do kilkunastu figur męskich wynurzających się tylko do połowy z poza stołu, oblanego z góry spadającym światłem lampy, ślizgającym się po osmalonych wiatrem, spoconych męskich twarzach, rzucającym duże płyty ciemno-niebieskich cieni. W przeciwieństwie do dwu poprzednich kilkoplanowych obrazów, tu cała rzecz wyłącznie na pierwszym planie. Obraz cały w trzech tylko kolorach: brunatno-pomarańczowym twarzy, rąk i obnażonych nieco piersi, — jasno-pomarańczowym rękawów koszuli, i zielono-niebieskim dużych płatów cieni. Obraz nadający się przepysznie do radyrunku Rembrandtowskiego lub do bretońskich wnętrz francuskiego malarza Cottet'a.

* * *

Bereza rozpoczyna pierwszy refren kolędy „chrestowej“ (chrest koleda). Na to chór silnych męskich tubalnych głosów intonuje, czy raczej huczy, melodię dziwnie prostą, w swoich tonacjach przypominającą gregorjańskie śpiewy, z przejściami zupełnie nieoczekiwanymi, przeplataną mnóstwem ozdobników. Melodię ciężką, poza którą ryczy huragan jakby jakichś sił żywiołowych. Śpiew ten bogaty, a jednak monotonny wydaje się jakby rósł powoli z pod ziemi z siłą jakąś nieokiełzaną, niczem niepowstrzymaną. W jednej chwili z tych wesołych zawadjackich Hucułyków robi się jakby jakiś chór kapitulny poważnej bazyliki, jaki można codzień rano słyszeć w ciemnym prezbiterjum

weneckiej bazyliki św. Marka. Ściany izby za plecami tych dwunastu tęgich „muza“ zdają się rosnać jak zaplecki stall starej bazyliki. Jakaś atmosfera majestatycznie uroczyta, pełna powagi surowej, a męskiej. Obraz malarski i muzyczny prosty, skromny, ale potężny. Pierwiastek męski w całej swej tężyznie w niczem niedorównanej szlachetności i prostocie, zapanowuje nad otoczeniem i owłada nim zupełnie. Włosy czarne w rozczochranych kędziarach na skroniach; twarze surowe jakby wyciosane z twardego drzewa, nieruchome; brwi krzaczaste; postacie potężne o szerokich barach, rosną w oczach do rozmiaru jakichś hieratycznych bizantyńskich posągów, wspaniałych a groźnych. Śpiew sam nadaje się żywcem do jakiegoś preludjum Bachowskiego, po którym żadnej innej muzyki słuchać się już nie chce.

* * *

„Chrest-koleda“ się skończyła. Złożywszy pieniądz na „chresti“, może sobie każdy z obecnych gości uprosić kolędę dla siebie. Kolędnicy nie wychodząc ani na chwilę ze swej powagi i majestatycznego spokoju, nie poruszywszy się ani nie zmieniwszy wyrazu twarzy, kolędują teraz cały szereg kolęd okolicznościowych, zastosowanych do każdego z proszących; kolęd, których tekst bierze najczęściej improwizuje na poczekaniu. Jako przykład improwizacji bardzo dowcipnej i trafnej, mógłbym zacytować kolędę, którą w jednej chacie dla mnie kolędowano, gdzie była mowa o tem, jak się ubieram, jak lubię polować, jak jeżdżę konno, a nawet jak to ja maluję; wkońcu o obrazkach moich, których szkice na płótnie Hucułom pokazywałem. Proszący musi zasiąść przy stole pomiędzy kolędnikami i wysłuchać śpiewu dla siebie poważnie, trwającego często niezmiernie długo, a który ze względu na bardzo dowcipne, a prawdziwe charakteryzowanie interesowanej osoby, często ją w kłopot wprawia, lub też serdecznie ubawi. Po kolędzie dla gospodarza domu, oczekują zebrani uczestnicy zabawy już z niecierpliwością kolędy dla gazdynie, bo szelma Hryc Skirczuk ma dla Mariczki, hożej młodyci, a umiejącej wdzięcznie i przeciągle spojrzeć, co roku nawiązane nowo śpiewki.

Ber.: W nedilu rano jeło svytaty. Daj Boże.

Kol.: Daj jeji Boże sziestie, zdrowie.

Ber.: Jely se ludy kwaterowaty D. B.

Ludy do chaty

Gazdynie z chaty

Jely gazdyniu rewiduwaty

Szou tebe gazdynie usta słodki

To widmedyki Wy kolednyki.

Gazda se dywy, sobi karbuje

Na swoju žinku buczok hotuje.

Oj ty mij mužu, ty mij mužeńku

Szo ty ne wirysz momu serdeńku	A jek ja schocz u wiknom wyskocz u,
Cy to ne można požertowaty	Namaszcz u ja se sołonynoju.
Czużoho łyczka pocułowaty?	Kupy me mużu sribnyj dzwonoczok
A jek ja schocz u chłopci lubyty	Naj se presyl u pid podołoczok,
To mut se twoi zamkie łomyty.	Kuda se ruszu dzwonyty muszu,
Jek se naważu dweri wyważu,	Dzeleń, dzeleń za twoju duszu.

Każdemu wierszowi towarzyszy śmiech całego towarzystwa; a Hryć zadowolony ze siebie układa drugą kolędę dla gazdini, którą inni kolędnicy zmuszają do pozostania przy stole.

<i>Bereza:</i> Oj koło młyna husta je róża	
Nahniwała se zinka na muża,	Win je prynosy szie druhu pywa,
Nahniwała se, nadusała se,	Ona mu każe ja twoja myła.
Wylizła na picz, rozboliła se.	Win wytiehaje seroho duba,
Bij se że Boha, hynu na wiki,	Oj sztrykła z peczy, „ja twoja luba“
Win jeji prynosy fleszu horiuki.	„Twoja ja luba“ z seroho duba.

Mariczka niby trochę nadażana, w gruncie rzeczy rada, wyskakuje teraz z ławy i ucieka przeciskając się przez tłum gości. Na opróżnionem miejscu sadzają córkę gospodarza domu. Następuje kolęda dla niej, potem po kolei różnym z gości. Sąsiadowi najbliższemu, staremu poważnemu gaździe wdowcowi, dostaje się kolęda znana, ale dziwna w swej treści:

<i>Bereza:</i> Sedy Nykoła oj koło stoła,	Naj nam i znesut
Na stił se skłonyw,	Szoukowyj sznurok
Słeczoczku zronyw	Ternowyj winok,
A z toi słezki	Budem miriety
Kiernycia stała	Hory, dołyny
A w tyj kiernyci Chrystos se kupaw	Hory, dołyny
Chrystos se kupaw	Szeroki pola,
Yz z sietym Petrom.	Szeroki pola,
Kupajuczy se	Synyje moria,
Spereczyły se:	Bo to se najszła
Oj Petry, Petry,	Bożaja prauda
Ne perezmo se.	Szo sziersza zemla,
Pyszłemo sobi	Sziersza wid neba
dwa-j-try Anheli	Oj yz horamy
Dwa-j-try Anheli	I z dołynamy
W winni nebesa.	Z połynamy.

Nareszcie gazda zapala świecę i stawia ją na stole, a wtenczas rozpoczyna się długa „bezkoneczna“ kolęda za umarłych: „kolęda za umarłych“. Po jej skończeniu następuje wieczerza. Gazdynie podaje na stół „studenec“ oraz całe szeregi pełnych mis z „hołubciamy“, „pyrohamy“ i „huślanke“, przyczem stojące na stole flaszki z wódką szybko się wypróżniają. „Proszu, spożywajcie panowy kolednykie“, zaprasza raz wraz gościnnie gazda; to też oni rażno do półmisków się biorą, radzi, że mogą wymaćścić tłuszczem wyschłe i ochryple gardła. Podjadłszy sobie do syta i smaczno i odmówiwszy zwyczajne dziękczynne modły, „dziękują stołowi“. Na znak dany przez berezę wstają i tańczą dreptając na miejscu zajmowanem przy stole. Śpiewają kolędę na inną nutę i na inne tempo i potrzęsają dzwonkami. Trzykrotne powtórzenie takiej podziękii zakończy właściwą służbę kolędniczą.

Nastrój poważny, uroczysty znika, robi się swobodnie i wesoło w chacie. Gwar, śmiech, hałas, że i swego głosu nie słyhać. Dziewkom drżą kolana do tańca, dlatego wypychają czem prędzej skrypczynka do sieni do „chorim“ gdzie w przestronniejszym nieco miejscu przy świetle małego kaganka stają szeregi taneczników. Ten pierwszy taniec, to obowiązkowy dla gazdy domaszego. Jedni tańczą w „choromach“ (sieniach), drudzy wyciągają swoje utrudzone członki na „posteli“ i szerokich ławach pod ścianami, gwarząc półsennym głosem. „Ale bo wam tak twardo, Hrycio“, odzywa się gazdynie do berezy, „Propoczywajcie proszu, Wystę se dosta utrudziły śpiwajuczy ta wyhadajuczy (zmyślając) wsiekie (najrozmaitsze rzeczy)“. Resztę szepce mu do ucha, ale tego nikt nie słyssał, przyczem podsuwa mu wygodnie miękki „łyżnyk“ (koc). Hryć uszczypnął za to gazdynie nieznacznie w kolano, głośno zaś odpowiada: „Oj propoczywały! u służbi ne ma jak propoczywały“. „Wże by nam dalsze ity, na nicz majemo szie do Petra Kraszeuskoho“. „Naj by chłopci wże plesały!“ — „Oj tak!“ „Ta-cy!“ wtrąca się do rozmowy gazda domaszny i splunąwszy jak to palacze fajek mają we zwyczaj: „Ani wy hadajcie szobychsmy was pered zoriemy pustyu z chaty“. „Metę (będziecie) szie koleduwały, a pyty majete dosta a i za jidu ne hija (niema obawy, nie trudno o jedzenie u mnie), „ta i za hroszi ne skažu das’Byh“ (i co się tyczy pieniędzy nie powiem, że ich nie mam). „Za hroszi ja se ne żuriu (nie troszczę się), odpowiada znowu bereza; „de tyłki diwok u chaki szo w jałyunyku (jak w jałowniku), a choroszych (dziarskich, ładnych), a kortieżnych (ponętnych) tam wże nasi chłopci szoś wyplesaty hodni“. I teraz następuje „ples“ właściwy. Gazda zasiada z gazdynią przed stołem na ławce, zwróceniem twarzą ku drzwiom, a przed nimi stają trzy pary kolędników „plesaków“, jedna za drugą. Potrzęsając dzwonkami tańczą przysiadując „hajduki“ (prysyudy) zawsze do taktu kolędy plesowej. Potem nagłym ruchem zwracają się ku drzwiom

otwartym i podskakując w tanecznym tempie, przebiegają przez sień i drugą izbę naprzeciw. Znowu wracają do gazdy, skaczą koło niego, znowu się zwracają do drugiej izby i powróciwszy znowu pleszą przed gazdą tak długo dopóki gazda każdemu z osobna nie wrzuci jakiegoś grosza do dzwonka. Podziwiać można godzinami zdumiewającą sprawność tych ludzi w ruchach; zgrabność przedziwną, pozwalającą na skoki nagłe i elastyczne w ciasnej, niskiej, zawalonej gośćmi izbie; tężyznę mięśni i wytrzymałość niezmordowaną. A gdy jeszcze spojrzymy na te niskie odrzwia, pod którymi szybkim marszem w podskokach kolędnicy kilkanaście i kilkadziesiąt razy przebiegają, to doprawdy zrozumieć trudno, jak się to dzieje, że żaden z nich łba sobie nie rozbije o leżuch drzwi. Ta sama scena powtarza się dla każdej z osobna zasiadającej przed stołem osoby, a najdłużej wytrzymują plesaków dziewczki, które się zalotnie z nimi przekomarzają radując się, że im tak długo przed sobą skakać każą. Przytem tekst kolędy zastosowuje się do każdej z osób inny, już to recytując znane, tradycyjne kolędy, już też improwizując tekst na poczekaniu:

Juroczko sławnyj
Daj my czerwonyj
A z meży toho
Chot'szo ne mnoho

Oj skaczu, skaczu,
Bo hroszi baczu
A toty hroszi
Szo-uny choroszi.

Gazdyni nasza
Szo wola wasza
Daj czerwonocho
A z meży toho
Chot'szo ne mnogo
Oj skaczu, skaczu,
De hroszi baczu

I koleduju
Bo hroszi czuju
Oj toti hroszi
Szo-ony horoszi
Hroszi zberaty
Cerkwi widdaty.

Diuczyna krasna
Wołyki paśła
Doki napasła
Zoria pohasła
Jek napoiła
Swiczka zhorila
Daj Tobi Boże

W horodi zila
W horodi zila
W domu wesila
Winczujem Tebe
Zełenym wincem,
Zełenym wincem
Chłopcem mołodcem.

Dziewczyna rozbawiona, rozpłomieniona, usuwa się przed coraz natarwiej obskakującymi ją dokoła plesakami; nareszcie wrzuca każdemu z osobna po pieniążku do dzwonka i ze śmiechem rzuca się w tłum gości. A kołędnicy, wyszukawszy sobie nową ofiarę swego plesu, obstępują ją dookoła i znowu śpiewają:

Oj hopa cupa	Ja koleduju
Je hroszi kupa	Bo hroszi czuju i t. d.

Tymczasem dziewczki wypraszają sobie u „staryni“ (rodziców) grosze i niosą je skrypczykowi domagając się jeszcze tańca. Tańczy się więc znowu aż do upadłego, tak że kurz z podłogi niemal warstwami osiada na spoconych licach taneczników. A w tem zapamiętaniu i w tem ogólnem roznamiętnieniu zapomnialoby się łącno, że na tej jednej chacie kołędowanie się nie kończy, gdyby wybircia stanowczym głosem nie zatrzymał szalonego koła w pędzie. „Wże maj dosta“, „Idemo dalsze“.

Jak na komendę muzyka ucicha, a umęczeni, spoceni i zegrzani kołędnicy wybiegają na dwór, na mróz nocy zimowej, porwawszy tylko serdaki i bartki i stają gromadką do „kruhleka“. Rzucają czapki na ziemię „u mohyłku“ (w kupkę), robią krzyż bartkami na ziemi, potem biorą się za bary, a podrzucając bartkami w górę w dzikich podskokach tańczą dookoła tej „mohyłki“ czapek. Kto widział zbójnicki taniec górali tatrzańskich, ten może mieć wyobrażenie o „kruhleku“.

I znowu jeden problem ciekawy do rozwiązania dla etnografów; bo to jest pewna, że tak junacko tańczyć, z takim temperamentem, z taką fantazją, nie potrafi sąsiad Hucuła, ani Rusin podolski ani nawet najbliższy mu sąsiad, Rusin pokucki. Melodja, rytm i tempo znowu się zmieniają, a tekst często żartobliwy, a czasem pełen sentymentu.

Pid dubom, pid dubynoju
 Tam sediu hołub z hołubynoju.
 W pari siediły-obejmały se,
 Bięńkim kryłom nakrywały se.
 Hołubka każe: ty serce moje,
 Dałaby ja i życie swoje.
 Wychody striłec z temnoho łuha,
 Ubył-zastriliyu z pary hołuba.
 Hołubka ubyw — hołubku łyszju.
 Hołubka płacze, hołubka hude
 Szo bez hołuba oj wsihdy bude.

Dajut jij jisty jeru przenyću,
 Dajut jij pyty zymnu wodycu;
 Hołubka ne jist, hołubka ne pjet
 Ałe wse hude
 Szo bez hołuba wże wsihdy bude.
 Wybyraj sobi kotre tie (wym: kie) lubyj
 Oj chodyła ja, taj wybyrała,
 Ne ma takoho, szobych kochała.
 Buu mij myłeńkij, biłokryłeńkij,
 W łyczku rumienyj, czornobryweńkij.

Witer wije taj tepło	Horiłoczki prynese
Kuczierewyj nasz Petro	Kuczieryki jak łedok
Kuczieramy potrise	Horiłoczka jak medok!
Na tym boci kruszyna	Czorni oczy, biłyj stan
Czorni oczy-u Stefana	Kuczierewyj nasz Stefana.

Szeni beni dumata ¹⁾, znesła kurka kohuta
 Nasza kurka, wasz kohut, naj sia ony poberut.
 Nasza kurka riebaja — Wasza naszu pirwała. I. t. p.

Następuje ostatecznie ples pożegnalny, z melodją plesu tego, z którym kolędnicy do chaty się zbliżają:

Oj dziukujemy Hospodu Bohu	Aby wam buła z ditej ukicha
I cemu gazdi i cemu domu,	Na nebi wicha na zemli stricha
A szo my żyły i szo my pyły,	Szoby wam buła z majetku ukicha
Oj aby wam se bđzoły roily.	Na nebi wicha na zemli stricha (strzecha)
Na nebi wicha, na zemli stricha	Szoby wam buła z chudoby ukicha
Na nebi wicha, na zemli stricha,	Szoby wam buła z chudoby ukicha
Za ocym słowom — bud'te nam zdorou.	

Poplesawszy kilka razy na podworcu, idą dalej przy świetle księżycy po jasnym iskrzącym śniegu, weseli i niestrudzeni. Przy ochocie po gościnnem przyjęciu gospodarza, intonują na wychodnem jeszcze, za zagrodą:

Siw Isus Chrystos oj weceraty	Słowom koryła, sudom sudyła.
Prychody d'neu ridnaja maty.	A druhu duszu taj ne pustyty
Daj synu kluczi, wid pekła kluczi	Szo-j-szła falczywo
Wsi hriszni duszy powypuskaty;	W sudi świdczyty.
Łysz odnu duszu baj ne puskaty,	Oj tretu duszu baj ne puskaty
Szo znaważała witcia taj maty,	Szo ne pryjmyła bidnoho-u chaty
Szo znaważała słowom koryła (kleła),	Szo ne pryjmyła, ne nawydyła.

Niejeden z kolędników, zawieruszywszy sobie głowę zbytnią ilością horyki, pośliźnie się na gołoledzi i runie jak długi na ziemię, a śmiech dziewcząt rozlega się głośno wśród cichej spokojnej nocy, mieszając się z organowemi tonami trembity i coraz bardziej niknącem rżeniem skrzyпки. Część towarzystwa odprowadza kolędników i towarzyszy im do następnej chaty. W ten sposób robi się z tej uroczystości, z tej zabawy uciesznej, zupełny

¹⁾ To zapewne przekręcenie rumuńskiego: czine bine dumneata: „co dobrego u pani?“

kulig staropolski, przyczem zasada „czem chata bogata tem rada“ zostaje ściśle uszanowana.

* * *

Obrzęd kolędniczy trwa od 1-go dnia świąt ruskich Bożego Narodzenia do Wasyla t. z. do Nowego Roku (podług kalendarza Juljańskiego); ale z reguły trwa dłużej, bo nawet tych kilka kompanij kolędników nie jest w stanie obejść wszystkich chat całej, ogromnie rozległej wsi. Tak więc trwa zwyczajnie dwa tygodnie. Ostatnim etapem kuligu kolędniczego jest chata wybirci, gdzie pokolędowawszy i potańcowawszy, zasiadają kolędnicy do „diłuszczyny“. „Kiń“ zsypuje tymczasem z besahów ziarno otrzymane po chatach razem, a wybircia daje z tego ziarna część jemu t. zn. jedną giłtękę (50 funtów) i skrypczykowi giłtękę, innym zaś kolędnikom po misce. Oprócz tego każdemu z osobna po dziesięć bochenków chleba i po dwa kołaczce. „Powisma“ (pęki przedziwa czesanego) i pieniądze składa do cerkwi na ręce księdza. Skrypnyk i bereza dostają z tego „po dwi banci“ (4 zł.), a trembita „odnu banku“ (2 zł.). Pieniądzy tych nie można uważać jako zapłatę za udział w kolędowaniu, bo wysokość tej kwoty nie stoi w żadnym stosunku do poniesionych trudów ani do stanowiska kolędników wśród społeczeństwa huculskiego. Służba ta cerkiewna jest istnem poświęceniem. Dla nas jest to wysiłek wprost nie do pojęcia. Podołać mu może tylko niespożyta energia fizyczna ludu tak zdrowego i czerstwego jakim są Huculi.

Kolędnicy wraz z uczestnikami zabawy zabrali się dalej. Obszerna i gościnna chata przed chwilą tak ludna, gwarna, głośna od śpiewów i trzęsąca się cała od dziarskich hołubców taneczników, nagle opustoszała; tylko echa skryпки, śpiewek i śmiechu wirują jeszcze w powietrzu przy urocznym świątełku kaganka.

Taki jest ten obrzęd kolędniczy, cerkiewno-towarzyski. Poza tem zaś diak cerkiewny z dwoma ludźmi „kińmy“, chodzi z kolędą od chaty do chaty. Wszedłszy do chaty, „konie“ potrząsają dzwonekami uwiązanymi u ręki, a dyak zmaczawszy „wiszku“ (kropidło) w „kitłyku“ z wodą święconą, „breskaje po chati“ na chrest t. j. na cztery strony. Nosowym głosem odmawia przepisane religijne modlitwy, a potem składa życzenia domowi dając Chrest całować wszystkim obecnym. Wtedy gazda lub gazdyni składa powismo na krzyżu, „koniom“ zaś daje po misce ziarna, które oni w besahy zsypują. Zdarza się czasem, że dyak wejdzie do chaty gdzie są właśnie kolędnicy zebrani. Wówczas ugaszczają go za stołem, a czasem porządnie nawet upoją. Z zebranej w ten sposób ofary dostają „konie“ po trzy giłtęki ziarna, resztę ksiądz z dyakiem po połowie.

Karol Maszkowski.

Dwa pokolenia.

(Wspomnienie tatrzańskie z przed ćwierćwiecza¹⁾).

Z lazurowej przepaści nieba zlewał się w kotlinę Pańszczycy bezlitosny żar. W gorzeli słonecznej rozpyliły się masywy skał na migotliwe, niepochwytne miraże świetlistych plam i zwiewnych przymgleń. Rozedrgane spieką powietrze tłumilo, chłonoło w siebie wszelki zew życia, wszelki rytm przeszerzeni. Na roztoczach piargów osiadła cisza obumarca.

Lecz nie była ona zupełna.

Milczenie doliny budził od czasu do czasu miarowy dźwięk stali o skałę, lub szelest żwiru, osypującego się po zboczu. Zakosami ledwie z pod piargu wynurzonej perci pięły się ku Krzyżnemu dwie postacie. Jedną z nich był mężczyzna o siwej już brodzie i zmarszczkami sfalowanym czole, ubrany w sięgający do kolan surduł, długie spodnie i czarny, kozłowcem przybrany kapelusz, podpierający się staroświeckim parasolem, objuczony pękata torbą przewodnicką, pudliskiem aneroidu i półmetrową rurą termometru pod pachą. Za nim podążał mały chłopiec o kędzierzawych włosach, wydobywających się bujnemi splotami z pod słomkowego kapelusika, w wytartym mundurku studenckim, z potężnym kijem smrekowym w rękę.

Ojciec mój — on to był bowiem tym pierwszym wędrowcem — liczył podówczas lat 67, ja — ów chłopiec — rozpocząłem dwunasty rok życia i szczęśliwie przeszedłem do drugiej klasy gimnazjalnej.

Z mozołem, skapani w pocie, na zakosach gęsto przystając, osiągnęliśmy wreszcie szeroką rozchyl przełęcz.

Zbiegły z przed oczu szaro-żółtawe piarżyska uboczy, zwałała się grań w szumną otchłań Rostokij, wydzwigała się na niebo rozbłękitniona, nieogarniona przewiej szczytów. Świat nowy, nieprzemierzony, grozą wiejący, gdzie-niegdzie ledwo z nazwania znany, a przecież duszy tak krewny.

— Rysy... Ganek... Hruby... Gierlach... — padły ojcowskie słowa o treści dla mnie jeszcze niemal tajemnej, a głębszej — słuchane w skupieniu, pokorze, olśnieniu wewnętrznym.

— Widzisz tam w dole Siklaw! A to Przedni Staw. Pójdziemy ku niemu tą ścieżką!

— Hej Boże! — zadumałem się, — nad ludzkie ogarnienie wielkiś ty

¹⁾ Z dnia 28 sierpnia 1902 r.

świecie tatrzański, nad ludzkie siły mocneście wierchy! Zdołamże kiedy przedwędrować was, dalekie doliny, starczyże mi sił, żeby stanąć kiedy na twym czubie sędziwym — Łomnico, Lodowy Szczycie, Krywaniu!...

Długo siedzieliśmy na przełęczy, bo jeszcze wówczas nie gnała człowieka gorączka przemierzania naosłep grani i dolin, jeszcze wówczas widok wyżyny był tą najbardziej godową chwilą tatrzańskiego dnia.

Zwolna wierchy zaczęły tracić swoje przemglenie błękitne, pogłębiać cienie w żlebach, rysach, załomach, zwolna jęły śniegi i ściany powlekać się rdzawą oświetlą i coraz bardziej niepokalanemi linjami kryształić się w powietrznem przeźroczu.

— Czas schodzić, czas schodzić — powtarza ojciec głosem dziwnym, przytłumionym, nieswoim.

Gdy się już podniosła ponad nas zielona ściana przełęczy, na zakosie ścieżki ojciec przystanął. Zdjął kapelusz i jeszcze raz zapatrzył się w Tatry. Czuł, że starość i siły w trudzie życia sterane, nie pozwolą mu już więcej pójść nad skalną percią, że po raz ostatni już ogląda ze szczytowej wyży ów świat, który tak ukochał, któremu tyle lat poświęcił. Więc teraz brał w duszę jego obraz na resztę już dni, żegnał się z nim cichą, korną spowiedzią, a usta szeptały w przestrzeń modlitewną podziękę za tę moc promienną, jaka biła mu od gór w cieniu twardego, w gorycze bogatego życia, za ten wiew rzeźwiący, jaki mu niosły w czas udręk, za te chwile zachwyceń i podniesień wewnętrznych, jakich wśród nich tyle zasnął.

A wraz — szeroko rozwartemi żenicami chłonał ten świat pobok stojący chłopiec. Ku temu to światu już od dzieciństwa płynęły jego myśli i marzenia, płynęła jego tęsknota. W tajemnej omroczy ginęła jeszcze przed nim droga przyszłości, jeden przecież w niej szlak życiowy świecił się mu w tej chwili dziwnie jasną, tęczową smugą: czuł, że pójdzie — pójść musi nieodparcie — górnym szlakiem tatrzańskim, czuł, że Tatry staną się dlań władną potęgą, że — jak ojciec — odda się im w długą, wierną służbę.

Tak w godzinie przedzachodniej, wpatrzone w zjawę gór, stały na zakosie perci dwa pokolenia taternickie. Jedno, które przeżyło cud Tatr pierwotnych, niezgłębionych — teraz już w przeszłość schodzące, górom swe żegnanie wyżynne ślące, drugie, co dopiero witało kraj ogromów wierchowych, które dopiero miało podjąć skalny trud, aby — po latach — wznosić głażne kopce na ostatnich niezdobitych turniach tatrzańskich...

Tymczasem szczyty żarzyły się coraz mocniej, coraz potężniej, coraz mistyczniej — rzekłbyś, że z ciemni dolin wytrysły fontanny płomieni i ognistemi językami ogarnęły niebo.

Promień, co szedł od nich, jednym blaskiem grał w poszarzałych oczach starca i rozelśnionych źrenicach dziecka. Wiązał je, zespałał ze sobą, a potem — odbity — powracał znowu do szczytów.

Mieczysław Świerz.

W jednym dniu — cztery pory roku.

(Wspomnienia ze szkolnej wycieczki).

Prawda, czy kłamstwo?

Jako żywo, najrzetelniejsza prawda!

Na dowód mogę stawić kilku żyjących świadków, a nawet 25 niewiast, jeżeli znajdują się jeszcze tacy, co na prawdomówności tych istot zechcą polegać.

A działo się to nie w Himalajach, nie w Alpach, nie w Tatrach nawet, ale na naszej poczciwej staruszce Babiej. Działo się to w początku czerwca 1923 r., a jak się działo, opowiem.

Jako profesor z zawodu, udzielający światłości na męskich i na żeńskich kursach handlowych, nie byłem dla obu płci jednakowo sprawiedliwy. Mea culpa! To jest — żeby i dla siebie nie być niesprawiedliwym — nie byłem niesprawiedliwym jako światłodawca i coś tam... koło katalogów, ale tylko jako turysta w wolnych od zawodu chwilach. Byłem tedy niesprawiedliwy w urządzaniu wycieczek.

A młodzież obojga płci i wszelakiego wieku lubi wycieczki, lubi okrutnie wycieczki, nawet i młodzież handlowa. Lubi też i nauczycieli-obejzyświatów, przywiązuje się do szkoły, w której urządzają jej ładne wycieczki. I młodzież ta ma słuszość. Na osłodę różnych goryczy szkolnych coś się jej przecie słuszenie należy.

Uparł się raz pewien gimnazjalista, aby go ojciec do Akademii handlowej przepisał.

— Na co do handlowej? — pyta go ojciec — skoro ty nie masz zamiłowania ani do rachunków, ani do cygaństwa, ani do buchalterji?

— No, nie mam — mówi syn — ale tam urządzają ładne wycieczki.

Teraz i władze szkolne patrzą łaskawem okiem na różnorakie włóczęgostwo szkolne, dopatrując się w niem dużo wychowawczych, umysłowych i fizycznych walorów, a nawet usilnie je polecają. Ale nie tak to „illo tempore“ bywało! Ja zostałem turystą nietylko dlatego, że mam dobre nogi, nie bardzo dychawiczne płuca i nie za szerokie serce, nie tylko dlatego, że kocham góry i piękno przyrody, ale także dlatego, aby zrobić na złość moim śp. profesorom.

Pamiętasz, Franiu, mój przyjacielu kochany, z lat chłopięcych, ileśmy to godzin za różne ślizgawki, kąpiele i wycieczki „na labę“ w bocheńskim kryminale szkolnym prześlęczeli? Pogoda cudna, świat śmieje się do was, urwisze kochane, a tu dręczą temi aorystami i cosinusami, dręczą bez końca. Zamieniamy z Franiem znaczące spojrzenie: „jutro idziemy na labę“. Dowiedzą się o tem? — a niech się dowiedzą; będziemy w kozie siedzieć, ale gdy pogoda minie! W takim miasteczku profesor zaraz z rana wiedział, co się studentowi w nocy śniło, i jeśli to było niecenzuralne, dawał mu sześć godzin aresztu.

A pamiętasz jeszcze, Franiu, róże z cmentarza kradzione i konwalje w niepołomickiej puszczy zbierane, przez ciebie dla ... (nie zdradzę tajemnicy, boby ci żona scenę zazdrości zrobiła), przezemnie dla tej czarnej, ślicznej M. z pensjonatu „głuchej Paniusi“?

Edziu, Jasiu, Fredziu i wy inni koledzy — pamiętacie zamek wiśnicki, śliwki i jagody w Kolanowie, wiśnie w Proszówkach, rzepę na Solnej górze, ogórki w Uściu Solnem i kąpiele w Rabie? Dzisiaj my wszyscy prawie na profesorskim chlebie i na przekór naszym profesorom, dobrym i kochanym, ale na potrzeby młodości mało wyrozumiałym starszkom, młodzież legalnie po wycieczkach wodzimy.

Wszyscy wy, ś. p. profesorowie nasi, śpicie spracowani na bocheńskim cmentarzu, a choć nam, jako „włóczykiom“ hojnie sypaliście karcerem, żalu do was nie mamy, boście nas w gruncie rzeczy lubili i my was, zacne oryginały, kochaliśmy także, bo jak trzeba było, umieliśmy się także i uczyć.

A ty, Władziu, i ty drugi Franiu, coście nie chcieli z nami łobuzować, lecz kuliście i kuli bez opamiętania, czy nie żałujecie tego teraz? Obaj już leżycie od lat wielu na cmentarzyku w wiosce rodzinnej, a nam żal was, żal serdeczny, boście z gnatami były dobre chłopczyka!

Zapędziłem się na Babią, a zajechałem do Bochni. Wracam tedy, ale jeszcze nie na górę, lecz do mej niesprawiedliwości. Polegała ona na tem, że ile razy robiło się wycieczkę z chłopcami, to zśliśmy w Ojców, Beskidy, Pieniny, Tatry, a jeździło się nawet do Hamburga, w Alpy, do Włoch i Hercegowiny, zaś repertuar panieńskich wycieczek składał się ze Skały Kmity, Skał Panieńskich, Bielana i Błonia krakowskich.

Aliści zbuntował się rodzaj niewieści. A były to czwartokursistki na ukończeniu studjów. Coś tam słyszały o tem, jak nasi legjoniści wołali chórem do komendanta: „My chcemy rumu“, a nigdy bez skutku, tak też i one, gdy sobie raz wchodzę do klasy z Tetmajerem (książka) pod pachą, wołają one, skandując: „My chcemy na Babią Górę“!

Zdawna już planowałem zrobić im jakąś uczciwą przejażdżkę na po-



Sw. p. BARTŁOMIEJ OBROCHTA

Fot. Zwolińscy

żegnanie szkoły, ale że we mnie siedzi koguci duch przekory, mówię z powagą:

— Proszę siadać.

— My chcemy na Babią Górę! — rozlega się silniej.

Co tu zrobić z takim zuchwalstwem? Różne pedagogiczne środki przebiegają mi przez myśl... Czy złapać za pióro i zacząć pisać protokół o niebywałym buncie, czy surowem spojrzeniem pogromcy przygwoździć rewolucję?... Więc odsapnąwszy groźnie powiadam:

— Dobrze.

Gdyby mi kto darował trzy wsi na księżycu, nie potrafiłbym się tak cieszyć, jak ta gromadka z tego jednego słowa. Z przyrodzonej jednak przekory oblewam zimną wodą ten gorący zapach, mówiąc, że ja wprawdzie jestem każdej chwili do wycieczki gotów, ale wątpię, czy Dyrekcja zezwoli i przytaczam setki różnych przeszkód: spodziewana wizytacja, klasyfikacja na karku, może nie znajdzie się drugi chętny do drogi profesor, bo ja sam z tylu niewiastami iść się boję i t. d. Na następnej lekcji przyparto mnie do muru. Pozwolenie Dyrekcji jest (sam o nie prosiłem), drugi profesor również uproszony (także sam go namówiłem), proszą więc o wyznaczenie terminu.

— Termin oznaczy się później; przystępujemy do lekcji. — Wrzawa.

— Prosimy o termin dzisiaj!

— Zależy to od różnych okoliczności, głównie od pogody. — Wrzawa.

— Bez względu na pogodę jedziemy w poniedziałek rano. — Uciecha.

— Prosimy jeszcze o wykład o Babiej Górze i o informacje o przygotowaniach do wycieczek górskich:

Zaczynam tedy:

— Babia Góra jest najwyższym szczytem Beskidów Zachodnich, liczy 1725 m bezwzględnej wysokości. Zbudowana jest z magórskiego piaskowca i jest bardzo niebezpieczna dla turystek, bo przed 100.000 laty były na niej lodowce, a przed 25 latami zabito na niej ostatniego niedźwiedzia. Niedźwiedzia. Niedźwiedzie są to stworzenia niegrzeczne i lubią pożerać młode panny...

— Profesorów chętniej pożerają! Nie boimy się nieboszczyków niedźwiedzi — protestują młódki.

— Babia Góra — ciągnę wykład dalej — należy do typu gór alpejskich, zwiedzanie jej wymaga trzy dni czasu i ponoszenia niezwykłych trudów i niewygód. Nazwa jej pochodzi od tego, że ma naturę babią, kapryśną i nieobliczalną; podczas największej pogody leją tam bowiem zawsze deszcze, które są z reguły mokre, a z pod grubej warstwy śniegów nigdy nie widać jej olbrzymich lasów...

— E strachy na Lachy! Starzeje się nasz profesor, boi się niewygod i chce nas odstraszyć!

Spodobała mi się ich młodzieńcza energia, bo z doświadczenia wiem, że gdy się różne „ale“ poczyna nadmiernie rozważać, wycieczki zwykle nie przychodzą do skutku, więc nadroczywszy się nieco, puściłem serjo wodze elokwencji i w młode umysły przeszczepiłem wszystko, co wiem o tobie i w młode serduszka przelałem całą swą miłość i cały swój staromłodzieńczy zapał do ciebie „Babciu“, moja stara, wierna przyjaciółko!

Nomen — nie zawsze omen.

Gdyśmy w Suchej opuścili wozy kolejowe i pocąc się pod niemożliwie wyładowanymi plecakami, wdarli się na lesisty czub Magórki, deszcz lunął jak z cebra. Na szczęście znalazła się w samą porę gajownia, która w mgnieniu oka zmieniła się w wesołą tancbudę. Nie przeszkadzałem wcale. Znam naturę kobiecą i wiem, że niewiasty młode — i niemłode także — lubią nadewszystko cukierki, fotografowanie (ale żeby ładniej, niż w rzeczywistości na fotografii wyglądać), stroje, komplementy i taniec. Nigdy im tego nie za dużo! Młody mój koleżka, biorący prócz mnie udział w wycieczce, szedł z rąk do rąk i na owym ulewnym deszczu nie byłby zmókł więcej, niż napocił się w tanach. A ja, ja nieboraczek, pietruchowałem jak mamunia na balu, choć byłem dopiero wpółdodziewięćdziesięcioletnim młodzieńcem. I jest to sprawiedliwość, żeby taki już miał z obiegu wychodzić?

Ale mało tego było. Przygrywająca mandolinistka i gitarzystka także chciały sobie zatańczyć, więc proszą mnie, by im zagrać na grzebieniu! Skoczyłem jak oparzony i, nie rzuciwszy nawet zazdrosnem spojrzeniem na kolegę, wołam, żartując:

— Deszcz leje beznadziejnie. Wracamy do Suchej na wieczorny pociąg. Z wycieczki nic!

— Coooo? — krzyknie jak „jeden mąż“, 25 dzierlatek. — Żebyśmy się miały w parę wodną zamienić, żebyśmy miały płynąć, a nie iść na Babią, to nie wracamy! Robimy bunt, bunt!

Uczuwszy na sobie spojrzenia zranionych tygrysic, skapitulowałem.

Przyszedłszy do Zawoi, wyglądaliśmy, jak zmokłe wrony. A, przepraszam za niezdarne porównanie... jak... słowiczki po kąpieli.

W Zawoi pierwsza niespodzianka: fur zamówionych niema! A tu wieczór na karku, do schroniska jeszcze 4 godziny! Nocować we wsi? Niema gdzie! A niechże te nasze poczyt wszyscy dja...!

Pokazałem jednak energję, bo nie upłynęła jeszcze godzina, a już zjawilem się z wynajętymi furkami przed gospodą, gdzie moje słowiczki wysuszyły piórka. Deszcz ustał, zaczęło się wyjaśniać. Za chwilę trzy dryndy

wloką się z nami na Markowe Rówienki i obdarłszy nas za zółwią jazdę rzetelnie po katolicku, wysadzają pod Suchym Groniem. Tu dopiero zaczyna się turystyczna praca.

Ustawiam pochód gęsi (t. j. tak zwanego gęsiego), ja na czele, kolega na końcu, i przy blasku księżyca, zaśnianego co chwilę lotnemi chmurami, ciągniemy w górę. Z lasów dymią się opary, wicherek szumi w gałęziach,



Wschodnia grań Babiej Góry z przełęczy Jałowieckiej.

wykroty i olbrzymie pnie na wyrębach przybierają w mroku potworne kształty, w oddali rysują się czarne ściany boru, nad nimi majaczeje gigantyczny masyw Babiej Góry. Wszystko to razem składa się na fantastyczny i pełen tajemniczego nastroju obraz. Z powodu stromego i wysilającego nachylenia stoku radzę nie prowadzić rozmów i zachować higieniczne milczenie. Ale niewiastom radzić milczenie, tyle co rybom śpiewanie. Moje odważne w klasie turystki zaczynają piskać, jęczeć, stękać. Ta ustaje, więc niby zachwyca się krajobrazem, tej cięży zanadto plecak, ta zlekła się pniaka, tamtej zdało się że wilk na nią paszczkę otwiera. Rysia boi się rysiów, Wisia słyszała wyraźnie, jak w krzaku ruszał się ów nieboszczyk niedźwiedź, Relu krzyczy co chwilę: Mamusi! Pytają się, czyśmy nie zapomnieli wziąć ze sobą rewolwerów, czy dobrze nabite? Każda chce być bliżej profesora. Z gęsiego pochodu robią się dwie zbite gromady, jedna bardzo nieliczna koło mnie, druga bardzo liczna około przystojnego kolegi.

— Nie bójcie się — powiadam — bo ja sam w strachu. Za godzinę, za pół, będziemy w schronisku. Tam wszystko przygotowane — przed tygodniem zamówiłem listownie. Może nie zblądzimy — dodaję, choć dokładnie wiedziałem, że schronisko tuż za pasem boru, w połowie wysokości góry.

Niedaleko już było do północy, gdyśmy dotarli do celu.

— Przygotowane wszystko? — pytam dzierżawcę schroniska. — Prosiłem listownie przed tygodniem o zarezerwowanie noclegów dla nas na dwie noce.

— A będzie wolne schronisko, ale dopiero od rana, bo śpi w niem 30 studentów z podgórskiego gimnazjum. Listu żadnego nie dostałem.

— A dy jest — mówi syn jego, który razem z nami nadszedł z dołu z mlekiem; — przyszedł dziś wieczór, niosę go ze sobą.

— Psiakrrrew! — zakląłem od samego serca.

— E co sie ta gniewać — przerywa gazda, kiedy u nas listy przedej nie chodzujom. Oni poszli spać o 9-tej, odejdą wczas rano, to sie potem prześpicie.

— Dobra nasza — rzeknę udobruchany. Zbudzimy ich o 3-ciej, niech sobie idą, a reszta nocy należy do nas. Tymczasem do jadalni na posiłek!

Gospodarz warzy mleko, herbatę, jajecnicę, my wszyscy otwieramy plecaki i dalej do jedzenia. Myślałem, że tylko chłopcy mają wilczy apetyt na wycieczkach, a tymczasem... e, lepiej nie mówić.

Co one tam z sobą do jedzenia nie przyniosły! Wszystko, co tylko kula ziemską jadalnego produkuje! Ledwieśmy z kolegą do swojej wędzonki się wzięli, aż ci tu przybiega jedna i wdzięcznie dygnawszy, mówi: Panie profesorze, proszę spróbować mojego serowca, piekłyśmy go obie z mamusią; kosza nie przyjmuję.

— A dobrze, dziękujemy, wyborny! „Rączki lizać“ — jak to mówią. Medal dla mamusi za takie delicje. Proszę nie zapomnieć o tem jej powiedzieć — dodajemy skwapliwie, wiedząc, że mamusia nie tylko z powodu zalet kulinarnych godna jest komplementów.

Podbiega druga:

— Profesorze, doskonała kiełbasa, frankfurcka, proszę skosztować, bo się obrażę.

— Dobrze, dziękujemy.

Podbiega trzecia i na białej dłoni podsuwa czarne pomadki:

— Profesoreczku, proszę odemnie choćby jedną.

Czwarta przynosi korniszony:

— Profesorciu złoty, mama otworzyła słoik na wycieczkę, bardzo orzeźwiająca, proszę nie odmówić, bo się obrazimy obie.

Piąta przybiegła z czekoladą, szósta z salcesonem, siódma z karmelkami, ósma z gęsiną, dziewiąta z nugatem, a każda: Profesoruniu, profesoreczku, odemnie też, odemnie też! I jak ich tam było dwa tuziny i jedna, częstowały wszystkie, każda czem innym. Częstowała i Rela wielka i Rela mała i Fela i Hela i Mela i Wisia i Nysia i Rysia i Masia i Basia i trzy Zosie i dwie Tosie i dwie Władzie i Jania i Hania i Henia.

— „O Matko Boska Ukrzizowana“! — wołam jak ten góral, co mu się modlenie na odpuszczenie w Ludzimierzu zmyliło — a dajcież już pokój z tem częstowaniem, bo albo dostaniemy morskiej choroby, albo pękniemy i nie pójdziemy z wami jutro na szczyt.

O 3-ciej rano robię gwałt w schronisku, świstam, trąbię, budzę śpiącego profesora i jego studentów. Zgniewa się, to się zgniewa — myślę sobie — lecz przecież nie będziemy przez nich noc calutką ślęczeć. Na szczęście kierownik studenckiej wycieczki okazał się znajomym i uprzejmym kolegą, podziękował za wczesne zbudzenie, pościągał resztę swoich śpiochów z łóżek, dał im pół godziny czasu na ubranie się i na śniadanie, i punktualnie za 30 minut odmaszerował dalej.

Poziewając, żegnaliśmy odchodzących zuchów i podziwialiśmy cudne brzaski poranne i czerwoną tarczę wschodzącego słońca, a o czwartej byliśmy już w łózkach, t. j. ściśle mówiąc, damy w łózkach na sali, a płęć brzydka, t. j. my dwaj i kilku harcerzy, na sianie na poddaszu. Na wycieczkach z chłopcami każda noc była z reguły stracona. Ledwieś oczy zmrużył, znużony światłodawco, aż tu zaraz jakieś śmiechy, psie figle, nieraz klótnie i bójki spędzały ci sen z oczu; więc albo zatykaj usta, by nie parsknąć śmiechem, albo wstawaj, by łajać i godzić zwaśnionych kogutków. Ot — na poprzedniej wycieczce w tem samem schronisku... Zasypiam w najlepsze, a tu na sąsiednim łóżku drze się przez sen pilny studiosus: Oddaj mi francuskie słówka, oddaj zaraz, bo powiem panu profesorowi! Ledwie ten ustał, woła drugi, mający błogi sen, że je w dalszym ciągu kolację: Panie profesorze on zjadł o dwie łyżki jajecznicy za dużo, łakomic jakis! (Zamówili na dwóch jedną porcję jajecznicy). Po chwili wstał trzeci i świecąc wszystkim latarką elektryczną w oczy szuka poduszeczki, którą przyniósł w pocie czoła na górę, a którą mu „świsnął“ na tę noc dla siebie dowcipny kolega. Tam znów dwóch śpiących pod jednym kocem wadzi się ze sobą i ściąga ze siebie okrycie. Inny figlarz czołga się po cichu i przemienia kolegom w nocy obuwie i różne części odzienia — oj, będzie to śmiech z rana!, — inny znów zabrał twardo śpiącemu koc, a przykrył go wszystkimi plecakami, „niech mu ta będzie ciepło!“

Cieszę się tedy, zgarniając pod siebie garsteczki siana wraz z pchłami,

że tej nocy, gdy tych psotników niema, będę spał spokojnie. Jakoż istotnie, uśmierzywszy upomnieniem dobrze słyszalne przez powałę szepty, chichoty i niewinne anegdotki panieńskie, usnąłem niebawem twardo.

I byłbym nic może nie wiedział o zajściach tej nocy, gdyby nie słup na poddaszu. O słupie drewniany! jak długo będziesz podpierał poddasze; tak długo ścigać cię będzie moja wdzięczność, bo gdyby nie ty, ja byłbym zabójcą, a mój kolega ś. p. nieboszczykiem. A było to tak:

Jednej z panienek, co była mniej odporna na różne przysmaczki, zrobiło się — no, co tu obwijać w bawełnę — zrobiło się całkiem niedobrze. Prócz jej sąsiadek rzucił się na ratunek gazda, a sądząc, że to coś groźnego, wybiegł nas budzić na stryszek. Ja nie zbudziłem się wcale, zszedł tylko na dół kolega i jeden harcerz z apteczką. Zażegnawszy niebezpieczeństwo, skradali się po cichu na legowisko, aby nas śpiących nie zbudzić. Pech chciał, że właśnie ocknąłem się w tej chwili. Natężam jedno ucho — słyszę szmer i ostrożne stąpanie — natężam drugie — słyszę jeszcze wyraźniej.

— Święty Kazimierzu, patronie mój, bandyta! Pałę mu w łeb! — zdecydowałem i łap za leżący w pogotowiu rewolwer i cyngiel naciskam.

Wtem słyszę głuche uderzenie i dantejski jęk: O Matko Boska Cudowna, ratuj!

— Kto tu jest? — wołam, dygocąc z zimna (nie ze strachu).

— To ja! (poznaję głos kolegi). Okropnie potłukłem słup głową, aż mi światło migoce przed oczyma.

— Dziękuj Bogu, że nie wiekuiste. Idźże spać Marku z piekła, i głową nie rozbijaj mi dachu na głowę.

Było już po ósmej godzinie, gdy świstawką dałem znak do wstawania. Za kilka minut rojno już było w schronisku, jak w ulu. By nie przeszkadzać w robieniu toalet, my mężczyźni wynieśliśmy się zaraz do lasu na grzyby, zapowiedziawszy uprzednio białogłowom, że na 9-tą mają być gotowe do odmarszu.

Wróciwszy na oznaczoną porę do jadalnej salki, zdębieliśmy na widok niewieściej niesubordynacji. Spodziewałem się, że zastanę je pakujące plecaki, zwijające płaszcze, a tu co za obraz! Połowa przynajmniej siedzi przed zwierciadełkami, czeszą się, rurkują czupryny, zrywają papiloty, robią manicure, poprawiają coś we wdziękach, słowem robią wszystko, co potrzebne białogłowom do oszukiwania rodu męskiego.

Takie młode, i już to wszystko biegle umieją!

Bije zapach perfum, i to najmodniejszych, wonieje woda kolońska i różne mydełka. Kręcą się, jak frygi po wszystkich kątach, piskają, biegają, przewracają krzesła, jedna coś szyje, inna prasuje, trzecia blanszuje... buciki, ta

mówi pacierz, tamte tańczą tango. Od kolorów aż oczy bołą. Ta zachwycająco liljowa, druga różowa, ta w białym peniuarze, inna w kwiecistej matince, następna w niebieskim pudermantlu, dalsza w czerwonym szlafrocisku, inna jeszcze w tęczone paski, inna w drobną, ostatnia w grubą pepitę. Gdyby wszedł tu był Waclaw z fredrowskiej Zemsty, byłby napewno deklamował ustęp:

O płci piękna, miła, droga...

lecz zamiast niego wszedł gderliwy profesor, więc zrzędził:

— Co wy wyrabiacie? Pociście z sobą tyle fatałaszków pobrały? Mówiłem wam, żeby brać tylko rzeczy najniezbędniejsze, a tu całe sklepy galanteryjne! I dla kogo to wszystko potrzebne? Tu niema żadnych chłopców do kokietowania, tylko same sosny, sarny, wrony i smereki. O wpół do dziesiątej musimy odejść, dłużej nie czekam ani chwili!

Chłopcy na takie dictum acerbum trzęsą się ze strachu, parzą sobie usta mlekiem i na oznaczoną minutę stają gotowi w ordynku, — ale niewieście stadko wcale nie stropiło się mojemu gromami:

— A cóż my to, żołnierze? Nie będziemy gotowe wcześniej, jak na dziesiątą. Mleko jest gorące, nie będziemy go pić, bo to na płeć szkodzi. Wcaleśmy za dużo z sobą nie pobrały. Tacy podtatusiali panowie powinni się znać na tem, co kobietom potrzebne. Na Babiej Górze — baby paniami. Dość mamy terroru w szkole! O! wa, same też na szczyt trafimy, albo gazda pójdzie z nami...

— O nie pójdzie wcale, bo ja mu nie dam — wtrąca się do rozmowy zazdrosna gaździna, która stale wybiegała w górę do schroniska, ilekroć nadszedł do niego jaki transport damski, — on tu ma dość do roboty i do sprzątniania. A wy, panie — mówi do mnie — nie grymaście, bo wase panienki som wartkie. Mało ja się tu innym napatrzę. Jak mają odejść na szóstą ranę, to o południu jesse som w schronisku. A co nam głowy naturbujom, toby się człowiekowi odechciało syckiego. Czy macie tu gaździno puder, macie maszynę do szycia, jest kawa mrożona, są koronki, czy dostanę u was ciastek z kremem, rycynusu? Żeby tu człowiek cały Kraków sprowadził, jeszczeby było zamało!

— A widzi pan profesor, a widzi! Myśmy najlepsze z najlepszych, a tu jeszcze niedobrze!

Punktualnie o godzinie dziesiątej zaczęliśmy pochód ku szczytowi góry. Normalnie trwa to od tego miejsca 1½ do 2 godzin, lecz na nasze orle loty i trzy było zamało.

Szczyt widniał dzisiaj wspaniale w całym swym ogromie i w całej majestatycznej okazałości, oświecony pełnią słonecznego blasku. Po wczorajszych

ulewach pogoda zapanowała przecudna i napełniła nas najżywszą radością. Pod nogami było jeszcze ślisko, po drożynach sączyła się woda, ale nad głowami jaśniał błękit i słońce siało wspaniałym blaskiem. Nie przewidując, co za niespodzianki dzień nam dzisiejszy gotuje, poleciłem nie brać ciężkich okryć i ładownych plecaków, a wziąć ze sobą tylko odzież lżejszą i obiadową zakąskę; planowałem bowiem na popołudniu powrót do schroniska i przedchadzkę płajem do Mokrego Stawu.

Wiosna, która w dolinach rozciągnęła już pełne swoje władztwo, tu dopiero rozpoczęła panowanie. Na polanach woniało już kwiecie, gęsta zieleń okryła ziemię, smereki popuszczały pędy, na ich gałęziach ptactwo śpiewało wesoło, ale nieco wyżej, w mrokach gęstego lasu, zima zmagala się dopiero z wiosną. Jeszcze gdzieś tam leżały w zagłębieniach płatki gruboziarnistego śniegu, którego cienkie brzegi przebijały na wylot pędy śniegułki i pastorały młodej paproci, jeszcze na odleżałych przez śniegi placykach widniała ruda golizna, lecz gdzie słońce miało lepszy dostęp, już wytrysły zielone pędy, białe i żółte kwiatuszki. Cudowna moc słońca w oczach budziła do życia zamarłą przez długie miesiące roślinność. Poranek był zachwycający; czar wiosny buchał na każdym kroku, buchał w przyrodzie, buchał i w ciągnącej pod górę gromadce. Wiosna była nie tylko dokoła nas, ale wiosna była także między nami. Wszak ta gromadka niewieścia — to także wiosna; sama młódź, sam kwiat życia. Jakże dobrze z temi ramami wiosny harmonizował jej nastrój. Humor, wesołość, radość, zadowolenie i zdrowie — szły razem z nią ku górze wszystko — co się nazywa troską, niedolą i dolegliwością życia, zostało za nami w dole, nisko i daleko!

— Idźcie warcej — mówi do nas jakiś idący z góry gazda — nima dziś nijakij ćmy (mgieł), hań z wirchu uwidzicie Kraków.

Uśmiechnęliśmy się wszyscy.

— Gazdo miły, my nie chcemy widzieć Krakowa. Was cieszy, żeście widzieli Kraków, nas cieszy, że go nie widzimy, a smuci, że go widzieć musimy już jutro!

Ponad lasami, pod przełęczą Brony, bieli się w zielonych ramach kosówki duże śnieżne pole. Co za uciecha! Słońce zaczyna doskwierać, z powodu stromego a usypistego wyjścia pot zaczyna się perlić na czołach, a tu śnieg bielutki i chłodny!

— Chodźmy tam, fotografujemy się na śniegu!

— Ale pole strome, żadna utrzymać się na niem nie zdoła. Ustawiam tedy gromadę za białym polem w kosówce i uwieczniam na płycie wesołe twarzyczki i piękny krajobraz. Niech mają pamiątkę, tam wyżej zrobimy ich więcej.



Pole śniegowe na Babiej Górze w czerwcu 1923 r.

Na przełęczy otwiera się widok na słowacką stronę. Orawskie wioski, miasteczka, rzeki i sfalowany jej teren widoczny jak na dłoni; daleki horyzont zamykają wyniosłe pasma gór Fatra, Orawskiej Magury, Liptowskich Hal i Niżnich Tatr.

A wprost od południa...

Tam!... czy Allah postawił ścianą morze lodu.

Czy aniołom tron odlał z zamrożonej chmury?

To Tatry! niewyczerpany przedmiot zachwytu na dzień dzisiejszy. A bliżej, dokoła nas, krajobraz czysto wysoko-górski, alpejski. Gęsty płaszcz kosówki otula biodra góry, poniżej czernią się lasy nieprzejrzone, a powyżej na lewo dźwiga się w niebo olbrzymi, kamienny korpus góry. Jego przepaścista ściana północna, zryta piorunami, poszarpana w żłeby, kary i cyrki lodowcowe, zasłana polami i krechami śniegu, zawalona na szczycie morzem głązów kamiennem. Pod stopami mchy puszyste i warstwa gąbczastej próchnicy, węzowe sploty zeschłej kosówki i maleńkie kwiatuszki alpejskie, barwne, kochane i miłe.

O żałuj każdy, ktoś nie widział jeszcze tych cudnych, podniebnych wyzyn, o biednyś każdy, kto tylko przyziemnie pełzając przechodzisz przez życie.

Nastrój między nami zapanował podniesiony. Skupia się koło mnie moja gromada i zarzuca setkami pytań. Con amore udzielam wyjaśnień wszelakich, wpadam w profesorski zapał, robię geograficzny, przyrodniczy i estetyczny wykład pod gołem niebem i czuję, jak w umysłach doraźnie przyjmują się wiadomości i w młodych serduszkach kiełkuje miłość do gór i podziw dla piękna przyrody.

Ciągniemy wyżej ku Kościółkom. Wązką ścieżyną pośród kosodrzewiny ciągnie się barwny, wydłużony pochód; ja go otwieram, kolega zamyka. Słońce stanęło blisko południa i zaczyna doskwierać i prażyć z nadzwyczajną siłą, w powietrzu spokój, żaden powiew nie ochładza ciała. Pot występuje na wszystkie czoła, ścieka nawet ciurkiem, pragnienie dokucza nieznośnie. Nigdzie cienia, ani wody. Właściwa wysokim góróm insolacja występuje w całej pełni, a na wrażliwszych twarzach i szyjach dają się zauważyć jej czerwone skutki. Wiosna zmieniła się w upalne lato. Wołania o odpoczynek dochodzą mię ciągle, zbaczam tedy ze ścieżki i nad głębokim, urwistym rozdołem Kościółków urządzam posiedzenie.

Według miejscowego podania w mrocznych pieczarach tego polodowcowego karu śpią, jak i w Giewoncie, zbrojni rycerze, czekając powołania do czynu. Dno rozdołu jest jeszcze wypełnione śniegiem, którego odnogi podchodzą ku górze. Śmielsze z pańien schodzą ku nim, nabierają śniegu w poły, w garnuszki, i wróciwszy na górę, rozdają wszystkim po kuli śniegowej. Śniegiem i cukierkami napełniamy usta i wyborną imitacją lodów gasimy pragnienie.

Wbrew turystycznym przykazaniom o niezakłócaniu ciszy górskiej wyjmuję rewolwer i w przystępie dobrego humoru palę na wiwat. Śliczne, przeciągłe echo załomotało po skałach i zamarło głuchym pomrukiem gdzieś w odległej dali. Na prośby palę jeszcze raz drugi, na dalsze prośby chowam strzeladło do kieszeni.

Nasyciwszy się widokami, zaczynają mniej poetyczne panny rozwijać pakunczki i brać się z całą powagą do jedzenia; wołam tedy, aby to jeszcze odłożyć na później, gdy wtem już bez strzału daje się słyszeć odgłos odległego grzmotu. Patrę — nad Gorcami stoi czarna chmura, grzmoty poczynają się powtarzać. Świstawką podrywam gromadę na nogi i wartko walimy ku niedalekiemu już szczytowi. Od Tatr i Orawy również wysuwają się niewielkie chmury. W jednym mgnieniu oka szczyt Babiej owinęła biała mgła i na chwilę straciliśmy go z oczu. Nim jednak przestaliśmy narzekać, że nie będziemy mieli widoku, świsnął podmuch wiatru jeden i drugi, mgła

przepadła bez śladu i szczyt pozostał czysty. W przyspieszonym tempie skaczemy po głazach.

Już jesteśmy na szczycie.

W powietrzu panuje jakiś dziwny spokój i niepokój, który i nam się udziela. Już nie straszę więcej moich towarzyszek starym, żarłocznym smokiem, którego pierwszy raz będąc na szczycie ofiarami trzeba uspokoić i nasycić, niewiele też rozpatrujemy się w jednym z najwspanialszych na ziemi polskiej krajobrazów, bo co innego przykuwa naszą uwagę. Po wielkim upale nastąpiła w przyrodzie reakcja, burze nadciągały z różnych stron i koncentrycznie zbliżały się ku nam.

Czarna, wielka chmura zawałała Gorce, dwie burze łomotały grzmotami w Tatrach, czwarta mruczała gdzieś w północnej dali, a piąta szalała od południa nad Lipnicą i Rabczycami. Ostatnią mieliśmy tuż przed sobą a nieco poniżej stóp naszych, więc patrzyliśmy na nią jak widzowie z trybuny. Wierzch czarnej płachty rudy był od promieni słońca, spód jej łączył się z ziemią sznurami wody, błyskawice świeciły nam prosto w oczy i widzieliśmy każde miejsce, w które piorun uderzał. Waliło ich takie mnóstwo i tak blisko przed nami, że moglibyśmy byli nałapać pełne kieszenie, gdyby nie to, że śmigały za prędko i były za gorące. Burzę tę zniosło jednak bokiem, potem z czeskiej strony przewaliła się przez Pilsko na Żywiec. Ale szły na nas trzy inne. Podziw i groza objęły nas razem, tym już nie można się było bezkarnie przyglądać. Dają tedy znak i bezzwłocznie schodzimy ku poblizkiemu niemieckiemu schronisku. Tuż przed niem trafiamy na szerokie pole śniegowe. Ponieważ tym razem schodziłem ostatni, więc biegnę ku przodowi, aby pouczyć jak mamy „stupajami“ schodzić po niem ostrożnie. Nim jednak zdołałem nadbiedz, moje ucieszne kozy w sposób ryzykowny poradziły sobie same. Siadła najśmielsza na śniegu i bez namysłu — jazda w dół. Pochyłość była łagodna, nic się jej nie stało, śmiała się w dole wesoło; więc za nią fiut druga, fiut trzecia, fiut ostatnia. My — aniołowie stróże, odpowiedzialni za bezpieczeństwo powierzonych nam owieczek, znaleźliśmy się w tem położeniu, co generał Dwernicki wobec Krakusów pod Stoczkiem. Trzebaby było ganić i gromić za swawolną lekkomyślność, a tu śmiać się chce do rozpuku na ucieszny widok i pochwalić za odwagę i zręczność. Nie myśląc tedy wiele i nie chcąc się narazić na drwiny za lekliwość, pakujemy na chwilę powagę profesorską do plecaków i siadamy w dobrze już wyslizganą rynną śniegową i w ślady za temi kozicami.

W schronisku jedzenie, pogwarka, śmiechy, żarciki, piosenki. A tymczasem nad niefrasobliwą wesołością zawiśła groza.

Z kilku burz lokalnych powstała jedna generalna. Kilka chmur zetknęło

się na wierzchołku Babiej i obrąło go sobie za plac boju. Powstał piekielny zamęt i niebywały huragan wybuchnął z szatańską potęgą. Znaleźliśmy się w samym ośrodku rozwścieklonych żywiołów. W schronisku zrobiło się w kilku minutach tak ciemno, że trzeba było światło zapalić. Lunał deszcz, nie deszcz właściwie, lecz jakiś potop wodny jął zlewać się na stoki góry. Podziw i lęk, zachwyt i groza, objęły nas razem.

Potężne grzmoty zwały się w jeden dziki ryk, od którego trzęsła się góra w posadach i drżał cały budynek, pioruny były jeden za drugim, jak z karabinu maszynowego; były w las poniżej, były w kamienne zbocza góry powyżej, były w gromozwody na schronisku. Do tego wichur począł trzaskać żelazniami okiennicami, jak z armat, i trząsł formalnie całym budynkiem, tak iż zdawało się, że go porwie i rzuci w doliny. Wichur, woda, pioruny, błyskawice i grzmoty stworzyły razem jakiś straszliwy korowód i dantejski obraz. Wtem zdało się, iż dach zaczyna się załamywać, coś zadźwięczało po szymbach, niektóre z nich strzaskało — to bryły gradowe poczęły siec z opętaną zaciekłością. Po gradzie przysła śnieżna zadymka...

Zdawało się, że nadeszła jakaś chwila sądu i zagłady świata. Najśmielsze serce musiało zadrgać lękiem. Gdyby nas ta burza, raczej nie burza, lecz już jakiś żywiołowy kataklizm przyrody, złapał był na szczycie, nie byłibyśmy uszli z życiem. Wesoła, rozśpiewana gromada zbiła się w pośrodku izby jak stadko strwożonych owiec. Nikt nie zachęcał, nikt nie poddawał myśli modlitwy, lecz sama przez się nasunęła się im na usta pieśń nabożna i uderzyła prośbą w pobliskie ztąd niebios.

Śpiewały wszystkie bez wyjątku zgodnym chórem, tę odwieczną polską modlitwę: „Kto się w opiekę podda Panu swemu“, śpiewały: „Święty Boże“, śpiewały: „Królu, Boże Abrahama“, śpiewały katoliczki, śpiewały z nimi i żydówki razem. Pokazało się w twodze, że dla wszystkich Bóg jest tylko jeden. Rozrzewniający i niezapomniany był to obraz.

Gdy burza osłabła, wyszedłem na chwilę dla zbadania sytuacji. Deszcz padał ciągle, ale żywioły przycichły. W mieszaninie lodu, śniegu i wody brodziłem po kostki, pod górę kroku nawet zrobić się nie dało, woda z szalonym pędem gnała w dół po całym zboczu góry. Trzęsąc się z zimna, wróciłem do izby i oznajmiłem, że wracać dziś do naszego schroniska niepodobna, że musimy nocować w niemieckim. Było to przykre, bo nie tylko obrachowanie czasu i plany dalsze przekreślało, ale też i ciepłej odzieży i plecaków nie mieliśmy ze sobą, pewni pięknej pogody, a tu na dobytek złego niemieckiego schronisko zostało dnia poprzedniego doszczętnie przez turystów objedzone.

Wobec widma głodu zabawiłem się w komisarza bolszewickiego. Kto miał jakieś resztki jedzenia, musiał je złożyć na stół do wspólnego podziału,



Grupa wycieczkowa pod schroniskiem niemieckim na Babiej Górze.

gospodyni schroniska znalazła też jakąś resztę mąki, a któraś z panien troskliwiej pamiętających o sobie, przyznała się do garnuszka masła. Obawa śmierci głodowej zażegnana. Za chwilę w kuchence uwija się kilka panien we fartuszkach, które ze ścian, ze szafki, nawet ze strychu powyciągały mimo protestów gospodyni, i przygotowują „coś dobrego”. Łykamy ślinkę, czekając — przynoszą — dmuchamy i jemy. Okropny klajster i okropna lura! Wzdychamy w duchu każde do swego patrona, żeby nam pozwolił strawić tę kluchę z zakalcem, a równocześnie z grzeczności chwalimy „dobre placuszki z kawusią”. Panny wmawiają w nas niby, że się nie całkiem udało, bo winien temu... wiatr, fartuszki, piec, ... my zaś myślimy o przysłowiu o szczęściu kucharkach, o złej tanecznicy, i łykając kluchę z zakalcem udajemy, iż wierzymy w to, że buchalterki potrafiłyby coś lepszego zrobić, gdyby nie... i t. d.

Nie skończyliśmy jeszcze „uczty”, gdy powrotna fala burzy znów zahuczała około szczytu, fala, jeśli nie silniejsza, to i nie słabsza od pierwszej. Za-

wiadowniczy schroniska stwierdziła, że przez kilkanaście lat swego pobytu w tem podobłocznem mieszkaniu nie przeżyła chwili równej w grozie dzisiejszej. Nie posądzałem jej o przesadę, boć i ja różne już w górach przebywałem groźne przygody, lecz podobnie potężnej burzy przypomnieć nie zdołam.

Niezbadane są przecież tajniki i cuda górskiej przyrody i aury; jedynie zmienność i kapryśność kobiecej natury może z niemi iść w paragon. Już szukaliśmy przymusowego rozmieszczenia w kamiennej klatce, gdy wtem zabłysło słońce. Za niedługi czas zaświeciło już pełnym blaskiem. Wylegliśmy gromadnie na pole i stanęliśmy wprost osłupieni niespodzianym widokiem!

Szczękając z zimna zębami i drżąc na całym ciele, jak osikowe liście, nie mogliśmy zdać sobie sprawy, złuda czy rzeczywistość przed nami?

Otoczał nas zewsząd krajobraz zimowy!

Poniższe lasy, okalająca nas kosówka, przyległe szczyty górskie, bieliły się w śniegowej szacie, osrebrzonej światłem słonecznym, sam szczyt góry czerwienił się w lodowej powłoce, głazy pod nogami naszymi oślizgłe były od szronu. Powietrze tak się oziębiło, że przy każdym naszym słowie para z ust buchała, a stało się tak przejrzyste, iż na odległych, także obielających Tatrach, widniał każdy załom, każda rysa i krzyż na Giewoncie. Przed paru godzinami mieliśmy najskwarniejszy upał, a teraz zimę najprawdziwszą w świecie. Kto sam nie przeżył podobnych zjawisk, gotów innych posądzić o kłamstwo, o zbyt rozwichrzoną fantazję, a jednak prawda to dosłowna.

Brutalne to wtargnięcie zimy w okres lata nie mogło jednak trwać długo bez wywołania katastrofalnych następstw. Atak wroga został momentalnie odparty. Nie upłynęła cała godzina, a zimy już nie było. Ociepliło się znacznie, śnieg zniknął, grad stopniał, tylko w cienistych załomach świeciły się białe jego kupy, woda wszelaka z głośnym szumem w dół odpłynęła.

Choć zbliżał się zachód, uznałem, że możemy wracać do swego schroniska.

W kilkanaście minut byliśmy z powrotem na szczycie.

I znowu nowe cuda zobaczyliśmy teraz. Zdawało się, iż posprzysięgały się żywioły, by nam zgotować dzisiaj wszelkie możliwe niespodzianki: Morze mgły! Morze mgły tak cudne i wspaniałe, jakiemu równego nie widziałem w życiu, a widziałem ich wiele i w Beskidach i w Tatrach i w Alpach. Imitacja oceanu była zdumiewająco wierna. Wszystkie doliny dokoła zalała mgła nieprzejrzaną płaszczyzną, równą, lekko sfalowaną i szaro-białą jak stopione srebro, od zachodu zaróżowioną purpurą zachodzącego słońca. My na kamiennej wyspie w pośrodku, w oddali kilka czarnych czubów górskich, parę iglic tatrzańskich, a od północy spiętrzone bałwany mgieł wytworzyły sobo-

wtór Alp z lodowcami i płonieniem szczytów. Stałem, jak wryty, myśląc iż jakieś fata morgana przeniosły przed me oczy obraz pasma Jungfrau, na którym patrzył pod zachód słońca z jakiegoś pomniejszego szczytu koło Interlaken.

Cały ten obraz szeroki, nie psuty powiewem wiatru, był tak wspaniały i czarodziejski, że się nam śnić jeszcze będzie nawet kiedyś, po latach, że dosłownie oniemieliśmy z zachwytu. Lata całe trzeba wędrować po górach, aby raz trafić na tak cudne zjawisko.

W oczach młodych turystek, z których prawie wszystkie były poraz pierwszy w górach, widziałem nie tylko bezgraniczny podziw, ale wprost rozrzewnienie — widziałem i coś więcej: najserdeczniejszą wdzięczność i podziękę dla siebie, jak gdyby to na moje zamówienie zjawily się dla nich te wszystkie cuda. I byłem tem uradowany, bo w szarej, nauczycielskiej pracy nic tak nie cieszy, jak dowody przywiązania i wdzięczności.

Stąpając po zsiekanym gradem łańcach alpejskich kwiatuśzków, schodziliśmy ku dołowi leniwo, by jak najdłużej mieć przed oczyma tę uroczą złudę oceanu i wbić ją sobie w pamięć na trwałe; nie zeszliliśmy z przełęczy pierwej, aż zniknął ostatni promyk słoneczny... Na przełęczy stanęliśmy tuż nad górną powierzchnią tych gęstych mgieł białych, mogliśmy ją niemal rękami dotykać. Nieruchome cielsko mgły leżało, od linii lasów począwszy, grubą warstwą. Niebawem zanurzyliśmy się w jej oponach, a im schodziliśmy niżej, tem one stawały się gęstsze, tem ciemniejsze. Pod nogami było całkiem mokro, z gałęzi smreków padały duże, rzadkie krople, chłód wilgotny wiał zewsząd. W gęstwie mgły i oparów ledwie znać było ścieżynę, ledwie ściany boru i zarysy pni drzewnych, a dopiero na odległość kilkunastu kroków spostrzegliśmy w oknie schroniska światelko.

— Listopad! — to jedno słowo rzuca któraś z uczestniczek, dygocąc z zimna i poprawiając mokrą czuprynę.

— Tak, listopad — podchwytuję ten wyraz — trafnie pani zauważyła. Przedtem mieliśmy styczeń, przed nim lipiec, z rana maj. W jednym dniu wszystkie pory roku, choć w nieco zmienionym porządku. Nie chciałobyście wierzyć, gdyby wam kto o tem opowiadał; dobrze, że przeżyłyście to same.

* * *

W kilkanaście dni po tej wycieczce grono moich turystek z patentem w rękę opuściło mury szkolne na zawsze i rozpierzchno się po całej Polsce. Dziś przy znojnjej pracy zarobkowej wspomina o szkole, wspomina i o szkolnych wycieczkach. Co tam myślicie o szkole, nie wiem. Sądzę jednak, że dobrze, bo szkoła wydaje się macochą tak długo tylko, jak długo w niej się

przebywa, a we wspomnieniach staje się dobrą matką. Tego jednak jestem pewien, że ta nasza wspólna wycieczka zostanie dla was — młode przyjaciółki — lubą pamiątką i złotem wspomnieniem ze szkolnych czasów na całe wasze życie!

Kazimierz Sosnowski.

Niesamowita opowieść z Beskidu.

Po raz drugi już, przebiegłem zaciekawionym wzrokiem treść zmiętego nieco i zabrudzonego listu, który przed chwilą odebrałem. Na odwrotnej stronie koperty, widniała znana mi dobrze pieczętka schroniska babiogórskiego; pisał mój stary znajomy jeszcze z gimnazjalnych czasów, współtowarzysz wielu wycieczek beskidzkich, Jurek K.: „Drogi Bohdanie! Wiem, że zajmujesz się usilnie odszukiwaniem starodawnych znaków po poszukiwaczach skarbów i zbójnikach, że musisz wytrzeć sobą każdą rozpadlinę skalną, że wreszcie pod tym względem specjalnie ukochałeś Babią Górę. Mam coś dla ciebie! Jak wiesz po grotach łązić nie lubię. Zrobiłem jednak wyjątek dla twego Urwistego Wąwozu, o którym mi tyle opowiadałeś i zauważyłem tam rzecz dziwną:

Nad pierwszą Zbójnicką Grotą, pod „listem“ wykutym w ścianie skalnej przez nieznanego poszukiwacza skarbów w 1745 r., spostrzegłem świeżo wrytą datę — 27. XI., a pod nią niewielki krzyż. Tak cyfry jak i krzyż zostały wykute jakąś niepewną i drżącą ręką i są wskutek tego nieco zamazane. Nie byłoby w tem wszystkim nic dziwnego, gdyby nie fakt, że mamy dziś dopiero 7. XI. i że pod wrytą datą znalazłem na ziemi silnie zardzewiały nóż, o bardzo starożytnym wyglądzie. Koniec jego był świeżo ułamany, a resztką klingi osypana sproszkowanym piaskowcem.

Należy więc sądzić, iż tym nożem napis ów wykuto. Kto to uczynił i w jakim celu, pozostawiam do rozwiązania tobie samemu, o ile cię naturalnie, cała ta rzecz odpowiednio zajmie.

Ja sam schodzę już jutro w doliny i wracam do domu. Nóż starannie opakowany pozostawiam ci w schronisku, w przechowaniu u zawiadowcy, któremu zresztą nic o powyższym „odkryciu“ nie mówiłem.

Wyrażę na koniec swą własną opinię, a mianowicie sądzę, iż napis ów nie został wykutym przez zwykłych turystów...”

Nad treścią powyższego listu zacząłem się zastanawiać poważnie. Była bez wątplenia prawdziwą, — Jurek nigdy nie błagował w sprawach turystycz-

nych! Kto zatem wyrył ową datę? Czemu o pół miesiąca wcześniej i co ma oznaczać krzyż?

A przedewszystkiem z kąd się wziął ów nóż „starożytny“, jak go mój przyjaciel niezbyt ściśle określił? Prawdopodobnie nie uczynili tego zwykli turyści, a zatem kto? Czyżby istnieli jeszcze poszukiwacze skarbów, ci ponurzy romantycy gór! A wreszcie choćby ostatni z nich, samotnie błędzący po rozdrożach...

Tu w zamęt mych już nieco gorączkowych myśli i pytań, wemknęło się jedno wspomnienie: „Pielgrzym?“ — Nie! — Śmieszność! — Wszak to właściwie legendarna postać.

I przypomniała mi się poszarzała od starości twarz góralki, zżywieniem gwarzącej:

„On, znaczy się ten Pielgrzym, to ta wandrował kajsi od Babigóre. Wysoki beł, brzoda jaze do pasa, a kij to miał jakisi taki cudocki, nadziobany. Ji ta se chodzieł po Zawoi. Siod se pod chałupom abo gdzie, zjad co mu ta kto dał, z chłopami gadoł, hale księgi to wicie Panie od siebie nie puścił. A ino! Bo to on niby to miał takom wielgom księge; okładzinki beły ze skóry, a rogi zelezne. — Co wam powiem, to wam powiem, hale do cudu beł podany na świentego, tego co to wicie — Józefa.

Jakoto pytocie, cy beł stary? — Ano gdziesi pod stówkę, to mu ta heba szło. Ale sie trzimoł! Tozto prziseł raz ten Pielgrzym, do Sobka, tego z pod grapy. Księge ostawił w izbie, a som ukwalował ze starym przed chałupom. I co nie powiecie, wzion sie młody Sobek cytoć ty księge. Hej! Jak ci nim nie praśnie cosi o dzwirze, jaze zemgłał na kwile. Jak to stary użroł tak pado do Pielgrzyma: A cóz to za księge mocie panie i cy w ni siła niecysta siedzi? I co sie nie zrobiło. Wzion Pielgrzym ty księge, pożrał na starego jakosi tak uroczyście i chybaj do pola.

Odtąd my go juz nie widzieli! Straciła sie kajsi wereda. Poseł do swoji Babigóry, on ta cheba i siedzi. Hale to juz smat casu!“

Tak opowiadała stara Tekla Baraniec, w ponury jesienny wieczór, w schronisku na Babiej Górze. Skupieni dokoła wielkiego ognia, który sypiąc snopami iskier z trzaskiem buzował na kominie, słuchaliśmy z uwagą. I śniły się nam w wyobraźni starodawne czasy, zew grozy szumiące, niezgłębione lasy Beskidu, widmowe postacie poszukiwaczy skarbów, przedziwne uroczyska babiogórskie...

Na polu tymczasem szalał „halny“. Gięły się z jękiem wysokie smreki i zdało się, że cała góra drży w posadach.

To było dwa lata temu. Dziś, cały ten wieczór stanął mi jak żywy przed oczyma. Nie koniec na tem! Przypominać mi się bowiem jęły różne drobne,

lecz dziwne szczegóły z włóczęgi po zapadłych kątach Babiej Góry. Ślady ognisk napotykanie w górnym reglu, w miejscach tak dzikich i zarośniętych, iż napewno żaden z turystów czy gajowych nie był ich sprawcą. Dziwne znaki, wycinane niepewną ręką na korze omszałych smreków, wyraźnie poprzecinane chodniki w kosówce na urwiskach północnej ściany, no i kawałek zetłajej skóry, okutej w przeżartą rdzą blachę, znaleziony przypadkiem — w Zbójnickiej Grocie.

Lecz co najdziwniejsze, to podświadome odczucie obecności jakiejś istoty ludzkiej w pobliżu, nawiedzające mię nieraz przy przedzieraniu się przez haszcze i ostępy, które zwłaszcza tak wyraźnie dało mi się raz odczuć w lesie, przy Kaczmarczykowym Stawku.

A teraz ten znak, jakgdyby sygnał czegoś, dany tajemniczą ręką z przeszłości.

Tu myśli me, i tak dosyć roztrzelone, kłębić się poczęły jakimś szaleńcym wirym, — już nie władałem nad niemi. Zresztą i tak były to tylko domysły; czas mógł wykazać ich słuszność, lub niesłuszność. Należało zatem poczekać do 27 listopada, jeżeli data wryta na grocie miała coś oznaczać.

* * *

Na Babią Górę zaszedłem 26, już późną nocą. Gdzieś na Klekocinie wyglądnał zza chmur księżyc i blade, seledynowe światło spłynęło na śpiące w dolinach Koszarawy. Zawoja pozostała nadal w mrokach, Babią otulały szczerlnie gęste obłoki. Powietrze było ciepłe i duszne; czuć było nadchodzący od Orawy ostatni halny wiatr. Milczały lasy — gdzieniegdzie zaszleścił spóźniony liść, zlatując z buka, lub trzasła sucha gałąź świerkowa. Na Markowych Szczawinach drzemało wśród mgieł stare schronisko, zwiśsiwszy niedbale potężny kaptur dachu.

Dokładne oglądnięcie noża odłożyłem na jutro. Światło dzienne nadawało się do tego lepiej, a sam wolałem wyjść po kolacji na werandę. Pustka była ogromna — ostatni turyści zeszli już dawno w doliny. Jakgdyby bezkrólowie natury: skończyła się jesień, a nie rozpoczęła jeszcze swych rządów zima.

Stał bór zadumany w pomroce, pełen klechd szepczących cichutko po gałęziach, w wielkiej, nieprzemierzonej gęszy górskiej. Coś mrucał i bulgotał mały strumyk, jedyny odgłos tej jesiennego nocy beskidzkiej.

Gospodarz już dawno poszedł spać, czas było i na mnie. 27 listopada nadchodził szybkim krokiem; czy rzeczywiście miał on przynieść rozwiązanie zagadki, o ile takowa wogóle istniała? Wśród tego rodzaju pytań, ukołysał mnie sen. I śniło mi się, że w czasach zamierzchłych wędruję z poszukiwa-

czami skarbów po dzikim Beskidzie, rozbijając wedle tajemniczych znaków skały i kopiąc za złotem w jakichś nieznanach grotach...

A gdy rano obudził mnie zawiadowca, był już wielki i jasny dzień na świecie. Gdzieś rozpierzchły się w błękitne dale wieczorne obłoki, i cudna, iście wiosenna pogoda zegnała układający się zwolna do długiego snu zimowego, Beskid. W dole srebrzyła się migocząc wąziutka wstęga Skawicy i niebieszczył się, rozsiadły szeroko pod horyzontem, Mały Beskid. Podkrakowskie niziny zaślaniało morze suchych mgieł, które zwolna cofało się ku północy.

Nóż, jak się zresztą domyślałem, był oryginalnym nożem zbójnickim, z przed jakich dwustu lat. Krótki, szeroki, o rękojeści zakończonej trzema „bulkami“, był suto wykładany mosiądzem. Wielu szczegółów nie można było dokładnie zbadać z powodu rdzy, która grubą warstwą pokrywała wszystko. Ostrze jego było ułamane w jednej czwartej części i silnie zapruszone sproszkowanym piaskowcem, trzonek zaś posiadał wyraźne ślady uderzeń, dokonanych kawałkiem głazu. Nie ulegało więc już wątpliwości, że noża tego użyto do kucia w skale. Jakże żałowałem, iż starą Teklę już od roku kryje ziemia nikłego cmentarzyka wiejskiego. Onaby z pewnością wiedziała, kto w Zawoi ostatni taki nóż posiadał i czy miał go — Pielgrzym.

Albowiem myśl o nim, zaczynała mnie prześladować coraz uporczywiej.

Nadchodziło południe — czas było ruszać w stronę Zbójnickich Grot, by móc wrócić przed nocą. Na Izdebczyskach powitał mnie wściekły wichur, — całą grań tatrzańską spowijały ustawione do jednego poziomu sine obłoki; prognoza o nadciągającym „halnym“ okazała się więc słuszną. Najpóźniej jutrzejszego rana czoło jego powinno było osiągnąć Beskidu.

Na płasniach pod Złotnicą białały gdzieniedzie na żółtawych mchach niewielkie płyty śniegu, pozostałość po pierwszych listopadowych zwiastunach zimy. Pozatem cała grań babiogórska była czystą i profil jej odrzynał się wyraźnie na tle błękitu. Wchodziłem zwolna do Urwistego Wąwozu — była godzina 13, minut 10...

Co nastąpiło od tej chwili, będę się starał opisać jaknajdokładniej. „Będę się starał“, albowiem gmach mych przekonań i myśli doznał wówczas ze zrozumiałych powodów tak silnych zaburzeń, iż dotąd niektóre wrażenia zarysowują się w mej pamięci słabo, jakgdyby widziane przez mgłę...

Cały wąwóz zalegały już popołudniowe cienie. Owilgłe kontury szarych skał odbijały się dziwnie ponuro od otaczającej poszarpane brzegi koso-drzewiny. Z wyglądających z pomiędzy skał utworów wielkich niegdyś, a dziś nawpół zasypanych grot, podnosił się przenikający chłód...

Na potężnym bloku piaskowca, zwieszającym się nad czarnym otworem

pierwszej grotty siedziała postać ludzka. Błękitne pasemka dymu, sączące się z dogasającego między głazami ognia, przestaniały ją chwilami.

Wydlużony i jakby połamany kształt, zdawał się zlewać w jedną całość z podłożem na którym spoczywał. Ubrana w jakieś bardzo już zniszczone portki góralskie i długą, również obszarpaną gunię, postać ta przypominała chwilami stare zbójnickie obrazki malowane na szkle, z których jakgdyby żywcem zstąpiła w sferę rzeczywistości. Z wyschłej i pomarszczonej jak stary pergamin twarzy, zwieszała się długa do pasa, siwiuteńka broda.

Oczy dziwnego osobnika pozostawały wpatrzone w szczyt Babiej Góry, bezzębne usta poruszały się od czasu do czasu, jakby coś szepcząc do siebie.

Na hałas uczyniony mem nadejściem, człowiek ten drgnął poczem zwolna głowa jego zwróciła się ku mnie i raczej wyczułem jak usłyszałem słowa: „wiedziałem, że przyjdiesz“.

— Ktoś ty!? — wymknął mi się, niemal bezwiednie, okrzyk zapytania.

Wówczas on podniósł się z trudem i zapatrzony jak przedtem gdzieś ku wschodowi, zwolna wyszeptał drżącym głosem: „Jestem człowiekiem przeszłości“.

— „Wiedziałem, że przyjdiesz; że ci powiem o znaku, który słabą już ręką wykułem. Że bede mógł komuś zwierzyć tajemnice mego długiego i przeklentego życia. Bo dziś wieczór — umre — znikne przecie z tego świata — klątwę kończy się“.

I opowiadać zaczął, urywając co chwila, by odpocząć, dziwne dzieje swego życia. Od czasu do czasu sucha, koścista ręka wznosiła się w górę i chwiewając się w powietrzu, jakby odganiała jakieś okropne wspomnienia, czy widma przeszłości. Mówił przytem tak dziwnym językiem, pomieszaniem staropolskiej gwary z góralską i obecną, że jest mi wprost niemożliwym odtworzyć go wiernie.

— „Dziś sto i osiemdziesiąt lat, jak przyśliśmy w te strony od Krakowa, szukać w Babigórze skarbów. Lasy tu były okropne! Mogłeś trzy dni iść i nie wyjść; góry zbutwiały drzew, gąszcze nieprzejrane — ferecyna, jafery — potoki szumiom... Niedźwiedź tu ino a rys ze żbikiem gazdowali, w trawie pelzała żmija. Nie było samym poco iść. Zmówiliśmy się z góralami ze Zaboja; my mieli księgi ze „spiskami“ do skarbów, oni mieli nas wieść. Jeden — stary Matus — co sie najlepi na tajemnych grotach Babigóry znał, miał mi ukazać kanyś nad reglem miejsce, gdzie pewnikiem miał leżeć w ziemi skarb. Tego skarbu strzegły kute w skale znaki, a Matus nimioł do nich spisku. Mielimy się podzielić.

I tak szlimy po Babigórze — kopali i szukali bez dni i noce. Jednego ze Zabojańców przysiad niedźwiedź w lesie, mego spółnika z dolin ubił

głaz, co sie urwał w Kościółkach. A jak drugi góról ukrod nam jednom księge i uciek, zostalimy z Matusem sami. Szukaliśmy wciąż! Pustać, aże straszno. Raz słychno było zbójników, jak bez Izdebczyska z Orawy szli. Hukali i śpiwali i schodzili z łupem do Zaboja. Szła jesień. Wielka Tatra za Orawą była już cała w śniegu; my opuszczali sie od szczytu coraz niżej. Nic my nie znaleźli. Ani w piwnicach pod szczytem, ka Matusa mało nie przywaliły kamienie od stropu co sie urwał, ani na Cyłu, ani pod Kempom, nigdzie! Widno moje spiski nie były dobre. Matus kłął i zawiód mnie jednego dnia tutaj. Wyspinali my sie od jeziora, co już tera wyschło, — zaczęli my w tych dziurach ryć. Nad wieczorem Matus dokopał sie garka z dukatami — znaki mówiły prawdę. To było to miejsce, co mi je miał Matus pokazać. Zaczeli my sie wedle umowy dzielić. Mnie sie zrobiło luto tych złociaków co jich Matus brał. „Zły“ szeptał mi do ucha: „zabij go, to przecie chłop“.

— Usłuchnałem! Matus upad z rozbitom głowom, ale zdychając podniós sie, wyciągnon rękę i przeklon mnie: „Dwiesta roków bees żył i tu z ty Babigóry nie wyńdiesz; to za mojom krziwde i śmierć. Hale jo przinde po ciebie!“ Twarz mu sie wykrzywiła okropnie — i skonał. Zagrzeblem go tam nad borem“.

I ręką wskazał na północną ścianę, urywając na dłuższą chwilę. Patrzyłem bez przerwy na tę twarz wyblakłą, jakby drgający czasem drapieżnie sępi nos, na przygasłe od starości oczy, w których zapalały się i gasły, jakieś odbłaski przeszłych dni...

Nad Babią Górą zwolna zapadał mrok i mglić się poczynało powietrze — dorzuciłem sucharzy na ogieniek.

Z szalonom zamieszanem w mózgu zapytywałem sam siebie: zali to sen jakiś tak dziwny, czy też jawa? Może dotąd śpię w schronisku i pod wrażeniem poprzednich dni snię mi się te niesamowite zdarzenia, może zasnąłem w samym wąwozie?...

Szelest wichru po kosodrzewinie goniącego, był odpowiedzią.

— „Już sto osiemdziesiąt lat mija, jak błędę po tych górach — ciągnął dalej starzec — przekleństwo Matusa się spełnia... Jakaś zła siła trzyma mie i nie puszcza za ich rubież, siedze tu zimą i latem. Dawno, chodziłem do Zaboi. Potem sie mie ludzie zaczęli bać, — mówili że ze złym trzymam — wróciłem do lasu. Tu żyłem jak zwierz, strasznie mi beło luto za ludźmi, za rodziną; potem to przeszło.

Rok szedł za rokiem. Żyłem, żyłem i czułem, że nie mogę umrzeć. Już nie szukałem skarbów; znenawidziłem je od pamiętnej nocy. Potem już nie liczyłem lat. Matus w swym dole dawno już zgnił i w proch sie zamienił, a ja — wciąż żyłem.

Pote kanyś znikli zbójnicy, poszukiwacze, po górach zaczęli łązić ludzie z dołu — może od Krakowa. Nie było dla mnie miejsca, wcióż szedłem w coraz dziksze lasy, ale wszędzie słyszałem ich krzyki. Nie pokazywałem się, cosik mie trzymało; wzieliby mie za głupiego — oni — co byli inni — jak drzewiej.

Wybudowali se dwa domy na górze, zaczęli ciąć las... Wszędzie dymy, a mnie sie zwidywały dawne czasy i strasznie mi beło żal za niemi. Teraz dopiero czułem — jaki stary jestem i jak długo żyję. Teraz dopiero przeklinałem Matusa i jego zemste. Widziałem ciebie młody panie; jakieś chodził po Babigorze i dumał... Szedłec za tobom nieraz.

Ja czuję, że dzisiok — za chwile może — odejde; mija dwieście lat — Matus — czeka...

Hale nie zdechne jak zwirz, tyś mnie wysłuchał, ja już jakiś spokojny. Jest haniok pod złom dolinom, jak sie ten wielgi żleb dzieli, pod wantom, gar z Matusowemi dukatami — węz — koniec — Matus idzie“.

I wyprostował się wyciągając rękę, w oczach tlił mu się błysk nienawiści, lecz wnet zgasał. ...Gdzieś z nad urwiska, od żlebu Poszukiwaczy Skarbów, podnosił się i szedł przez morze mgieł jakiś straszny okrzyk — jęk tak niesamowicie brzmiący w swem „wezwanu“, iż ucułem jak mi się chłodno poczyna robić koło serca i jak ono zwolna zamiera...

Przestworza zalegały już ciemności nocy, poczynał się zrywać „halny“; do oświetlonego słabo przez ogień wąwozu, pełzała biała mgła.

„Wezwanie“ zbliżało się coraz szybciej, rozlewając się potwornie gamą dokoła...

Spojrzałem na Pielgrzyma; zdawał się być szarą plamą bez kształtu, odbijającą się konturem na ścianie, — cały wsłuchany w zbliżający się głos...

I nagle plama ta oderwawszy się od skały, poczęła iść w mgłę, w ciemność — na „spotkanie“. ...W blaskach dogasającego ognia widziałem jak przyłączył się do niej jak gdyby drugi cień, nieco jaśniejszy — i wszystko znikło we mgle...

Jak znalazłem się w schonisku dotąd niewiem. Zawiaadowca potem opowiadał, iż wszedłem około godziny szóstej wieczorem, zataczając się, biały jak ściana, i dowlókszy się do pierwszego z brzegu łózka, zasnąłem natychmiast kamiennym snem.

Tymczasem halny, „doszedł“ na dobre Babiej Góry. W jego chrapliwym wyciu zdało się, iż słycać jakieś piekielne chichoty i jęki, lecz to już były tylko halucynacje. Do gór zbliżała się szybkim krokiem zima i pierwsze płatki śniegu, poczynały wirować w powietrzu.

Władysław Midowicz.

K R O N I K A

Pius XI jako alpinista.

(W siedmdziesiątą rocznicę urodzin).

Od zamierzchłych czasów góry budziły w duszy człowieka uczucie lęku i wzniosłości, uczucie czci religijnej. Gdziekolwiek ludy pierwotne osiedlami swemi wsparły się o zwały górskie, zawsze w wierzeniach ich spotkamy się z kultem gór, jako mieszkań bogów, siedzib duchów z ciała wyzwolonych, miejsc najwyższych objawień, zawsze znajdziemy u nich przeświadczenie, że szczyty czołami swemi sięgają rzeczywistego nieba, że z wierchoików gór zatem najłatwiej wysłuchana będzie modlitwa, najchętniej przyjęta ofiara.

Zwycięstwo pojęć chrześcijańskich skruszyło skalne trony bożyszcz, unosząc siedzibę Przedwiecznego nad międzygwiazdne przestworza, a zarazem wszechobecnością Jego przepajając najskrytsze głębiny łądów i mórz, nie stargało przecież owego mistycznego związku, łączącego człowieka pierwotnego ze światem potęg górskich. Wprawdzie w dobie średniowiecza góry omijano w trwodze, uważając je za siedliska demonów, złych duchów, istot nadprzyrodzonych, z chwilą jednak, gdy rozwiązał się lęk przed niesamowitą ich grozą, stały się znowu źródłem głębokich podniet i wzruszeń religijnych.

Podziw dla ogromu, majestatu i piękna tytanicznie piętrzących się mas górskich, kierował myśl ku Bogu, jako Stwórcy tych przepotężnych zjawisk kosmicznych. Wznoszenie się człowieka ku szczytom, w przepastną wyż błękitów, budziło uczucie odrywania się od doczesności, zatapiania się w bezbrzeżach Nieskończonego. Trudy i chłody życia wśród pustki skał, stały się biczem pokutnym, narzędziem walki ducha z cielesną jego uwięzią. Nic dziwnego, że już w średniowieczu powstają w głębi Alp pustelnie, przytuliska pielgrzymie, schrony klasztorne, nic dziwnego, że na całej, długowiekowej przestrzeni dziejów, odkrywania wysoczyzn alpejskich spotykamy liczne nazwiska duchownych, jako badaczy przyrody górskiej, zwycięzców szczytów i przełęcz, budzicieli ruchu alpinistycznego. Postacie, jak biskupa Franciszka hr. Salm-Reifferscheida, proboszcza Horrascha, kapelana Walentego Staniga, opata Neyrata, kapelanów Jana i Jakóba Deschmannów, ks. prof. Piotra Thurwiesera, księdza Stefana Steinbergera — by tylko niektórych pionierów alpinizmu wspomnieć — niezatartemi głoskami wpisały się w historję Alp. Nie szukając zresztą dalekich przykładów, wystarczy sięgnąć w przeszłość i współczesność polskiego tarernictwa, aby przekonać się, jak żarliwymi wyznawcami pięknej Tatr byli księża i duchowni. Komuż, kto tylko trochę zapoznał się z dziejami naszej turystyki wysokogórskiej, obce nazwiska: ks. Stanisława Staszica — pierwszego polskiego zdobywcy olbrzymów tatrzańskich, ks. Józefa Stolarczyka i ks. dra Eugenjusza Janoty — pierwszych w dzisiejszem pojęciu taterników polskich, księdza proboszcza Pleszowskiego — pierwszego „króla Tatr“, profesora Walentego Gadowskiego — twórcy nadprzepastnego szlaku „Orlej Perci“, ks. Jana Humpoli — przedstawiciela najśmielszych czynów skalnych, i wielu, wielu innych.

Wybitny współdziałal księży w wydzieraniu górnemu światu groźnych jego tajemnic, wskazuje, że duchowieństwo katolickie — jak zresztą i ewangelickie — umiało dostrzedz

w turystyce wysokogórskiej uszlachetniające wartości, i że w oddawaniu się jej widziało cel czysty, wysoki, trudu i wytyżeń woli godny. Nigdy jednak nie doznały najszersze koła turystów wyższego ukrzepienia w swej miłości do gór, jak w dniu, kiedy na tronie papieskim zasiadł kardynał Achilles Ratti, jako Pius XI. Oto wybór padł nietylko na niespożytego pracownika Kościoła, który rozległością swej wiedzy, czystością życia i ofiarniczą służbą doszedł do najwyższej w świecie chrześcijańskim godności, ale również na przedziwnie głębokiego wielbiciela gór, co wiele myśli, trosk i dążeń im poświęcił i co imię swe wśród nich szeregiem niezwykle śmiałych wypraw utrwalił.

Już od wczesnej młodości rozmiłowany w swobodzie życia górskiego, rozwinął ks. Achilles Ratti szczególnie żywą działalność alpinistyczną, jako profesor Wielkiego Seminarjum Duchownego w Medjolanie. W czasie tym dzisiejszy Ojciec Święty był nader czynnym członkiem „Włoskiego Klubu Alpejskiego“, przedsiębrał szereg pierwszorzędnych, po części odkrywczych, wypraw wysokogórskich i gorliwie, z gruntownością naukową oddawał się studjom „wiedzy“ alpinistycznej. Trzy z pośród swych wypraw opisał ks. Ratti w publikacjach wspomnianego powyżej klubu, przyczyniając się w ten sposób czynnie do pomnożenia literatury alpejskiej. Artykuły te¹⁾, przetłumaczone na język francuski i wydane w tomie pod charakterystycznym tytułem: „Ascensions“²⁾, złożyły się na jedyną w swym rodzaju książkę. Książka to, której niepodobna czytać bez wewnętrznego poruszenia, gdy się uświadomi, że o swej miłości do gór, o swych przeżyciach nadobłocznych, opowiada w niej Ten, co później stanie się duchowym przewodnikiem całego świata chrześcijańskiego.

Ustępy książki poświęcone są opisom wypraw Papieża na trzy najwybitniejsze tytany Alp: Mont Blanc, Monte Rosa i Matterhorn. Najobszerniejszy z rozdziałów dotyczy wejścia na Monte Rosa wschodnią ścianą, od strony miejscowości Macugnaga. Szerokość ram owej opowieści jest aż nazbyt zrozumiała. Wstrząsające swą potęgą, przeszło 2.000 metrów mierzące, całe wiszącymi lodowcami nastermane wschodnie urwiska najwyższej góry Szwajcarii, należą do najdłuższych i najcięższych wypraw w całych Alpach, a staczające się po ich okrutnych stromiznach kamienne i śniegowe lawiny, iglice i odłamy lodowcowe, wystawiają turystę na niebezpieczeństwa, wobec których często bezsilną staje się wola ludzka i które też niejedną już ofiarę wyrwały z pośród alpinistów. W celu przejścia owej, poprzednio zaledwie kilkakrotnie zwiedzonej ściany, wyruszył ks. Ratti w towarzystwie ks. prof. L. Grasselli'ego — druha wielu swych wypraw — oraz z przewodnikiem J. Gadin'em i tragarzem A. Promentem, w dniu 30 lipca 1889 r., i po 18-godzinnej, wyczerpującej, bezprześcannem zmaganiem się z grozą urwisk i lodów wypełnionej wspinaczce, wydostał się na grań w przełęczy „Grenzsattel“, a stąd na niższy wierzchołek Monte Rosa, zwany Grenzgipfel (4.631 m.). Była godzina wpół do ósmej wieczór. Mrok zapadł już nieprzejrzany, trzeba było co rychlej szukać jakiegoś miejsca na nocleg. Znalezione je o 30 metrów poniżej szczytu, na wąskiej, w przepaści bezpośrednio urywającej się terasie skalnej. I tu, na wysokości 4.600 metrów, smagany

¹⁾ Sac. Prof. Achille Ratti: Al Monte Rosa (Punta Dufour) da Macugnaga e prima traversata del Colle Zumstein, Bollettino del C. A. I. per 1889, vol. XXIII, nr. 56, pp. 1—29.

Achille Ratti: Ascensione al Cervino direttamente da Zermatt, Rivista mensile del C. A. I.; vol. IX, 1890, pp. 65—68.

Achille Ratti: Al Monte Bianco. Salita par la via del Rocher e discesa per il Ghiacciaio del Dôme, Rivista mensile del C. A. I., vol. IX, 1890, pp. 326—330.

²⁾ Achille Ratti (S. S. Pie XI): Ascensions. Mont Rose, Cervin, Mont Blanc. Traduit de l'Italien par Emile Gaillard. — Librairie M. Dardel, Chambéry.

lodowatą wicherą i do głębi przejmującym mrozem, z nogami zwieszonymi w otchłań, przepędza Ojciec Święty noc wysokogórską, która staje się dlań przeżyciem o niezatartej sile. „W podobnych warunkach terenowych i atmosferycznych — pisze w swej książce — najwyższą nieroztropnością byłoby poddać się senności. Lecz któżby zdołał usnąć wobec czystości powietrza, co chłostało naszą krew, i w obliczu widowiska jakie mieliśmy przed oczyma? Na tej wyniosłości... pośrodku tak wspaniałej wśród najwspanialszych, scenerji alpejskiej, w tej czystej i przezroczej atmosferze, pod tem niebem o najgłębszym szafirze, rozjaśnionem waziutkami półkolem księżycą i — dokąd wzrok przesięgnie — wszędzie roziskrzonym gwiazdami..., w tej głuszy... Nie! Nie będę kuśił się na opis tego, czego opisać niepodobna. Zarówno profesor Grasselli, jak i ja, jesteśmy głęboko przeświadczeni, że trudno nam będzie oglądać kiedyś widok o większym przepychu. Czuliśmy, że jesteśmy wobec niezrównanego — a dla nas nowego — objawienia się wszechmocy i majestatu Boga... Jakżeż mogliśmy, nie powiem już uskarżać się na poniesione trudy, ale pro prostu myśleć o nich“...

Następnego dnia, wczesnym ranem, wdarto się na najwyższy wierzchołek Monte Rosa (t. zw. Dufourspitze, 4638 m), poczem z przełęczy „Grenzsattel“, opuszczono się w przeciwną stronę, do Zermatt, dokonując w ten sposób pierwszego przejścia wspomnianej przełęczy¹⁾. Zanim jednak turystom naszym udało się osiągnąć schronisko na Riffelalp, musieli oni spędzić jeszcze jedną mroźną noc pod otwartem niebem, na lodowcu, na którym uwięził ich zmierzch.

Znalazszy się w Zermatt, ks. Achilles Ratti nie mógł oprzeć się urokowi najdumniejszego w kształtach szczytu Alp, urokowi Matterhornu (4482 m). Wyprawę nań opisuje w drugim ustępie książki. Wyszedszy ze swymi przewodnikami w nocy, z 6-go na 7-y sierpnia 1889 r., staje następnego dnia, około godziny 4-tej popołudniu, na wierzchołku gigantycznego obelisku, aby w drodze powrotnej, na wyżynie kilku tysięcy metrów, ponad straszliwemi zerwiskami góry, przeżyć w radosnej pogodzie ducha nowy niezapomniany biwak.

Trzecią z opisanych wypraw skierował Ojciec Święty z prof. Grasselim, J. Boninem i swymi wypróbowanymi przewodnikami, na wierzchołek Mont Blanc od strony południowej. Osiągnąwszy szczyt „Białej Góry“ w dniu 31 lipca 1890 r., spędzono noc w obserwatorium Vallota (około 4.362 m), poczem dokonano częściowo nowego zejścia przez Dôme du Goûter i zachodnie ramię lodowca du Dôme. Wynaleziona wówczas droga przedstawia najłatwiejszy dostęp na Mont Blanc od strony włoskiej i dzisiaj jest z tego powodu w powszechnem użyciu²⁾.

Z niejednym jeszcze szczytem Alp, niejedną ich grupą, związało się imię obecnego Ojca Świętego, przytoczone jednak przykłady dostatecznie już ilustrują rozpiętość i skalę Jego przedsięwzięć górskich.

Lecz nietylko sam przebieg wypraw, ale i sposób narracyjnego ich ujęcia dają wymowne świadectwo, jak zwołanym, z krwi i kości alpinistą był dzisiejszy Papież.

¹⁾ Przełęcz „Grenzsattel“ proponował ks. Ratti przechrzcic na „Colle Zumstein“, nazwę tę jednak odrzuciło szwajcarskie biuro topograficzne, kierując się zasadą, że tylko wyjątkowo dopuszczalne jest tworzenie nomenklatury od nazwisk turystów, nigdy jednak, gdy taka nazwa miałaby zastąpić już istniejącą i w literaturze upowszechnioną (por.: Gottlieb Studer: Über Eis und Schnee. II Abteilung, p. 101).

²⁾ W opisie wyprawy na Monte Rosa ks. Ratti nazywa ks. prof. Grasselli'ego „swym starym towarzyszem wypraw alpejskich“, w artykule zaś o wyjściu na Matterhorn wspomina o wycieczce w grupie Gran Paradiso, w czasie której — warto zaznaczyć nawiasem — przez kilka minut utrzymał sam na linie przewodnika, gdy ów wpadł do szczeliny lodowcowej.

Sposób to ujęcia, cechujący jedynie klasycznych przedstawicieli alpinizmu. Opowiadanie jest proste, zwarte, rzeczowe, pozbawione jakichkolwiek frazesów, ale zarazem pełne spostrzeżeń wnikliwych, pełne myśli głębokich i uczuć podniosłych. Nigdzie wysuwania na przedni plan swej osoby, swej inicjatywy, swych czynów, nigdzie rozpisywania się o wielkości niebezpieczeństwa, zato niezwykła wprost znajomość faktów i literatury alpinistycznej, zato zawsze troska najserdeczniejsza o towarzysza, zawsze niczem nie tajone uznanie dla wysiłków, zasługi i dzielności przewodników. Zaiste trud tych prostych, a tak często pełnych bohaterskiego poświęcenia ludzi, nie mógł znaleźć wyższej nagrody nad tę, że słowa najszczerzej wdzięczności poświęca im w swej książce...
Ojciec Święty!

Zbiegły lata. Z śnieżnych szczytów Alp wstąpił Msgr. Achilles Ratti na szczyty wyżyn duchowych, aby z nich ukazywać zgębnionej ludzkości nowe ścieżki, nowe horyzonty. Ale i na owej najwyższej strażnicy nie opuściła Go troska o tych, co wśród ogromów skalnych szukają mocarnej walki z wrogimi siłami przyrody. Kiedy w r. 1922 bohaterska grupa Anglików wyruszyła na podbój „szczytów świata“, śle jej do dalekiego Dardjilingu swe błogosławieństwo. Gdy zbliżała się, na rok 1926 przypadająca 1.000-na rocznica narodzin św. Bernarda z Menthon, opiekuna ludu górskiego, Papież czyni go patronem także wszystkich turystów, a postanowienie swe objaśnia w liście apostołskim do biskupa Florencjusza z Annecy w takich słowach: „Z pośród wszystkich zatrudnień, przynoszących rzetelne wytchnienie, niema bodaj zdrowszego dla ciała i ducha nad sport górski, jeżeli tylko unikać się w nim będzie wszelkiego rozzuchwalenia. Człowiek zahartowuje się, wznosi się do sfer coraz subtelniejszego i czystszyego powietrza, odnawia i umacnia siły. Nie może to pozostawać bez wpływu i na ducha ludzkiego, który staje się dzięki temu zdolniejszym do pokonywania różnorodnych walk i ciężkich obowiązków życia. A gdy jeszcze ogarnie nas podziw dla bezmiaru i przepychu, jaki się oczom naszym odsłania na wszystkie strony z wierzchołków olbrzymów górskich, wówczas duch nasz bezwiednie ulatuje ku Bogu, Stwórcy i Panu natury“...

... Śnieżne kopuły szczytów alpejskich lśnią się zdala od kopuły Piotrowej świątyni...

To jednak pewne, że kiedy cicha, rozgwieżdżona noc otuli stolicę świata, myśl watykańskiego Wzięnia nieraz płynie szlakiem mlecznych mgławic ku dalekim wyżom Alp, płynie w tęsknej zadumie ku chwilom, gdy przywartego do wąskiej płasni podszczytowej otaczał wokół bezkresny — w lody, mrok i milczenie zakrzepły — świat wierzchowy, a w górze rozpięła się tajemniczo Bezdeń — Wiekuistość — Niebo.

Mieczysław Świerz.

Dookoła utworzenia pogranicznych Parków Narodowych.

Powierzchniemu obserwatorowi prac nad utworzeniem Parków Narodowych na pograniczu polsko-czechosłowackim, a przede wszystkim najważniejszego z nich Parku Tatrzańskiego, zdaćby się mogło, że rok ubiegły przyniósł raczej zahamowanie, a nawet cofnięcie się tej akcji.

Jeżeli jednak opowiadanie moje tegoroczne o losach Parków Narodowych, które składam w ślad artykułów poprzednich roczników „Wierchów“, dojdzie do innego końcowego wniosku, to pragnąłbym, aby ów wynik dotarł nietylko do świadomości tych,

co na sprawę gór polskich, turystyki i ochrony przyrody patrzą z szerszego, państwowego punktu widzenia, ale także do zakapturzonych przeciwników naszych prac, którzy rozpatrują sprawę z czysto lokalnego punktu widzenia. Myślę bowiem, że czas skończyć z walką niektórych czynników lokalnych z ogólnopolskim i ogólnoludzkim prądem ochrony przyrody.

Walki takie nie są wprawdzie zjawiskiem nowym. Gdy czytamy sprawozdania naszych przyjaciół amerykańskich, którzy na arcytrudnym terenie Stanów Zjednoczonych trwają w ogniu bojowym o ochronę przyrody, to mamy obraz podobnego zjawiska. Tylko tam wojują z ideą Parków Narodowych potężne trusty przemysłowe i handlowe, wielkie rzesze jedynie w business zapatrzonych spekulantów, oraz zajadłe sfery bezwzględnych eksploatatorów.

I mimo to, w tym kraju interesu, w którym, zdałoby się, jedynie dolar rozstrzyga o wszystkim, idea „ochraniarska“ zwycięża. Hasło ochrony przyrody nie tylko szerzy się coraz bardziej, ale zyskuje realne podstawy w tworzeniu nowych rezerwatów, lasów chronionych i Parków Narodowych. Nasi przyjaciele amerykańscy wygrywają, zwycięża paradoks, którym jest rozszerzanie się światła idealizmu w morzu zmaterializowania.

U nas, rzecz jasna, walka z ideą ochrony przyrody, stosownie do zupełnie odmiennych warunków, inne przybiera formy. Do boju występują ludzie, chroniący małe swe krótkowzroczne interesy i niektórzy politycy miejscowi, czyniący z idei Parków Narodowych obiekt sporów i akcji politycznych, czy też wręcz wyborczych.

Widownią takich walk było w ubiegłym sezonie Zakopane. Rzecz jednak charakterystyczna: we wszystkich artykułach dziennikarskich, wieceach, zebraniach i rezolucjach nie występowało już przeciwko samemu utworzeniu Parku Narodowego Tatrzańskiego. Przeciwnie, oświadczano jednomyślnie i stale, że przeciwko idei Parków Narodowych nikt nic nie ma, tylko przeciwko sposobowi ich realizacji.

I tu zaczyna się pieśń, dobrze nam na gruncie zakopiańskim znana. Istnieją niektóre czynniki w Zakopanem, które nie występują przeciwko ideom zbyt wielkim i drogim całemu społeczeństwu, gdyż zbyt jawnym stały się wtedy rozdźwięk pomiędzy stanowiskiem Zakopanego, a resztą społeczeństwa, i zbyt szybko zbliżyły się moment definitywnej utraty przez Zakopane zaśluzonego dawniej miana i treści „letniej stolicy Polski“. Wstępując w szranki bojowe, wojuje się tylko ze „sposobem wykonania“, licząc na czas, nieznaną stosunków lokalnych, a wreszcie zniechęcenie czynników ogólnopolskich. W ten to sposób prowadzi się od dłuższego czasu walkę nieustępliwą z planem regulacyjnym Zakopanego, na tę „wypróbowaną“ już od czasów Witkiewicza drogę, wkraczono w sprawie Parku Narodowego Tatrzańskiego.

Czy jednakże ten sposób postępowania prowadzi, abstrahując od jego właściwej wartości, do celu, którym jest dobro Zakopanego? Mam głębokie wrażenie, że nie.

Jeżeli Zakopane chce się utrzymać jako największa stacja klimatyczna Polski i rozwijać tak, jak do tego ma świetne warunki, to nie może iść o własnych siłach, ale musi zyskać pomoc i zainteresowanie całego społeczeństwa, a co za tem idzie i państwa. Aby jednak to zainteresowanie uzyskać i utrzymać, musi uzgodnić swe interesy z interesami ogólnospołecznymi i ogólnopaństwowymi. Ten proces wymaga czasem pewnych ofiar, i to przeważnie niezbyt bolesnych, ale koniecznych, z niektórych lokalnych interesów. Nigdy jednak to uzgodnienie nie będzie osiągnięte, jeżeli z każdej drobnej sprawy np. budowy, rozpoczętej bez pozwolenia i w sposób sprzeciwiający się istniejącym ustawom w miejscu, uznanem za nieodpowiednie przez kompetentne czynniki, będzie się sztucznie czynić sprawę sztandarową ogólnogóralską, lub w sprawie Parku Narodo-

wego będzie się szerzyć i podsycać najbardziej nieprawdziwe i najdziksze wieści o jego realizacji, podniecając wrzenie wśród ludności miejscowej. Ta droga prowadzi nieuchronnie do coraz to głębszego rozłamu pomiędzy interesem ogólnospołecznym i ogólnopanstwowym, a interesem lokalno-zakopiańskim, na czym ostatecznie musi wyjść źle Zakopane, pozbawione pomocy moralnej i materialnej z zewnątrz, z poza opłotków swych rogatek.

Ten jednak wynik nie jest chyba w niczyjim interesie, ani nawet najzaciętszych „lokalistów“ zakopiańskich, ani też miłośników Tatr i klucza do Tatr, jakim jest Zakopane, rozsianych po całej ojczyźnie i skupionych przedewszystkiem w Polskiem Towarzystwie Tatrzańskiem, tej najpotężniejszej organizacji turystycznej w Polsce. Dlatego też nie tracimy nadziei, że wszystkie rozważne i patrzące na dalszą metę czynniki zakopiańskie, oraz ludzie z całej Polski, interesujący się Tatrami i Podhalem, uczynią wszelkie wysiłki, aby doprowadzić do jaknajdalej idącego uzgodnienia rozbieżnych interesów i skupią się w pracy nad utworzeniem z Tatr Parku Narodowego, a z Zakopanego godnego wstępu do tego Parku, co będzie początkiem nowego okresu rozkwitu drogiej nam wszystkim miejscowości!

Jeżeli do tego skupienia i złączenia we współpracy nad wielkiem dziełem przyszłości doprowadzą nas smutne doświadczenia ubiegłego roku, to okres ten nawet na lokalnym terenie nie będzie stracony!

Gdyż pozatem w całej Polsce i zagranicą praca nasza w ubiegłym roku wielkie poczyniła postępy.

A więc jak płomień szerzy się uznanie idei utworzenia Parków Narodowych na pograniczu polsko-czechosłowackiem w świecie kulturalnym.

Po Polskiem Towarzystwie Tatrzańskiem, które tak pewnie i niezachwianie stoi już na gruncie ochrony przyrody, że stało się przedmiotem głównych ataków naszych przeciwników, przyszła kolej na objęcie ideą Parków Narodowych powstałego w r. 1927 Związku Polskich Towarzystw Turystycznych. Związek ten, obejmujący wszystkie towarzystwa turystyczne, krajoznawcze i narciarskie Polski i kilkanaście tysięcy członków, w szeregu manifestacyjnie i jednomyślnie przyjętych rezolucyj uznał sprawę ochrony przyrody i pogranicznych Parków Narodowych za jeden z głównych celów swego działania¹⁾.

Asocjacja Słowiańskich Towarzystw Turystycznych, obejmująca największe towarzystwa turystyczne Polski, Czechosłowacji, Jugosławji i Bułgarji, na zjeździe swym tegorocznym we wrześniu 1927 w Polsce, zajmowała się sprawą realizacji Parków Narodowych, już przyjętą jako idea naczelna Asocjacji w latach ubiegłych i wykonała szereg konkretnych prac w tym kierunku²⁾.

II. Zjazd Geografów i Etnografów Słowiańskich, który się odbył w Polsce w czerwcu b. r., ideą Parków Narodowych zajął się nader żywo, uznając ją w osobnej rezolucji za jedną z poważnych prac kulturalnych Słowiańszczyzny. Głęboką radość sprawiło mi prawdziwie entuzjastyczne przyjęcie tej rezolucji na posiedzeniu plenarnem Zjazdu i wielkie zainteresowanie, z jakim Zjazd przyjął przedstawione mu przez autora tych słów w osobnym referacie zasady utworzenia pogranicznych parków.

Do Ligi Ochrony Przyrody w Polsce, której organizacja posuwa się naprzód (opracowano zasady działania Ligi i statut, przygotowano nalepkę), zgłaszają się masowo

¹⁾ por. artykuł p. t. „Konsolidacja turystyki polskiej“ w tym tomie „Wierchów“.

²⁾ por. artykuł p. t. „Idea łączności wśród turystyki Słowiańszczyzny“ w tym tomie „Wierchów“.

wszystkie towarzystwa, pracujące na polu kultury społecznej w Polsce, tak, że z chwilą jej definitywnego powstania, Liga ta, a z nią jedno z najważniejszych jej haseł: utworzenie Parków Narodowych, mieć będzie za sobą potężny głos kilkudziesięcioletniej rzeszy najkulturalniejszych w narodzie sfer.

Jeżeli dodamy, że szereg dalszych odczytów i konferencji w różnych okolicach Polski, wygłoszonych w ubiegłym roku tak przez autora tych słów, jak innych pracowników naszych, oraz artykułów propagandowych i bojowych, przyczynił się w dalszym ciągu do przełamania lodów obojętności i niezrozumienia, to śmiało powiedzieć można, że zdobywanie społeczeństwa dla naszych idei-uwiecznione jest w pierwszej swej fazie pomyślnym skutkiem.

Ale i miejscowe podhalańskie organizacje nie są dla tych idei zamknięte. Konferencja wstępna ze Związkiem Podhalań, odbyta na wiosnę 1927 przy współudziale przedstawicieli Pol. Tow. Tatr., Tow. Rolniczego i Państwowej Rady Ochrony Przyrody, wykazała możliwość porozumienia co do Parków Narodowych, pomimo zrozumiałych różnic w ujmowaniu zagadnienia. Dalsze prace porozumiewawcze są w toku i mamy nadzieję, że doprowadzą do dobrego wyniku, obejmując również inne organizacje, jak np. Związek Górali w Zakopanem.

Szereg nieporozumień, które wyniknęły na skutek pomieszania pojęć, co w pracach nad ochroną przyrody i realizacją Parków Narodowych należy do organów państwowych (Delegata Ministra W. R. i Ośw. Publ. dla spraw ochrony przyrody i Państwowej Rady Ochrony Przyrody), a co do organizacji społecznych, wywołał konieczność wyjaśnienia tej sprawy, co też stało się w osobnej odezwie Zarządu Głównego P. T. T., wydanej do ludności podhalańskiej. Stwierdzono tam, że Pol. Tow. Tatr. w sprawie ochrony przyrody i utworzenia Parków Narodowych odgrywa wraz z innymi towarzystwami rolę czynnika popierającego akcję państwową, jaką jest ochrona przyrody i utworzenie Parków Narodowych, natomiast nie zajmuje się takimi np. pracami, jak przygotowanie projektów ustaw ochronnych. Celem tem wyraźniejszego rozgraniczenia tych funkcji, jest w toku przemiana Sekcji Ochrony Tatr P. T. T. na Sekcję Ochrony Przyrody Gór P. T. T. z głównym zadaniem opiniodawczem dla całego Pol. Tow. Tatr. w sprawach dotyczących wszystkich gór polskich. Natomiast funkcje wykonawcze na obszarze Tatr w zakresie ochrony przyrody przejdą na specjalnego do tych celów desygnowanego przez Delegata Ministra W. R. i O. P. członka Państwowej Rady Ochrony Przyrody, co także z punktu widzenia sprawności i szybkości działania będzie pożyteczniejszym dla akcji na tak szczególnie zagrożonym tatrzańskim obszarze, aż do chwili utworzenia Parku Narodowego.

Zasadnicza podstawa realizacji tego Parku: opracowanie projektu ustawy parkowej w roku ubiegłym przybrało wyraźne kształty. Na zaproszenie prezydium Państwowej Rady Ochrony Przyrody pospieszyli z pomocą najwybitniejsi prawnicy Uniwersytetu Jagiellońskiego i pod patronatem prof. W. L. Jaworskiego, który pomimo niekorzystnego stanu zdrowia i wielkiego zajęcia zainteresował się wybitnie projektem ustawy, doszła z wiosną b. r. do skutku konferencja w sprawie projektu ustawy Parkowej. W zebraniu tem wzięli udział pp. prof. K. Kumaniecki, M. Roztworowski i F. Zoll, jako prawnicy U. J., a nadto prof. J. G. Pawlikowski, autor pierwszego projektu ustawy, prof. W. Szafer, delegat Ministra Oświaty dla spraw ochrony przyrody, prof. S. Sokołowski, autor projektu terytorjalnego Parku Tatrzańskiego, dr. M. Sokołowski, sekretarz P. R. O. P., radca min. Przybyłowicz, referent spraw ochrony przyrody w Ministerstwie Oświaty, oraz autor tych słów. Wynikiem dwudniowych obrad było ustalenie pewnych zasad ustawy, które

uzupełnił obszernym referatem pisemnym docent prawa karnego U. J. dr. Wolter. W wyniku obrad zwrócił się przewodniczący P. R. O. P. prof. Szafer do prezesa komisji kodyfikacyjnej prof. U. J. dr. Fiericha z prośbą o objęcie przez Komisję Kodyfikacyjną opracowania projektu ustawy. Uzyskanie zgody Komisji, oraz powierzenie referatu tej sprawie prof. F. Zollowi, było dalszym etapem sprawy. Należy się najszczersza wdzięczność wszystkim profesorom prawa U. J., których tu wspominałem za ich niezwykłą życzliwość, jaką okazali dla naszych prac, oraz ideowe poświęcenie swego cennego czasu i energii dla sprawy Parku Tatrzańskiego. Świadomość, że opracowanie projektu ustawy znajduje się w rękach tak wybitnego pracownika na polu naszego ustawodawstwa, jak prof. F. Zoll, pozwala nam spokojnie patrzeć na dalsze jej losy. Po opracowaniu projektu ustawy i zatwierdzeniu go przez odnośne sekcje, oraz plenum Komisji Kodyfikacyjnej, które mamy nadzieję osiągnąć w ciągu najbliższych miesięcy, projekt ustawy zostanie przedstawiony Ministerstwu Oświaty, które zawięże kompetentne organizacje społeczne i państwowe do wypowiedzenia się. Po ostatecznym ustaleniu projektu pójdzie on normalną drogą wszystkich ustaw aż do jego ostatecznego zatwierdzenia i wprowadzenia w życie.

Obok jednak ustawy Parkowej inne prace ustawodawcze w Polsce, związane z ochroną przyrody, mają wielkie znaczenie dla akcji pogranicznych Parków Narodowych. Opracowanie projektu ogólnopolskiej ustawy o ochronie przyrody, które jest w toku, uzyskanie w wydanej świeżo ustawie o zagospodarowaniu lasów prywatnych szeregu nowych przepisów ochronnych, wprowadzenie do projektu ustawy łowieckiej, obecnie w stadium końcowego zatwierdzenia będącej, ostrych postanowień w kierunku zwalczania kłusownictwa i ochrony zwierzyny, przewidywane wzmocnienie przepisów ochronnych w przygotowywanej się ustawie rybackiej — to wszystko dalsze, poważne etapy w naszej pracy. Jeżeli dodamy do tego daleko idącą ochronę ryb, szczególnie wędrownych, w świeżo zawartej konwencji polsko-czechosłowackiej o rybołówstwie na rzekach granicznych, w czym szczególnie zasługi położył współpracujący ze mną w delegacji polskiej dla umów granicznych mjr. B. Romaniszyn, oraz zarysowanie się w ostatnich miesiącach możliwości uregulowania całokształtu sprawy ochrony ryb wędrownych w dorzeczu Wisły przez osobną konwencję z Gdańskiem — to będziemy mieli obraz rzetelnego postępu, który rok ostatni przyniósł na polu ujęcia ustawodawczego ochrony przyrody na terenach Polski, jak w szczególności przyszłych pogranicznych Parków Narodowych.

W stosunku do tych wyników nadal bardzo niewystarczającymi są stosunki ustawowe, szczególnie z działu administracyjnego na terenach, przylegających do terenów Parkowych. Przedewszystkiem więc łuzdrowiska nasze i to tak Zakopane, jak uzdrowiska podhalańskie i wschodnio-karpackie czekają na uregulowanie ustawowe swego stanu. Zmiana ustawy uzdrowiskowej, ujęcie większych obszarów uzdrowiskowych górskich, jak podhalański i dol. Prutu w osobne jednostki administracyjne (starostwa klimatyczne, względnie ekspozytury starostw), zapewnienie w takiej lub innej formie należytego wpływu czynników ugodowych na sprawy uzdrowiskowe, to nasze stałe postulaty, konieczne dla zasadniczego warunku utworzenia Parków, jakim jest podniesienie stanu uzdrowisk podgórskich, tego wstępu i klucza do Parków Narodowych.

Obok tych prac natury ogólnej, interesować nas zawsze musi szereg spraw terenowych, mających znaczenie niezmiernie ważne dla realizacji Parków Narodowych.

Na polu tem w Tatrach nastąpił szereg poważnych wydarzeń. Jednym z najpomyślniejszych było ruszenie z miejsca sprawy ochrony przyrody we Fundacji Kórnickiej,

też naszej podstawie dla Parku Tatrzańskiego. Stało się to przez wprowadzenie pewnej kwoty w budżecie Fundacji na ochronę przyrody tak roślinnej, jak zwierzęcej, oraz przez utworzenie stanowiska stałego referenta dla spraw ochrony przyrody na obszarze Fundacji Kórnickiej, którym został znany zoolog i znawca przyrody Tatr, p. Janusz Domański. Plan gospodarczy leśny, wprowadzający na podstawie projektu prof. Sokołowskiego w lasach Fundacji odpowiednią gospodarkę na dwu obszarach rezerwatu zupełnego i częściowego, ostatecznie ukończony, przechodzi obecnie w stadium formalnego zatwierdzenia go przez władze. Przewidziane jest utworzenie osobnej straży leśnej dla ochrony przyrody w Fundacji.

Należyte funkcjonowanie tej straży leśnej, oraz rozszerzenie działań ochronnych na pozostałe terytorjum Tatr, będzie możliwe jedynie przez wprowadzenie w Tatrach specjalnie w tym dziale wyszkolonej państwowej straży policyjnej. Starania nasze nie zostały jeszcze w tym kierunku uwieńczone skutkiem z powodu zbyt szczupłego stanu policji w województwie krakowskim. Zasadniczo jednak życzliwe stanowisko Województwa pozwala żywić nadzieję, że nader ważny ten postulat zostanie w najbliższym roku urzeczywistniony. Dla straży tej opracował projekt instrukcji dr. M. Sokołowski. Ponieważ dla funkcjonowania tej straży jest niezbędne wyposażenie jej w uprawnienie ściągania kar za przestępstwa niezwłocznie na miejscu, przeprowadziliśmy starania w tym kierunku. Odniosły one pomyślny skutek, a to drogą wprowadzenia tego uprawnienia dla policji, które już istniało w innych województwach, na terenie wszystkich województw południowych.

Definitywnie i szczęśliwie została załatwiona ciągnąca się, jak wąż morski, sprawa ćwiczeń wojskowych na obszarze przyszłego Parku. Dzięki życzliwości i zrozumieniu idei Parku przez władze wojskowe, a przedewszystkiem D. O. K. Kraków, uzyskaliśmy po szeregu konferencji, całkowity zakaz D. O. K. urządzania ćwiczeń, połączonych ze strzelaniem na obszarze przyszłego Parku Tatrzańskiego.

W sprawach budowlanych na obszarze Tatr wiele jeszcze pozostaje do życzenia. Do wypadku wznoszenia budynku schroniska prywatnego na Karczmisku bez koncesji budowlanej, przybył drugi wypadek wznoszenia, tym razem „szałasu“ przy drodze do Morskiego Oka, poniżej schroniska P. T. T. Kompetentne władze, a przedewszystkiem starostwo nowotarskie, któremu przysługuje prawo nadawania koncesyj budowlanych na terenie rejonu ochrony sanitarnej, pokrywającego się w przybliżeniu z przyszłym terenem Parku, wydały w obu wypadkach zakaz budowy i nakaz rozebrania istniejących budynków, dotychczas jeszcze nie przeprowadzony. Niektóre sfery lokalne rozpoczęły w związku z tymi wypadkami akcję przeciw uprawnieniu starostw do wydawania koncesyj budowlanych w Tatrach, a za przywróceniem tego uprawnienia gminom. Akcji tej musimy jednak się sprzeciwić, o ile chodzi o rejon ochrony sanitarnej, a to ze względu na niebezpieczeństwa dla ochrony przyrody i nieuniknione konflikty z ruchem turystycznym.

Gospodarka leśna na obszarze Tatr naogół poprawiła się. Dotyczy to przedewszystkiem obszaru dol. Chochołowskiej, gdzie w podzielonych lasach siedmiu gmin zaprzestano zbytniego wyrębywania lasów i zwolna wkracza się na tory uregulowanej gospodarki. Do zahamowania niszczycielskiego tempa eksploatacji lasów w dobrach Szaflary i Poronin przyczyniła się wizytacja tych lasów przez naczelnego inspektora ochrony lasów Min. Rolnictwa, dokonana w ubiegłym roku. Wobec jednak szeregu komplikacji, istniejących w tej sprawie, gruntownym załatwieniem tego ważnego problemu może być jedynie przejęcie przez państwo powyższych lasów, oczywiście tylko za całkowitą zgodą

właścicieli i drogą pełnowartościowej wymiany. Akcja ta jest rozpoczęta i musi być jednym z głównych zadań na przyszłość.

Sprawa hal tatrzańskich wywoływała szczególnie wiele hałasu. Na tem polu demagogia wszelkiego rodzaju święciła istne harce, strasząc górali wywłaszczeniem z „odwiecznej ojcowizny“. Tymczasem w całej sprawie chodzi tu o uregulowanie gospodarki halnej w kierunku jej jakościowego podniesienia, a ilościowego ograniczenia, przyczem dzać się to może tylko w ramach istniejących ustaw. Akcją idącą w tym kierunku może być przy należytem jej ujęciu i poprowadzeniu rozpoczęta w roku bieżącym przez Towarzystwo Rolnicze praca podnoszenia hodowli owiec na niektórych halach (Tomana i Strążyńska). Pozatem stwierdzić należy stałe zmniejszanie się ilości bydła, wypasanego na halach tatrzańskich; związane jest to zjawisko z wyczerpywaniem się hal, niszczone nadmiernem paszeniem, a co za tem idzie nierentownością pasterstwa. Jest to proces, który rozwijał się silnie przed wojną, podczas wojny uległ zahamowaniu, a teraz pojawia się znowu.

Rozwiązanie nasuwających się tu problemów będzie niewątpliwie możliwe tylko przy zgodnym wysiłku tak ludności miejscowej, jak sfer rządowych i społecznych. Nigdy jednak nie nastąpi drogą bezpłodnych walk, opartych na zasadniczych nieporozumieniach i szkodliwych przedewszystkiem dla ludności.

Na obszarze Fundacji Kórnickiej wyłączono z paszenia Halę Pyszną, która ma się stać terenem naukowo-doświadczalnym i rodzajem małego rezerwatu halnego zupełnego. Celem uratowania otoczenia hali Jaworzynki koło Kuźnic od grożącej przemiany na całkowity pustynny kras, rozpoczęliśmy akcję, zmierzającą do zalesienia jej zboczy z funduszu zalesienia Min. Roln. Akcja ta ma widoki powodzenia.

Z zadowoleniem należy powitać akcję, rozpoczętą w roku ostatnim przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, jako współwłaściciela Hali Gąsienicowej, stałego porozumiewania się i uzgodnienia postulatów ochronnych, wyłaniających się na tej tak ważnej Hali, z komitetem góralskich współwłaścicieli Hali. Akcja ta mimo wyłaniających się, a zrozumiałych trudności, rozwija się stale.

Obalenie rozmaitych bezsensownych projektów, które wyskakują rokrocznie z mózgów rozmaitych „opiekunów“ Tatr, jak żaglowych łodzi na Wielkim Stawie Polskim, motorówki na Morskiem Oku, stawiania tablic pamiątkowych ku czci zasłużonych ludzi w głębi Tatr i t. p. dopełnia zestawienia szeregu prac, wykonanych w roku ostatnim na terenie Tatr Polskich celem utrzymania ich w stanie jaknajbardziej nietkniętym.

Po stronie czechosłowackiej Tatr w szeregu strat terenowych należy postawić zbudowanie domu dla straży celnej przy moście na Łysej Polanie nad Białką, który postawiono nie licząc się zupełnie z otoczeniem, jako szpetną budowlę kasarnianą. Również eksploatacja lasów szczególnie w Tatrach Bielskich, czyni groźne spustoszenia. Charakter niektórych schronisk, a szczególnie schroniska przy Popradzkim Stawie, pozostawiał wiele do życzenia.

Pomyślnemi zjawiskami jest znaczny i stały wzrost stanu zwierzyny po czechosłowackiej stronie, oraz obalenie niesłychanie dla przyrody Tatr groźnych projektów kolei linowej na Garłuch i drogi okężnej, wchodzącej we wszystkie doliny tatrzańskie od południa. Projekty te, wytoczone przez niektóre sfery, zgrupowane w Karpathenverein, zostały zniszczone w zarodku przy wspólnej akcji Polskiego Towarzystwa Tatrzańkiego i Klubu Czechosłowackich Turystów. W sprawie tej odbyłem konferencję ze znanym i zasłużonym działaczem po południowej stronie Tatr, dr. Guhr'em, w której uzyskałem zapewnienie, że myśli tych nie będzie się nadal wysuwało.

Z ZABYTEKÓW PRZYRODY TATRZAŃSKIEJ



RODZIME SOSNY NA „SKALCE” NAD BIAŁKĄ
Fot. Zwolfiszcy



JESION WALCZAKÓW W ZAKOPANEM
Fot. Zwolfiszcy

Na obszarze Babiej Góry nie udało się jeszcze wyruszyć z pośród rozmaitych trudności sprawy przejścia przez Rząd reszty południowych zboczy.

Natomiast sprawa przejścia przez Rząd znacznej części przełomu Dunajca w Pieninach drogą wymiany ze spadkobiercami śp. Drohojowskiego po mozolnych perypetjach, zbliża się do ostatecznego uskutecznienia. Do zakończenia tej długotrwałej sprawy przyczyniło się zwiedzenie Pienin przez pp. ministra rolnictwa Niezabytowskiego i dyrektora departamentu leśnictwa Miklaszewskiego w lecie b. r. Przedstawiając im Pieniny, miałem sposobność stwierdzić głębię wrażenia, jakie czynią te cudowne góry i przekonującą siłę idei utworzenia z obu brzegów Dunajca pogranicznego Parku Narodowego.

W Beskidach Wschodnich, na których terenie nie dało się w roku bieżącym wykonać projektowanego objazdu z powodu katastrofalnych wylewów, wylewy te przyniosły nieoczekiwany skutek: oto fabryka olejków kosodrzewinowych na Polanie Maryszewskiej pod Howerlą, niszcząca wbrew wszelkim staraniom naszym kosodrzewinę, została zmieciona przez wezbrane fale z powierzchni ziemi. W ten sposób znikła najgorsza zapora na drodze do realizacji postulatów ochrony przyrody w Beskidach Wschodnich. W ciągu roku najbliższego zadaniem naszym będzie dokonanie na tym obszarze wizji lokalnej celem ustalenia zasięgu Parku Narodowego po obu stronach granicy w grupie Howerli, dla której z polskiej strony opracowali członkowie lwowskiej grupy P. R. O. P. projekt terytorjalny¹⁾. Nadto koniecznym będzie rozszerzenie projektu utworzenia pogranicznego Parku we wsłaniałej i dzikiej grupie Gorganów, czego domagają się coraz to silniej sfery turystyczne, zgrupowane w oddziałach wschodnich Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Nasze prace zagraniczne wykazują stałe postępy. W Czechosłowacji opierają się one w dalszym ciągu na dawnych wypróbowanych przyjaciółach i ideowych współbojownikach z prof. Uniw. K. Domin'em i szefem Sekcji Min. Robót Publ. im. Roubikiem na czele. Prof. Domin został mianowany przez Czeską Akademię Nauk, interesującą się żywo naszą akcją, delegatem tej Akademii dla spraw pogranicznych Parków Narodowych. Da to możność tem skuteczniejszego działania.

Wśród rozmaitych porozumień i konferencji, odbytych w Pradze w celu uzyskania dalszych posunięć na polu naszym, należy wspomnieć o nawiązaniu stosunków bezpośrednich z dyrektorem departamentu leśnictwa w Min. Roln. w Pradze, dr. Schimanem, w którego rękach leży w znacznej części realizacja Parków pogranicznych, i którego plan działania w tej sprawie, jak mogłem się ku żywemu zadowoleniu przekonać, jest analogiczny do naszego.

Na przeszkodzie do ostatecznego zajęcia stanowiska przez sfery centralne w Pradze stoją jeszcze sprawy kompetencyjne między Ministerstwami. Gdy sprawy te zostaną uregulowane, należy oczekiwać oświadczenia się oficjalnego Ministerstwa Oświaty, zajmującego się w Czechosłowacji, jak u nas, sprawami ochrony przyrody, co do opracowywanego obecnie w Pradze projektu ustawy Parkowej, oraz rozpoczęcia oficjalnej współpracy z nami, istniejącej już dzisiaj faktycznie.

Przesilenie wewnętrzne, którego doznał w ciągu ostatniego roku współpracujący z nami na platformie ochrony przyrody i utworzenia pogranicznych Parków Narodowych Klub Czechosłowackich Turystów, przyniosło całkowitą zmianę przyzdyjmu tego Klubu. Ustąpienie naszych wypróbowanych współpracowników z Klubu napełniło nas

¹⁾ porównaj „Ochrona przyrody“, organ P. R. O. P., zeszyt 6. Kraków 1927.

obawą o dalszą linię postępowania Klubu w naszej akcji. Nowi jednak członkowie prezydium dali dowody tak w oświadczeniach swych, jak czynami, że stoją nadal na ustalonem już kilkakrotną współpracą stanowisku i obawy nasze zostały szczęśliwie rozproszone.

Celem wyjaśnienia rozmaitych nieporozumień, które na temat akcji utworzenia Parku Narodowego Tatrzańskiego zaczęły wypływać na Słowaczczyźnie, rozpoczęliśmy pracę, zmierzającą do ich usunięcia. Umieściliśmy więc szereg artykułów w prasie słowackiej, a przede wszystkim w „Slovaku“ w Bratysławie, przy pomocy akademików słowackich, studujących w Krakowie, którzy przejęli się ideą Parków. Z wiosną zaś b. r. udałem się do Bratysławy, gdzie wygłosiłem w języku słowackim i polskim odczyt o Parku Narodowym Tatrzańskim. Entuzjastyczne przyjęcie tej akcji propagandowej przez społeczeństwo bratysławskie i gorący oddźwięk, jaki znaleźliśmy dla naszych idei w sferach kulturalnych słowackich, powinien nas napełnić otuchą dla dalszych poczynań w tym kierunku, jednego z najważniejszych zadań całej pracy.

Ze Stanami Zjednoczonymi A. P. i Francją wiązał nas w dalszym ciągu żywy kontakt w sprawach Parków pogranicznych. Wysłaliśmy do tych krajów szereg materiałów i obrazów, otrzymując wzajemnie publikacje i fotografie. Z Institut international de coopération intellectuelle Ligi Narodów, gdzie stale i niezmiennie istnieje żywe zainteresowanie dla naszej akcji, otrzymałem zaproszenie do napisania artykułu o pogranicznych Parkach. Informacyjny ten artykuł, opatrzoney fotografiami, który dotrze do sfer kulturalnych całego świata, ukaże się w najbliższym czasie.

Rok ubiegły w pracy na naszej niwie przyniósł cienie i światła. Przychodzą chwile trwania w ciężkich bojach i walki ze stugłową hydrą niezrozumienia, potem jednak okresy prac pozytywne. I mimo wszystkich trudności posuwamy się zwolna, ale silnie naprzód. Niech wszystkich, co mają serce i zrozumienie dla idei ochrony przyrody i Parków Narodowych, napełni wiara, że tą drogą idąc, najpewniej zwyciężymy!

Kraków, listopad 1927.

Walery Goetel.

Konsolidacja turystyki polskiej. (Założenie Związku Polskich Towarzystw Turystycznych).

Wśród rozmaitych ważnych wydarzeń, w które obfitował ostatni rok w zakresie turystyki, na jednym z naczelných miejsc postawić należy założenie Związku Polskich Towarzystw Turystycznych.

Powstanie takiego związku było oddawna celem wszystkich, którzy pracują w Polsce na niwie turystycznej i już na pierwszym zjeździe towarzystw turystycznych, który się odbył tuż po odzyskaniu niepodległości w październiku 1919 r. w Krakowie, uznano tę sprawę za jedną z najważniejszych. Z różnych jednak przyczyn nie doszło wówczas do utworzenia Związku i dopiero lata ostatnie przyniosły pomyślną zmianę.

Z inicjatywą wystąpiło Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, uchwalając na Walnym Zjeździe Delegatów w Katowicach 25 kwietnia 1926 na wniosek dr. M. Orłowicza rozpocząć kroki wstępne do założenia Związku. Ministerstwo Robót Publicznych, opiekujące się turystyką przez osobny referat turystyki, udzieliło tej inicjatywie poparcia i powierzyło Pol. Tow. Tatrzańskiemu organizację Związku. Zarząd Główny Pol. Tow. Tatr. po-

rozumiał się wobec tego z Polskiem Towarzystwem Krajoznawczem i Polskim Związkiem Narciarskim, jako najpoważniejszymi obok P. T. T. organizacjami, i po uzgodnieniu zasad organizacji, zwołano dnia 2-go i 3-go kwietnia w Warszawie II. Zjazd delegatów polskich towarzystw turystycznych, krajoznawczych i narciarskich.

Na Zjazd przybyli liczni delegaci: Pol. Towarzystwa Tatrzeńskiego, Pol. Towarzystwa Krajoznawczego, Pol. Związku Narciarskiego, Pol. Klubu Automobilowego, Pol. Związku Turystycznego, Wojewódzkiego Tow. Turystyczno-Krajoznawczego w Tarnopolu, Pol. Touring-Klubu w Warszawie, Pol. Klubu Turystycznego w Warszawie, Pol. Towarzystwa Turystycznego w Toruniu, Pol. Związku Tow. Wioślarskich i Związku Uzdrowisk Polskich. Obrady toczyły się w salach Pol. Tow. Krajoznawczego pod energicznym przewodnictwem wiceprezesa P. T. T., p. Stanisława Osieckiego, przy życzliwym stanowisku i silnem poparciu władz, a przedewszystkiem kierownika referatu turystyki Ministerstwa Robót Publicznych, dr. Mieczysława Orłowicza, którego niestrudzona i znakomita działalność spotkała się z powszechnem uznaniem Zjazdu.

Prace Zjazdu opierały się na szeregu referatów, wygłoszonych przez przedstawicieli poszczególnych towarzystw. Pierwszy z nich, wygłoszony przez zasłużonego prezesa Pol. Tow. Krajoznawczego A. Janowskiego p. t. „Idea pracy krajoznawczej“, podkreślił znaczenie krajoznawstwa dla poznania i umiłowania ziemi ojczystej, a co za tem idzie, wychowania dobrych obywateli państwa.

Z pośród następnych referatów, pragnę podkreślić te momenty, które Zjazdowi i założonemu na zjeździe Związkowi nadały pewien swoisty charakter¹⁾.

Okazało się więc przedewszystkiem, że idea ochrony przyrody poczyniła ogromne postępy w turystycznych sferach i została powszechnie uznana za rację bytu turystyki, szczególnie górskiej. Świadczyło o tem jednomyślne przyjęcie przez cały Zjazd szeregu rezolucyj, przedłożonych po referacie piszącego te słowa: „Turystyka a ochrona przyrody“; w rezolucjach tych wyrażono uznanie i poparcie wszystkim pracom rządowym i społecznym na polu ochrony przyrody domagano się przyspieszenia utworzenia na pograniczu polsko-czechosłowackiem projektowanych Parków Narodowych i zgłoszono zbiorowy akces reprezentowanych na zjeździe towarzystw do organizującej się Ligi Ochrony Przyrody.

Żywo zajął się Zjazd sprawami popierania turystyki przez państwo. Wychodząc z założenia, że turystyka, silnie się rozwijawszy, wymaga, jako zjawisko społeczne, gospodarcze i kulturalne, opieki ze strony państwa, domagał się Zjazd rozszerzenia referatu turystyki Min. Rob. Publ. w osobny Urząd Turystyczny, jak to ma miejsce we Francji i innych krajach, powiększenia kredytów rządowych na popieranie turystyki i uregulowanie sposobu udzielania subwencji, wzmocnienia wojewódzkich komisji i referatów turystycznych, utworzenia Państwowej Rady Turystycznej, zniżek i ułatwień kolejowych oraz paszportowych, rozszerzenia propagandy piękności turystycznych Polski, poparcia wydawnictwa przewodników i map, poprawy stosunków hotelarskich i organizacji zwiedzania Polski przez cudzoziemców i t. d. Szczególne znaczenie dla należytego uregulowania turystyki górskiej i ochrony przyrody górskiej, oraz związanego z temi problemami rozwoju stacyj klimatycznych u podnóża Karpat, miały wnioski domagające się utworzenia osobnych jednostek administracyjnych (podstarostw klimatycznych) dla Podhala i doliny Prutu.

¹⁾ Szczegółowe sprawozdanie ze Zjazdu z uchwalonemi rezolucjami i t. d. znajduje się w „Przebiegu Turystycznym“, kwartalniku Pol. Tow. Tatrz. nr. 3-4 za rok 1927.

Najważniejsze rezolucje drukujemy nadto w sprawozdaniu P. T. T. w tym tomie „Wierchow“.

Wielką troską Zjazdu były też stosunki, panujące w uzdrowiskach polskich. Po wszechnie stwierdzono, że uzdrowiska, które są u nas w znacznej części ważnymi stacjami turystycznymi, mało się troszczą o popieranie turystyki, a częstokroć czynią wręcz trudności w jej rozwoju. Ta fałszywa polityka uzdrowisk musi się zmienić w kierunku poczynienia wszelkich możliwych udogodnień i ułatwień dla turystów przybywających do uzdrowisk i poparcia dla towarzystw turystycznych. W zamian za to Rząd powinien dopomagać uzdrowiskom polskim w ich wszechstronnym rozwoju, wykonując równocześnie nadzór nad uzdrowiskami, których niepodobna oddawać na pastwę drobnych miejscowych interesów. W dyskusji nad tem zagadnieniem dźwięczała struna stałego konfliktu pomiędzy szerszej pojętymi interesami turystyki, jako zagadnienia ogólnopolskiego a krótkowzroczną polityką niektórych lokalnych czynników w uzdrowiskach. Zjazd starał się wskazać drogi rozwiązania tego problemu.

O ile we wszystkich niemal kierunkach Zjazd osiągnął uzgodnienie różnorodnych stanowisk, to nie udało się załatwić sprawy rozdziału kompetencji pomiędzy towarzystwa turystyczne. P. T. T., w referacie swego reprezentanta dr. W. Majewskiego, wskazało jako na cel tej sprawy, tak ważnej dla skoordynowania rozpraszającej się i krzyżującej częstokroć działalności różnych towarzystw, wyróżnienie trzech typów towarzystw turystycznych: zajmujących się popieraniem ruchu turystycznego polskiego w Polsce, pracujących na polu propagandy i organizacji zwiedzania Polski przez cudzoziemców, oraz działających jako związki przemysłu turystycznego, czyli towarzystwa charakteru zarobkowego. Z tego rodzaju podziału wynikłaby również podział terytorjalny działalności towarzystw. Przy rozpatrywaniu tych zagadnień wyłoniło się jednak tak daleko jeszcze idące rozproszkowanie dążeń i prac istniejących dzisiaj organizacji turystycznych, że ostatecznie załatwienie tej sprawy odłożono do przyszłych prac Związku.

W ogólnym wrażeniu z prac Związku należy stwierdzić wielki wzrost ruchu turystycznego w Polsce i jego konsolidację. Szczególnie zaś miłą właściwością tego ruchu jest jego ideowy podkład, szczególnie w zakresie ochrony przyrody, nad którego dalszym utrzymaniem, pogłębieniem i utrwaleniem musimy nadal usilnie pracować.

Walery Goetel.

Idea łączności wśród turystyki Słowiańszczyzny. (Zjazd Asocjacji Słowiańskich Towarzystw Turystycznych w roku 1927 w Polsce).

Wspaniałe tereny górskie: Tatry, Pieniny, Beskidy Zachodnie i Wschodnie na pograniczu polsko-czechosłowackim, śliczne gniazda górskie Czechosłowacji, jak Niżnie Tatry, Hocz, Wielka i Mała Fatra, pasma morawskiego Krasu, czeskich Gór Środkowych, Olbrzymich, Sudetów i Karkonoszów, bogactwo gór Jugosławiji z jej Karawankami, Alpami Julijskimi, Krasem i Dynarydami, górzystość Bułgarji z grzbietami pasma Rodope, to czynniki, które kraje słowiańskie zmuszają do bacznego zwracania uwagi na zagadnienia turystyki i roztoczenia troskliwej opieki nad jej rozwojem. Można bowiem śmiało powiedzieć, że na obszarze tych słowiańskich ziem znajdują się najpiękniejsze tereny górskie między Alpami i Kaukazem, a wogóle jedne z najróżnorodniejszych na kuli ziemskiej.

Do niedawna jednak prace krajów słowiańskich na polu turystyki górskiej odbywały się wewnątrz granic państwowych i brak było czynnika porozumiewawczego, któryby usiłowania tych krajów zespolił wzajemnie wsparł. Stała się nim Asocjacja Słowiań-

skich Towarzystw Turystycznych, założona przed dwoma laty we wspólnym porozumieniu Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i Klubu Czechosłowackich Turystów.

Że Asocjacja ta nie jest bezdusznym i sztucznym tworem, wykazało to życie.

Już na pierwszym, organizacyjnym Zjeździe przed 3-ma laty po południowej stronie Tatr i w Zakopanem zarysował się interesujący zrąb prac Asocjacji, na drugim, właściwym już Zjeździe w Pradze w roku ubiegłym wyłonił się szereg konkretnych zagadnień ze wszystkich dziedzin górskiej turystyki, a na tegorocznym Zjeździe w Polsce byliśmy świadkami potężnego rozwoju całego ideowego i praktycznego życia Asocjacji.

To też poważne zadanie stało przed prezydjum Rady Asocjacji, które w roku 1927 przeszło do Polski i zostało przejęte przez członków polskich Rady w osobach prezesa P. T. T. inż. J. W. Czerwińskiego, oraz członków Zarządu Głównego P. T. T. mjr. Romaniszyna i autora tych słów. Rozszerzywszy się w komitet organizacyjny Zjazdu tegorocznego, do którego prócz trzech członków Rady weszli członkowie Zarządu Głównego dr. E. Stolfa i dr. M. Orłowicz, opracowaliśmy program obrad i wycieczek Zjazdu, który odbył się w dniach 22 do 25 września 1927 r. i udał się pod każdym względem pomyślnie.

W dniu 22 września zasiedli do stołu obrad w lokalu Pol. Tow. Tatr. w Krakowie członkowie Rady w osobach reprezentantów: Czechosłowacji (pp. V. Jeniček, V. Pauliny. A. Marek), Jugosławji (pp. J. Pasarić, dr. C. Oblak, M. Hrovatin), Bułgarii (p. J. Rajev), Klubu Czechosłowackich Turystów w Wiedniu (p. G. Cižek), oraz Polski, przyczem oprócz członków Rady i komitetu organizacyjnego zjawili się przedstawiciele zainteresowanych władz i urzędów centralnych (przedstawiciele Min. Spr. Zagr. i Min. Rob. Publ.), oraz lokalnych.

W wyniku ożywionych obrad, prowadzonych we własnych językach słowiańskich uczestników, na pierwszy plan wybiły się rezolucje zjazdowe, ujęte w szereg grup. W rezolucjach tych przejawiała się najistotniej właściwa treść Asocjacji. A więc we wnioskach poświęconych ideologii alpinizmu zalecano wszystkim towarzystwom Asocjacji przeprowadzenie na Walnych Zgromadzeniach uchwał co do ideologii alpinizmu na zasadach przeniknięcia alpinizmu ideą ochrony przyrody i etycznego doskonalenia się; zwrócono się przeciw czynnikowi współzawodnictwa sportowego i rekordów w alpinizmie i reklamowaniu tego rodzaju „wyczynów“ w prasie.

Ochronie przyrody, jako racji bytu turystyki, poświęcono lwią część obrad. Było rzeczą niezmiernie charakterystyczną, z jaką jednomyślnością i uznaniem przechodziły odnośne uchwały i jak przedstawiciele wszystkich słowiańskich narodów starali się wykazać, ile na polu tem w danem państwie zrobiono. Przydałoby się naszym domorośłym i zakrzepłym w swym prowincjonalnym lokalizmie przeciwnikom ochrony przyrody, aby przysłuchali się tym obradom i postłyszeli na własne uszy, do jakiego stopnia ochrona przyrody uznana jest w szerokim świecie kulturalnym za podstawę istnienia turystyki.

Uznała więc Rada Asocjacji za konieczne przeprowadzenie we wszystkich państwach słowiańskich ogólnych ustaw ochrony przyrody, celem zabezpieczenia piękności krajobrazu dla uprawiania turystyki, zaleciła wszystkim towarzystwom turystycznym słowiańskim utworzenie osobnych organów ochrony przyrody na wzór Sekcji ochrony Tatr P. T. T., a we wszystkich państwach słowiańskich staranie się o utworzenie specjalnych ministerjalnych urzędów ochrony przyrody. Za jeden z najlepszych sposobów realizacji postulatów ochrony przyrody i Parków Narodowych, które jedynie rozwiązują całokształt postulatów turystycznych, uznano utworzenie specjalnych funduszy na wykupno obszarów zagrożonych zniszczeniem drogą współdziałania organizacji turystycznych i państwa.

Zwrócono się z apelem o przyspieszenie utworzenia w Pieninach Parku Narodowego, a w tym celu o przejęcie przez państwo polskie lasów północnej części Pienin i wprowadzenie szczególnie ostrożnej gospodarki leśnej w lasach państwowych czeskosłowackich po prawym brzegu Dunajca.

Szczególnie zmienną dla ducha czasu i radosną była wiadomość, że w Bułgarii i Jugosławii towarzystwa turystyczne biorą czynny udział w pracach ochrony przyrody, pracując przez ochotnicze drużyny swych członków nad zalesieniem najbardziej zniszczonych obszarów górskich.

Wartość zaś praktyczną Asocjacji wykazała uchwała, powzięta podczas końcowego zebrania nad lśniącą taflą Morskiego Oka na skutek przywiezionej przez przewodniczącego Sekcji Turystycznej P. T. T. dr. M. Świerza wiadomości o opublikowanych w „Karpathenpost“ postanowieniach Karpathenverein'u budowy kolei linowej na Gałuch — przeciwko tej budowie. Uchwała ta stała się podstawą akcji naszych przyjaciół czeskosłowackich w Pradze, która uzyskała zabezpieczenie się przed realizacją projektu.

W dalszej grupie rezolucyj, dotyczących organizacji, uchwalono projekt znaczka i nalepki Asocjacji, która umożliwi członkom wszystkich towarzystw, zrzeszonych w Asocjacji, korzystanie ze zniżek w schroniskach we wszystkich krajach słowiańskich i wszelkich przywilejów Asocjacji.

W dziale rezolucyj komunikacyjnych domagano się budowy dróg podtatrzańskich na północnym zboczu Tatr z Jaworzyny przez Żar do Jaskiń Bielskich, oraz z Zakopanego przez Chochołów i Witów do Zamków Orawskich, naprawy drogi Pienińskiej, indywidualnych zniżek kolejowych dla członków organizacji turystycznych, a to wzorem Austrii i Włoch.

Konwencja turystyczna polsko-czeskosłowacka, jako jedyny taki układ międzypaństwowy budziła powszechne uznanie Zjazdu; uchwalono starać się o jej rozszerzenie na obszar Niżnich Tatr i Wielką Fatrę, oraz cały Spisz.

Szereg rezolucyj o charakterze propagandowym zakończył całodniowe intensywne obrady Zjazdu, poczem udano się na wspólną wieszczkę, wydaną przez Polskie Towarzystwo Tatrzzańskie; w wygłoszonych na niej przemówieniach brzmiała nuta szczerego zapału dla prac Asocjacji i braterstwa narodów słowiańskich.

Po zwiedzeniu w dniu następnym przez gości naszych Krakowa i Wieliczki, wyjechaliśmy dnia 24 września wczesnym rankiem na Podhale. Długi szereg samochodów, udzielonych życzliwie i prowadzonych gościnnie przez członków Krakowskiego Klubu Automobilowego, powiózł nas na Luboń i Obidową, skąd roztoczyły się przepysznie w mgły jesiennego dnia oprawione widoki na potężny masyw Babiej Góry, szeroką kotlinę Orawy i zębaty łańcuch Tatr z zapadłem u ich stóp Podhalem.

Z Czorsztyna rozpoczęła się jazda łodziami po bystrych falach Dunajca, w promieniach dobrotliwego jesiennego słońca. Wciśnięte pod zbocza Skałek Sromowce w ciemnych kębach starych drzew tonący Czerwony Klasztor, białe szczyty Trzech Koron przechylone wdzięcznie nad wodami Dunajca, wprowadziły naszych gości w stan głębokiego wrażenia. A cóż dopiero, gdy wątle, z jednego pnia wydrążone łódeczki poczęły skakać po pniących się falach przełomu Dunajca i przewijać się krętym jego biegiem wśród ciemnych parowów Pienin! Wyrazami wybuchowego entuzjazmu witano ostre iglice i strome krzesane turnie wapiennych skał, rysujące się na tle nieba, ciemnozielone czerwonymi plamami jesiennych liści upstrzone, gęste fale lasów pienińskich, spływających ku przezroczystej rzece, radością darzono niespodziane, gwałtowne zakręty,



Uczestnicy Zjazdu Asocjacji Słow. Tow. Turyst. w r. 1927 na falach Dunajca.

Fot. dr. T. Bukowiecki.

nagle zamykane przez wyrastające z pod ziemi białe pionowe ściany, z zachwytem śmiano się do bujnego szumu pędzących nurtów Dunajca.

Jak czarodziejski sen minęła jazda przez Pieniny, a z jej cudu wykwiła czujna myśl o ochronie zagrożonego piękna tego niezrównanego zakątka przez utworzenie po obu stronach państwowej granicy Parku Narodowego.

U skraju zrujnowanej drogi pienińskiej wysiedliśmy, i tu, u próg swego królestwa przyjął nas na parogodzinny pobyt w Szczawnicy właściciel źródła hr. Stadnicki, tak zasłużony na polu ochrony przyrody.

Podczas obiadu w gościnnych progach gospodarza spotkaliśmy się z wycieczką prasy warszawskiej, z którą wymieniono myśli i toasty, poczem udaliśmy się do Zakopanego.

I znowu spływały miłe chwile na wieczery, wydanej przez prezydium Rady, wśród serdecznego i wesołego nastroju, któremu szczególnie blask i osobliwą barwę nadały tańce góralskie, tańczone późnym wieczorem przy wotrze pod smrekami.

Ostatni dzień rozpoczął się od zwiedzania dworca P. T. T. w Zakopanem i Muzeum Tatrzańskie. Muzeum bogactwem zbiorów, pięknym budynkiem i celowością urzędzenia wywarło na gości doskonałe wrażenie. W południe wyjechaliśmy na wycieczkę do Morskiego Oka. Z szosy mieliśmy sposobność pokazać gościom szereg przykładów dodatnich i ujemnych na gospodarkę turystyczną, ochronę przyrody i prace przygotowawcze do utworzenia Parku Narodowego Tatrzańskie po obu stronach granicy. Gdy dojechalśmy do mostu na Łysej Polanie, uderzyło nas porównanie dwóch nowych budynków dla straży celnej po obu stronach granicy: z nich budynek polski, trzeba to przyznać obiektywnie władzom celnym polskim, jest ustawiony odpowiednio pod skałką,

w miejscu nierzucającem się w oczy i drewnianą prostą architekturą dostosowuje się dobrze do otoczenia, gdy budynek czeski w nieosłoniętym miejscu wystawiony, jako proste, częściowo murowane piętrowe pudło, dobre gdzieś na równinach, kłóci się z tatrzańskim krajobrazem i szpeci go.

Nad Morskiem Okiem przedstawiliśmy gościom prace nasze nad zasadzeniem i zalaniem moreny, zrujnowanej i obnażonej przed laty przez nieopatrzoną budowę schroniska. Na pożegnalnym zebraniu na werandzie schroniska toczyły się interesujące obrady, świadczące o żywotności Asocjacji. Wśród gwałtownego poświstu halnego wiatru, wśród trzasku łamiących się świerków, spłynęliśmy z powrotem ku Łysej Polanie, gdzie nastąpiło pożegnanie z naszymi drogimi gośćmi, wracającymi przez Czechosłowację do siebie.

Żegnaliśmy się okrzykami: na szczęście i rozkwit Asocjacji, do widzenia w najbliższym roku w Jugostawji!

Wśród sprawozdań, jakie o tegorocznym Zjeździe Asocjacji pojawiają się w publikacjach zaprzyjaźnionych z nami towarzystw słowiańskich, czytamy w czasopiśmie Klubu Czechosłowackich Turystów:

„Tegoroczny Zjazd Asocjacji, odbyty w dniach 22—25 września w Polsce, wykazał nadzwyczajny rozwój Asocjacji, a to tak na zebraniach i posiedzeniach, jak na wycieczkach. Rada Asocjacji na rok 1927 była w rękach doświadczonych i zasłużonych pracowników polskich w Krakowie, którzy tak opracowali wielki materiał konferencji, tak przygotowali program Zjazdu i wszystkie z nim związane nadzwyczajne zwiedzania, wycieczki i czynności propagandowe, że można wyrazić podziw nad rozwojem znaczenia Asocjacji i słowiańskiego braterstwa w Polsce“.

Nie dla próżnej chwalby podaję tu te słowa, ale dla umocnienia się w dalszej pracy nad rozwojem Asocjacji, której doniosłości propagandowej, ideowej i rzeczowej nie wszyscy jeszcze u nas rozumieją.

Walery Goetel.

Gospodarka turystyczna w Beskidach Zachodnich¹⁾.

W Beskidzie Zachodnim gospodarują obecnie 4 Oddziały P. T. T.: Cieszyński, Katowicki, Żywiecki, Nowosądecki, i — ks. Gadowski. Reszta istnieje i działa „de nomine“.

Pozatem rozróżnić należy następujące typy: Oddziały dobrze sytuowane materialnie i o wszechstronnej inicjatywie (Oddział Katowicki i Żywiecki), Oddziały materialnie nie najgorzej stojące, lecz o inicjatywie małej lub zbyt jednostronnej (Oddział Cieszyński), Oddziały pracujące intensywnie, a nie mogące rozwinąć swej całej energii ze względu na zbyt szczupłe fundusze (O. Nowosądecki) i wreszcie te, które ani jednego, ani drugiego w wystarczającej mierze nie posiadają.

Zastanović się zatem należy nad przyczynami owych tak powszechnych braków. Wymienię dwa główne: a więc za wielką ilość Oddziałów na stosunkowo małym terenie, jakoteż zupełne niewyzyskanie zapasu, czasu i sił młodszych pokoleń turystów.

Wszyscy bowiem wiemy, iż działaczom starszym na polu turystyki brak przede wszystkim czasu, a czasami i sił w znaczeniu fizycznym. Stąd ograniczenie się do prac, które wykona płatny przedsiębiorca, a więc przede wszystkim budowa schroniska, którego projektowanie postępuje również z tradycyjną szybkością, jakoteż znakowanie szlaków

¹⁾ Artykuł ten ani nie jest niczem oficjalnym, ani też inspirowanym przez któryś z interesowanych Oddziałów. Piszę go jedynie jako obiektywny widz, znający nieco stosunki na powyższym terenie, jakoteż osoby na nim działające.

przez ludzi niefachowych, jeśli nie przez chłopów, czy też gajowych. A konieczna reszta programu, jak wszechstronna i celowa propaganda, konserwacja ścieżek, no i przede wszystkim trasowanie nowych szlaków, leży tymczasem odłogiem. Mówi się u nas niejednokrotnie, iż młodzież nie interesuje się zupełnie pracą w górach — a to nieprawda. Trzeba tylko wyciągnąć do niej dłoń. Mógłby zresztą coś o tem powiedzieć między innymi Oddział Stanisławowski.

Drugą niezmiernie ważną rzeczą jest zamiana kilku wegetujących tylko Oddziałów, na miejscowe Koła i przyłączenie takowych do jednostek silniejszych. W ten sposób Beskid, podzielony między kilku zasobnych gospodarzy, zagospodaruje się o wiele prędzej, lepiej i w sposób bardziej jednolity. Uprości to pozatem całą organizację i usunie jej przerost. Sprawę tę zresztą omówię szczegółowo na końcu niniejszego artykułu.

Charakteryzując gospodarke Oddziałów i jej ostatnie wyniki, należy czynić to ostrożnie.

Zaczem zaczniemy od zachodu! Oddział Cieszyński, względnie jego energiczny prezes, ruszył w ostatnich czasach z miejsca, z dawno niewidzianym rozmachem. Założono z wiosną wcale obiecujące Koła w Skoczowie, Ustroniu i Dziedzicach. Wprawdzie niektórzy ludzie przypuszczają, iż głównym motywem tego nagłego „imperjalizmu“ jest wciąż jeszcze lansowany projekt złączenia się O. Cieszyńskiego z Katowickim w jeden wielki Oddział Śląski, my jednak, gdyby nawet tak było, stwierdzamy jedynie szlachetne współzawodnictwo.

W związku ze wspianiem schroniskiem Oddziału na Stożku, nasuwa się kwestja, czy urządzić je na schronisko noclegowe, czy też utrzymać w dotychczasowym typie schroniska-restauracji. Sądziłbym, iż ze względu na budującą się linię kolejową z Ustronia do Wisły, należy bezwzględnie uczynić to pierwsze. Znany jest bowiem w tych stronach napływ niedzielnych turystów z całego Śląska, którzy przeważnie jeszcze w sobotę dochodzą do najbliższych schronisk i nocują w nich. Najlepszym przykładem położone o miedzę — schronisko na Baraniej.

Oddział Katowicki chadza w ostatnich latach zawsze sam i swojemi ścieżkami. I to w przeciwieństwie do pierwszych chwil swego istnienia, gdy zajmowano się niemal wyłącznie schroniskiem na Baraniej Górze. Po otwarciu schroniska na Baraniej Górze przez długi czas cisza i nagle bomba: „odkupili schronisko na Równicy, już je urządzają“. Bravo, ślicznie. Możeby tak jeszcze z kolei obdarzyć Wielką Raczę jakim schroniskiem, a przede wszystkim wyznaczyć kilka szlaków w tej grupie.

Drugą perjodyczną imprezą, która się O. Górnos Śląskiemu nadzwyczaj udaje, jest częste organizowanie zbiorowych wycieczek w Beskidy. Jedyń z Oddziałów, który ten może najważniejszy czynnik propagandy należycie wykorzystać potrafił.

Charakteryzując co nieco działalność zachodnio-beskidzkich placówek P. T. T., nie mogę pominąć Oddziału, co siadłszy z rozmachem na Babiej, nogi oparł na Pilsku, aby nie stracić równowagi na tych wysoczyznach, wsparł się jedną ręką o Orawę, a drugą o Beskid Mały. Prócz Katowickiego żaden Oddział nie rozwinął się tak niezmiernie szybko, jak ten. Że go ze Zawoi do upartego Żywca przed wojną przenieśli, więc się utarła nazwa O. Żywiecki. Tak naprawdę jednak, to on się nazywa „Babiogórski“.

Do niedawna niewiele o nim słyszano, aż tu parę lat temu padł na cichy Zarząd jakiś dopust Boży. Porozbudowali i pootwierali schroniska, a kolorowo znaczone szlaki jęły się mnożyć z niebeskidzką szybkością. Na Orawę — „to na Orawę“, na Pilsko — „czemuby nie“. A gdyś ciemną nocą rozbił w lesie głowę, to napewno o tablicę orjentacyjną.

A tamtego roku założył sobie Oddział Koło w Białej. Trochę się bali, że będzie „klapa“, ale wreszcie założyli. I oto Koło to w starym ośrodku turystycznym, jakim jest Biała, rozwija się w piorunującym tempie. Już dzisiaj ma ponad dwa tysiące członków. Ale co jeszcze ważniejsze, Oddział Żywiecki wraz z Kołem w Białej stawiają schronisko na Pilsku. Na jesień skończą sam budynek, na drugą jesień otworzą. Budują pod samym szczytem, na Hali Miziowej. Tożto będzie uciecha dla narciarzy, bo schronisko typu wybitnie zimowego i w centralnym punkcie położone.

Na dachu ma być wieżyczka z dzwonkiem, a w tajemnicy się zwierzę, iż Zarząd zamierza zakupić również dwa psy Bernardy do poszukiwania zaginionych narciarzy.

Z początkiem maja założył Oddział drugie Koło we Wadowicach. I znowu pogrom pesymistów w Zarządzie, bo założone Koło liczy już około 50 członków. Jest ono bardzo ważnym, jako jedyny punkt oparcia przy zagospodarowywaniu Beskidu Małego, przez który tej wiosny przeprowadzono pierwszy szlak znaczony z Porąbki do Wadowic, przez Kocierz i Madohorę.

Oddział zaniedbuje jednak propagandę, — wycieczek zbiorowych nie urządza, o odczytach nie słyca. Pozaatem trzyma na Babiej Górze zawiadowcę, najzupełniej nie nadającego się na to stanowisko.

Wreszcie nadmienić należy, iż również posiada w swych pracujących szeregach paru młodych ludzi.

Przechodzimy do czwartej grupy Oddziałów.

Oddział Nowotarski od czasu, gdy dzięki dominującej współpracy prof. Sosnowskiego wybudował schronisko na Turbaczu, oczekiwał z kolei i na wyznaczenie ścieżek. Obecnie sprawa ta została już w połowie załatwioną. Z początkiem października ubiegłego roku bowiem wyznaczyli prof. Sosnowski i podpisany odcinek szlaku głównego z Rabki na Turbacz, jakoteż poprawili szlak z Nowego Targu do schroniska i na szczyt.

Resztę prac wykonało się na wiosnę, oddając ostatecznie do użytku cały zachodnio-beskidzki „szlak główny“.

Wstyd doprawdy, by w całym N. Targu — „stolicy Podhala“ nie znalazł się prócz energicznego sekretarza, podtrzymującego cały Oddział, nikt więcej, chętny do turystycznej współpracy.

Oddział Pieniński — o tym i jego działalności turystycznej niewiele słycać, a w Pieninach gospodaruje ks. Gadowski z Tarnowa, eo ipso Oddział Tarnowski P. T. T., którego jest prezesem.

Płyniemy tu kiedyś Dunajcem i oczy przecieramy, bo na polskim brzegu czerwienia się świeżo wkute klamry i wije się nad rzeką perć, przez wapienne skałki przekuta. Mimowoli rzuciłem okiem na Sokolicę, czy nie ujrzę na jej ścianie drabiny wiodącej na Przechodki. — Ale nie! Zapomnieli widocznie postawić.

Nad obecnym zagospodarowaniem Pienin musimy się zastanowić poważniej.

Wiemy doskonale, że gdyby nie ks. Gadowski, jego wciąż jeszcze czynna ręka i zawsze otwarta dla turystycznych postulatów kieszeń, gdyby nie on, w Pieninach dotąd niktby pędzlem nie ruszył.

Obecnie wpadliśmy jednak niestety z jednej ostateczności w drugą: Pieniny zostały bezwzględnie przekulturzone.

Ścieżek wyznaczono o 30% za dużo, rozkład barw i wogóle technika znakomita — niejednolite. W mózgu nawet już wyrobionego co nieco turysty powstaje podczas wy-

cieczki chaos, a w następstwie dezorientacja i częste wypadki pobłądzeń. Typowym przykładem aż trzy ścieżki z Krościenka pod Czertezik jednakowo wyznaczone.

Pozatem pamiętajmy o tem, że Pieniny to przecież przysły Park Narodowy, a nie Magórka nad Bielskiem.

Trzebaby zatem w porozumieniu z Państwową Radą Ochrony Przyrody ostatecznie zrekonstruować plan zagospodarowania Pienin, poczem wysławszy któregoś ze specjalistów pozamykać niepotrzebne szlaki, przerzedzić umiejętnie i wogóle uporządkować znaki, a wreszcie usunąć 50% zbędnych w tego rodzaju terenie drogowskazów.

A w malutkiej pustelni, przyczepionej do stoku góry, powstaje w turystycznych mózgach dylemat: czy pustelnik śpi w trumnie, a na wstawionem przez ks. Gadowskiego łóżku turysta, czy też pustelnik na łóżku, a w odciążonej w ten sposób trumnie wędrowiec, by z nim nie było kłopotu, gdy przeszedłszy się Sokolą Percią bezszelestnie w nocy Bogu ducha odda.

Jeden zarzut musi się ustawicznie robić Oddziałowi Pienińskiemu: — iż dotąd nie wstawił do schroniska Sienkiewicza bodaj dwu piętrowych łóżek, które wstawione zresztą niegdyś przez ks. Gadowskiego, za oficjalnem podobno poleceniem „wyjechały do pola“.

Pozatem łódkarze powinni dopływać aż do ujścia Ruskiego Potoku, względnie nawet do schroniska „na piaskach“, a nie, jak to obecnie sobie „ukwalili“ — do polskiej granicy.

Jednym z najstarszych i najsolidniejszych Oddziałów w Zachodnim Beskidzie jest Oddział Nowosądecki. Za sławą nie ugania, długów nie zaciąga, a swoje robi. Funduszków zbyt wielkich nie posiada, więc tylko dwa schroniska dotąd otwarł — niezagospodarowane. Szlaki poprowadzone planowo, wyznaczone pierwszorzędnie. Już to prof. Rapf ma fach w rękę.

Gdyby tak jeszcze założyć Koło w Limanowej.

Lecz przejdźmy do sprawy najważniejszej, a mianowicie do kwestji rozszerzenia działalności paru większych Oddziałów beskidowych, na tereny Oddziałów małych i zamiany tych ostatnich na miejscowe Koła.

Spór na temat jednego wielkiego Oddziału Śląskiego najlepiej pozostawić do rozstrzygnięcia czasowi. Zwłaszcza, iż Oddział Katowicki posiada jako teren dla swej ekspansji zupełnie niezagospodarowaną grupę Raczy, a Oddziałowi Cieszyńskiemu też funduszków na zagospodarowanie Stożka nie brakuje.

Inaczej się rzecz przedstawia wśród Oddziałów małopolskich. Tu, jakby dwa słupy graniczne, dominują Oddziały Żywiecki i Nowosądecki, a między nimi rozpościera się cały teren Gorców i Pienin, dotychczas jeszcze nie objęty należycie zorganizowaną turystyczną opieką, gdyż, godne najwyższego uznania, wysiłki jednostek, jak ks. Gadowskiego lub prof. Sosnowskiego, nie wystarczą.

Sądziłbym, iż Oddział Nowotarski powinien uchwałą Zarządu Głównego zostać zamienionym na miejscowe Koło przy Oddziale Żywieckim, względnie, by lokalnej ambicji stało się zadość, powinny się oba Oddziały połączyć w jeden — Żywiecko-Nowotarski. Zwłaszcza, iż Oddział Żywiecki zagospodarowuje całą Orawę, a „szlakiem podhalańskim“ podchodzi pod sam Nowy Targ.

Zyskają tylko na tem Gorce i Rabka, w której się bezwzględnie powinno założyć Koło.

Ten sam los winien przypaść w udziale Oddziałowi Nowosądeckiemu, któryby w takim wypadku roztoczył opiekuńcze skrzydła nad swem Kołem Pienińskiem i otrzymał w spadku Pieniny, wraz z grupą Lubonia. Granica pomiędzy terenami po-

większonych Oddziałów, Żywiecko-Nowotarskiego i Nowosądeckiego, szłaby przez Mszanę Dolną i Górną, Lubomierz, dolinę Kamienicy i Ochotnicy.

By jednak konfiguracja nie została przeprowadzona tylko na papierze, Oddział Nowosądecki musiałby się zabrać do zagospodarowania wschodniej części Beskidu Limanowsko-Makowskiego, a więc przynajmniej do przetrasowania jednego okrężnego szlaku. Częścią zachodnią zająłby się Oddział Żywiecki.

Pozostałby jeszcze jednak Oddział Tarnowski... Sądzę, iż współdziałanie jego z Oddziałem Nowosądeckim, a to w formie subsydjów pieniężnych, czyto osobistych prac poszczególnych członków, byłoby najbardziej wskazanem, choćby dlatego, iż jest on Oddziałem małym, a do tego nizinny, — Pieniny zaś są już zagospodarowane.

Kwestje tu omówione nie są bynajmniej nowymi. W beskidzkich kołach P. T. T. poruszało się je już nieraz, a z kolei czasby przystąpić do szczegółowego rozpatrzenia i wykonania.

Wogóle polityka Oddziałów zachodnio-beskidowych powinna mieć zgóry nakreślone pewne ogólne ramy i w nich się rozwijać.

Podstawą organizacyjną do opracowania i ustalenia tych ram i programów są komisje międzyoddziałowe, w ciągu ostatnich lat zorganizowane przez Zarząd Główny. Z nich działają na terenie Beskidów Zachodnich dwie: zachodnio-beskidowa I, obejmująca Oddziały w Cieszynie, Żywcu, Katowicach i zachodnio-beskidowa II, obejmująca Oddziały w Nowym Sączu, Nowym Targu, Szczawnicy i Tarnowie.

Praca tych komisji oraz Zarządu Głównego, oby wpłynęła na Oddziały w tym kierunku, aby nie opierały się tradycyjnie na zaspakajaniu z dnia na dzień doraźnych tylko potrzeb turystycznych i na brakul szerszej inicjatywy. A przedewszystkiem nie powinna lekceważyć propagandy.

W. Midowicz.

Gruźlica wśród stałych mieszkańców Zakopanego.

Między rozlicznymi zdaniami, jakie się ciągle słyszy i czyta, jednym z najczęstszych, to zapatrywanie, iż w Zakopanem ludność tubylcza, jakoteż napływowa stale osiadła, zapada w znacznym stopniu na gruźlicę, a to w następstwie zakażenia się nią od przybyłych tutaj chorych.

Twierdzenie to spotykało się w pismach lokalnych Podhala, w których były nawet takie zdania, że całe rody góralskie na chorobę tę wymierały, bardziej jeszcze niepokojące głosy pochodziły ze sfer lekarskich, szczególnie warszawskich. Artykuły takie i głosy szkodzić musiały uzdrowisku, bezsprzecznie największemu i najlepiej urządzenemu w Polsce, niepokoiły społeczeństwo i odciągało gości od przybywania do Zakopanego.

Ponieważ wszelkie rozważania teoretyczne, nie oparte na jedynej niezbitej prawdzie jaką jest statystyka, nie mają wartości, ponieważ tylko ona nieodparcie decyduje, przeprowadziłem takie dowody statystyczne.

Obliczyłem, jaką jest śmiertelność z gruźlicy u tubylców Zakopanego i Olczy, a to w ciągu lat 10; 5 wojennych i 5 powojennych, na mocy metryk pośmiertnych przechowywanych w urzędzie parafjalnym w Zakopanem.

Statystyka obejmuje zarówno dorosłych jak dzieci.

Procent śmiertelności da się obliczyć w Zakopanem z dokładnością, gdzieindziej

nie do osiągnięcia, gdyż na stosunkowo małej przestrzeni przebywa stale czynnych przeszło 20 lekarzy i każdy przypadek śmierci jest w ciągu poprzedzającej ją choroby przez lekarza badany — temsamem przyczyna śmierci dokładnie stwierdzona.

I tak:

W roku 1915	zmarło w Zakopanem	wśród stałych mieszkańców	dorosłych	3	dzieci	2
" 1916	"	"	"	8	"	4
" 1917	"	"	"	2	"	2
" 1918	"	"	"	6	"	1
" 1919	"	"	"	10	"	1
" 1920	"	"	"	6	"	—
" 1921	"	"	"	2	"	2
" 1922	"	"	"	3	"	8
" 1923	"	"	"	6	"	4
" 1924	"	"	"	3	"	3

Razem w ciągu lat 10 dorosłych osób 49 dzieci 27

Zestawienie tych lat 10 wykazuje minimum śmierci w r. 1197 — bo 4 i maksimum w 1916 — bo 12. Jeżeli uwzględnimy że Zakopane liczy stałych mieszkańców 12.000, to procent śmierci z gruźlicy wypada przy minimum 3·8 na 10.000 — przy maksimum — 10 na 10.000, średnia daje 7 na 10.000.

Przyjmując, że śmiertelność z gruźlicy w Polsce waha się między 15 a 50 na 10.000 mieszkańców — a w państwach europejskich zależnie od ich kultury i starania się o postęp w zdrowotności między 20 (Francja—Anglja—Niemcy) a 10 (Danja o najmniejszej śmiertelności wogóle) — musimy przyjąć, iż śmiertelność z gruźlicy w Zakopanem jest bardzo niska u tybulców — i nic nie upoważnia do wygłaszania groźnych poglądów, tem mniej twierdzeń o wymieraniu ludności tubylczej na gruźlicę. Przeciwnie — statystyka wykazuje, że procent śmierci z gruźlicy jest bardzo niski.

Inaczej ma się rzecz z przysiołkiem Zakopanego „Olczą“, liczącym 1.300 mieszkańców. Statystyka ostatnich 3 lat — gdyż nie udało mi się zestawić większej — wykazała, że

w roku 1922	zmarło na gruźlicę	7	osób,	z	tego	dorosłych	3	dzieci	4
" 1923	"	7	"	"	"	"	5	"	2
" 1924	"	8	"	"	"	"	5	"	3

co ze względu na liczbę śmiertelności ogólnej, daje olbrzymi odsetek 50%.

Nieznana ta wogóle śmiertelność — zmuszała do szukania jej przyczyny, którą też rychło wykryto.

Olcza jest miejscowością, dostarczającą w przeważnej części mleka do Zakopanego; mleko przynoszą lub przywożą w t. zw. borniach, naczyniach blaszanych z pokrywą. Po wydaniu mleka do opróżnionej borni zabierano pomyje i zlewki dla karmienia niemiby. I tu leży przyczyna gwałtownego szerzenia się gruźlicy. Ścisłe badania amerykańskich lekarzy wykazały niezbicie, że w takich resztkach pokarmowych zostawianych przez chorych na gruźlicę osób — znajdują się zarazki gruźlicze i tą drogą najłatwiej mogą się udzielać. Z jednej strony przez zakażanie bydła (perlica), z drugiej bezpośrednio osób pijących z borni, nie tylko nie odkażonych, ale nawet nie splukanych naleźycie.

Nie pomogło przemawianie do ludności Olczy, ani ogłoszenia przez Gminę zakopiańską (Miejski Urząd zdrowia), ani ostrzeżenia z ambony przez księży, do których się zwracałem z prośbą o pomoc, dopiero konfiskata baniek z pomyjami, przeprowadzana przy pomocy policji — spowodowała, że zwyczaj noszenia w bańkach pomyj ustał.

Czy ustał zupełnie — bardzo wątpię — ale przynajmniej narazie.

W każdym razie jest rzeczą pewną, że Olcza, przysiołek Zakopanego jest w wysokim stopniu gruźlicą zakażona i że założenie w niej przychodni, do czego Tow. przeciwgruźlicze w Zakopanem dąży, jest jedną z konieczności, która musi być najrychlej rozwiązana.

Tak przedstawia się rozwiązanie zagadnienia gruźlicy u tubylców w świetle cyfr — wykazuje ono, że nie jest prawdziwem rozszerzane zdanie, że gruźlica w Zakopanem grozi wyludnieniem całym osiedlom góralskim.

Przeciwnie, podnoszenie się poziomu ekonomicznego u tutejszego społeczeństwa, wzrastająca coraz bardziej, chociaż powoli kultura, lepsze warunki mieszkaniowe, wreszcie przychodnie czuwające nad usuwaniem tak kardynalnych spraw jak opisana z mlekiem, pozwalają przypuszczać, że i ten straszny procent śmierci z gruźlicy w Olczy zniknie.

Oby tylko alkohol, ten wróg pięknego ludu góralskiego — a druh serdeczny gruźlicy — dało się pokonać!

Obok śmiertelności z gruźlicy jest sprawa pierwszorzędnej wagi procent dzieci zakażonych gruźlicą¹⁾. Takiego obliczenia również dokonałem w r. 1926 w tutejszej szkole powszechnej żeńskiej w I. klasie.

Badanie to wykazało, iż 25% dzieci zakażenie takie okazuje; jest to cyfra również bardzo niska w stosunku do miast, w których takie badania przeprowadzano.

I tak w r. 1925 przeprowadzone badania dzieci wstępujących do szkoły powszechnej w Wiedniu, wykazały 35% — 46% dzieci zakażonych, zależnie od dzielnicy i warunków życia.

Badanie prowadziłem przy użyciu Dermotubiny, szczepionki Löwensteina — wyniki te nie zwróciły niczyjej uwagi, choć były w Polsce po raz pierwszy wykonane.

Tak nie zwróciły uwagi również sprawy, dążące do podniesienia stopy rozwojowej Zakopanego, jakie w sprawozdaniach rocznych komisji klimatycznej przedkładałem np. brak wody, grożącej temu uzdrowisku.

Może kiedyś wyciągnie je ktoś z pyłu zapomnienia.

Tadeusz Gabryszewski, lekarz gminny w Zakopanem.

Mieczysław Szczuka. (Wspomnienie pośmiertne).

Dnia 13 sierpnia b. r. zginął na południowej ścianie Zamarłej Turni, przy próbie dokonania trzynastego przejścia, artysta malarz z Warszawy Mieczysław Szczuka.

Dla młodego, powojennego taternictwa cios to bardzo bolesny. Zmarły był ostatnimi czasy jedną z przodujących postaci w ruchu taternickim, dzięki zarówno niezwykle wysokiej sprawności sportowej, jak niemniej dzięki rozległej znajomości Tatr i jasno skryształizowanej ideologii taternickiej. Niepokażny, wątłego zdrowia i małomówny, nie okazywał na pierwszy rzut oka tych wysokich zalet towarzysza i taternika, jakie w nim tkwiły. Objawiał je dopiero na wycieczkach, w długich marszach dolinami, w zawziętych zma-

¹⁾ zakażonych, to nie to samo co chorych.

ganiach się ze ścianą czy granią, w godzinach odpoczynku i długich wieczornych gawęd przy ognisku. Miarą jego sprawności jest fakt, że nowe drogi przezeń znalezione uważają najwprawniejsi wspinacze obecnej doby za leżące już na granicy możliwości ludzkiej. Należał do nielicznej garstki taterników, którzy znali wszystkie najtrudniejsze przejścia w Tatrach. Ta wysoka sprawność techniczna nie zasłoniła mu oczu na piękność Tatr, czemu dawał wyraz w przepięknych listach do przyjaciół i w niewydanych dotąd nigdzie szkicach literackich z podejmowanych przez siebie wypraw, w których z niezwykłą barwnością kreślił opisy przyrody i przeżycia. Wybitny artysta pojmował taternictwo jako sztukę, a pierwiastek estetyczny cenił w taternictwie zawsze na równi ze sportowym. W jednym ze swych szkiców tak pisze o tem: „W wysokogórskim terenie przyroda dostarcza obficie materiału, surowca artystycznego, który łatwo daje się obrobić przez tkwiącą w każdym człowieku dozę artystycznej twórczości. I dlatego taternik szuka trudności, gdyż dostarczają mu one przebogatego tła dekoracyjnego i są niejako schodami, wprowadzającemi go do najtajniejszych skarbów artystycznych, ukrytych po zakamarkach świata górskiego... Wrażenia wzrokowe z dróg trudnych mają swój specyficzny urok, są zasadniczo różne od tego co możemy zobaczyć z łatwych ścieżek“...

W sztuce był wyznawcą i jednym z przywódców „konstruktywizmu“ propagowanego w czasopiśmie „Blok“ i „Dźwigni“, których był redaktorem. Wyznawane przez siebie hasła sztuki użytkowej realizował nowoczesnymi środkami wypowiedzenia się, np. konstrukcjami wielopłaszczyznowymi projektami architektonicznymi w stylu blokowym i fotomontażem. Pozostał też po nim bardzo interesujący cykl szkiców malarskich ze wspinaczek. Dalsze plany zniweczyła przedwczesna śmierć.

Marjan Sokołowski.

BADANIA NAUKOWE.

Prace geologiczne w Karpatach i Tatrach w roku 1927. — Karpaty

Wschodnie: W dalszym ciągu zdjęć prowadzonych przez Państwowy Instytut Geologiczny na tym terenie, geologowie i współpracownicy P. I. G. pp.: Bujalski, M. i H. de Cizancourt'owie, Horwitz i Tołwiński, ten ostatni jako kierownik badań P. I. G. w Karpatach, pracowali nad mapami geologicznymi arkuszów: Drohobycz, Stryj, Bolechów, Kałusz, Stanisławów, Turka. Nadto na obszarze Karpat Wschodnich pracowali prof. W. Teisseyre i p. H. Teisseyre, ten ostatni nad budową geologiczną brzegu karpackiego między Nadworną a Delatynem.

Karpaty Zachodnie: Geologowie i współpracownicy P. I. G. pp. Goblott, Horwitz, Krajewski, Cz. Kuźniar, Obtulowicz, Opolski, Rabowski, Weigner, opracowywali w dalszym ciągu zdjęcia arkuszów: Ustrzyki Dolne, Dobromil, Przemysł, Brzozów-Sanok, Lisko-Wola Michowa, Tyczyn-Dynów, Gorlice-Grybów, Dobczyce.

Geologowie lwowscy w osobach prof. W. Rogali, Z. Pazdry, pracowali nad stratygrafią

i tektoniką poszczególnych okolic Karpat Zachodnich.

Geologowie krakowscy, pp. Konior i Książkiewicz, pracowali na obszarze Białej-Bielska i Wadowic, wydzielając tu dalsze jednostki stratygraficzne i tektoniczne.

Pieniny. L. Horwitz, oraz F. Rabowski pracowali w okolicy Jaworek i Szlachtowej, które częściowo zdjęli w skali 1:10.000, także i po drugiej stronie linii granicznej w dorzeczu Popradu.

Tatry. W. Goetel i S. Sokołowski dokonali kilku spostrzeżeń na obszarze regli zakopiańskich dla ukończenia mapy tej partji, a S. Sokołowski zdjął granicę zetknięcia się płaszczowiny regłowej i wierchowej od dol. Sucheje Wody do dol. Miętusiej.

S. Sokołowski rozszerzył badania nad serją regłową na jej części położone po stronie czechosłowackiej. Mianowicie zdjętą została partja Tatr Bielskich, obejmującą Murań, dol. Międzyścienną wraz z otoczeniem, poł. stoki Nowego, Hawrania, Płaczliwą Skałę, Szalony Wierch, poł. stoki Jatek-Bujaczego Wierchu-Fajksowej, aż po Jaskinie Bielskie. Prace te

wykonane zostały w porozumieniu się z geologami czechosłowackimi, którzy w sprawie Tatr ogłosili swe „désintéressement“ na rzecz geologów polskich, jako lepiej obznajomionych ze stosunkami tatrańskimi.

E. Passendorfer kontynuował swe badania nad stratygrafią górnej jury serji wierchowej, zbierając materiał paleontologiczny w wapieniach Małego Gewontu i dol. Kościeliskiej.

W zakresie badań morfologicznych i glaciologicznych pracował prof. E. Romer nad najstarszym okresem lodowym tatrańskim na terenie Orawy po stronie czechosłowackiej, a nadto poszukiwał śladów tego obszaru na Spiszu i zrewidował dawne stanowiska na stokach Holicy ku Szerokiej Jaworzyńskiej. W ten sposób prof. Romer ukończył swą wieloletnią pracę nad zlodowaczeniem Tatr, która ma się obecnie ukazać w druku wraz z mapami w podziale 1:150.000.

Nadto pracowali pp. B. Halicki nad glaciologią i morfogenezą Podhala, a M. Gotkiewicz nad morfologią górnego dorzecza Orawy.

Karpaty słowackie. Na tym obszarze pracował z geologów polskich F. Rabowski w masywie Lubochni na lewym brzegu Rewuczy w okolicach góry Szprun. W wyniku kilkudniowego rekonesansu mógł stwierdzić, że opisana przez geologa czechosłowackiego dr. A. Matejkę, serja osadowa łuski Szprunu nie odznacza się, jak to przypuszczał dr. Matejka, charakterem wierchowym, lecz jeszcze reglowym. Nieznana w serji reglowej, jak i wierchowej jest tylko serja wapieni płytowych, margli wapiennych i piasków, zaliczona przez A. Matejkę do kredy dolnej. Jest ona wybitnie charakterystyczną dla płaszczowiny Niżnych Tatr i załączoną została przez W. Uhliga do jego facji Ballensteinskij. Wiek jej jest jeszcze nieokreślony.

Pobieżne badania t. zw. łuski Szprunu zdaje się bardziej przemawiać za istnieniem fałdu wstecznego z częściowym wyciśnięciem niektórych poziomów, a nie za łuską samodzielną.

Uprzejmości kol. prof. dr. R. Kettner'a z Uniwersytetu w Pradze, za którą serdecznie mu dziękuję, zawdzięczam możność uwzględnienia w bieżącym roku w tem zestawieniu także wyników prac naszych kolegów czechosłowackich w obszarach karpaccich Słowaczyny. Według tych informacyj, systematyczne badanie geologiczne, połączone ze szczegółowym zdjęciem należy na terenie Karpat Słowaczyny do zadań Państwowego Instytutu Geologicznego w Pradze, który pracuje na Słowaczynie w kilku sekcjach.

Sekcja pierwsza pod przewodnictwem prof. R. Kettner'a, pracowała i w roku 1927 nadal na obszarze Niżnych Tatr. Prof. Kettner wraz z dr. J. Koutek'iem studjował tectonikę Doliny Świętojańskiej między Džumbirem a Hradkiem Liptowskim, nadto badał w dalszym ciągu okolice Hronu koło Podbrezowej. Dr. Wł. Cepek kartował basen mioceński koło Brezna, Dr. V. Stástný studjował mezozoikum na południowym skłonie Niżnych Tatr w dolinie Hronu między Predajną a Brusnem. Dr. V. Žoubek prowadził dalej swe studja nad krystalinikum Niżnych Tatr w okolicy Brezna i Podbrezowej i zbadał również część masywu Vjeporu. Dr. J. Koutek wraz z K. Urban'em kartowali północne zbocza Niżnych Tatr pomiędzy Ružomberkiem a Demaną. P. Koutek studjował nadto stratygrafię eocenu kotliny liptowskiej.

Sekcja druga opracowuje grupę Fatry. W niej dr. Kodym kartował już drugi rok okolice Lubochni, a dr. Matejka zdejmował w dalszym ciągu okolicę na południe od Ružomberku, zwłaszcza dolinę Rewuczy i okolicę Korytnicy. Prócz tego p. Matejka studjował partję Wielkiego Chocza.

W trzeciej sekcji w paśmie skałek pracował głównie dr. D. Andrusow, a to w dolinie Orawy pomiędzy Twardoszynem i Zamkami Orawskimi i w dolinie Wagu w okolicy Wielkiej Bytki i Puchowa.

Czwarta sekcja pracuje w Spiskich Górach Kruszcowych w okolicach Kropach, Margitán i Gelnicy; pracami temi zajmują się dr. Matejka i dr. Zelenka. Obaj ci geolodzy wykonali w r. 1927 szereg studjów nad petrografią i tectoniką mas krystalicznych Gemeru.

Dr. Matejka i dr. Hyniec wykonali w roku 1927 także badania hydrogeologiczne w okolicy Łomnicy Tatrańskiej w Tatrach.

Całe Karpaty. Wspomnieć tu należy o pięknej i głębokiej syntezie tak tectoniki, jak paleogeografii całego łańcucha karpacciego, jaką dał w roku 1927 w swej znakomitej książce p. t. „Tektonika Polski“ prof. J. Nowak z Uniw. Jag. w Krakowie.

* * *

Całokształt tego sprawozdania wykazuje na wielkim obszarze Karpat od Moraw aż po Bukowinę na znaczny i wyteżony ruch naukowy geologiczny i to tak po polskiej, jak czechosłowackiej stronie.

Zestawił W. Goetel.

Zdjęcie fotogrametryczne Tatr. — Prace nad nowem zdjęciem mapy Tatr Polskich posunęły się w roku 1927 naprzód.

Przedewszystkiem ukończono całkowicie prace fotograficzne i to tak w grupie prof. Weigla (okolice Morskiego Oka), jak prof. Piątkiewicza (grupa Czerwonych Wierchów) i w grupie Wojskowego Instytutu Geograficznego (dolina Chochołowska), prowadzonej w r. 1927 przez kpt. Zawadzkiego.

Zdjęć tych dokonywano częściowo nowo zakupionymi fototeodolitami Wilde'a, które okazały się znakomitymi w terenie, częściowo zaś dawniej już posiadaniem aparatami Heyde'go i Zeiss'a. Wobec różnorodności fototeodolitów, używanych na skutek konieczności życiowych przy pracach fotograficznych w Tatrach, okazała się potrzeba przepracowania całego, niezmiernie bogatego materiału fotograficznego na jednym instrumencie. Stało się to możliwym z chwilą sprowadzenia ze Szwajcarii zakupionego przez Min. Rob. Publ. autokartografu Wide'a, który zmontowano w uprzejmie na ten cel przez prof. L. Sawickiego użytej sali w nowo przebudowanym Instytucie Geograficznym Uniw. Jagiell. w Krakowie. Kierownictwo prac autokartograficznych objął prof. B. Piątkiewicz, który na podstawie otrzymanego urlopu z Wyższej Szkoły Przemysłowej w Krakowie i czasowego przejścia do Ministerstwa Robót Publicznych uzyskał możność całkowitego poświęcenia się pracom fotograficznym. Okoliczność ta w związku z zapewnieniem przez Min. Rob. Publ. odpowiednich dotacji oraz przydziału sił pomocniczych, umożliwił sprawne opracowanie klisz na szybko i bezbłędnie pracującym autokartografie, zamiast, jak dotychczas, na powolnych i trudnych stereokomparatorach.

Obok robót fotogrametrycznych terenowych i laboratoryjnych, wyteżyliśmy wszystkie siły celem intensywnego pchnięcia naprzód robót topograficznych. Potrzeba tych prac wysunęła się na pierwszy plan, wobec ukończenia fotografowania, gdyż w Tatrach Polskich, szczególnie w gęsto zalesionej i obfitującej w wąskie wądoły partji regłowej, istnieje cały szereg okolic, których niepodobna zdjąć fotograficznie i tylko zdjęcie stolikowe jest tu możliwe do zastosowania.

Dzięki pełnemu zrozumieniu ważności sprawy przez kierownictwo Wojskowego Instytutu Geograficznego uzyskaliśmy z W. I. G. przydział 7 oficerów-topografów, którzy podzieliли się pracą nad zdjęciem pasa regłowego oraz niektórych partji wierzchołkowych na przestrzeni od Kopek Sołtysich aż po dolinę Kościełiską. W wyniku tych prac uzyskano zdjęcia stolikowe dwudziestu kilku kilometrów kwadratowych niedostępnych dla foto-

Wierchy V.

teodolitów terenów, wśród tego, co jest szczególnie doniosłe, zwarte partje większe, jak w dol. Olczyńskiej i w grupie Kalatówki—dol. Białego.

Prace topograficzne będą prowadzone nadal w latach następnych ze zdwojoną usilnością i przy równoczesnem opracowaniu materiału fotograficznego oraz ujednostajnieniu i skupieniu całej akcji narazie w Krakowie.

W dotychczasowych pracach nad tą mapą, które rozpoczęły się przy delimitacji granicy polsko-czechosłowackiej, pokonałiśmy wielkie trudności natury fachowej, osobowej, organizacyjnej, finansowej, instrumentacyjnej, oraz pomieszczeniowej, a więc kategorii kompletnej, o ile chodzi o rodzaje możliwych trudności!

Ze trudności te pokonałiśmy i wbrew pesymistycznym obawom wypłynęliśmy na lepsze wody, zawdzięczamy to: Ministerstwu Robót Publicznych, z jego Wydziałem Miernictwa, pozostającym pod wytrawnym kierownictwem inż. T. Niedzielskiego, kierownictwu technicznemu Komisji delimitacyjnej w osobie inż. Grygłaszewskiego, dowództwu Wojsk. Inst. Geograficznego w osobie pułk. Kreutzingera, wyteżonej pracy naszych drużyn fotogrametrycznych oraz topograficznych a przedewszystkiem pełnej poświęcenia i całkowitego oddania się idei pracy prof. Piątkiewicza.

Dzięki tym czynnikom dzisiaj, kiedy prace Komisji delimitacyjnej polsko-czechosłowackiej ukończyliśmy i oddaliśmy operat graniczny Konferencji Ambasadorów oraz Rządowi polskiemu, możemy pozostawić po delimitacji dzieło nowego zdjęcia kartograficznego Tatr, tak doniosłe dla nauki polskiej.

Nie tracę też nadziei, że mimo rozlicznych istniejących rzeczowych trudności uda się nakłonić miarodajne czynniki czechosłowackie do rozpoczęcia także po tamtej stronie granicy zdjęcia fotogrametrycznego Tatr, tak, aby całe Tatry zyskały raz wreszcie odpowiednią dla tego jedyne w swym rodzaju górskiego gniazda mapę.

Walery Goetel.

Asocjacja geologów karpaccich.

— Potrzeba zrzeszenia się kulturalnego, tak rozumiała w latach powojennych, jako odruch ludzkości, zamkniętej przez długi czas wojny światowej w granicach swych państw, objęta oczywiście i geologów.

Obok jednak zwykłej ogólnoświatowej formy, jaką są międzynarodowe kongresy geologiczne, wyłoniła się tu myśl inna, ory-

ginalna, zrzeszenia o charakterze regionalnym. Idea ta powstała na międzynarodowym kongresie geologicznym, odbytym w Brukseli w r. 1923, w gronie geologów polskich i czeskich.

Chodziło o Karpaty. Łącuch ten górski, przebiegający w formie potężnego łuku wielką przestrzeń od Bratysławy nad Dunajem aż do przełomu tejsze rzeki pod Orszą, ma specjalną, charakterystyczną budowę geologiczną, tak pod względem składu warstw skalnych, jak ich sfałdowania. Specyficzność tej budowy wywołała potrzebę używania dla jej rozwiązania szczególnych metod pracy i wyłoniła szereg zagadnień specjalnych. W ustaleniu tych metod i rozwiązaniu zagadnień są zainteresowane przedewszystkiem te narody, które zamieszkują okolice karpackie, a więc Polska, Czechosłowacja, Rumunia i Jugosławia. Przedstawiciele też świata geologicznego tych państw zawiązali na kongresie brukselskim nową organizację międzynarodową, jako t. zw. „Association pour avancement de la géologie des Carpathes“, albo w skróceniu „Association carpathique“, której zadaniem ma być współpraca nad rozwojem i postępowaniem geologii Karpat, oraz ujednostajnieniem jej metod.

Pierwszy zjazd tej Asocjacji odbył się w roku 1925 w Polsce i dał znakomite wyniki i to tak na posiedzeniach i dyskusjach zjazdu we Lwowie i Borysławiu, jak na wycieczkach, prowadzonych w Karpaty Wschodnie na przestrzeni od Borysławia do Bukowiny przez geologów polskich.

Drugi zjazd Asocjacji odbył się we wrześniu r. 1927 w Rumunii, dokąd na zaproszenie sympatycznych kolegów rumuńskich udała się znaczna liczba geologów polskich.

Lwia część zjazdu, i to tak posiedzeń jak wycieczek, które z natury rzeczy są na zjazdach geologicznych najważniejsze, była poświęcona Karpatom rumuńskim.

Po wstępnym, syntetycznym referacie o geologii Karpat rumuńskich, który wygłosił w Bukareszcie prof. Macovei, udaliśmy się na dwutygodniową wycieczkę w Karpaty. Kilkadziesiąt samochodów powiozło nas najpierw w zagłębia naftowe rumuńskie, rozłożone na podnóżu Karpat w okolicy Ploesti, Moreni i Campina. Z miejscowości Campina rozpoczął się przejazd przez właściwe Karpaty.

Wzdłuż prześlizczonej drogi, wznoszącej się ku słynnej miejscowości klimatycznej Sinaia, mieliśmy sposobność zapoznać się z typowym profilem geologicznym przez strefę fliżową, aby następnie zagłębić się w obszary

wapienne, nasunięte w postaci płaszczowin. Wspaniały widok na potężne grzbiety wapienne odsłonił się szczególnie z przełęczy Predeal, dawnej granicy rumuńsko-węgierskiej, z kądem zjechaliśmy ku zagłębiu Brasowa (Kronstadt). Ze starego tego, schludnego miasteczka zagłębiliśmy się w kraj Szeklerów, zapoznając się z jego skomplikowaną budową tektoniczną.

Niezmiernie interesującą była okolica starych, zarośniętych stożków wulkanicznych św. Anny, przepięknie krajobrazowo lesiste okolice miasteczka Georgheni i szeregu miejscowości klimatycznych i kąpielowych, rozsiadanych tu gęsto w górach. Po zapoznaniu się z klasycznymi obrazami fałdów i nasunięciem tej partii wewnętrznych Karpat, przypominających żywo budowę stratygraficzną i tektoniczną Karpat Słowaccyżny, obejrzelśmy wspaniałe serje skał krystalicznych DiTrau, aby wysiadając ciągle po drodze z samochodów i badając serje geologiczne, dotrzeć do uroczu wśród gór położonego miasteczka Piatra, już w „Starem Królestwie“ i tu zamknąć wspaniałą pętlę naszej geologicznej wyprawy w Karpaty rumuńskie.

Sliczna, słoneczna pogoda rumuńskiej jesieni, czarująca gościnność gospodarzy z dyrektorem Instytutu Geologicznego Rumuńskiego i ministrem przemysłu i handlu dr. Mrazec'em na czele, świetna organizacja zjazdu, entuzjastyczne powitanie ze strony barwnie ubranej ludności, która nas w wielu miejscowościach prawdziwie zasypywała kwiatami, przepiękny, nadzwyczaj rozmaity i bogaty kraj, niezmiernie interesująca geologia, — wszystko to razem złożyło się na obraz niezapomniany.

To też, gdy po odbyciu drugiej większej wycieczki do arcyciekawej, spalonej słońcem, prastarej Dobrudży i ponad limany Czarnego Morza, powracaliśmy do Bukaresztu, przedstawiciele wszystkich zebranych narodów złączyli się w wyrazach najgorętszego podziękowania i najgłębszego uznania dla naszych kolegów rumuńskich, za umożliwienie nam tak znakomitego poznania ich pięknej ojczyzny.

Walery Goetel.

Wycieczka II. Zjazdu Geografów i Etnografów Słowiańskich w Tatry.

W programie II. Zjazdu Geogr. i Etnogr. Słow., który w czerwcu 1927 r. odbył się w Polsce i przejechał całą Polskę w osobnym pociągu kongresowym, po zwiedzeniu Katowic, Poznania, Gdyni, Warszawy, Wilna, Lwowa i Borysławia, przysłała kolej na wycieczkę w Tatry. Wielka liczba uczestników zagranicznych

Zjazdu, około 200, w znacznie przeważającej części zapisała się na wycieczki tatrzańskie, które też odbyły się w trzech grupach: Wycieczkę pierwszą glacialno-morfologiczną, z uczestnictwem około 20 osób, poprowadził prof. E. Romer w okolicy Kuźnic, Kondratowej, Myślenickich Turni i Krokwi, ukazując w tej tak interesującej partji szereg zjawisk lodowcowych.

Wycieczka druga, geobotaniczna, w liczbie około 20 osób, udała się w klasyczną pod względem skomplikowanej budowy podłoża geologicznego i rosnących na niem roślin grupę Czerwonych Wierchów, pod przewodnictwem prof. W. Szafera i dr. B. Pawłowskiego.

Trzecia grupa, geologiczna, w składzie osób około 150, udała się pod przewodnictwem podpisanego na Goły Wierch i Rusinową Polanę oraz do Morskiego Oka. Obok ukazania w terenie głównych jednostek geologicznych i tektonicznych Tatr, przedstawiłem liczny zebrany z odsłoniętej łąki szczytowej Gołego Wierchu, rozciągającą się z tamtąd wspaniałą panoramę Tatr po obu stronach granicy w okolicy Białki i Jaworzyny, tłumacząc zasady utworzenia z tego terenu pogranicznego Parku Narodowego.

Z radością można było śledzić entuzjazm, z jakim przedstawiciele wszystkich narodów słowiańskich przyjęli ideę Parku. Wyrazem tego była jednomyślnie na plenarnem zebraniu kończącym w Krakowie przyjęta rezolucja następującej treści:

„Zważywszy szczególnie wielkie znaczenie zachowania i ochrony obszarów nietkniętej pierwotnej przyrody dla wszelkich gałęzi nauki geograficznej, II. Zjazd Słow. Geografów i Etnografów wita z głęboką radością prace, rozpoczęte na pograniczu polsko-czeskosłowackim w kierunku utworzenia w najpiękniejszych okolicach tego pogranicza, a przede wszystkim w Tatrach, Pieninach, Babiej Górze i grupie Czarnohory, większych rezerwatów (Parków Narodowych), w których, w ścisłym porozumieniu obu zainteresowanych Państw i społeczeństw, poddać się na szczególnej ochronie przyrodę martwą i żywą. Zjazd zwraca się do Rządów Czechosłowacji i Polski z apelem, aby możliwie przyspieszono prace nad realizacją Parków, a do obu społeczeństw, aby pracom tym udzieliły wszelkiego poparcia“.

Walery Goetel.

Badania botaniczne w górach w r. 1927. — Badania botaniczno-naukowe kierunku fitosocjologicznego prowadzone były

w roku bieżącym w Tatrach na Czarnej Horze i w Górach S-to Krzyskich.

Na terenie Tatr prowadzili studja współpracownicy Zakładu botanicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, w szczególności pp. dr. B. Pawłowski i Walisz. Przedmiotem badań były Tatry Wysokie. Szczególniejszą uwagę poświęcono badaniu stosunków fitosocjologicznych w szczytowem „subniwalnem“ piętrze Tatr. Badania powyższe, prowadzone pod kierunkiem prof. Szafera, doprowadziły już niemal do zupełnego wykończenia kartograficznych zdjęć zespołów roślinnych Tatr polskich. Pierwszą część pracy w tym zakresie opublikowana w roku 1925 uzupełniona została w roku bieżącym przez część II. i III., które ukazały się w publikacjach Pol. Akademii Umiejętności.

Prof. Szafer badał ponadto stosunki biologiczno-kwiatowe w zespołach roślinnych Tatr. (Rezultaty opublikowane zostały w bieżącym roczniku „Kosmosu“.

Na Czarnej Horze prowadzono analogiczne studja fitosocjologiczne w centralnej części tego pasma. Brali w nich udział współpracownicy Zakładu botanicznego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, pp.: prof. Kulczyński, A. Maczak, S. Tołpa, M. Tuligłowicz, J. Mądalski, M. Hirschfeld, R. Wilczek i K. Baccher. Dokonano kartograficznego zdjęcia dolin Gadźyny i Kozich Ułoków. Taż sama wycieczka przedsięwzięła wiercenia wysoko położonych torfowisk w dolinie Kozich Ułoków. Torfowiska te są przedmiotem opracowania szczegółowego, które wyjaśni nam historję lasów i klimatu Czarnej Hory w ostatniej dobie.

Ze strony Uniwersytetu Warszawskiego prowadzili prof. Hryniewiecki i prof. Dziubałowski badania w górach S-to Krzyskich.

S. K.

Prace faunistyczne tatrzańskie. —

Po zamknięciu listy prac, umieszczonej w tomie czwartym Wierchów, ukazały się prace następujące:

1. *Błażejowski J. i W. Kulmatycki.* Materiały do znajomości połowów łososia w Polsce w roku 1924. Arch. Rybactwa Polsk. T. I. 1925.
2. *Błażejowski J. i W. Kulmatycki.* Materiały do znajomości połowów łososia w Polsce w roku 1925. Arch. Hydrob. i Ryb. T. I. 1926.
3. *Błędowski R. i K. Kraińska.* Materiały do fauny Ichneumonidów Polski (Cz. II. Podrodzina Cryptinae). Polsk. Pismo Entom. T. V. 1926.

4. *Domaniewski J.* Die geographischen Formen von *Dryobates minor* (Linn.). Prace zool. Polsk. Państw. Muz. Przyr. T. VI. 1927.
5. *Domaniewski J.* Beitrag zur Kenntnis der Tatravögel. Ornith. Monatsber. XXXV 1927.
6. *Formánek R.* Vier neue Rüssler der Gattung *Otiorrhynchus*. Wiener Ent.-Zeitung XLIII.
7. *Heinrich G.* Beiträge zur Kenntnis der Ichneumoniden Polens. Polsk. Pismo Entom. T. V. 1926.
8. *Jarocki J.* On the morphology and systematic value of the mycetozoon *Kleistobolus pusillus* Lippert. Bull. Acad. Sc. et Lettres. Cl. Mat.-Nat. Sér. B. (1926) 1927.
9. *Kauka T. F.* Motyle t. zw. Większe, rzadkie lub nowe dla Małopolski. II. Polsk. Pismo Entom. T. V. 1926.
10. *Kulmatycki W.* O wychowie łososi w stawach gospodarstwa rybnego na Wilczaku w roku 1925. Arch. Hydrob. i Ryb. T. I. 1926
11. *Niesiotowski W.* *Erebia Dalm.* z Tatr. Polskich. Spraw. Komisji Fiz. Polsk. Akad. Um. T. 60. 1926.
12. *Smreczyński St. jun.* O krajowych gatunkach rodzaju *Hypera* Germ. (Col. Curcul.). Polsk. Pismo Entom. T. V. 1926.
13. *Stach J.* Polskie Przerzutki (Machilidae, Ordo Thysanura); ich rozszedlenie i znaczenie dla pewnych zagadnień zoogeograficznych. Spraw. Kom. Fizjogr. Polsk. Akad. Umiej. T. 60. 1926.
14. *Stach J.* Ueber die in Polen vorkommenden Felsenspringer (Machilidae) und über die Bedeutung dieser Insekten zur Beurteilung einiger zoogeographischen Probleme. Bull. Intern. de l'Acad. Pol. de Sc. et de Lettres. Cl.: Sc. Matem.-Natur. Serie B. 1926.
15. *Stach J.* *Eosentomon armatum*. n. sp., pierwsza Protura z Polski. Spraw. Kom. Fizjogr. Polsk. Ak. Um. T. 61.
16. *Stach S.* *Lygris testata* var. *insulicola* Stgr. z wyżynnych torfowisk Podhala. Spraw. Kom. Fiz. T. 60. 1926.
17. *Stefański W.* Nicienie żyjące w mchu okolic Zakopanego. Rozpr. Wydz. Mat.-Przyr. Polsk. Ak. Um. Serja III. T. 23/24. Dział A/B (1923—1924) 1927.
18. *Tenenbaum S.* Nowe dla Polski gatunki i odmiany chrząszczy. III. Polsk. Pismo Entom. T. V. 1926.

Obie prace Domaniewskiego (4, 5) stanowią cenne przyczynki do avifauny Tatr. W pierwszej z nich (4) autor wykazuje, że

w Tatrach występuje alpejska forma dzięcioła pstrego mniejszego (*Dryobates minor jordanii* Götz), gdy pozostałą Polskę zajmują trzy inne podgatunki. Praca druga (5) zawiera spis 11 ptaków rzadszych, spotykanych lub gniezdzących się w Tatrach. Zasluguja na uwagę wywody autora odnośnie wronicyzka żółto-dzióbego (*Pyrrhocorax graculus* Lin n.): alpejski ten gatunek gnieździł się ongiś w Tatrach (do 1850 r.), dziś jednak zniknął, zdaje się, zupełnie. Ciekawym jest również fakt zabicia w Trzcianie na Orawie kaczkii (*Bucephala albeola* Lin n.); jest to gatunek amerykański, który tylko przypadkowo do Europy przez Atlantyk zalatuje; dotychczas był spotykany wyłącznie w Anglii; egzemplarz tatrzański jest pierwszym, znanym z kontynentu Europy.

Prace Błażejowskiego i Kulmatyckiego (1, 2, 10) zawierają materiały do badań nad „łososiem dunajcowym“. Dotychczas nie została rozstrzygnięta sprawa, jaki gatunek występuje w Dunajcu, a więc i w Tatrach: troć (*Salmo trutta*) czy łosóś wędrowny (*Salmo salar*), czy też, być może, obydwaj. Prace wymienionych autorów kwestji tej nie rozwiązują. Autorowie wstrzymują się od dokładnego określenia gatunku, używają tylko nieokreślonej polskiej nazwy „łosóś dunajcowy“. Dwie pierwsze z tych prac (1, 2) zawierają materiał statystyczny połowów łososi; w pierwszej (1) autorowie na podstawie faktu, że przeciętna waga łososi złowionych w Dunajcu w czerwcu i lipcu jest niższa, aniżeli waga ich z września, dochodzą do wniosku, że łosóś dunajcowy przyjmuje w wodzie słodkiej pożywienie i roślinie. Prawdopodobny ten fakt wyróżniałby łososia dunajcowego od łososi innych wód. Kulmatycki (10) wskazuje na ciekawy fakt, że młode łososięta dunajcowe nie dadzą się aż do dwóch lat wieku odróżnić od pstrągów, gdy np. młode łososie estońskie (wyhodowane w takich samych warunkach) wykazują znaczne różnice. Opierając się na tym fakcie autor występuje przeciw opinii Dixona, nawołującego do niszczenia pstrągów, aby dać większą możność rozwoju rybce cenniejszej — łososiowi. Autor słusznie wskazuje, że wobec niemożności odróżnienia młodych łososi od pstrągów, razem z temi ostatnimi wyniszczonoby i młode łososie. Czy fakt owego podobieństwa jest wyrazem istotnego pokrewieństwa genetycznego obu gatunków, czy też rezultatem krzyżowania (wylęgarnia Guta w Poroninie niejednokrotnie przeprowadzała takie krzyżówki) — nie da się w tej chwili ustalić.

J. Stach (15) opisuje pierwszą na zie-

miach polskich zależoną proturę (owady prymitywne), stanowiącą nowy gatunek, nazwany przez autora *Eosentomon armatum*; zależona ona została na Podhalu, w Czarnym Dunajcu, pod kamieniem na wilgotnej humusowej ziemi. W dwóch pozostałych pracach (13—14) tenże autor omawia rozmieszczenie polskich przerutek (owady, rząd Thysanura), z których *Lepismachilis notata* Stach zamieszkuje w łuku karpackim Beskid Środkowy i Zachodni; do Tatr górski ten gatunek nie dotarł, ale z Gorców wysłała forpoczty do rowu dunajckiego, schodzące na niewłaściwy dla nich teren o charakterze równinnym i wilgotnym; forpoczty te posuwają się ku Tatom (Czarny Dunajec), nie zdołały jednak wędrczyć się na niezbyt wysoki wał Gubałówki. — Tenebaum (18) wymienia nową dla Tatr odmianę chrząszcza *Phyllobius calcaratus a. tibialis*. Formánek (6) opisuje nowy gatunek ryjkowca (chrząszcz) z Tatr Wysokich: *Otiorrhynchus granulipennis*. — Smreczyński (12) w pracy o ryjkowcach rodzaju *Hypera* podaje 6 gatunków z Tatr, wśród których spotykamy rzadkie *H. elegans* i *intermedia*.

Motylami zajmują się prace wymienione w spisie pod NNR. 9, 11, 16. Kaucki (9) w spisie motyli małopolskich wymienia dwa z Podhala. Niesiołowski (11) opracował rodzaj *Erebia* z Tatr Polskich. Motyle tego rodzaju, jak większość motyli górskich, trzymają się pewnych ściśle określonych miejscowości, rozmieszczenie więc ich jest w wysokim stopniu zlokalizowane. Większe ilości osobników rodzaju *Erebia* zwykle pojawiają się co drugi rok. Z Tatr znamy 8 gatunków: najpospolitszy *E. euryale vartatrica* schodzi nawet poniżej 900 m, a w górę sięga do 1700 m; również dość pospolitą jest *E. ligea*; w górnych partiach licznie występuje w kosówce *E. lappona*, podobna do formy alpejskiej. Pozostałe gatunki są rzadsze. S. Stach (16) podaje z Podhala ciemną formę motyla *Lygris testata* var. *insulicola*. Wyżynne torfowiska czarnodunajckie stanowią dla tego gatunku pochodzenia północnego stanowisko reliktowe; gasienica jego żywi się zwykle liśćmi wierzby, osiki i brzozy, które nie rosną dzisiaj na terenach torfów czarnodunajckich; brzoza w każdym razie występowała tam dawniej, gdyż przy eksploatacji torfu wydobywa się pnie tego drzewa. Omawiany więc motyl miernikowiec przeżył zanik brzozy na torfowisku, przez co został zmuszony do żywienia się w stadnym gasienicy jakąś inną rośliną, co, łącznie z wilgotnością terenu, wpły-

nęło zapewne na zmianę ubarwienia. — Heinrich (7) wymienia z Tatr jeden gatunek błonkowi (rodzina *Ichneumonidae*): Błędowski i Kraińska (3) przytaczają z Zakopanego 9 gatunków tejże rodziny.

Praca Stefańskiego (17) jest polską redakcją pracy tegoż autora ogłoszonej poprzednio w języku francuskim i wymienionej w wykazie w III-cim tomie Wierchów.

Jarocki (8) znalazł, poraz pierwszy w wolnej przyrodzie, na Krokwi w Tatrach maleńki gatunek śluzowca *Kleistobolus pusillus* z rodziny *Liceidae*. Gatunek ten został opisany przez Lipperta na podstawie materiału z kultury pokojowej na kawałku pnia drzewnego pochodzącego z Hirschualpe (Salzkammergut w Górnej Austrii) w r. 1893. Później rodzaj ten i gatunek, przez nikogo poraz drugi niezależony, został mylnie uznany za synonim innego gatunku. Praca Jarockiego przywraca samodzielność zapomnianemu rodzajowi, uzupełniając opis Lipperta dokładnymi danymi morfologicznymi.

W. Roszkowski.

Prace ludoznawcze dotyczące

Podhala. — W ostatnim okresie sprawozdawczym nie wyszło wprawdzie wiele prac poświęconych specjalnie Podhalu, lecz nie brak dzieł łączących się pośrednio z góralstwem.

Górali polskich musiano uwzględnić zarówno w ogólnym zarysie etnografii Polski napisanym przez A. Fischera p. t. *Lud polski*, Lwów 1926, s. IV + 240, jaki w J. St. Bystronia: *Wstęp do ludoznawstwa polskiego*, Lwów 1926, s. VIII + 176. Także w pracy J. St. Bystronia p. t. *Ugrupowanie etniczne ludu polskiego*, Kraków 1925 omówiona została cała małopolska grupa górską i jej bogate zróżnicowanie. Tak liczne nazwy i przezwiska góralskie opracował w związku z materiałem ogólnopolskim J. St. Bystron w rozprawie p. t. *Nazwy i przezwiska polskich grup plemiennych i lokalnych*, Kraków 1925.

Parę cennych przyczynków mamy również w dziale kultury materialnej. Dr. Tadeusz Dobrowolski opisał „*Stary dom przy kościele parafjalnym w Nowym Sączu*“ (Rzeczy piękne R. V. zes. 1). Adam Maurizio w swem znakomitem studjum p. t. *Pożywienie roślinne i rolnictwo w rozwoju dziejowym* Warszawa 1926 (nakł. Kasy Mianowskiego) omówił na porównawczem tle także ruszt góralski do wypieku placków t. zw. moskali.

Strojowi góralskiemu poświęcił specjalną pracę Witold Gądzikiewicz p. t. *Strój*

górali podhalańskich pod względem higienicznym, Warszawa 1926, str. 38, odbitka ze „Zdrowia“ nr. 1—2.

Prof. Gądzikiewicz zastosował do stroju góralskiego najnowsze metody higieniczne i stwierdził, że strój górali podhalańskich jest doskonale dostosowany do miejscowych warunków klimatycznych i życiowych. Wobec tego autor proponuje, aby go zachowano i propagowano wśród ludności miejscowej, jako odzienie codzienne. Za najbardziej skuteczny sposób takiej propagandy uważa autor dobry przykład ze strony miejscowej inteligencji, a nawet rzuca myśl, aby przy pewnych zmianach i dostosowaniu do potrzeb wojskowych wprowadzić strój ten jako uniform wojskowy na Podhalu. (Szczegółowe omówienie tej rozprawy dał dr. J. G. Pawlikowski w poprzednim roczniku Wierchów). Niestrudzony badacz etnografji polskiej Seweryn Udziela ogłosił szkic p. t. *Pasy wieśniaków polskich używane w południowej części Małopolski i na Śląsku Cieszyńskim*. (Lud T. XXIV, s. 104—127). W studjum tem autor wymienił i opisał dokładnie zarówno pojedyncze pasy służące na Podhalu do opasywania spodni, jak podwójne pasy czyli trzasy góralskie, nazywane też czasem pasami bacowskiemi.

Życie pasterskie w Beskidach Magórskich opracował Włodzimierz Kubijowicz w „Pracach Komisji etnograficznej Polskiej Akademji Umiejętności“ nr. 2 (Kraków 1927, str. 63). Monografia ta rozpada się na cztery części i omawia życie pasterskie Żywiecczyzny, grupy babiogórskiej, Gorców i Beskidów sandeckich. Prócz form pasterskich opisał autor również inne formy czasowego osadnictwa, które albo rozwinęły się z życia pasterskiego i są jego szczątkowemi objawami, albo wiążą się z czasowym wypasem bydła, a więc są formami pokrewnemi. Wprawdzie autor zastrzega się, że zajmują one tylko problemy geograficzne, a kwestje etnograficzne omija, to jednak wiele tu szczegółów ważnych dla etnografa zwłaszcza w rozdziałach o budownictwie pasterskiem, oraz o gospodarce i formach własnościowych. Tekst uzupełniają tabele statystyczne, podające najważniejsze materiały do fizjografji i gospodarki szałaśniczej, oraz spis hal zamarych. Z dodanych ilustracyj możemy poznać architekturę szałaśniczą; na umieszczonych zaś przy końcu dwu mapach przedstawiono na podkładzie fizjograficznym cały materiał gospodarczy i ewolucję szałaśnictwa.

Z zakresu prawa zwyczajowego wartościową rozprawę dał K. Dobrowolski p. t. *Wróżda i pojednanie w sądownictwie pol-*

skich wsi beskidowych XVI i XVII w. Lwów 1924 (Studja nad historją prawa polskiego VIII, zes. 4); autor opisał nam archaiczne przepisy prawne w Sidzinie pod Babią Górą. W innej pracy p. t. *Ze studjów nad włościańskim testamentem w połudn. Małopolsce oa XVI do XVIII wieku*. (Sprawozdania Polsk. Akad. Umiejętności 1926, nr. 9, str. 13) zajmuje się K. Dobrowolski testamentami jako źródłem do historii kultury obyczajowo-gospodarczej, poczem na podstawie testamentów, tyjących się jednego rodu, przedstawia dzieje majątku włościańskiego na Podhalu w ciągu XVIII stulecia.

Wiele materiału podhalańskiego zawiera też szkic Stanisława Ciszewskiego p. t. *Niektóre ciężary chłopskie w średniowiecznej Polsce*, umieszczony wśród wielu innych równie bardzo cennych rozprawek, wydanych pod zbiorowym tytułem *Prace etnologiczne T. I*, Warszawa 1925, str. 219. Autor omówił podhalańskich sołtysów, utraw, dawanisko, słopki, płótno omiesne i pacześne, nowoc, zarebek, rogowe itd.

W dziedzinie kultury duchowej ogłosił ciekawą rozprawkę J. St. Bystron p. t. *Pieśń o zbójniku i jego żonie*. Kraków 1925 (Prace i materiały etnograficzne T. IV, cz. III). Wśród różnych warjantów tej pieśni wyodrębnia się bardzo charakterystycznie typ jej górski, karpacki, znany na szerokiej przestrzeni Karpat od Moraw po Bukowinę bez względu na język (teksty morawskie, słowackie, polskie i ruskie). Wedle autora powstała pieśń ta na obszarze połudn. karpackim i ztąd dopiero rozszerzyła się w kierunku północnym.

Nad muzyką podhalańską pracuje w dalszym ciągu prof. Adolf Chybiński i od czasu do czasu ogłasza fragmenty swych badań, jak np. w artykule p. t. *Muzyka górali tatrzańskich*. (Pamiętnik XI wielkopolskiego a II-go wszechpolskiego Zjazdu Kół śpiewaczych w Poznaniu 1924, str. 83—87). Autor wyjaśnił odrębność muzykalną Podhala oraz zwrócił uwagę na bogactwo gam i swoistą rytmikę melodij Podhala. W melodyce i wykonawczej manierze Podhalańsk tkwią jeszcze pierwiastki tego prymitywizmu stylistycznego, jaki na wielu innych ziemiach Polski zagał. W innym szkicu p. t. *O muzyce górali tatrzańskich*. (Muzyka 1926, str. 584—588) tłumaczy prof. Ch. ową pozornie „nieczystą“ intonację melodij podhalańskich, które posiadają wiele archaicznych cech, rażących jednostronnie nastawione ucho muzycznego „cepra“. W muzyce góralskiej, podobnie jak w narzecz, można znaleźć wiele cech staropolskich, ale obok tego niebrak pierwiastków

obcych, gdyż na Podhalu spotykają się wpływy polskie, ruskie i słowackie. Nie brak też podobieństw w melodjach bałkańskimi i rumuńskimi, które zaniesiły zapewne pasterze wołoscy w swych karpackich wędrowkach. Dziś w melodjach podhalańskich zwyciężył rdzennie polski pierwiastek, objawiający się przedewszystkiem w stosowaniu ustawicznem t. zw. lidyzmów i w rytmice. Wreszcie w rozprawce p. t. *O muzyce górali podhalańskich*. (Wydawn. Muz. Tatr. im. dra T. Chałubińskiego w Zakopanem Nr. 3, Zakopane 1927, str. 30), dał prof. Chybiński przegląd zapatrywań na muzykę podhalańską u pisarzy, jak S. Goszczyński, L. Zejszner, L. Pietruśiński, T. Chałubiński, St. Witkiewicz i Jarosław Iwaszkiewicz. Następnie dowiadujemy się ze szkicu prof. Ch., że melodie spisywali już swego czasu A. Janota i J. I. Paderewski, poczem dokładne badania nad tym problemem rozpoczął warszawski muzyk ś. p. Jan Kleczeński. Po dłuższej pauzie pracę zbieracką i badawczą prowadzili i prowadzą S. Udziela, J. Zborowski oraz Stanisław Mierczyński, który od rapsoda podhalańskiego Bartusia Obrochty nawet wycyzył się tajników góralskiej gry instrumentalnej. Dotąd ma tu jednak największe zasługi sam autor omawianej pracy. Można też mieć nadzieję, że prof. Chybiński obdarzy nas wyczerpującą pracą na temat muzyki podhalańskiej. Już na podstawie dotąd ogłoszonych fragmentów łatwo przypuścić, że studjum to zapowiada się rewelacyjnie i będzie wreszcie naukowem utrwaleniem ginących starych nut.

Adam Fischer.

Wyniki badań nad górną granicą lasu w Tatrach.

— Dzięki subwencji Polskiej Akad. Umiej. w Krakowie mogłem w latach 1923—1926 prowadzić badania nad górną granicą lasu w Tatrach. Wyniki badań podałem w obszernej pracy wydawanej obecnie przez Bibliotekę Kórnicką, której obszerne streszczenie ukazuje się w jednym z najbliższych numerów „Kosmosu”. Na łamach „Wierchów” chciałbym podać tylko najważniejsze uwagi dotyczące się osiągniętych rezultatów.

Problemem pracy nie było dociekanie przyczyn powstawania klimatycznej górnej granicy lasu wogóle, lecz rozwikłanie zawiłego nieraz spłotu czynników naturalnych i gospodarczych, wpływających na tak zmienny przebieg tej ważnej linii zasięgowej, a następnie określenie regularności jej przebiegu w całym pasmie Tatr.

Najwięcej czasu zajęło oczywiście zebra-

nie należytego materiału faktycznego, t. j. pomiarów wzniesienia górnej granicy lasu w całych Tatrach i odpowiednich spotrzeżeń na miejscu nad lasem, podłożem, stopniem zachowania się naturalnej górnej granicy lasu i t. p. Wielokrotnie, w ciągu opracowywania już materiału, okazywały się w nim luki, dla zapełnienia których trzeba było podejmować latem czy zimą dalekie wycieczki. Na tak znaczne przedłużanie się badań wpływały w wysokim stopniu i trudności terenowe. Dla poczynienia pewnych pomiarów trzeba było całe połacie Tatr zwiedzać po zupełnie bezdrożach, przedzierać się przez nieprzejrzone łąny kosówek (np. na Sławkowskim, na Klimie, na Gierlachu, na Basztach), przez morza piargów, przez dziewicze lasy pełne wykrotów i urwisk skalnych (szczególnie w Tatrach wapiennych), o których to trudnościach przeciętny turysta, a nawet tatarnik, podchodzący do swych ścian i grani ścieżkami — nie mają często wyobrażenia. Wreszcie szereg punktów na górnej granicy lasu mierzyłem kilkakrotnie, aby uzyskać szczególnie dokładne dane.

Przechodząc górną granicę lasu starałem się naprzód ocenić, na podstawie zachowanych resztek naturalnej klimatycznej granicy, na jakim wzniesieniu przebiegałaby ona w każdej połaci Tatr i w każdej ekspozycji i to zarówno na zboczach gór jak i na dnach dolin. Następnie badałem jak wysoko ona faktycznie dziś przebiega i jakie przyczyny spowodowały jej obniżenie.

Jedną z przyczyn, wpływających na znaczne jej obniżenie — to wpływ dolin. Zjawisko to zresztą jest dosyć łatwe do zauważenia. Na dnach dolin i żlebów górna granica lasu przebiega niżej, niż na zboczach, a to znowu na skutek głównie chłodniejszego klimatu dolin i regularnych nocami wpływających z górnych pięter dolin zimnych i suchych prądów powietrza, t. zw. lokalnych wiatrów dolinowych.

Inną przyczyną to wpływ różnych ekspozycji, w różnych częściach Tatr rozmaicie się uwidatniający. I tak w Tatrach Zach. i Bielskich najdogodniejszą dla życia lasu ekspozycją okazała się południowa i na niej też górna granica lasu przebiega najwyżej. Inaczej jest w Tatrach Wysokich, w których przeciwnie najlepszą okazała się ekspozycja północna. Trudno mi tu szerzej wdwadzać się w tłumaczenie tej rozmaitości wpływów różnych ekspozycji w różnych częściach Tatr, nadmienię tylko, że odgrywają przy tem rolę raz ciepłota, to znowu opady atmosferyczne.

Na przebieg górnej granicy lasu na zboczach odwieńtrznym, wpływa stopień nachylenia tych zboczy. Gdy stok jest łagodny wiatry przewalają się przez grzbiet, spływają po odwieńtrznym stoku, uderzają w las od czoła i obniżają przez to jego granicę. Gdy stok jest stromy, mogą zachodzić dwie możliwości:

a) Grzbiet ma stosunkowo nieznaczne wzniesienie. Skutkiem tego wiatry, przewalając się przez grzbiet, nie spływają zaraz po zboczu odwieńtrznym, lecz przeskakują jego górne partie i spadają na nie dopiero znacznie niżej.

b) Grzbiet ma znaczne wzniesienie. Wiatry przeskoczywszy górne ich partie spadają na nie w każdym razie jednak jeszcze powyżej górnej granicy lasu, którą następnie atakują i obniżają.

Odosobnione położenie góry powoduje obniżenie na niej górnej granicy lasu w porównaniu do granicy na sąsiednich wielkich masywach górskich. Przyczyny tego jak powiadamy „zjawiska wierzchołkowego“ są natury częściowo klimatycznej (np. narażenie samotnych wierzchołków na wiatry ze wszystkich stron, zwiększenie parowania drzew), a częściowo glebowej (silniejsze wysuszenie, wywiewanie i wymywanie gleby).

Wpływ czynników orograficznych (skał, piargów, lawin i t. p.) na obniżenie górnej granicy lasu jest rzeczą ogólnie znaną. Mniej znany w Tatrach był ujemny wpływ geologicznego podłoża na zasięg lasu. Wszędzie niemal w Tatrach, gdzie w okolicy górnej granicy lasu występuje piaskowiec permski, przebiega ona znacznie niżej. Na piaskowcu tym las nie może prawie nigdzie osiągnąć swych klimatycznych granic. Przyczyn tego szukać należy w jałowości tej skały, dającej bardzo skąpe i chude gleby, których świerk unika.

Bardzo ciekawym dla przyrodnika zjawiskiem jest obniżenie górnej granicy lasu na połudn. zboczach Tatr Wysokich na skutek walki z zbiorowisk, mianowicie zbiorowiska leśnego z silniej ponad niem rozwiniętym zbiorowiskiem kosówki.

Ujemny wpływ człowieka na przebieg klimatycznej górnej granicy lasu jest powszechnie znany i nie potrzebuje szerszych omówień.

Z powyższego widać, że w Tatrach, prócz odcinków górnej granicy lasu wytworzonej przez czynniki klimatyczne (granice klimatyczne), mamy odcinki granicy lasu wytworzone przez niekorzystne stosunki geologiczne (granice glebowe), dalej przez orografję

(granice orograficzne), przez walkę zbiorowisk (granice biologiczne) i przez człowieka (granice sztuczne).

Zanalizowawszy w ten sposób czynniki decydujące o przebiegu górnej granicy lasu i wydzieliwszy różne jej typy, przeszedłem do pracy syntetycznej, do wykrycia ogólnych reguł przebiegu tej linii zasięgowej. O najważniejszych z nich wspomnę tu pokrótce:

1. W miarę posuwania się ku środkowi Tatr od obu ich skrzydeł, górna granica lasu na zboczach się podnosi. W centrum Tatr Wysokich osiąga ona maksymalne wzniesienie 1600 m.

2. To samo odnosi się i do dolin, jednak zjawisko to wyśledzić można jedynie w dolinach południowych.

3. Dolinami północnymi las wchodzi głębiej w masyw górski niż dolinami południowymi.

Przy okazji badania górnej granicy lasu poczyniłem też szereg spostrzeżeń np. nad pokrojem górnej granicy lasu, nad pokrojem samego lasu u jego górnej granicy, nad strefą walki, nad posuwaniem się lasu wzwyz na terenie piaskowca permskiego, nad szczytkowymi lasami modrzewiowymi ponad górną granicą lasu świerkowego, nad lasami limbowymi, wreszcie nad stosunkami anemometrycznymi w Tatrach.

Marjan Sokołowski.

O kolorowym śniegu w Tatrach.

W związku z artykułem o czerwonym i żółtym śniegu, udzielonym uprzejmie „Wierchom“ przez prof. Rostafińskiego, podajemy tu wiadomość o rozprawie Stefana Györfy, prof. uniwersytetu w Szeged, pomieszczonej w „Acta Societatis botanicorum Poloniae“ za rok 1927 pod tytułem: „O znalezionym po północnej stronie Tatr Białskich w dolinie Kempy w r. 1926 śniegu zielonym“. Śnieg znajdował się w kotle skalnym, gdzie w wielkiej masie nagromadziły go lawiny. Powierzchnia pola śnieżnego, nieco wklęsła, była po brzegach czarna od wielu mikroorganizmów. Plamy zielone miały dość znaczną szerokość, 47 i 65 cm. Na końcu pola śnieżnego widać było uwarstwienie, przyczem występowały warstwy zielone naprzemian z niezabarwionymi. Zabarwienie powoduje mała alga, która w laboratorium prof. Györfy poddana została badaniu przez p. Elżbietę Kol i oznaczona jako nowy gatunek *Ankistrodermus Tatrae* Kol. Z przeprowadzonej przez prof. Györfy korespondencji wynika, że śnieg zielony jest zarówno w Alpach jak i w Skandynawji wielką rzadkością, jakkolwiek w po-

śród alg czerwonego śniegu znajdują się niejednokrotnie odosobnione zielone komórki *Ankistrodermus nivalis* lub *Stichoicus nivalis*.

Rozprawa prof. Györfy jest jeszcze z tego względu interesująca, że autor zestawia wszystkie poczynione dotąd spostrzeżenia dotyczące śniegów kolorowych w Tatrach. Wynika z tego, że pierwszym, który zauważył śnieg czerwony, był Jakób Buchholz, w dolinie Mięguszwieckiej w roku 1752. Przypisuje on to zabarwienie naniesieniu pyłu ze skał, które zawierają cynober. Po nim śnieg czerwony obserwowali Czirbesz 1792 (Zmarzły staw w Świstowej dolinie), T. Chałubiński 1876 i 1877 (Pusta dolina), J. Rostański 1880. Rostański pierwszy oznaczył organizmy powodujące zabarwienie. Później obserwowali śnieg czerwony: A. Prösz między 1911 a 1914 (na Widłach i Polskim Grzebieniu), bracia Sokołowscy 1923 i 1924 trzykrotnie w Czeskiej Dolinie i na Rysach.

Śnieg czarny miał być obserwowany tylko

trzy razy (?), żółty raz przez prof. Rostańskiego, zielony miał widzieć przed prof. Györfym jeszcze w r. 1772 Czirbesz w dolinie Warzeckiej na stawie; tenże miał również jakoby widzieć śnieg niebieski na Zmarzłym Stawie w dolinie Świstowej. Niewątpliwie spostrzeżeń takich zrobiono więcej, które jednak nie zostały zanotowane, — byłoby pożądanem, aby turyści zapisywali takie spostrzeżenia i zapiski te składali do rąk kustosza w Muzeum Tatrzańskim, podając dokładnie miejsce i czas obserwacji.

Dodamy, że rozprawę swoją dedykując prof. Györfy pamięci prof. Tytusa Chałubińskiego w czterdziestoletnią rocznicę ukazania się jego dzieła o mchach tatrzańskich, przyczem we wdzięcznej pamięci zapisuje szczegół nie każdemu znany, że w czasie powstania węgierskiego w r. 1848—9 Chałubiński pełnił jako ochotnik służbę lekarską przy wojskach powstańczych.

OCHRONA PRZYRODY.

Państwowa Rada Ochrony Przyrody w roku 1926—1927. — Najważniejszemi sprawami, zaprzętającemi Radę w ubiegłym roku, była organizacja Ligi Ochrony Przyrody i opracowanie projektu ustawy o Parku Narodowym Tatrzańskim. Na Zjeździe Rady 9. I. 1927 w Warszawie uchwalono założenie Ligi. Wybrany Komitet zajął się ułożeniem odezwy i opracowaniem projektu Statutu, który w lecie b. r. ukazał się już w druku. Członkami Ligi będą mogły być stowarzyszenia rozmaitego rodzaju lub osoby fizyczne; Liga inicjować będzie nadto tworzenie osobnych stowarzyszeń, specjalnie ochronie przyrody poświęconych, jako swych Oddziałów. Na odezwy Komitetu zgłosiły swój akces już liczne stowarzyszenia. Zgromadzenie konstytuujące ma się odbyć z początkiem 1928 r.

Opracowany przez PROP. projekt ustawy o Parku Narodowym Tatrzańskim został omówiony na zwołanem przez przewodniczącego Rady zebraniu najwybitniejszych prawników, poczem jego ostateczne opracowanie przyjęła Państwowa Komisja Kodyfikacyjna. Przez nią opracowany projekt przyjdzie jeszcze raz — mamy nadzieję w najbliższym czasie — pod obrady PROP. i zostanie wniesiony do Rządu.

Ograniczyć się do przedstawienia ważniejszych czynności PROP. i spraw z ochroną przyrody związanych na terenach górskich. Ważnem jest dla ochrony lasów tudzież w szczególności dla ochrony koso-

drzewiny rozporządzenie Prezydenta Rzplitej z 24 czerwca 1927 r. o zagospodarowaniu lasów niestanowiących własności państwa. Postulaty PROP. wypowiedziane wielokrotnie, zostały tu w znacznej mierze uwzględnione. Rada opinowała również z punktu widzenia ochrony przyrody rządowy projekt ustawy łowieckiej.

Pomyślnie załatwiono ostatecznie sprawę zaniechania strzelania ćwiczebnego w Tatrach. D. O. K. Nr. V. pismem z dnia 2. VIII. 1927 L. 17065/Wyszk. wydało dowódca 21 dywizji piechoty górskiej rozkaz, którym zabroniło na obszarze Tatr ćwiczeń połączonych ze strzelaniem.

P. R. O. P. wydała przychylną opinię o projekcie kolejki elektrycznej na Gubałówkę koło Zakopanego, wychodząc z założenia, że taka kolejka nie popsuje krajobrazu okolicy zamieszkałej, a przyczyni się do rozwoju Zakopanego.

Sprzeciwiła się natomiast Rada projektowi Ligi Morskiej i Rzecznej (Oddział w Zakopanem) wprowadzenia żaglowców na wielkim Stawie w dolinie Pięciu Stawów w Tatrach i łodzi motorowej na Morskim Oku. Na urządzenie w lecie b. r. wysługu samochoodowego na szosie do Morskiego Oka wyraziła Rada swą zgodę, zastrzegając sobie jednak niezwłoczne usunięcie wszelkich urządzeń związanych z wysługami, którego to warunku Krakowski Klub Automobilyowy z całą lojalnością dopełnił.

W sprawie kamieniołomu „pod Capkami“ w Tatrach Rada stara się uzgodnić interesy gospodarce Zakopanego i Fundacji Kórnickiej z interesami ochrony Tatr.

Ze stron miłośników Tatr i Zakopanego podniosły się głosy obawy, że przy postępującej coraz bardziej rozbudowie Zakopanego w stronę Kuźnic wycięty zostanie las, rosnący po obu stronach gościńca, przez co odsłoni się widok na oszpecone kamieniołomem zbocza Krokwi. W tej ważnej dla przyszłości Zakopanego sprawie zarząd dóbr Zakopane w porozumieniu z P. R. O. P. postanowił, że wspomniany las nigdy nie będzie wycięty ani przesadzany.

Fundacja Kórnicka zamierza zbudować w przyszłości schronisko w Dol. Kościeliskiej zamiast starego, które, jako rażące swym wyglądem, zostało rozebrane. Sprawa ta na razie jednak nie jest aktualną, a rysunek podany w Nr. 7, 1927 r. „Światowida“, jako rzekomy projekt tego schroniska nie był w istocie projektem oficjalnym Fundacji, który będzie opracowany w porozumieniu z P. R. O. P.

Fundacja Kórnicka ustanowiła w swych dobrach tatrzańskich inspektora ochrony przyrody, który ma powierzone głównie sprawy łowiectwa, rybołówstwa, pasterstwa i ochrony przyrody wogóle. Na stanowisko to powołała Fundacja znanego zoologa p. Janusza Domaniewskiego. Mając do dyspozycji płatną straż będzie mógł przystąpić wreszcie do skutecznej walki z kłusownictwem, tą najgorszą dziś bolączką. W ten też sposób sprawa ochrony przyrody Tatr wchodzi i pod tym względem na tory konkretnych poczyni.

Jak ub. roku, tak i teraz interweniowała P. R. O. P. w Starostwie Nowotarskim w sprawie zakazu niszczenia roślinności górskiej i zwierząt. Ze swej strony rozwiesiła plakaty propagandowe po ulicach, schroniskach i hotelach. Z jej inicjatywy Zarząd Fundacji Kórnickiej poumieszczał u wylotów dolin reglowych tablice zakazujące niszczenia limb ciśw i szarotek.

Umocowano skutecznie w r. 1926 morenę przy Morskiem Oku, przy czynnym współudziale nadleśniczego Fundacji Kórnickiej p. Liberaka. W roku ostatnim dokończenie tych robót umyślnie przerwano, aby tymczasem nastąpiło silne zadarnienie.

Z inicjatywy Sekcji Ochrony Tatr P. T. T. wypracowany został projekt sposobu usuwania śmieci z otoczenia schronisk, tudzież zaopatrywania schronisk w opał bez naruszenia leżących w pobliżu lasów,

a zwłaszcza kosówki. Projekt ten przedłożony został Zarządowi głównemu P. T. T.

P. R. O. P. sprzeciwiła się projektowi pomieszczenia tablicy pamiątkowej Adama Asnyka na „jednej ze skał“ przy Morskiem Oku, wychodząc z założenia, że takie tablice, pomniki i napisy z zasady są niedopuszczalne, gdyż inaczej zgłaszałyby się coraz nowe projekty podobne, a mnogość takich tablic i t. p. uwłaczałyby charakterowi przyrody pierwotnej. Brak zrozumienia dla spraw ochrony przyrody wywołał całkiem niepotrzebne odgłosy w niektórych organach prasy, ostatecznie jednak postanowiono tablicę umieścić na schronisku na Hali Gąsienicowej. Naznaczony w tym celu obchód w roku bieżącym jednak z niewiadomych przyczyn nie odbył się. Analogicznym wypadkiem było odmówienie aprobaty ze strony Sekcji O. T. umieszczenia tablicy pamiątkowej dla turysty, który zabił się na Małym Koniu.

Najwięcej kłopotu miała P. R. O. P. i P. T. T. z projektami coraz to nowych schronisk i mleczarni w Tatrach. Zwłaszcza niebezpiecznymi były projekty dalszych schronisk na Hali Gąsienicowej, tudzież schronisko budowane na Karczmisku.

Pomimo interwencji Starostwa, zakazu dalszej budowy i ukarania wójta, który bezprawnie dał licencję, schronisko to dotąd nie zostało rozebrane, a sprawa toczyć się będzie w dalszym ciągu. Przy Morskiem Oku zostało zamknięte stare schronisko Burego. Na drodze do Morskiego Oka zakusy budowy jakiegoś schroniska czy mleczarni również spotkały się z interwencją P. R. O. P. — ale dotąd bez ostatecznego rezultatu...

Do P. R. O. P. odniosły się były Oddział Małopolskiego Tow. Rolniczego w Krakowie tudzież Krajowy Patronat Spółdzielni Rolniczych we Lwowie o zaaprobowanie projektów wzorowych serowni w dol. Strażyskiej i na hali Tomanowej. Rada ze względu na realny interes gospodarczy tych przedsięwzięć i z uwagi, że gospodarka w tych serowniach zapowiadała zmniejszenie liczby owiec i zaoszczędzenie lasów do hal przyległych czyli t. zw. cerkii, udzieliła swej aprobaty, zastrzegając pewne warunki co do zewnętrznego wyglądu budynków.

Na terenie Tatr działalność P. R. O. P. wspierała Sekcja Ochrony Tatr P. T. T. Tatrzańskie, stanowiąc jako delegat Rady łącznik między nim a Tow. Tatrzańskim.

Odnośnie do rezerwatu czarnohorskiego Rada wystąpiła do Min. Rolnictwa

z projektem powiększenia go do 1000 ha powierzchni. Prócz tego za inicjatywą Rady podjęła Delegacja Polska przy Międzynarodowej Komisji Delimitacyjnej Polsko-Czechosłowackiej kroki celem utworzenia rezerwatu na stokach Pietrosa w grupie Hoverli, gdzie występują nader interesujące ze stanowiska naukowego skałki.

M. Sokołowski
sekretarz P. R. O. P.

Niszczzenie Tatr Południowych.

Jakkolwiek od kilku lat wiele pisze się i mówi o zamiarze stworzenia z całych Tatr wspólnego obu państwom „parku natury“, trzeba otwarcie stwierdzić, że hasło to nie znajduje po drugiej stronie granicy pełnego zrozumienia, pełnego oddźwięku, co więcej, właśnie w ostatnich czasach jesteśmy świadkami mnożenia się po południowej stronie Tatr nie dających się zabiżnić ran, zadawanych pierwotnemu ich krajobrazowi, mnożeniu się niebezpieczeństw, zagrażających pustynnemu ich charakterowi. Z ran wspomnianych na pierwszym miejscu wymienić należy dewastację lasów, prowadzoną zwłaszcza w dobrach ks. Hohenlohego i wyszukującą chytrze gazdostwo wiatru halnego czy niebezpieczeństwo kornika. Dość przypomnieć niżnią część Doliny Białej Wody, gdzie ubocze olbrzymiego gniazda Szerokiej Jaworzyńskiej świecą goliżną potwornych rąbanisk, albo Dolinę Jaworową, gdzie na miejscu wspaniałego pierwoboru rozciągnęła się daleka, nieznaczona dotąd na mapach, polana. Największe jednak spustoszenie szczytów „kupiecka siekiera“ we wnętrzu Tatr Bielskich. Cały szereg dolin tej niedocenionej dotąd w swoim pięknie grupy tatrzańskiejskiej ogołocony został z lasów, tworzących jedną z głównych jej kras, a specjalnie dla celów eksploatacji zbudowana kolej linowa bez przerwy przesyła w dal tysiące i tysiące wiekowych kłód świerkowych i jodłowych. Jeżeli zniszczenie pójdzie dalej tamsamem tempem, doliny Tatr Bielskich przemienią się rychło w jary na obraz i podobieństwo Doliny Jaworzynki.

Innego rodzaju niebezpieczeństwa zawisły nad Tatrami ze strony towarzystw turystycznych, które — niepomnie wytycznych, uchwalonych już przez zjazdy delegatów obu państw — dążą do coraz dalszego uprzystępnienia Tatr, do coraz większego wygodnienia pobytu wśród nich.

Już w II swym roczniku omówiły „Wierchy“ zrodzoną w Westerowie pomyśl zbudowania kolei linowej na Gierlach i wznie-

sienia na jego skałach szczytowych obserwatorium wraz ze schroniskiem. Projekt ten, na kilka lat pogrzebany w czeskosłowackich ministerstwach i dzięki temu niemal już zapomniany, wypłynął na nowo w lecie 1927 r., wskutek inicjatywy Towarzystwa Karpackiego w Kiezmarku, które — otrzymawszy od rządu oświadczenie, iż nie jest on w owym przedsięwzięciu bezpośrednio zainteresowany — zdołało pozyskać dla planu nie tylko „ideowych“ zwolenników, lecz również — gotowe do realizacji planu — sfery finansowe. Na szczęście, dzięki wczesnej przeciwdziałaniu polskich kół turystycznych i poparciom ich ze strony Asocjacji Słowiańskich Towarzystw Turystycznych — niebezpieczeństwo odrutowania ścian „Króla Tatr“ siecią kabli oraz „przyozdobienia“ jego sędziwego czoła dwupiętrową budowlą z hotelem i wyszynkiem zostało — czy na zawsze? — uchylone, twórcą bowiem projektu, dr. M. Guhr zdecydował się, pod naciskiem opinii turystycznej, od planu swego odstąpić.

W łonie tego samego Towarzystwa Karpackiego i w tym samym 1927 r., powstała myśl przedłużenia „Drogi Turystowskiej“ od Szczyrbskiego Jeziora do Pod Bańskiej, a ztąd poprowadzenia jej Doliną Cichą i Tomanową ku Tomanowej Przełęczy, na której złączyłby się z nią gościniec z polskiej strony Doliną Kościeliską zdążający. Pomyśl takiej okolnej szosy datuje się jeszcze z przed lat kilkunastu, z czasów smutnej pamięci monarchji austriacko-węgierskiej. Wskreszenie tego pomysłu nie przynosi bynajmniej zaszczytu Tow. Karpackiemu, jesteśmy jednak przekonani, że życie przejdzie nad nim tak samo do porządku dziennego, jak przeszło nad nieboszczką Austrią.

Zwiększona ostatnimi laty, po południowej stronie Tatr, frekwencja turystyczna nasunęła towarzystwom górskim liczne pomysły w kierunku pomnożenia i powiększenia schronisk tatrzańskich. Jak wiadomo, w r. 1926 rozbudowane zostały — bez oglądania się na postulat szarmonizowania z otoczeniem — schroniska nad Zielonym Stawem Kiezmarkim i nad Popradzkim Jeziorem. Obecnie Oddział Klubu czeskosłowackich Turystów w Nowej Wsi Spiskiej przystąpić ma do rozszerzenia na wielką skałę; kosztem 70.000 koron czeskich, schroniska w Dolinie Koprowej, u stóp Doliny Niewcyrki. Nie dosyć na tem. Ten sam czeskosłowacki klub wpadł na genialną myśl wzniesienia na Przełęczy Wadze (2343) — przez którą wiedzie tak udeptany szlak na Rysy od południowej strony — dużego schroniska, otwartego w porze

letniej i zimowej! Funduszu na budowę dostarczyć ma sam klub, rąk do pracy — wojsko (oczywiście „ze względów strategicznych“).

Jak widać, dla sterników idei ochrony przyrody w Tatrach pola do działania nie zbraknie.

M. S.

Sprawa tablicy Asnyka w Tatrach.

Sprawa ta narobiła dużo niepotrzebnego hałasu. Oto w Warszawie zawiązał się Komitet, który postanowił uczcić pamięć Adama Asnyka tablicą pamiątkową „na jednej ze skał przy Morskiem Oku“. Znaleźli się jednak w Komitecie tacy, którzy zwrócili uwagę na to, że należy uzyskać zgodę państwowego organu ochrony przyrody. Odniesiono się tedy do przewodniczącego Państwowej Rady Ochrony Przyrody, jako Delegata Ministra WR i OP. dla spraw ochrony przyrody i ten, poparty jednogłośnie uchwałą Komitetu wykonawczego Rady, aprobaty odmówił. Ztąd hałas. Przyszło jednak ostatecznie do porozumienia z Komitetem przy pomocy Oddziału warszawskiego P. T. T., który zaproponował wmurowanie tablicy w ścianę swego schroniska na Hali Gąsienicowej i nazwanie schroniska imieniem Adama Asnyka. Sprawa zatem skończona. Ale ponieważ podobne sprawy mogą się chronicznie powtarzać, a opinia publiczna w tym względzie nie jest jeszcze należycie wyrobiona, przeto nie od rzeczy będzie powtórzyć tu argumenty, z którymi w obronie stanowiska P. Rady Ochrony Przyrody wystąpił jeden z jej członków, prof. Jan Gwałbert Pawlikowski („Słowo Polskie“ z dnia 17-go kwietnia 1927).

Prof. P. stwierdza przedewszystkiem, że nie może być mowy o jakiejś niechęci wobec pamięci Asnyka, i przytacza własne wspomnienia o Asnyku, który był przyjacielem jego ojca Mieczysława i jeden ze swych najpiękniejszych tatrzańskich poematów właśnie Mieczysławowi Pawlikowskiemu dedykował. Argumenty przeciwko tablicy są czysto rzeczowe, zwracają się one przeciw każdej podobnej tablicy w Tatrach, a są one następujące:

„Zasadą podstawową ochrony przyrody, o ile chodzi o przyrodę pierwotną (bo inne są zasady względem przyrody zakulturowanej przez człowieka) — jest utrzymać jej charakter pierwotny, bez wnoszenia w nią elementów jej obcych. Różne są granice ścisłości stosowania tej zasady — ale bezwzględnie stosowaną ona być musi na terytorjach uznanych za rezerwaty, czyli „parki natury“. Ta zasada obowiązuje tedy np. w amerykańskim

Yellowstone-parku, w parkach narodowych Szwecji, w narodowym parku szwajcarskim Val Clouza, i wogóle wszędzie, gdzie idea parku natury jest wprowadzona w życie.

Nad nadaniem Tatrom charakteru takiego parku natury pracuje od lat kilku, jak wiadomo (a może nie wszystkim wiadomo), — w przyjacielskiem porozumieniu Polska i Czechosłowacja.

Już w roku 1924 strona polska przedstawiła na kilkudniowej konferencji odbytej z reprezentantami rządu czechosłowackiego projekt ustawy parkowej w tym celu, aby uzgodnić zasady obustronnych ustaw państw współdziałających. W tym projekcie znajduje się też między innymi zakaz umieszczania tablic pamiątkowych, pomników itp. monumentów. Druga strona i tę zasadę między innymi akceptowała. Zwołana w roku zeszłym przez pol. Akademię Nauk konferencja uczonych polskich i czechosłowackich, jakkolwiek nie wchodziła w takie szczegóły, ogólnie jednak stała na stanowisku wspomnianego projektu polskiego. — Samo to już chyba obowiązuje.

Ale czy potrzebne jest takie postanowienie w projekcie ustawy? Cóż może szkodzić taka jedna tablica?! Zapewne — jedną możnaby tolerować, ale dopuszczenie jednej, znaczy dopuszczenie stu — i niewiadomej dalszej ilości innych. Oto tak od pierwszego rzutu, bez szczegółowego wyszukiwania, które dałoby ich co najmniej trzy razy tyle — szereg nazwisk, którymi nie można odmówić tablicy pamiątkowej w Tatrach, gdyby się w zasadzie takie tablice dopuściło. A więc z poetów: Goszczyński, Pol, Tetmajer, Kasprowicz, Fr. Nowicki; z uczonych (gdymy już pominąć obcych jak Wahlenberg lub Uhlig): Staszic, Zejszner, Raciborski, Berdan, Kotula, Zapałowicz, Krupa, M. Nowicki, Janota, Kulczyński, Romer, Balzer (jako obrońca Morskiego Oka), Potkański etc. etc.; z zasłużonych na innem polu: W. Eljasz (autor pierwszego przewodnika); Pławicki (inicjator Tow. Tatrzańskiego), Janusz Chmielowski i Mieczysław Świerż (autorowie najlepszego przewodnika), M. Zaruski (założyciel Pogotowia ratunkowego), ks. Stolarczyk, Chałubiński, Witkiewicz, Zamojski; — artyści malarze choćby tylko Gerson i Kotsis, a oczywiście i są i będzie ich więcej i t. d. i t. d. Moznaby powiedzieć, że dorosłych do postaci Asnyka jest tu tylko niewielu. I tych „niewielu“ wystarczy, aby gruntownie udekorować nasze szczyplutkie Tatry tablicami pamiątkowymi.

Ale wcale tak niewielu tych „pretendentów“ nie jest. I w obronie „maluczkich“ da się po-

wiedzieć tyle, że nie podobnaby im odmówić tego zaszczytu. Owszem, oni poniekąd mieliby pierwszeństwo. Bo Asnyk czy będzie miał tablicę lub nie, zostanie Asnykiem, ale kto będzie wiedział np. o tym skromnym botaniku Krupie, który wyczerpany chorobą, w nędzy niemal, z miłości dla nauki i Tatr bada florę tatrzańską i resztką sił zbierane zielniki oddaje na użytek nauki polskiej? Czy nie jemu przedewszystkiem należy się znak pamięci w Tatrach? I za każdym z wymienionych coś przemówi. Dość, aby się znalazł inicjator i obrońca. A gdzież jest trybunał, który będzie rozsądzał, kto gozdzien a kto niegozdzien? Jeśli przełamiemy zasadę, niema granic i końca. Tatry będą wyglądać jak ogród botaniczny ze swemi tabliczkami. Nie dość na tem.

Dzisiaj między nami a Czechami jest emulacja, aby doskonalej wykonać postulaty ochrony przyrody, przyjęte dla parków narodowych. Z chwilą, gdy dopuścimy monumenta i tablice, powstanie nowa emulacja: kto będzie ich miał więcej, bądź dlatego, aby wykazać się ilością zasłużonych, bądź dla nadania okolicy cechy narodowej. A przy tej niedorzecznej konkurencji ospa tablicowa oszpeci całe Tatry. Wreszcie — gdzież są ludzie tak twardego serca, aby odmówili wiernym towarzyszom, kochającej żonie, lub zropaczonym rodzicom prawa do umieszczenia tablicy pamiątkowej w miejscu śmierci towarzysza, męża lub syna? Jeśli zasadniczo dopuści się tablice, to i na takie trzeba się będzie zgodzić.

Przed rokiem niemiecki Beskidenverein przysłał sekcji turystycznej Tow. Tatr. w Zakopanem piękną metalową tablicę — n. b. z wielkim taktem opatrzoną polskim napisem — z prośbą o umieszczenie jej na skale, gdzie zabił się członek tego Towarzystwa. Sekcja odmówiła, motywując, że zasadniczo tablic się nie dopuszcza. A skoro przełamiemy zasadę, oczywiście trzeba by chyba napisać do Beskidenvereinu z zawiadomieniem, że wobec zmienionych zasad (w Polsce to tak!) umieści się i tę tablicę i wszelkie ewentualnie następne. Bo — jak powiedziałem — niema trybunału, któryby w takim razie orzekał o kwalifikacjach, a gdyby był, to chyba na to, aby wikłać się w ustawicznych wątpliwościach i narażać na ciągłe zarzuty.

Takie są tedy powody stanowiska P. Rady Ochrony Przyrody i Tow. Tatrzańkiego. W moich oczach są one zupełnie chyba dostateczne.

Nowa ustawa lasowa. — Rozporządzenie Prezydenta Rzeczy z 24 czerwca 1927

roku: „O zagospodarowaniu lasów niestanowiących własności państwa“, zawiera niektóre postanowienia ważne ze względu na ochronę lasów górskich tudzież kosodrzewiny.

1. Ochrona kosodrzewiny opierała się dotąd na ustawie krajowej z dn. 15 czerwca 1904 r. nr. 93 dz. u. kr. „O niektórych zarządzeniach policyjno-leśnych i wodnych“. Wedle tej ustawy każdy zamierzony zupełny wyrąb kosodrzewiny musiał być zgłoszony do politycznej władzy powiatowej, która rozstrzygała czy wyrąb ma być dozwolony względnie pod jakimi warunkami i w jakich rozmiarach (§ 8 z powołaniem się na § 2 i 4). Wypalanie kosodrzewiny było zakazane (§ 8). Pewne niejasności redakcyjne udaremniały częściowo skuteczne zastosowanie ustawy. W szczególności niejasnym było, co znaczy „zupełny wyrąb“, a dalej nie było mowy o ogałaniu kosodrzewiny z gałęzi i szpilek. Obecne Rozporządzenie z 24 czerwca znosi wszystkie te postanowienia, a ochronie kosodrzewiny poświęca art. 15, który brzmi jak następuje: „Wypalanie kosodrzewiny jak również pozbawianie jej gałęzi, pędów, pączków i igieł jest wzbronione“. Przekraczanie tych przepisów karane jest w myśl art. 39 grzywną 10 zł. za każdy ar, lub aresztem do 4 tygodni. Nowością jest tu tedy zakaz pozbawiania kosodrzewiny gałęzi, pędów, pączków i igieł. Natomiast nie jest dostatecznie jasnym, czy ciecie i karczowanie jest dozwolone czy nie. Rozporządzenie bowiem nie daje definicji „przeźrzeni leśnej“, a o ile tę definicję z dawnych ustaw (tylko częściowo zniesionych) przyjąć należy, to kosodrzewina pod pojęcie lasu nie podpada. Przeźrzenia leśną jest zaś przeźrzenia jako taka w katastrze podatku gruntowego zapisana; gdy więc przeźrzenie porośnięte kosodrzewiną nie są jako las zapisane, wy-daje się wątpliwem czy przepisy Rozporządzenia regulujące gospodarkę leśną, stosują się też do kosodrzewiny. Jeśli nie, to Rozporządzenie to, o ile idzie o ochronę kosodrzewiny, jest cofnięciem się wstecz. W rozdziale „o lasach ochronnych“ przepisy ochronne odnoszą się wprawdzie do „lasów i zarośli“, a kosodrzewina mogłaby podpadać pod pojęcie zarośli, jednakowoż termin ten niema zdecydowanej treści prawnej i należy się obawiać chwiejnej praktyki. W każdym razie, gdy dotąd każden „zupełny“ wyrąb kosodrzewiny ipso iure był zakazany i wymagał osobnego pozwolenia, obecnie byłby wzbroniony dopiero wtedy, gdy na danym terenie „zarośla“ kosodrzewiny uznane zo-

staną przez specjalne orzeczenie władzy za las ochronny.

2. Lasy ochronne. Art. 19: „Lasy i zarośla, które:

a) zabezpieczają grunty przed zmywaniem i wyjąłowieniem, powstrzymują usuwanie się ziemi lub kamieni, przeszkadzają tworzeniu się dzikich potoków, obrywaniu się skał i spadkowi lawin;

b) chronią brzegi wód przed obrywaniem się a źródła przed zasypywaniem;

c) przeszkadzają powstawaniu albo rozszerzaniu się piasków lotnych lub parowów;

d) mają specjalne znaczenie dla obrony Państwa;

e) mają znaczenie przyrodniczo-naukowe: mogą być uznane przez właściwą władzę za lasy ochronne.

Art. 20 mówi o tem, kto ma prawo czynić wnioski o uznanie lasu za ochronny. Ustęp c tego artykułu brzmi: „w stosunku do lasów i zarośli, określonych w pkt. e art. 19, na wniosek właściwej władzy, którą określi Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego“. Z czego wynika, że uprawnionym do wniosku jest w tym wypadku Delegat Ministra W. R. i O. P. dla spraw ochrony przyrody.

Art. 21 ust. 1, 2 i 4: „W lasach, uznanych za ochronne uprawa leśna nie może być zmieniona na inny rodzaj użytkowania. — W lasach, uznanych za ochronne, z powodów wymienionych w pkt. a, b, c i e art. 19, właściwa władza może zabronić dokonania wyrębu zrębami czystymi, karczowania pni i korzeni, a także pasania inwentarza i zbierania ściółki lub innego użytkowania ubocznego. — Termin sztucznego zalesiania, przewidziany w art. 6 niniejszego Rozporządzenia, w stosunku do lasów ochronnych właściwa władza może skrócić do jednego roku“.

Art. 23: „Lasy, uznane za ochronne z powodów wymienionych w pkt. a, b, c i e art. 19 niniejszego Rozporządzenia, wolne są od państwowych podatków gruntowych“.

Art. 43: „Winni bezprawnego cięcia drzew w lasach ochronnych, a także bezprawnego karczowania drzew, pni i korzeni w lasach uznanych za ochronne z powodów wymienionych w pkt. a, b, c i e art. 19 niniejszego Rozporządzenia, będą karani grzywną w wysokości od czterokrotnej do ośmiokrotnej wartości ściętych lub wykarczowanych drzew, pni i korzeni, lub aresztem do 6 tygodni.

Art. 46: „Winni pasienia inwentarza, zbierania ściółki lub innego użytkowania ubocznego wbrew zakazowi właściwej władzy w lasach uznanych za ochronne z powodów

wymienionych w pkt. a, b, c i e art. 19 niniejszego rozporządzenia, będą karani grzywną do 100 złotych, lub aresztem do 3 tygodni“.

W określeniu wypadków, w których las może być uznany za ochronny (art. 19), chwalebna nowością jest punkt e („znaczenie przyrodniczo-naukowe“). W punkcie a tego artykułu jest jednak dotkliwa luka: za ochronne winny być uważane także lasy na górnej granicy lasów rosnące, bez względu na wszelkie inne warunki, a to dlatego, że ich odnowienie jest albo problematyczne albo wprost niemożliwe.

J. G. Pawlikowski.



Na wieczną rzecz pamiętkę umieszczamy zdjęcie fotograficzne z barbarzyńskiego wybryku, oszpecającego jedną z najpiękniejszych limb koło Morskiego Oka. Staraniem Sekcji Ochrony Tatr rany drzewa zostały napowrót pokryte korą, cięcia jednak są tak głębokie, że drzewo będzie zapewne chorzeć. Autorów liter, które miały upamiętnić nieśmiertelny czyn przybycia do Morskiego Oka, nie chcemy odślaniać. Stwierdzamy tylko, że litery te są inicjałami pewnego klubu piłki nożnej.

Ankieta w sprawie kolei górskich. — Walka, która w ostatnich latach rozgorzała około problemu kolei wysokogórskich, spowodowała redakcję monachijskiej

„Deutsche Alpenzeitung“ do rozpisania na ten temat ankiety wśród niemiecko-austriackich kół alpinistycznych. Odpowiedzi, jakie w tej sprawie licznie napłynęły, oświetlają ją z różnorodnych stanowisk, zaznaczając jednak należy, że wszyscy niemal najwybitniejsi alpinisci, którzy głos w ankiecie zabrali, wypowiadają się zdecydowanie przeciw owej inwazji torów, szyn i kabli w pustynną głąbię Alp. Oto kilka z wypowiedzeń, zamieszczonych w 5-tym zeszycie wymienionego czasopisma z r. 1927:

Karol Blodig: „Pozdrawiam myśl kolei linowej na Flexensattel koło Zürs, połączenie bowiem Langen w Arulanji z tym ważnym ośrodkiem turystycznym bywa często całymi dniami wskutek lawin przerwane. Godzę się na budowę wyciągu na Pfänder, ponieważ dzięki niemu setki i tysiące osób w podeszłym wieku raz także mogą pić z puhara radości górskiej, z którego my, alpinisci, zaczerpnęliśmy tyle głębokich, pełnych haustów. Ale wyteżę wszystkie siły, aby np. walczyć przeciw budowie kolei szczytowej na Schezaplana i nie lękałbym się, po dojrzałej rozwadze, z głęboką świadomością linii mego postępowania, pomagać w zniszczeniu takiego partactwa. Tu stoję, nie mogę inaczej, tak mi Panie Boże dopomóż. Amen“.

Ernest Enzensperger: Koleje górskie wyrastają z ziemi jakby grzyby: w praktyce przeto spór o nie rozstrzygnął się na ich korzyść. W takim stanie rzeczy prowadzenie dalszego zasadniczego oporu, który wiódł i wieść musiał alpinista, wzrosły w cichych czasach początków turystyki i gór dziewiczych — byłoby walką z wiatrakami.

Cóż może zrobić potężna armia turystów? Wyrzekłszy się kilku, mniej znaczących gór — w tem zaciętszym i jednozgodnym oporze ratować pierwotny charakter gór wysokich, zawierając z zwolennikami kolei górskich i ich możnymi poplecznikami, prostą i jasną ugodę. Należy wpoić przekonanie, że interesom gospodarczym i trosce o słabych przeciwwstawiają się conajmniej równorzędne wielkości i wartości. Jako kierownikowi alpejskiego ruchu młodzieży, przyświeca mi tutaj specjalna myśl przewodnia, posiadająca znaczenie narodowe: Jest nieszczęściem narodu, gdy w podboju kulturalnym posunie się tak daleko, że zatraci dla swej młodzieży pierwotność przyrody i jej wychowawcze wartości; szczęśliwy ten kraj, któremu ocalało uzdrawiające źródło cielesnego, umysłowego i duchowego szkolenia“...

Eugenjusz G. Lammer: „Pustynia

alpejska jest bezcennym pomnikiem natury na ziemi, rzekłbyś fragmentem epoki lodowej pośrodku ujarzmionego przez użytkowość ludzką, zbanalizowanego, „ukulturnionego“ pejzażu. My, współcześni, mamy obowiązek przechować późniejszym pokoleniom ów zawierzony nam skarb niezbezczeszczonym żadną partanią ludzką. Dla rzeczywistych pustaci, t. j. dla obszaru powyżej strefy hal, żądamy najskrajniejszej prawnej ochrony przyrody: O ile koleje lub drogi itp., doprowadzają tylko do krainy hal, można je ścierpieć; jakiegokolwiek jednak dzieło ludzkich w istotnym pustkowi (koleje i szosy, schroniska, telefony, pomniki, krzyże, ubezpieczenia, tablice orientacyjne, plamy znaków) uznać się musi za zbrodnię kultury i usunąć. Jedynie zdążających wzwój ludzi (także z ich przenośnemi namiotami) nie należy nigdzie wykluczać, lecz w duchu czystej ochrony przyrody wychowywać“.

Franciszek Nieberl: Koleje górskie są dla turysty rzeczą niemiłą. Tyle już o tem — tu i tam — pisano i rozprawiano, że stanowisko alpinistów w owych zagadnieniach musi być znane szerokiej opinii publicznej.

Osobiście jestem wrogiem wszelkich tego rodzaju urządzeń, służących udostępnieniu gór. Twierdzenia, które się często słyszy, nawet ze strony tych, którzy pozują na turystów: „Ach, co tam, na tej górze już niema niczego do zniszczenia“, albo „ta góra nie przedstawia przecież dla wspinacza żadnej atrakcji“ — nie uznaje, jest to stanowisko tak obłudne i kłamliwe, jak najkłamliwsze z wszystkich przysłów: „einmal ist keinmal“. Abstrahując od nonsensu, tkwiącego w fałszywej, wyrachowanej formie zwrotu można spokojnie powiedzieć: jeden raz to nie jest „ani razu“, lecz w przeważającej liczbie wypadków jest to tylko początek arytmetycznego szeregu, jest to tuzin, jest to sto razy; apetyt przychodzi, jak wiadomo, przy jedzeniu. A dalej jest to bezprzykładna bezczelność załatwić się z górą dlatego, że dla „wspinacza“, dla „turysty wysokogórskiego“ nie posiada ona siły przyciągającej. Wszak istnieją także wrażliwi zwiedzacze gór, którzy nie należą do skrajniejszego kierunku, którzy jednak w swej metodzie wychodzenia na „zwykłe“ góry szlachetnością alpinistycznych zapatrywań i prostotą, niepomiernie górują nad tymi, co szukają tylko nagromadzenia się niebezpieczeństw i miejsc wspinaczkowych. Właśnie takim nie wolno obrzydzać „ich“ gór. Również i alpinista, jak go pojmować, chętnie pójdzie raz na „włóczęgę dla nastrojów“; niechże przy tem znajdzie ową

„pustkę górską, czystą, cichą“, sprofanowaną przez czeredę nazbyt licznych gapiów, wówczas góra traci dlań ten największy urok, którego poszukiwał.

Moje, rzecz jasna z ironicznym śmiechem „ad acta“ odłożone żądanie brzmi: żadnej kolei górskiej.

Moje życzenie: oby istniejące koleje, zabłyszcząwszy życiem jętki jednodniówki, przestały się „rentować“; wówczas zamilkną odrazu owe obłudne, wewnątrznie nieszczerze głosy, co wysuwają na pierwszy plan zna-

nego „chorego, którego oczy raz jeszcze chcą ujrzeć gór piękno“, wówczas przycichnie wrychle paplanina o „niezaprzeczonych wartościach, które winny się stać dobrem zbiorowem narodu“. O to przecież owym chwalcom kolei górskich wcale nie idzie; poza całą propagandą kolei szczytowych kryje się w istocie płytką żądza zarobku.

„Hugh! Powiedziałem!“ — odezwał się Winnetou i zapalił fajkę wojenną. A inni w radzie uśmiechali się poważnie“.

M. Ś.

TURYSTYKA.

Letni sezon tatrzański w r. 1927. —

Przystępując do analizy cech i wyników letniego sezonu tatrzańskiego, stwierdzić na wstępie należy, że w porównaniu z poprzednimi latami tegoroczny masowy ruch turystyczny po Tatrach wykazał znacznie mniejsze nasilenie. Zwłaszcza w początkach sezonu dziwnie cicho było w górach. Schronisko nad Morskim Okiem, do którego ciągnęły zazwyczaj całe pielgrzymki turystów ze Świnicy, Zawratu, Koziego Wierchu, Krzyżnego, Szpiglasowej Przełęczy — w minionym lipcu zaledwie kilka razy wypełniło się na noc po strych i werandę. Ze szczytów — pominawszy kilka najpopularniejszych — zrzadka tylko dobiegało pohukiwanie człowieka i kalibrów, w słońce i w słotę, w dzień i cinę nocną, wyrzucały tłumy gości na morenę najsłynniejszego jeziora polskiego, tylko, że taki to już obyczaj owych automobilowych „turystów“: przelotny zerk na taflę stawu, dłuższy postój przy mrocznym bufecie schroniska i zaraz wicheropędna jazda powrotna, byle jeszcze zdobyć wolny stolik u „Trzaski“. Ożywiły się Tatry naprawdę dopiero w sierpniu. Nie na długo jednak. Pod koniec miesiąca góry znowu były puste.

Odmienne jednak zarysowuje się oblicze ostatniego sezonu, gdy pod uwagę weźmiemy nie popularny ruch tatrzański, ale ilość i jakość wycieczek o charakterze ściśle taternickim. Pod tym względem sezon ten górował nad wszystkimi innymi całego okresu powojennego. — Jak w latach ubiegłych, tak i w minionym sezonie taternictwo polskie rozwijało się w dwu kierunkach: w kierunku odkrywania „nowych dróg“, zdobywania pełnych grozy, a stopą i ręką człowieka niekniętych jeszcze ścian tatrzańskich (niezwie-

dzonych szczytów i turni niema już w Tatrach), oraz w kierunku powtarzania już poprzednio wyszukanych przejść skalnych, tem bardziej pociągających, im więcej trudności i niebezpieczeństw spiętrzają. Wprawdzie po wspaniałym okresie taternictwa zdobywczego z lat 1905—1913 niezbyt już wiele pozostało „problemów“ tatrzańskich, te jednak, które nie oczekiwały się rozwiązania, wymagają od turysty tem wyższego napięcia woli, nerwów, talentu orjentacyjnego i uzdolnień technicznych. W roku bieżącym padło takich problemów więcej, niż w którymkolwiek z powojennych sezonów, sprawiedliwość jednak nakazuje zaznaczyć, że w sukcesach uczestniczyli nie tylko polscy taternicy, ale i dzielna, choć szczupła, grupa taterników spiskich. Z rozwiązanych wielkich problemów zasługują przedewszystkiem na wyróżnienie: I. przejście potężnej wschodniej ściany Rumnowego Szczytu, I. wyjście na Śnieżny Szczyt poprzez zerwiska Śnieżnej Dolinki, I. wyjście wschodnią ścianą Durnego Szczytu, I. przejście północnej ściany Baniastej Turni itd. Wszystko to problemy, nasuwające częściowo bardzo wielkie trudności i w poprzednich latach niejednokrotnie a bezskutecznie atakowane. Ale i poza niemi wykazuje tegoroczny bilans cały szereg nowych dróg, posiadających duże znaczenie już to z punktu widzenia historycznego, już to dzięki efektywności miejsc wspinaczkowych, by tylko wymienić północną ścianę Małego Kieżmarskiego Szczytu, południową ścianę Wołowej Turni, północną ścianę Zwalistej Turni, nową drogę na Młynarza z Doliny Białej Wody, warjanty na południowej ścianie Kopy Lodowej i wschodniej ścianie Mięgoszowieckiego Szczytu, przejście Przełęczki pod Kopą Popradzką itp. Osobno wymienić trzeba I-sze całkowite przejście grani Widel w kierunku od Kieżmarskiego Szczytu ku Łomnicy, które

nie przyniosło wprawdzie nowych odkryć, było jednak powiązaniem w całość wyprawy, do niedawna za niemożliwą uważanej i do najtrudniejszych przejść tatrzańskich należącej.

Jeszcze żywszą działalność, aniżeli w kierunku odkrywczym, rozwinęli nasi taternicy w kierunku powtarzania znanych już wypraw tatrzańskich. Tu szczególne zainteresowanie skupiły na sobie drogi o najwyższym stopniu trudności. Nie było poprostu przejścia, noszącego w dzisiejszej, tak surowej skali markę „nadzwyczaj trudnego”, któregoby w tym roku nie powtarzano, nieraz kilkakrotnie. Południowe ściany Zamarłej Turni, Małego Lodowego Szczytu, północne urwiska Galerji Gankowej, Małego Kiezmarskiego Szczytu, Koziego Wierchu, wschodnia ściana Mięgoszowieckiego Szczytu itp. — oto słynne z trudności przejścia skalne, które — latami nie powtarzane — w ostatnim sezonie szczególnie cieszyły się wziętością. Podkreślić przytem należy, że wypraw tych dokonywała już nie tylko garść taterników o głośnym od lat nazwisku ale i spora liczba młodych turystów, którzy dopiero niedawno na terenie Tatr swą działalność rozpoczęli i którzy — rzecz godna uwagi — z najróżnorodniejszych miast Polski pochodzą. Co więcej — po pewnej przerwie — widzimy w tym roku liczne taterniczki, dotrzymujące kroku swym towarzyszom hen w niebezpiecznych urwiskach, a nawet podejmujące samodzielnie śmiałe wyprawy. Wszystkie te fakty dowodzą, że taternictwo polskie idzie w ostatnich czasach silnie wszerek, upowszechnia się w coraz dalszych kołach, zyskując wśród nich nowe siły, nowe talenty.

Poza polskimi taternikami czynną była w Tatrach w ostatnim sezonie nade wszystko wspomniana już grupa taterników spiskich, którzy pochłubić się mogą poważnemi zdobyczami i pięknymi powtórzeniami dróg już poprzednio znanych. Zwiększyła się też nieco liczba węgierskich turystów, podczas gdy Czesi i Słowacy nadal nie okazali większej żywotności.

Podnosząc dodatnie strony ostatniego sezonu, niepodobna jednak zamykać oczu na ujemne jego cechy. Dość liczne nieszcześliwe wypadki — wśród których najdotkliwszą stratą dla polskiego taternictwa była śmierć ś. p. Mieczysława Szuczki na południowej ścianie Zamarłej Turni — zbyt szybki u niektórych młodych turystów przeskok od pierwszych kroków skalnych do wypraw nadzwyczaj trudnych, położenie nacisku w wyborze celów wycieczkowych jedynie na tech-

Wierchy V.

niczne trudności, pogoń za sensacją, a nawet za reklamą gazeciarską, próby stwarzania rekordów czasowych, apoteoza samotnych przejść — oto ważniejsze, w ostatnim sezonie zaobserwować się dające tendencje, na które zatroskany o czystość idei taternickiej — z niepokojem patrzeć musi. Im to nasze organa taternicckie baczną uwagę poświęcić winny.

M. Ś.

Sekcja Taternicka Akad. Zw. Sport. w Krakowie w roku 1927 położyła już zdecydowanie główny nacisk na czynną taternicką działalność swych członków. Skupiając w sobie niemal wszystkich młodych wysokogórskich turystów polskich, stanęła na czele ruchu taternickiego. Członkowie Sekcji osiągnęli już tę sprawność fizyczną i techniczną, że przejście dróg, uważanych dawniej za bardzo trudne przestało być rzadkim, nieledwie wyjątkowym tryumfem paru najdalej w taternictwie zaawansowanych jednostek, ale stało się zwyczajnym czynem każdego wyrobionego taternika. Przez skupianie koło siebie czynnych jednostek i ułatwienie im, a nierazko wprost umożliwienie wypraw, stała się Sekcja promotorem obecnego wzmoczonego ruchu taternickiego.

Zajmowała się też Sekcja w dalszym ciągu pieczołowicie taternictwem zimowym, otwierając tak nowe i rozległe horyzonty. Wrazem tego było zorganizowanie w dzień Nowego Roku, wśród ciężkich warunków wycieczki kursowej na Kościelec, która skupiła pod kierownictwem Prezesa Sekcji niezwykle wysoką liczbę uczestników, dowodząc, że zainteresowanie dla tej dziedziny taternictwa wzrasta wśród turystów z każdym rokiem. Członkowie Sekcji postawili też dalszy krok w usamodzielnianiu się turysty zimowego, doprowadzając do pomyślnego skutku nocleg w grudniu na wschodniej grani Hrubego Wierchu bez namiotu i worków do spania. A trzeba przytem dodać, że sporo wycieczek zimowych członków Sekcji zakończyło się w ostatnim sezonie (1926/7) niepowodzeniem, wskutek fatalnych warunków atmosferycznych.

Pozatem (jeżeli chodzi jeszcze o czynną statystykę) nie zaniedbywano wycieczek narciarskich (oczywiście tylko turystycznie pojętych). Alpinizm w roku bieżącym kontynuował tylko jeden członek Sekcji; twarde warunki bytu są tu zawsze jeszcze hamulcem rozwoju.

Pedagogiczno-odczytowa działalność Sekcji nabrała ostatnio innego zabarwienia, ponieważ wobec poziomu wyrobienia członków, zbędną stała się część instrukcyjna. Odczyty

pouczające urzędza więc Sekcja raczej pro foro externo, wewnątrz wprowadziła wieczory dyskusyjne, na których porusza się w swobodnej rozmowie szereg aktualnych kwestyj taternickich (np. sprawę propagandy taternictwa, malloryzm, zagadnienie taternictwa kobiecego...) Wieczory te żywo interesują członków i stanowią bardzo pożądaną platformę do wyrobienia ideologii taternickiej.

Bolesną stratę poniosła Sekcja w roku sprawozdawczym wskutek tragicznej śmierci jednego z najczynniejszych swych członków, śp. Mieczysława Szczuki.

J. A. Szcz.

Nowe prądy ideowe w Niemiecko-Austrjackim Tow. Alpejskim.

W dwu ostatnich swych rocznikach przynosiły „Wierchy“ szczegółowsze sprawozdania z przejawów ewolucji, jaka zaznaczyła się po wojnie w poglądach Niemieckiego i Austrjackiego Towarzystwa Alpejskiego (D. u. Ö. A. V.) na zagadnienie ochrony górskiej przyrody, granice uprzystępniania Alp, ideologię alpinizmu i t. p. Nawiazując do owych artykułów, uzupełniamy, je na tem miejscu krótką relacją o postanowieniach i uchwałach towarzystwa, które w powyższych wzmiankowanych kwestjach programowych powzięło ono w r. 1926 i 1927.

Na odbytem w d. 18 lipca 1926 r., w Würzburgu, Walnem Zebraniu Niemieckiego i Austrjackiego Towarzystwa alpejskiego, przyjęto jednomyślnie następującą rezolucję Sekcyj (oddziałów) towarzystwa, reprezentowanych w t. zw. „grupie turystów“ (Bergsteigergruppe): „Niemieckie i Austrjackie Towarzystwo Alpejskie wyznaje (bekennt sich) zasadniczo ideę ochrony przyrody w Alpach. Pragnie ono uchronić góry wysokie przed kolejami szczytowymi, przedsiębiorstwami przemysłowymi i wszelkiego rodzaju użytkowaniem w celu zysków. Uznaje ono ochronę przyrody, a zwłaszcza świata roślin i zwierząt, za swoje zadanie. Dlatego też podejmuje inicjatywę w kierunku tworzenia na szeroka skalę rezerwatów przyrody. Nadające się do tego gniazda górskie Alp, położone na uboczu od głównego ruchu komunikacyjnego, winny być zachowane o ile możliwości w dzisiejszym ich stanie“.

W uzasadnieniu powyższej rezolucji jej referent, dr. Meuckel, oświadczył: „Mamy dwojaki cel: chcemy po pierwsze, aby macierzyste towarzystwo, nareszcie i to z całą dobitnością, wyznało wogóle ideę ochrony przyrody, a powtóre, aby w następstwie tej ideę wykonywano czynnie, starając się okre-

ślone, jeszcze nienaruszone części naszych Alp zachować w ich pierwotności i dziewiczości, oraz dając przez wspólne wystąpienia z innymi wielkimi organizacjami turystycznymi do przeprowadzenia w pewnych warunkach państwowej ochrony tych obszarów. Szczere przyznanie się do ochrony przyrody jest ze strony naszego towarzystwa — taki przynajmniej nasz pogląd — z pewnością potrzebne. Zadanie naszego towarzystwa, wiecie to wszyscy, wciąż jeszcze kulminuje w starej formule: „Celem towarzystwa jest rozszerzanie znajomości Alp i ułatwianie podróżowania po nich“. Jednostronne trwanie przy tym celu, który przed 50 laty, chętnie to przyznajemy, był najbardziej aktualny, spowodowało, iż uprzystępniano coraz więcej, aż nakoniec uprzystępniono nawet do zbytku. Bezwzględnie nie możemy przeżuwać przez 50 najbliższych lat wciąż jeszcze tej samej formuły statutowej. Musimy mieć wreszcie nowy jakiś cel, musimy wskazać towarzystwu raz znowu odmienne drogi; gdybyśmy bowiem — dosłownie wzięwszy — ten cel statutu w czyn przemienili, musiałyby on w rezultacie — chcę raz przesadzić — doprowadzić do tego, żebyśmy w końcu na każdą górę zbudowali kolej. Z pewnością nie mamy nic przeciw temu, aby utrzymywać cel towarzystwa, który swego czasu okazał się tak dobry. Pragniemy tylko, aby także i hasło ochrony przyrody znalazło się w jakiejś formie na tarczy Walnego Zebrania, aby i praktycznie w jego duchu działało. Np. przy rozpatrywaniu próśb o subwencję winienby Zarząd Główny położyć na szali dwa przeciwstawne momenty, z jednej strony zamiar uprzystępnienia obszaru, o który chodzi, z drugiej wzgląd, czy nie byłoby celowszem, ów obszar, zachować w jego pierwotności i wziąć go w opiekę“.

Nowe prądy ideologiczne, nurtujące współcześnie Towarzystwo Alpejskie, znalazły swój ostateczny wyraz na 53-cim z rzędu jego Walnem Zebraniu, które odbyło się we Wiedniu, w dn. 4 września 1927 r. Na zebraniu tem uchwalono jednogłośnie nową redakcję podstawowego punktu statutu, jakim jest paragraf, mówiący o celach towarzystwa. Punkt ten brzmi obecnie: „Celem Niemieckiego i Austrjackiego Towarzystwa Alpejskiego jest pogłębianie i rozszerzanie znajomości gór wysokich, popieranie turystyki górskiej, ułatwianie wędrowek po Alpach Wschodnich, zachowanie ich piękna i pierwotności, a przez to pielegnowanie i potęgowanie miłości do niemieckiej ojczyzny“.

Ze względu na motywy, które zaważyły

na takim właśnie sformułowaniu wymienionego paragrafu statutowego warto przytoczyć słowa A. Sotiera, uzasadniającego na zebraniu wniosek o zmianę celów towarzystwa:

„Od r. 1876 zmieniono w § 1 naszego statutu jedno tylko słowo. Pierwotne brzmienie mówiło: „ułatwienie podróżowania po Alpach Niemieckich i Austrjackich“. Na Walnym Zebraniu w Rosenheim, w r. 1924, daliśmy wyraz politycznym przekształceniom, jakich wojna światowa dokonała w tym kierunku, że na miejscu słów: „po Alpach Niemieckich i Austrjackich“ wstawiliśmy słowa: „po Alpach Wschodnich“, aby zaznaczyć, że teren naszej pracy nie może ulec zmianie wskutek narzuconych przesunięć granicy. Zresztą zawiera § 1 naszego statutu propositu stwierdzenie, że celem towarzystwa jest pogłębianie i rozszerzanie znajomości Alp w ogólności i ułatwanie podróżowania po Alpach Wschodnich.

Oba te cele, które ujęte są w ten sposób w swej dawnej redakcji, w międzyczasie rozszerzyły się znacznie wskutek rozwoju całego towarzystwa i to rozszerzenie się celów i zadań towarzystwa stanowi we wniosku Zarządu Głównego podstawę nowej redakcji.

Pragnę jeszcze na wstępie zaznaczyć, że obok tych zasadniczych celów, których podkreślenie proponuje nowa redakcja, dokonano jeszcze kilka małych poprawek w tekście, odnoszących się do dwu pojęć. W pierwszym zdaniu § 1 powiedziano: „pogłębianie znajomości Alp w ogólności“. Dominuje w naszym towarzystwie niezachwiany niczem pogląd, iż przez Alpy w ogólności rozumieć należy nie tylko ów trzon górski, który sięga od wybrzeży morza Śródziemnego aż po Wiedeń, lecz w ogóle wszystkie góry wysokie na ziemi. Jeżeli tak jest, to nie widzę powodu, dlaczego tego nie wyrazić krótko i zwięźle. Dlatego też proponuje się w nowej redakcji słowa „Alp w ogólności“ zastąpić wyrazami „gór wysokich“. Widzicie dalej, że pojęcie podróżowania po Alpach Wschodnich zostało usunięte i zastąpione słowami: „ułatwienie wędrowek po Alpach Wschodnich“. Według naszych zapatrywań pojęcie podróżowania niezupełnie nakrywa się z celami Towarzystwa Alpejskiego. Ułatwienie podróżowania obejmuje o wiele szerszy krąg, aniżeli to tkwi w zadaniach towarzystwa. Mogę rzecz wyjaśnić krótko na jednym przykładzie. Przeprowadzenie szosy automobilowej w Dolomitach jest oczywiście ułatwieniem podróżowania po Alpach. Odrazu jednak przynajmniej, że nie może być zadaniem Towarzystwa Alpejskiego inicjatywa budowy dolomitowej

drogi dla samochodów. Musimy to pojęcie, które może w r. 1876 odpowiadało owym wyobrażeniom, jakie chciano wcielić w statut, ograniczyć i sądzić, żeśmy to osiągnęli, proponując brzmienie: ułatwienie wędrowek po Alpach Wschodnich; w ten sposób bowiem odrzuca się ułatwienia, przekraczające wymagania turysty, który posługuje się czełkanem lub okutą laską, i uzyskuje się zacieśnienie do istotnych celów towarzystwa.

Obecnie mogę przejść do rzeczowych zmian w § 1. Zmiany te dadzą się ująć w 3 zasadnicze myśli, w pojęcie popierania turystyki górskiej, ukochania przyrody — ochrony przyrody — i patriotyzmu, miłości naszej niemieckiej ojczyzny.

W dawnej redakcji niema — jak widzicie — żadnej wzmianki o turystyce górskiej. Tłómaczy się to tem, że założyciele naszego towarzystwa kładli większy nacisk na naukowe badanie Alp. Od dziesięciok lat — 90 procent, można powiedzieć, naszych członków oddaje się nie naukowemu alpinizmowi, lecz praktycznemu, t. j. turystyce górskiej, a alpinista chodzący bez przewodnika, w owych czasach niemal zupełnie nieznan, stał się dzisiaj codziennym zjawiskiem w naszych Alpach. Turyści stawiają sobie samym coraz wyższe wymagania. Musiały się z tem liczyć i Zarząd Główny i Sekcje. Musiały one wszystko uczynić, aby turystykę górską należycie poprzeć, musiały wydawać mapy, organizować kursy, urządzić wycieczki ćwiczebne itd. Jeżeli jednak rzecz się ma tak, iż praktyczny alpinizm wysunął się na czoło zadań towarzystwa, mamy przeto obowiązek uwydatnić to jasno także i w naszym statucie. Dlatego też Zarząd Główny proponuje oprócz naukowej strony, uwzględnić także i praktycznego alpinizmu w słowach: „popieranie turystyki górskiej“.

Druga idea, która winna być w § 1 uwytłomaczona — to idea ochrony przyrody. Nad nią debatowaliśmy już w roku ubiegłym w Würzburgu i już wówczas Towarzystwo Alpejskie przyjęło zasadniczo ideę ochrony natury jako swój cel. Mogę tu powołać się na rezolucję, którą na owym Walnym Zebraniu uchwalono i która mówi na wstępie: „Niemieckie i Austrjackie Towarzystwo Alpejskie wyznaje zasadniczo ideę ochrony przyrody w Alpach“. Jeżeli wyznaje ją zasadniczo, to musiało utrwalić tę ideę i w swej ustawie podstawowej. Z tego też powodu zaproponowaliśmy zebraniu dodanie słów: „zachowanie ich piękna i pierwotności“. Znajdzie w nich swój wyraz hasło ochrony przy-

A wreszcie na końcu tej nowej redakcji § 1, tkwi myśl ochrony swojszczyzny. I ta myśl nie jest nową w Towarzystwie Alpejskim. Już na Walnem Zebraniu w Innsbrucku wystąpiła Sekcja „Austria“ z wnioskiem, aby ideę ochrony swojszczyzny wprowadzić do statutu. I wówczas załatwiono tę myśl najpierw uchwaleniem rezolucji, która mówi, że Towarzystwo Alpejskie uznaje za swój obowiązek rozwijanie wiedzy o ojczyźnie, ochrony swojszczyzny i przywiązania do kraju. Wierzę, że gdybyśmy powiedzieli o tem naszym założycielom, oświadczyliby, że rozumie się samo przez się, iż się te cele ma na oku; przecież jesteśmy niemieckiem towarzystwem. Po wstrząsach jednak, jakich doznaliśmy

wskutek wojny światowej, trzeba, aby to, co dotąd spoczywało zawsze w ciszy naszych serc, znalazło swe uzewnętrznienie, i abyśmy ustawowo utrwaliłi w naszym statucie obowiązek miłości niemieckiego narodu i niemieckiej ojczyzny. Pragniemy przytem pójmować niemiecką ojczyznę w ten sposób, że kończy się ona tam, gdzie znajduje swe granice niemiecka mowa ojczysta“.

Nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę, że cele programowe, które w r. 1927 wykreśliło sobie Niemieckie i Austriackie Towarzystwo Alpejskie, w statucie Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego widnieją już od r. 1922.

M. Ś.

POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE.

Ogólny rzut oka na działalność Zarządu Głównego i Oddziałów P. T. T. za czas od 15 kwietnia 1926 r. do 1 października 1927 r.

1. Skład Zarządu.

Skład Zarządu Głównego P. T. T. według wyborów z dnia 20 marca 1927 jest następujący:

Prezes: inż. Jan Czerwiński, Wiceprezesi: Stanisław Osiecki, dr. Walery Goetel, dr. Wacław Majewski, Sekretarz: dr. Emil Stofa, Skarbnik: Stefan Porębski.

Członkowie: prof. Franciszek Sykutowski, Adam Konopczyński, dr. Adam Lardemer, inż. Mieczysław Mączyński, prof. Kazimierz Sosnowski, dr. Jan Nowicki, dr. Tadeusz Bukowiecki, dr. Wacław Sperber, prof. Józef Braszka, inż. Karol Stryjeński, inż. Janusz Chmielewski, dr. Roman Kordys, dr. Mieczysław Świerż, dr. Tadeusz Smoluchowski, ks. Jan Humpola, Edmund Kazmierczak, mjr. Bronisław Romaniszyn.

Zastępcy: inż. ppłk. Witold Wolański, Stefan Porębski, inż. Stanisław Krawczyk, Jan Kazimierz Dorawski, dr. Adam Sokołowski, dr. Marjan Sokołowski, Stanisław K. Zaremba.

Delegaci Sekcyj P. T. T.: Narciarskiej: Henryk Szatkowski, Turystycznej: dr. Marjan Sokołowski, Ochrony Tatr: prof. dr. Stanisław Sokołowski.

2. Sprawy organizacyjne.

W okresie sprawozdawczym zaszły pewne zmiany organizacyjne w łonie Towarzystwa. Przyznano więc sekcjom P. T. T. osobowość prawną, dzięki czemu zyskały one możność posiadania majątku. Nadto dokonano połączenia P. T. T. z Tatrzańskiem Ochotniczem Pogotowiem Ratunkowym w Zakopanem, któ-

re obecnie weszło w skład Towarzystwa, jako jego osobna sekcja.

Ilość Oddziałów pozostała niezmienną jak w ubiegłym roku. Najbujniej rozrasta się Towarzystwo w Beskidzie Zachodnim przy intensywniej pracy Oddziałów górnośląskiego, żywieckiego i cieszyńskiego; zwłaszcza należy zaznaczyć powstanie przy Oddziale żywieckim Koła w Białej, liczącego już ponad 1000 członków i również dosyć liczne Koło w Bielsku przy Oddziale cieszyńskim. Ogólna liczba członków P. T. T. wynosi około 8000 osób. Wysokość wkładki członkowskiej na rzecz Zarządu Głównego nie uległa w 1927 r. zmianie. Oddziały pracujące czynnie w Beskidach a mające mniej niż 300 członków, wpłacają do Kasy Zarządu Głównego połowę powyższej wkładki. Począwszy od czerwca 1926 r., t. j. od chwili wejścia w życie polsko-czesko-słowackiej konwencji turystycznej, wpłacają nowo wstępujący członkowie na rzecz Zarządu Głównego jednorazowo 5 zł na inwestycje i 2 zł za legitymację.

3. Komisje międzyoddziałowe.

Podjęta przed dwoma laty próba omawiania spraw obchodzących bliżej pewną grupę Oddziałów na zwołanych w tym celu Komisjach międzyoddziałowych, okazała się nadzwyczaj praktyczną.

Obecnie czynne są następujące Komisje tego rodzaju:

a) I Komisja Zachodnio-Beskidowa, obejmująca Oddziały: górnośląski, cieszyński i żywiecki (w pewnych wypadkach także nowotarski);

b) II Komisja Zachodnio-Beskidowa, obejmująca

mująca Oddziały: nowosądecki, tarnowski, pieniężski i nowotarski:

c) Komisja Podhalańska, obejmująca Oddziały: krakowski, warszawski i zakopiański, (w pewnych wypadkach także nowotarski).

d) Komisja Wschodnio-Karpacka, obejmująca Oddziały: we Lwowie, Stanisławowie i Kołomyi.

Z ważniejszych uchwał Komisji Zachodnio-Beskidowych wymienić należy uznanie Oddziału górnośląskiego za Oddział opiekuńczy dla Towarzystwa turystycznego „Beskid” w Orłowej i przyrzeczenie poparcia prac tegoż Towarzystwa około budowy schroniska na Kozubowej, dalej uregulowanie współpracy Oddziałów przy budowie schronisk, znaczeniu ścieżek i t. d., ustalenie wątpliwych nazw w Beskidzie Sądeckim, rozgraniczenie terenu działalności poszczególnych Oddziałów i inne sprawy dotyczące szlaku beskidowego głównego, znakowania ścieżek oraz miejsca budowy schronisk. Za najpilniejsze w dziedzinie znaczenia ścieżek uznano: a) wykończenie szlaku głównego w okolicy Głuchaczek, b) przełożenie szlaku głównego w partii Stożka, Baraniej Góry, doliny Białej Wisły.

Na pierwszym posiedzeniu Komisji Podhalańskiej w dniu 29 grudnia 1926 r. uznano pracę Oddziałów łódzkiego i poznańskiego w Tatrach za skończoną; zalecono tym Oddziałom wspieranie Oddziałów pracujących w Beskidach, konserwację znakowania szlaków górskich w Tatrach powierzone w całości Zarządowi Głównemu; Oddziałowi krakowskiemu zalecono popieranie prac w Pieninach. — Następnie uchwalono zalecić zachowanie przez Zarząd Główny dotychczasowej taktyki w sprawach lokalnych zakopiańskich, uznając, że stanowisko P. T. T. wobec Tymczasowej Komisji Uzdrawiskowej i Gminy Zakopane opiera się na memorjale P. T. T. przesyłanym z końcem 1925 r. interesowanym czynnikom. Stwierdzono dalej, że dotychczasową ustawą uzdrawiskowa jest w niektórych punktach nieodpowiednia, a wysuwane z pewnych stron projekty nowej ustawy mają za punkt wyjścia lokalne interesy bądź materialne bądź też polityczne i nie liczą się z postulatami turystyki ogólnopolskiej i ochrony przyrody. Z tych powodów uchwalono domagać się od władz centralnych, aby dały sposobność Polskiemu Towarzystwu Tatrzańskiemu do wypowiedzenia się co do zasad nowej ustawy uzdrawiskowej.

Komisja wypowiedziała się przeciw udzielaniu drobnych koncesyj szynkarskich w gó-

rach prywatnym osobom i podniosła konieczność jaknajrychlejszego usunięcia szpetnych zabudowań prywatnych z nad Morskiego Oka, podjęcia budowy nowego schroniska oraz dalszego prowadzenia akcji wykupna działek na halach tatrzańskich.

Równocześnie zawarto ze współwłaścicielami Hali Gąsienicowej umowę w sprawie ich pretensji z powodu szkód zrzadzonych przy budowie schroniska Oddziału warszawskiego na Hali.

Wschodnio-Karpacka Komisja międzyoddziałowa przyjęła jako podstawę znaczenia dróg plan dr. Orłowicza z dopuszczeniem pewnych odchyień ze względów terenowych, widokowych lub praktycznych. Następnie uchwalono wziąć pod uwagę blokhausy wojenne pozostawione przez wojska na grani Sywuli i na Borewkach, celem użycia ich jako noclegowisk dla turystów i porozumieć się z właścicielami gospód u wyjścia z dolin w powiecie kossowskim celem uzyskania pewnych udogodnień dla członków P. T. T. oraz z Państwowym Zarządem lasów w sprawie dobudowy izb w leśniczówkach i gajówkach jako stacyj turystycznych P. T. T.

4. Prace P. T. T. w górach.

W okresie sprawozdawczym wykończył Zarząd Główny ostatecznie znaczenie ścieżek w Tatrach według nowego planu, przeprowadził rozbudowę i remont schroniska w Roztoce oraz skanalizowanie otoczenia Dworca Tatrzańskiego w Zakopanem. Wszelkie inne prace w górach prowadziły poszczególne Oddziały, przyczem stwierdzić należy, że działalność wszystkich Oddziałów czynnie pracujących w górach, była bardzo ożywioną. W Tatrach Oddział krakowski przeprowadził znacznym kosztem remont starego schroniska i dalsze prace nad remontem nowego schroniska nad Morskiem Okiem, Oddział zakopiański prowadził dalszą budowę nowego schroniska w Dolinie Pięciu Stawów i oddał to schronisko do użytku turystów, w Beskidzie Zachodnim Oddział górnośląski wykupił z rąk niemieckich schronisko prywatne na Równicy i schronisko to przebudował i rozszerzył, stawiając piękną placówkę turystyki polskiej w okolicy źródła Wisły.

W Beskidzie Wschodnim podnieść należy wielki wysiłek pracy i energii Oddziałów we Lwowie i Stanisławowie. W czerwcu b. r. nastąpiło otwarcie nowych schronisk Oddziału lwowskiego w grupie Gorganów na Jalu i Oddziału stanisławowskiego pod Howerlą.

Zważywszy, w jak trudnych warunkach materialnych Oddziały te się znajdują, należy

powyższy ich wysiłek powitać z wielkiem uznaniem. Niestety brak funduszków nie pozwala jeszcze obecnie Zarządowi Głównemu subwencjonować wydatnie prac poszczególnych Oddziałów.

5. Turystyka młodzieży szkolnej.

Ruch turystyczny rozwija się pomyślnie, z powodu jednak zubożenia społeczeństwa ruch turystyczny młodzieży nie przybrał dotychczas należytych rozmiarów.

Wielką też troskę Zarządu Głównego stanowi odpowiednie uregulowanie ruchu turystycznego młodzieży szkolnej, a to zarówno w kierunku stworzenia tanich a higienicznie urządzonych miejsc noclegowych, jak też ułożenia pewnych praktycznych norm dla tego rodzaju wycieczek szkolnych, aby młodzież odniosła z nich fizyczną i duchową korzyść.

Sprawa powyższa była przedmiotem konferencji odbytej z inicjatywy p. Wiceministra Łopuszańskiego w Województwie krakowskim dnia 3. X. 1926 r. na której zagadnienia powyższe były obszernie rozpatrywane przy współdziałaniu zastępców Kuratorów krakowskiego, Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, Harcerstwa i innych zainteresowanych czynników urzędowych i społecznych. Jednym z głównych przedmiotów tych obrad była sprawa uprzystępnienia w pierwszym rzędzie Beskidu Zachodniego dla wycieczek młodzieży szkolnej.

Konferencja wybrała Komitet celem uzgodnienia postulatów poszczególnych organizacji, który jednak nie wypracował wspólnego memoriału, wobec czego P. T. T. wniosło w dniu 2 grudnia 1926 r. osobno swój memoriał na ręce przewodniczącego Wydziału Wychowania Fizycznego prof. Ciechanowskiego, w którym przedstawiony został program rozbudowy schronisk w Beskidzie Zachodnim, łącznym kosztem 120000 zł w ciągu 1927 i 1928 r.

6. Walny Zjazd Delegatów 1927 r.

W dniu 20 marca 1927 r. odbył się III. Doroczny Zjazd Delegatów P. T. T. we Lwowie, przy współdziałaniu reprezentantów władz i instytucji miejscowych.

Obrady były bardzo ożywione i załatwiono szereg spraw aktualnych. Najważniejsze uchwały są następujące:

a) Ochrona przyrody. 1) Zjazd Delegatów Polskiego Towarzystwa wita z radością założenie Ligi Ochrony Przyrody, która skupiając działalność wszystkich czynników kulturalnych w Polsce w dziedzinie ochrony przyrody, ma na celu rozwinięcie wyżejzonej akcji tak u władz państwo-

wych, jak wśród wszystkich warstw społeczeństwa, zmierzającej do praktycznej realizacji głównych zasad ochrony przyrody, a w szczególności do utworzenia pogranicznych Parków Narodowych w Tatrach i Karpatach, a następnie innych rezerwatów przyrody w Polsce. Zjazd Delegatów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego stwierdza, że postulaty ochrony przyrody stanowią jeden z głównych ideowych celów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, i z tego powodu Liga Ochrony Przyrody może oczekiwać jaknajsilniejszego poparcia ze strony Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

2) Zjazd Delegatów uważa za nader pożądane, aby kompetentne władze państwowe spowodowały popularyzowanie w szkołach na całym obszarze Polski zasad ochrony przyrody oraz ideologii turystyki górskiej w myśl uchwał, przyjętych przez Radę Asocjacji Słowiańskich Towarzystw Turystycznych.

3) Zjazd Delegatów uznaje za konieczne przyspieszenie stworzenia parków natury w Pięniarach, Czarnohorze i Gorganach.

4) Zjazd Delegatów uważa za bardzo ważny postulat ochrony przyrody jaknajrychlejsze zarządzenie przez władze państwowe cofnięcia istniejących koncesyj na wyrób olejku kosodrzewinowego we wschodniej Małopolsce i nie wydawanie w przyszłości tego rodzaju koncesyj.

5) Zjazd Delegatów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego uznaje za rzecz konieczną utworzenie z górnego dorzecza Dunajca rezerwatu łososiowego, celem ochrony masowo łępiętego łososia, oraz przeprowadzenie ochrony pstrąga i głowacicy w górnych biegach rzek Karpackich.

b) Konwencja turystyczna. 1) Zjazd Delegatów P. T. T. apeluje do wszystkich członków P. T. T. i członków Wydziałów poszczególnych Oddziałów Towarzystwa, aby przy pobieraniu zgłoszeń nowych członków i przy głosowaniu nad ich przyjęciem, starannie badali kwalifikacje tychże osób, a to celem zapobieżenia przyjmowaniu na członków osób nieodpowiednich, niemających nic wspólnego z turystyką, a które mogłyby swem postępowaniem utrudniać dalsze trwanie konwencji turystycznej polsko-czeskosłowackiej i wytwarzać niekorzystną opinię dla polskich turystów.

2) Zjazd delegatów uznaje za konieczne nowelizację konwencji turystycznej polsko-czeskosłowackiej w celu otwarcia dostępu w Gorgany turystom czeskosłowackim, a tu-

rystom polskim w przyległy obszar gór czesko-słowackich.

3) Zjazd Delegatów uznaje potrzebę zawarcia konwencji turystycznej z Rumunją, na wzór konwencji turystycznej polsko-czesko-słowackiej.

c) Sprawy Beskidu Wschodniego. 1) Zjazd Delegatów stwierdza potrzebę zwiększenia dotacji rządowej na utrzymywanie stacji doświadczalnej botanicznej na Pożyrzewskiej pod Howerlą i połączenie jej ze stacją meteorologiczną dla celów nauki i turystyki, która byłaby cały rok czynną.

2) Zjazd Delegatów uznaje za konieczne wywarcie nacisku na czynniki miarodajne w kierunku przyspieszenia nowelizacji ustawy uzdrowiskowej i uznania letnisk doliny Prutu, Czeremoszu, Oporu, Bystrzycy, Łomnicy i Dniestru za uzdrowiska o charakterze użytkowności publicznej.

3) Zarząd Główny zwróci się do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego o wyznaczenie dla Oddziałów Wschodnio-beskidowych stałych subwencji z Funduszu szkolnego na gry i zabawy, odpowiednich do liczebności młodzieży w tej części kraju, celem urzędzenia schronisk Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego dla wycieczek szkolnych.

Po ukończeniu obrad Oddział lwowski ugościł uczestników Zjazdu ze staropolską gościnnością obiadem, na którym panował nadzwyczaj serdeczny nastrój.

7. Założenie Związku polskich Towarzystw Turystycznych.

W dniach 2 i 3 kwietnia 1927 r. odbył się w Warszawie z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego II. Zjazd Delegatów Polskich Towarzystw Turystycznych, z następującym porządkiem dziennym:

1) Zagajenie, 2) Wybór Prezydium, 3) Przemówienia powitalne, 4) Referat o idei pracy krajoznawczej — Aleksander Janowski, 5) Turystyka a ochrona przyrody — ref. prof. dr. W. Goetel (P. T. T.), 6) Ideologia taternictwa — ref. mjr. B. Romaniszyn (P. T. T.), 7) Związek Towarzystw Turystycznych i jego statut — ref. dr. Tadeusz Smoluchowski (P. T. T.), 8) Rozdział kompetencji między poszczególne towarzystwa turystyczne — ref. dr. Wacław Majewski (P. T. T.), 9) Program działalności Związku — ref. prof. dr. W. Goetel (P. T. T.), 10) Postulaty turystyki w stosunku do Państwa — ref. prof. dr. W. Goetel (P. T. T.), 11) Ruch turystyczny młodzieży szkolnej — ref. prof. A. Patkowski, koreferat prof. Kazimierz Sosnowski (P. T. T.),

12) Szkolne domy wycieczkowe — ref. prof. Kazimierz Sosnowski (P. T. T.), 13) Sprawy ekonomiczne związane z turystyką — ref. Zenon Beres, 14) Turystyka a zdrojowiska — ref. Zdzisław Szczerbiński, 15) Postulaty turystyki drogowej — ref. Roger hr. Morsztyn, 16) Postulaty turystyki wodnej — ref. dr. Jerzy Loth, 17) Wnioski.

Na Zjeździe tym uchwalono utworzyć Związek Polskich Towarzystw Turystycznych¹⁾. Przyjęty przez Zjazd statut Związku określa jako cele tegoż a) zdobywanie dla turystyki w Polsce ułatwień technicznych i administracyjnych, b) koordynację działalności Towarzystw turystycznych, c) zbiorową ich reprezentację, d) propagandę zwiedzania Polski w kraju i zagranicą. Związek ma być jedynie instytucją porozumiewawczą i nie może być jego dążeniem przeniesienie przywilejów pewnych towarzystw na Związek jako całość.

Jest uzasadniona nadzieja, że powstały Związek przyczyni się do uregulowania wielu spraw tyjących się turystyki i do jej rozwoju.

8. Asocjacja Słowiańskich Towarzystw Turystycznych.

Zarządowi Głównemu P. T. T. przypadła w roku 1927 rola zorganizowania i przyjęcia w Polsce Zjazdu Rady Asocjacji Słowiańskich Towarzystw Turystycznych. O przebiegu tego ważnego w dziejach naszej turystyki wydarzenia informujemy czytelników „Wierchow“ w osobnym artykule.

9. Prace P. T. T. nad ochroną przyrody górskiej.

Praca Towarzystwa około ochrony przyrody w górach polskich rozpoczęta przed laty nabiera z roku na rok rozpędu i siły. Podnieść tu należy niestrudzoną działalność członków Sekcji O. T. a przedewszystkiem pp. prof. dr. J. G. Pawlikowskiego, prof. dr. W. Goetla, prof. St. Sokołowskiego i innych. Z zadowoleniem stwierdzić należy, że kulturalne sfery naszego społeczeństwa pozyskane zostały dla idei Parków Narodowych. Opór stawiają jedynie niektóre lokalne czynniki zagrożone w swych rozmaitego rodzaju spekulacyjnych zamiarach. Rok ubiegły był rokiem walki idei ochrony przyrody i na idei tej opartej dobrze pojętej turystyki z lokalną spekulacją. Po nieudanej próbie postawienia prywatnej gospody nad Czarnym Stawem Gąsienicowym nastąpiło rozpoczęcie budowy „mleczarni“ na Karczmisku na drodze na Halę Gąsienicową, w miejscu całkowicie dla tu-

¹⁾ Szczegółowe sprawozdanie z przebiegu Zjazdu znajduje się wyżej w osobnym artykule prof. W. Goetla.

rystyki zbyt czynnem w pobliżu schronisk na Hali Gąsienicowej. Zwierzchność gminna w Murzasichlu udzieliła konsensu budowlanego i początkowo protesty Państwowej Rady Ochrony Przyrody odnosiły jedynie teoretyczny sukces. Na szczęście wyższe władze, którym przypadło w udziale załatwienie rekursu w powyższej sprawie zrozumiały niebezpieczeństwo takiego stanu dla interesów dobra publicznego i orzekły zasadniczo, że wydawanie konsensu budowlanego w tatrzańskim okręgu sanitarnym należy wyłącznie do państw władzy administracyjnej tego okręgu.

Na podstawie tego rozstrzygnięcia władza administracyjna podtrzymała wydany poprzednio zakaz budowy i poleciła organom wykonawczym dopilnowania pod rygorem egzekucji rozebrania budynku. W związku z tem pozostaje sprawa budowy budynku gospodarczego przy nowym schronisku P. T. T. na Hali Gąsienicowej.

Oddział warszawski P. T. T. w mylnym przekonaniu, że dla tego budynku, jako dla budynku wyłącznie gospodarczego, a nie mieszkalnego, nie potrzebuje starać się o osobny konsens budowlany i o osobne porozumienie się z współwłaścicielami Hali Gąsienicowej, rozpoczął budowę, wywołując sprzeciw ze strony tych ostatnich, co spowodowało wstrzymanie budowy przez władzę administracyjną. Członkowie Zarządu Głównego P. T. T., bawiący w lecie w Zakopanem, brali udział w licznych konferencjach interesowanych czynników w tej sprawie.

Po wyteżonej pracy uzgodniono ostatecznie na szeregu konferencji istniejące sprzeczności i usunięto nieporozumienia i Zarząd Główny żywi nadzieję, że ostatecznie ułożone zostaną podstawy porozumienia się z współwłaścicielami Hali w powyższej sprawie w sposób nie kolidujący z zasadami współwłasności, ochrony przyrody oraz interesów turystyki, będącej wszak głównym źródłem dochodu dla ludności miejscowej.

Aby usunąć pewne wątpliwości, rozszerzając się wśród ludności góralskiej w sprawie Parków Narodowych Zarząd Główny P. T. T. odbył na wiosnę 1927 konferencję ze Związkiem Podhalań, przyczem uchwalono wyłonić wspólną Komisję celem przedyskutowania tej sprawy i zajęcia zgodnego stanowiska. Zarząd Główny P. T. T. zwrócił się również do Związku Górali w Zakopanem z propozycją wzięcia udziału w tej Komisji.

Ponadto P. T. T. wydało w lecie b. r. odezwę przedstawiającą stanowisko P. T. T.

w sprawie ochrony przyrody i Parku Narodowego w Tatrach i stan tej sprawy.

W sprawach ochrony przyrody P. T. T. pozostaje w stałym kontakcie z Zarządem Fundacji ś. p. hr. Zamoyskiego, który okazuje pełne zrozumienie postulatów turystyki oraz idei ochrony przyrody a nadto szczerą chęć i gotowość pomocy w ich realizacji.

Nadmienić należy, że Zarząd Główny P. T. T. uchwalił domagać się przyspieszenia wymiany stałym P. T. T. Ponadto ukazał się zakupna południowych zboczy Babiej Góry i wprowadzenia sprawy „ochrony lasów na drogę parlamentarną.

10. Prace wydawnicze.

W dziale wydawniczym P. T. T. skierowało cały wysiłek na wydanie obecnego rocznika „Wierchów“, które są obecnie organem stałym P. T. T. Ponadto ukazał się z wiosną 1927 r., nr. 5-6 „Przeglądu Turystycznego“ zawierający obok obfitego działu informacyjnego następujące artykuły: Jan Kasprzowicz, wspomnienie pośmiertne; Odezwa uczonych czesko-słowackich i polskich w sprawie Parku Narodowego; Związek Polskich Towarzystw Turystycznych; Sprawy Towarzystwa; Z Oddziałów Kół i Sekcyj; Asocjacja Słowiańskich Towarzystw Turystycznych; Ochrona Przyrody; Tatarnictwo i Alpinizm. Muzeum Tatrzańskie.

W najbliższych miesiącach ma się ukazać mapa turystyczna części Beskidu Zachodniego od Cieszyna aż do Rabki, oraz najważniejszych terenów turystycznych Beskidu Wschodniego wydana przez Biuro Kartograficzno-wydawnicze „GEA“ w Warszawie pod patronatem i we współpracy z P. T. T.

Wydanie tej mapy wypełni bardzo dotkliwy brak mapy Beskidów.

11. „Tydzień Tatrzański“.

Podobnie jak w latach poprzednich urządziło P. T. T. w Zakopanem w sierpniu 1926 i 1927 roku w celach propagandy t. zw. „Tydzień Tatrzański“, zapoznający społeczeństwo z pracami i zadaniami P. T. T., a nadto zasilający jego fundusz na roboty w górach. Obok imprez zabawowych i dochodowych najważniejszą częścią programu Tygodnia były odczyty.

W 1926 r. odbyły się następujące odczyty: Dr. M. Swierz: „Stanisław Staszic w Tatrach“ i Seweryn Goszczyński na Podhalu“. Prof. Dr. Jan Gw. Pawlikowski: „Idea ochrony przyrody a Park Narodowy Tatrzański“. Prof. Dr. Stanisław Sokołowski: „Projekt terytorjalny Parku Narodowego Tatr w związku z gospodarką leśną i pastwiskową“. Prof. Dr. W.

Goetel: „Obecny stan prac wewnętrznych i międzynarodowych nad realizacją Parku Narodowego Tatrzańskiego“, Inż. Karol Stryjeński: „Rozwój Podhala a Park Narodowy Tatrzański“. Po odczycie Prof. Dr. W. Goetla odbyła się przechadzka na Gubałówkę celem przedstawienia w terenie projektu Parku Narodowego Tatrzańskiego, pod przewodnictwem Prof. St. Sokołowskiego i Prof. Dr. W. Goetla.

W czasie Tygodnia odbył się na werandzie Dworca P. T. T. wiec członków P. T. T. i gości z następującym porządkiem dziennym: a) zagajenie prezydium, b) aktualne zagadnienia turystyki górskiej, c) realizacja Parku Narodowego Tatr., d) wnioski. Wiec obok szeregu wniosków lokalnej natury uchwalił rezolucję popierającą w całej rozciągłości wszystkie prace, które zdążają do utworzenia w Tatrach Parku Narodowego.

W 1927 r. wygłoszono w czasie Tygodnia Tatrzańskiego następujące odczyty: Dr. Wacław Roszkowski: „Fauna wód Tatrzańskich“, Inż. M. A. Liberak: „Pasterstwo w Tatrach polskich“, Inż. M. A. Liberak: „Górnictwo i Hutnictwo w Tatrach polskich“. Wycieczka pod przewodnictwem Dr. M. Sokołowskiego z objaśnieniami: O krajobrazie roślinnym Tatr i jego ochronie. Cwiczenia pod przewodnictwem Dr. M. Swierza we wspinaniu się przy użyciu lin.

12. Wojewódzkie Komisje Turystyczne.

P. T. T. brało żywy udział w działalności Wojewódzkich Komisji Turystycznych w Krakowie, Kielcach i Stanisławowie, pozostających w kontakcie z P. T. T. przez miejscowe Oddziały. Komisja krakowska powzięła w ub. r. następujące ważniejsze uchwały: a) wdrożyć akcję w kierunku przyspieszenia uregulowania stosunków budowlanych w Zakopanem i innych uzdrowiskach i zażądać od Zarządów Klimatycznych przedłożenia do zaopiniowania projektu tymczasowych przepisów budowlanych, b) odnieść się do Okręgowej Dyrekcji Robót Publicznych w Krakowie o wystąpienie z wnioskiem w sprawie utworzenia funduszu regulacyjnego, c) przyjąć memoriał P. T. T. z 24/5 1926 w sprawach urzędzenia

Tatr i Podhala do wiadomości i zwrócić się do kompetentnych czynników o udzielenie postulatów memoriału jaknajwydatniejszego poparcia.

Działalność Komisji Stanisławowskiej jest bardzo ożywiona i różnolita, z uznaniem należy podnieść prace tej Komisji na polu ochrony przyrody.

Staraniem wojew. Komisji turystycznej w Kielcach i Pol. Tow. Krajoznawczego uzyskano na terenie tego Województwa pewne udogodnienia dla turystów, jak możliwość korzystania z kolejki leśnej z Zagnańska do Sw. Krzyża, otwarcie w okolicy Gór Świętokrzyskich schroniska Sw. Katarzyny w Małocinach, uzyskanie przyrzeczenia ze strony Radomskiej Dyrekcji Kolei Państwowych udzielenia lokalu na schronisko wycieczkowe w budynkach stacyjnych w Złotym Potoku i Małogoszczy, ofiarowanie przez Wojewódzką Komendę Policji Państwowej do dyspozycji turystów jednej ubikacji w Pieskowej Skale (Dolina Ojcowska), dla pomieszczenia wycieczek uzyskanie zgody ze strony Dyrekcji lasów państwowych na przyjmowanie turystów na noclegi w leśniczówkach w Przyciążu, Potoku, Grzymale, Zakruczu, w Słupi Nowej i w Podgórzu.

13. Prace propagandowe.

Członkowie Zarządu Głównego (głównie prof. W. Goetel, prof. K. Sosnowski, dr. M. Sokołowski) wygłosili w rozmaitych miejscowościach Polski i Czechosłowacji szereg odczytów o górach polskich ilustrowanych obrazami świetlnymi, które przyczyniły się do popularyzacji idei P. T. T.

Na zakończenie wspomnieć wypada o wyjeździe do Ameryki członka P. T. T., akademika Stefana Jarosza, który zaopatrzony w listy polecające P. T. T. wygłosił tam szereg popularnych odczytów o górach polskich urozmaiconych obrazami świetlnymi, śpiewami i tańcami i stały się podstawą do zyskania członków P. T. T. w Stanach Zjednoczonych. Wykłady te zyskały sobie wielkie uznanie.

E. Stofła

Sekretarz Zarządu Głównego P. T. T.

STOWARZYSZENIA i INSTYTUCJE.

Muzeum Tatrzańskie. — „Miłośnicy przyrody Tatr, tudzież przejawów etnograficznych i artystycznych, spostrzeganych w życiu ludu miejscowego, bądźto zwiedzający góry w miesiącach letnich, bądź stale spędzający czas w Zakopanem, a mianowicie: Prof. dr. Ignacy Baranowski, dr. Adam Bauer-

ertz, dr. Władysław Florkiewicz, Robert Herse, Henryk Kucharzewski, Władysław Kudelski, dr. Konstanty Karwowski, Michał Mutniański, prof. Antoni Słóarski, dr. Feliks Sommer, Adolf Scholtze, powzięli już oddawna myśl założenia w tej miejscowości Muzeum Tatrzańskie, przyrodniczego i etnograficzno-

artystycznego imienia prof. dra Tytusa Chałubińskiego, jednego z najgorliwszych i najkompetentniejszych krzewicieli zamięłowania i badania gór i tego ludu. Powyżej wymienieni udzielali sobie też pounie różnymi czasami zasad ustawy, mogącej zapewnić byt i rozwój przyszłego Muzeum Tatrzańskiego“.

Tym wstępem, pod datą 1888 r., rozpoczęto najstarszą księgę protokołów naszej instytucji, powołanej do życia jeszcze za czasów uczczonego nią „króla Tatr“ i w 1928 r. obchodzącej jubileusz 40-letniej działalności.

Czterdzieści lat! Wszakżeż to jedno ze starszych naszych muzeów, a z typu krajowawczych, regionalnych badaj czy nie najdawniejsze.

Z kartki za kartką notując materiał historyczny, z ksiąg protokolarnych i kasowych, z obfitej korespondencji i innych archiwaljów zestawiam przedewszystkiem lat owych czterdzieści z sumą włożonej energii i dobrej woli. I gdy czytam w protokole ostatniego Walnego Zgromadzenia własne wywody i uchwałę, aby nie urządzić jubileuszowej uroczystości, ponieważ Muzeum nie jest do tego przygotowane i nie stoi jeszcze na odpowiednim poziomie, zasługującym na rozgłośni pokazowy obchód, — wtedy te zestawienia uwydatniają się jaskrawo, wtedy na marginesie tej dysproporcji między ubiegłym czasem a tem, jak się przedstawia po tak długim okresie dzisiejsze Muzeum Tatrzańskie, powstają różne refleksje.

Oto z jednej strony — zdaje mi się — z czystym sumieniem można zawyrokoować, że w danych warunkach więcej zdziałać istotnie nie było można, że nie mało epizodów — choćby np. tylko budowa gmachu w nieprawdopodobnie trudnych okolicznościach — było znacznie większym dziełem, niż na to pozwalało ówczesne położenie. Maximum energii osiągnięto w każdym razie w niejednym ciężkim momencie w ciągu lat czterdziestu

Z drugiej strony — przy pełnem uwzględnieniu warunków bytu polskości w zaborze austriackim i warunków rozwoju samego Zakopanego w c. k. monarchji, przy wszelkiej wyrozumiałości dla powojennego zubożenia, dewaluacji i „ważniejszych potrzeb“ — nie można oprzeć się zdziwieniu, iż w tej osławionej „letniej stolicy“ Polski, tak ruchliwej i tak wybitną rolę odgrywającej w umysłowym i politycznym życiu narodu, tak odrębnej i malowniczej wskutek przyrodniczych i etnograficznych walorów, znajduję się muzeum, które po 40-tu latach istnienia wstydzi się urządzania rozgłośnego jubileuszu, ponie-

waż cierpi dotkliwie na brak niezbędnych muzealnych urządzeń i pokutuje za długą epokę zapoznawania wybitnych wartości naukowych i pedagogicznych — epokę, która — niestety — jeszcze nie minęła.

Może zbyt pesymizm przemawia przez dziejopisa jedynej wysokogórskiej naukowej placówki. A jednak może przecież w innem społeczeństwie inaczej wyglądałoby takie muzeum w tak ważnej okolicy po tylu latach zasłużonej pracy. Bo jego rozwój byłby przedmiotem troskliwszej opieki i ze strony tubylców i ze strony przyjezdnych, jeżeli już pominiemy czynniki rządowe.

Tyle dla wyjaśnienia, dlaczego nie urządzamy szumnego jubileuszu z ceremoniałem przeznaczanym dla takich uroczystości. Dorobek 40-lecia przedstawię w następnym roczniku „Wierchów“, a teraz przejdę do ubiegłego roku i bieżących zamiarów.

Naogół ostatni roczny okres należał do pomyślnych, a w porównaniu z poprzednim był o wiele, wiele lepszy. Zestawień porównawczych z latami 1923—1925 wołę całkiem nie robić. Kto ich ciekawy, niech kupi drugi rocznik naszego pisma i przeczyta obrazek Orkana o Kołtunie i kołtunach. Sapienti sat dla zrozumienia, co się wtedy działo w Muzeum.

Przetrawiliśmy jednak szczęśliwie twarde czasy, ogniową próbę wytrzymałości wśród sytuacji nieraz beznadziejnie rozpaczliwych, wśród lawirowania między wekslami i długami przy skąpych zasiłkach rządowych i samorządowych. Muzeum nie „rozlazło się“, a choć twórczą ekspansję zmniejszyło na rzecz dotkliwych finansowych zobowiązań, to jednak w znacznej ilości swoich agend nietylko utrzymało się na poziomie żywej placówki, ale i naprzd poszło w niejednym kierunku wcale nawet wydatnie. I tak np. zniechęcił wprawdzie zupełnie w latach 1923—1926 dział przyrodniczy, pozbawiony stałego kierownika, rozwinęła się zato znowu działalność wydawnicza, powiększyła okazańie biblioteka, dawniej ledwie w zaczątkach, gmach muzealny zyskał nowe otoczenie i liczne wewnętrzne urządzenia. Martwoży w każdym razie mimo niewesołego położenia nie było. Główny jednak wysiłek szedł ku oczyszczeniu instytucji z długów, gdyż ta kula u nóg hamowała cały rozmach. Celowość tej drogi okazała się jedyną, jak najlepiej dowodzi nasza obecna sytuacja i ponowne ożywienie Muzeum, nawet w pewnej niezależności od zwiększenia zasiłków władz centralnych i autonomicznych.

Wystarczy przyrzeć się cyfrom. Z dwu-

dziestu tysięcy długów spadamy w 1926 r. po latach „głodnych“ na jedenaście. W ciągu 1927 r. spłacamy znowu 3.300 zł z dawnych zobowiązań, czyli pozostaje do wyrównania już tylko 7.700 zł. I to właśnie pozwala nam zaciągnąć w u. r. nową pożyczkę w kwocie 5.000 zł., jednak już nie na spłaty starych zaległości, lecz wyłącznie na zakup muzealnych okazów. Mowy nie byłoby nawet o odważeniu się na ostatnio wymieniony finansowy zabieg, gdyby właśnie w poprzednich latach nie usunięto forsownymi spłatami niemal połowy ciężarów. A jednak próbowano kuć zarzut przeciw tej „polityce płacenia długów“! Widoczne jej rezultaty są teraz najlepszą obroną takiej właśnie gospodarki.

W obecnej chwili ma więc Muzeum 13.000 zł. długów, ale już nie do dziesięciu rąk, tylko do trzech, z czego jedynie 3.000 zł. jest zobowiązaniem prywatnym, reszta zaś należy się dwóm bankowym instytucjom. I ta oto korzystna już sytuacja pozwala nam myśleć o konwersji wszystkich pożyczek, o skupieniu w jedną długoterminową i opartą na wygodnych spłatach. Pomyślnie załatwienie tej akcji, będącej już w toku, byłoby niezwykłym odciążeniem i ukoronowaniem sanacji. Przy tej zaś okazji, o ile uda się uzyskać dobre warunki, pójdziemy poza ową kwotę potrzebną dla konwersji: mianowicie staramy się o taką sumę, która umożliwi kilka niezbędnych inwestycji budowlanych, np. pokrycie gontowego dachu blachą. Prosiłoby się założenie centralnego ogrzewania, jednak narazie nie udało nam się tak wielkiemu wydatkowi.

Nie potrzebuję z wdzięcznością dodawać, że na obecne finansowe położenie, jak widzimy, jeszcze ciężkie, ale już nie groźne, wpłynęła w dużej mierze pomoc Dep. Nauki w postaci nieco zwiększonych i regularnie wypłacanych zasiłków na administracyjne konieczności.

Na tem koniec ogólnemu pogładowi na ten „nervus rerum“, jakim są sprawy kasowe.

Kilka słów teraz o frekwencji. Ta rubryka jest dla nas pozycją pierwszorzędnego znaczenia. Bo od niej zależy przedewszystkiem możliwość spłacania długów, a dopiero pozostały zysk ze wstępów idzie na cele naukowe lub administracyjne. Dotąd długi zjadały prawie w całości ten dochód. Po raz pierwszy dopiero w u. r. niemal połowę opłat za bilety obróciliśmy na powiększenie zbiorów, przybory pracowniane, remonty gablot, urządzenia ciemni fotograficznej itd. Postęp w porównaniu z przeszłością widoczny.

Frekwencja wzrosła nieco. Jak co roku, idzie ta poprawa w parze z ogólnym zjazdem

gości do Zakopanego i narazie minimalnie zależy od reklamy, specjalnych wystaw itd. Mamy już w tym kierunku dostateczne doświadczenie. Ożywienie frekwencji przypada na „martwy“ wiosenny sezon i na okres wybieżek szkolnych t. j. czerwiec. Bo letnie miesiące nie wykazują większych zmian między 1926 a 1927 rokiem. Ogólna ilość sprzedanych biletów wstępu doszła w u. r.¹⁾ do 8.600 okrążyło licząc. W porównaniu z poprzednim rokiem, zwyżka wynosi 800 płatnych wstępów. Ponadto bezpłatne wstępy, które również mamy w ewidencji, wynoszą przeszło tysiąc.

Stałem niedomaganiem jest zimowy sezon. Od zwiedzania odstrasza nieopalane dostatecznie sale muzealne i lodownia w hallu. Dawniej wogóle nie opalało się sal, w u. r. postęp zaznaczył się i tutaj; co prawda bardzo skromnie i mocno problematycznie. Jedynym rozwiązaniem — centralne ogrzewanie, oczywiście nie parą, lecz gorącą wodą, w myśl muzealnych wymogów. Ale na taki „luxus“ musimy nieestety, jeszcze poczekać.

Za największy sukces trzeba uznać ponowne krowanie posady kustosa-przyrodnika. Brak kierownika przyrodniczego działu w Muzeum Tatrzańskim był faktem tak ujemnym, iż nie wymaga wyjaśnień i usprawiedliwienia nasze „ceterum censeo“, z jakim gdziekolwiek od trzech lat z rzędu podkreślaliśmy ten wakans. Skończył się on nareszcie dzięki specjalnemu zasiłkowi, udzielonemu przez Dep. Nauki. Powołany na stanowisko kustosa p. Janusz Domaniewski, b. kustosz Państw. Muzeum Przyrodniczego w Warszawie, jest znaną siłą naukową i w szczególną opiekę bierze dział zoologiczny. Od chwili objęcia posady zakreśliwszy jasny plan reorganizacji i powiększania zbiorów i powierzwszy specjalistom opracowanie czy skompletowanie poszczególnych części, konsekwentnie przeinacza swoją salę wystawową. Na uzyskanie jednak europejskiego poziomu potrzeba bardzo znacznych funduszy, przedewszystkiem na szafy i gabloty. Sam dział ornitologiczny potrzebuje ich kilka, a cóż dopiero entomologiczny, botaniczny, geologiczny i inne! Pewną pomocą jest zapewniona na 1928 r. subwencja Fundacji Kórnickiej, ale to drobniak wobec ogromnych potrzeb.

Jednocześnie zyskaliśmy fachową kierowniczkę dla części botanicznej zbiorów i dla alpinarjum w osobie p. Ireny Domaniewskiej. To też już w u. r. niewielka wapienna grupa skał z tatrzańską roślinnością przybrała od-

¹⁾ Rok administracyjny trwa u nas od sierpnia do sierpnia.

dawna niewidziana bujność i doczekała się systematycznego ugrupowania. W następnym okresie czasu alpinarjum ma się powiększyć o nowe grupy skalne, a dział botaniczny muzealny zyska przedewszystkiem na założeniu wielkiego zielnika tatrzańskiego.

Kustoszy-przyrodnik jest jednocześnie inspektorem spraw łowieckich, rybackich i ochrony przyrody w zarządzie dóbr zakopiańskich, gdzie jego działalność zaznaczyła się już dziś po krótkim urzędowaniu dodatnio. Tem samem jednak zyskuje i Muzeum, od kilku lat intensywnie współpracujące z Państw. Radą Ochrony Przyrody. Wytworzyła się jeszcze jedna więźba, łącząca obie organizacje.

Jak co roku, pełnem życiem tętni „hotel uczonych“. Tak się nazywają mieszkalne nasze pokoje na 2-em i 3-em piętrze, które bezpłatnie oddajemy do dyspozycji pracującym naukowo w Tatrach i na Podhalu. W samym wrześniu 1926 r. korzystało z tego swoistego, skromnie ale wygodnie umeblowanego sześciopokojowego asyumu, jedenastu biegłych w przyrodzie i etnografii tatrzańskiej myśliwych, w lipcu 1927 — ośmiu. Przewaga bezwzględna po stronie przyrodników. Poza temi najruchliwszymi letniami okresami, nie było miesiąca, iżby bodaj jeden badacz nie korzystał z „hotelu“. Umożliwia on pracę naukową w każdej porze. Myślę, że nauka polska będzie nam wdzięczna za ten wynalazek, opatentowany już od 1921 roku. Oby naśladowano go wszędzie przy muzeach i doświadczalnych stacjach! Znajac stan finansowy przeważnej części naukowych pracowników, bez chwały możemy sobie przypisać skromny udział w umożliwieniu im badań w drogiem Zakopanem dzięki istnieniu takiego punktu oparcia.

„Hotelarstwo“ zresztą stało się tak integralną częścią życia naszej instytucji, iż niewiadomo, czy kierownikowi Muzeum nie wypadałoby wstąpić do zakopiańskiego zrzeczenia „Gremjum właścicieli pensjonatów i hoteli“. Bo przecież jesteśmy od półtora roku posiadaczami „Siedziby Malarskiej“, będącej „pensjonatem dla malarzy“, o czem niżej nadmienię, a ponadto w niedługim czasie zdołamy się na własne schronisko w Tatrach, przeznaczone specjalnie dla pracowników naukowych jako punkt oparcia w badaniach terenowych i długotrwałych obserwacjach, np. meteorologicznych. Mianowicie tak już chlubnie w dziejach budowy gmachu muzealnego zapisana dr. Bronisława Dłuska ofiarowuje nam parcelę przy drodze do Morskiego Oka — którą spodziewamy się wymienić na dogodniejszą na Łysej Polanie — oraz

gotówkę, zebraną w Stanach Zjednoczonych ku uczczeniu pamięci zmarłej tam Heleny Dłuskiej. Z tem można zacząć budowę niewielkiego, ale praktycznie urządzonego drewnianego domu. Nie starczy wprawdzie owej gotówki na wykończenie budynku, ale przecież nie wątpliwy w pomoc społeczeństwa, zwłaszcza, w budowlanym materiale, który może mogłaby ofiarować nam Fundacja Kórnicka.

Na wyposażenie budynku i na wewnętrzne urządzenia nie wydaliśmy nigdy tylu pieniędzy od chwili wykończenia gmachu, jak w u. r. Prócz remontów, nowych pieców, — przy czem powoli zastępuje się dawne żelazne i ceglane kaflowemi — znacznego rozszerzenia sieci wodociągowej i elektrycznej, założenia stor w kilkunastu pokojach, uzupełnienia mebli, kupna „Elektroluxu“, nowych gąsienic itd., trwałym nabytkiem jest niezgorsza ciemnia fotograficzna, wyposażona w najkonieczniejsze przybory. Przydałby się do niej dla własnej produkcji powiększeń porządnym aparacie, jako uzupełnienie posiadanego już aparatu fotograficznego i do masowego kopiowania pocztówek. O aparacie filmowym, tak pożądanym dla etnografa, również trzeba pomyśleć.

Jak wspominałem, sprawa krycia dachu blachą, kaloryferu, dalej pokostowania okien i drzwi, oraz piorunochron, to najważniejszy nasz program budowlany na bliższą i dalszą przyszłość. A także kontynuacja robót terenowych koło budynku, więc podtrzymywanie trawników i obsadzenie otoczenia drzewami.

Biblioteka rośnie i rozpieiera szafy, ale daleko jej do wymarzonej zawartości. Brak jeszcze licznych taterniów, brak literatury o krajach przykarpaccich brak dzieł o innych terenach wysokogórskich np. alpejskich. Na prenumeratę czasopism ledwo starczy. W tych warunkach przedewszystkiem ma się na oku kompletowanie wydawnictw o Tatrach i Podhalu. Tutaj winniśmy wdzięczność wyrazić „Książnicy-Atlasowi“, oraz Oddziałom P. T. T. w Poznaniu, Warszawie i Wilnie za pieniądze dary, które pozwalają nam systematycznie uzupełniać obcojęzyczną literaturę tatrzańską. Dzięki temu posiadamy już teraz wcale pokażny zbiór druków, których niema w żadnej polskiej bibliotece. Na rok następny mamy także od katowickiego Oddziału P. T. T. obietnicę pomocy na ten właśnie dział biblioteczny.

Ogółem przybyło nam książek i broszur 230, z czego 71 zakupiono, resztę zaś otrzymano w darze i z wymian. Roczniki czasopism powiększyły się o kilkadziesiąt tomów, zbiór map o 26 egzemplarzy, wycinków ga-

zet o przeszło 500 sztuk; nadto trochę rękopisów i ulotnych druków. Najcenniejszą zdobyczą było zakupienie map tatrzańskich z biblioteki po J. Friedleinie, znanym krakowskim bibliofilu, oraz kilku wyczerpanych dzieł obcojęzycznych np. Uhliga.

Biblioteka była dotąd nieuporządkowana i w korzystaniu nastęczała trudności. Poprzedni więc rok poświęcono segregowaniu i ułożeniu zgrubsza, poczem zaproponowano Związkowi Bibliotekarzy Polskich (Kofu Warszawskiemu) umowę w sprawie fachowego skatalogowania. Urlopowanych członków w miesiącach poza letnim sezonem kieruje Związek do Muzeum, my zaś dając pokój z opałem i światłem, oraz zwrot kosztów podróży dochodzimy do bibliotecznych katalogów i celowego porządku w księgozbiorze. W ten sposób w ciągu roku pięć bibliotekarek kolejno doprowadzało naszą bibliotekę do ładu, sygnowało książki, sporządzało katalog kartkowy, eliminowało dublety itd. W tym roku zamierzamy kontynuować ten system, przerywamy chwilowo z powodu czasowych oszczędności.

Z okazji tych porządków przesłaliśmy licznym instytucjom naukowym i bibliotekom paręset dubletów lub książek, oddanych nam do dyspozycji, a treścią nienadających się dla naszej biblioteki. Bo zasadniczo przyjmujemy każdy dar, czy w książkach czy w okazach, niemający nic wspólnego z naszym regionem i potrzebami naszego księgozbioru, byle tylko ofiarodawca zgodził się na celowe umieszczenie owego daru, t. j. na odstąpienie właściwej instytucji. Bywały w tych dubletach i książkach i druki zagraniczne z XVII w., bywały i najnowsze dzieła. Sprzedaż byłaby napewno korzystniejsza dla nas niż przekazywanie, przeważnie nawet bez wymian, instytucjom, a jednak sądzę, że opróżniając magazyn w podany powyżej sposób, oddajemy większą usługę pracującemu naukowo światu.

Niewiele zwiększył się zbiór klisz, fotografii, pocztówek, rycin i rysunków. W każdym razie i tu figuruje kilkadziesiąt nabytków. Co do klisz, fotografii i dżapoztywów, to posiadając własną pracownię fotograficzną, jesteśmy na najlepszej drodze ku rozrostowi tak niezbędnych kolekcji. A w ślad zatem pójść musi własna produkcja pocztówek o specjalnej treści.

O dziale przyrodniczym dopiero następny rok działalności niedawno przybyłego kustosa-przyrodnika pozwolił obszernie pomówić. Praca już się tu posunęła, roboty rozdano specjalistom, niewielką dotację włożono w ga-

bloty. Rzecz w dobrych rękach i na dobrej drodze.

Natomiast dział etnograficzny, i dzięki osobnej subwencji Dep. Nauki na gabloty, i wskutek kilkutyśięcnej pożyczki poszedł znacznie naprzód. Okazów przybyło 357, z czego same kupna wynoszą 288 sztuk. Reszta przypada na dary, m. i. zbiorowy dar górali z podtatrzańskiej wsi Bukowiny w liczbie 15 przedmiotów. Cennym nabytkiem jest zbiór dyr. Stanisława Barabasza z doborowymi obrazami na szkłe, łyżnikami i ceramiką.

W obecnej chwili niektóre działy zbiorów etnograficznych skompletowaliśmy już tak bogato, iż odtąd będziemy nabywać tylko wyjątkowe okazy. Tyczy się to np. łyżników, ceramiki, sprzączek metalowych, obrazów na szkłe i instrumentów muzycznych. Wyjątkowym zaś okazem nazywam nietylko zabytek, odznaczający się niezwykłą pięknnością czy osobliwszą techniką wykonania, ale i taki, który albo rzuca nowe światło na dany dział, albo stanowi geograficzne uzupełnienie kompletu, lub też kompletuje rzadki typ, czy typ jeszcze nieposiadany itd. itd. Celową zaś uwagę poświęcimy odtąd zbieraniu przedmiotów, odnoszących się do codziennego życia, do różnorodnych zajęć, obrzędów i zwyczajów, dalej kolekcjom strojów we wszystkich lokalnych odmianach, budownictwu i meblarstwu. Teki ikonograficzne i fotografie odegrają w tym planie znaczną rolę. Były tylko na nie, na kupno i podróże po zapadłych kątach zdobyć konieczny fundusz.

Salę etnograficzną oczekuje walna reorganizacja w ciągu najbliższych miesięcy. Oto nareszcie otrzyma ona kilka niezbędniejszych gablot, dotąd bowiem ani szafeczki w niej nie było. Ten nieoszacowany nabytek jest już na ukończeniu, poczem po ponownej selekcji między dawnym zasobem a świeżymi zdobyciami w okazach, po zmniejszeniu pewnych grup, a rozszerzeniu lub założeniu innych, wprowadzi się odmienny układ, nowe napisy i objaśnienia, a w konsekwencji i drukowany przewodnik.

Łącznie z temi pracami postępuje inwentarz zbiorów, sporządzany oczywiście przez specjalistów.

Wzrost zainteresowania etnograficznym działem i wykorzystanie dawnej sztuki góralskiej, są coraz bardziej widoczne. Zwłaszcza ceramika, rzeźba ornamentacyjna, hafty i wyszycia dostarczają stale wzorów przemysłowi artystycznemu. Pocieszającym przytem objawem jest to, iż nie powstają z tych ludowych pomysłów jedynie „robotki“ zakopiańskie, różne „pamiątki“, przerażające „wy-

twornością“ i „stylem“, ale i rzeczy poważne i wartościowe, t. zn. na pewnym poziomie artystycznym, nieraz bardzo wysokim. Wymieniam więc wytwórczość Szkoły Przemysłu Drzewnego i ceramiczne wyroby Stanisława Sobczaka.

Tworzymy także dział turystyczny. Jesteśmy narazie jedynym muzeum w Polsce, w którym musi taki zbiór eksponatów powstać. Będzie on jedną z osobliwości naszej instytucji i raz zapoczątkowany, wzrośnie niewątpliwie szybko. Na początek znajdują się w nim zbiory Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego i wyekwipowanie szeregowa Kompanii Wosokogórskiej, która przeciw należy również do specjalności Podhala. Gabloty dla przechowania tych przedmiotów są również już na ukończeniu, a wykonuje się je z zasiłku Referatu Turystyki w M. R. P. Sprawa szybkiego i efektownego rozrostu całego tego działu zależy jedynie od wymienionej władzy i jej kierownika dra Mieczysława Orłowicza, gdyż na ten cel przy największych nawet oszczędnościach pieniędzy zarezerwować nie możemy z dotychczasowych dochodów.

Przemysł artystyczny współczesny, pojęty przedewszystkiem jako stała ruchoma wystawa i pokaz, co i jak Zakopane produkuje, dział historyczny i pamiątek, regionalna galeria obrazów, to jeszcze postulaty do urzędującym. I tym działom przybywa rok w rok jakiś okaz, jednak do uruchomienia daleko. Zwłaszcza ostatni z wyliczonych projektów, doborowy zbiór obrazów i rzeźb, wymaga dużych wkładów, o których Muzeum obecnie marzyć nawet nie może.

Ale i druga okoliczność stanie na przeszkodzie. Oto już dziś daje się we znaki ciasnota budynku i niewykonalność racjonalnego rozmieszczenia działów. Perspektywa „dobudówki“, conajmniej dwa razy tak obszernej jak dzisiejszy gmach, staje się coraz bliższą.

Wydawniczą działalność zaznaczyliśmy dwoma dziełkami. Jedno po bibliofilsku, na luksusowym papierze i w ograniczonej ilości egzemplarzy wydane, jest zarysem badań nad muzyką Podhalańską prof. dra Adolfa Chybińskiego, najkompetentniejszego znawcy przedmiotu. Tę broszurę ofiarowaliśmy jako pamiątkowy dar uczestnikom II Zjazdu Stowiańskich Geografów i Etnografów w Polsce podczas wycieczki kongresu do Zakopanego¹⁾, Wycieczka ta, zorganizowana z naszą po-

¹⁾ Adolf Chybiński: „O muzyce górali podhalańskich“. Zakopane 1927. Wydawnictwa Muzeum Tatrzańskiego Nr. 3. Tytuł także francuski i streszczenie francuskie na osobnej kartce.

mocą, wypadła znakomicie, urozmaicił ją zaś pokaz muzyki i tańców góralskich. Drugim wydawnictwem, przy częściowym finansowym współudziale „Związku Podhalań“ jest dra Juliana Krzyżanowskiego rzecz o Orkanie, wiążąca się z tegorocznym jubileuszem poety. Pierwszy to wogóle literacki portret Orkana²⁾, więc tem więcej zyskuje na wartości sumienne studjum.

Obecnie przy pomocy Kasy im. Mianowskiego drukują się prof. dra Teofila E. Modelskiego „Spory o południowe granice djecezi krakowskiej od strony Spisza (od XII do XVIII w.)“, poczem z kolei wydamy dr. Wandy Szymańskiej rozprawę o Podhalu w dziełach Witkiewicza i Tetmajera. Wreszcie pierwszą broszurę z zakresu przyrodniczej wiedzy, mianowicie bibliografię botaniczną tatrzańską pod redakcją kustosz przyrodnika, w związku z przyszłorocznym Międzynarodowym Kongresem Botaników w Polsce i jego wycieczką w Tatry, a na koszt organizacyjnego komitetu.

Są i inne rękopisy do dyspozycji, ale póki jeszcze nie zdobyto na wydanie pieniędzy, trudno przyrzekać ich wcielenie do naszych wydawnictw. Prosi się także o uruchomienie zapowiedziana dawno „Biblioteka Podhalańska“, w której skład wejdzie pięć popularno-naukowych przyrodniczych przewodników po Tatrach. Na ten cel byłyby fundusze, byle tylko autorowie zechcieli skończyć zamówione rękopisy.

Z wydawnictwami zachodzi poważna trudność: brak środków na systematyczne i programowe wypuszczanie tomików na półki księgarskie. Stałego funduszu na ten cel nie mamy i zależyśmy jedynie od przypadku. Obchodzi Kasprowicz i Orkan jubileusz, wnet znajdzie się jakaś subwencja na książkę w gminie czy w komisji uzdrowiskowej; odbywa się międzynarodowy kongres — na wydawnictwo łoży komitet organizacyjny czy lokalny komitet przyjęcia wycieczki. Ale zato historyczna rozprawa o południowych kresach tatrzańskich czeka kilka lat w rękopisie, zanim gdzieś wykołata się na jej druk zasitek. Cenne etnograficzne materiały od trzynastu lat czekają na wydanie, gdyż jubileusz nie obchodzi i nikt nie myśli na nie łożyć. Podobnie jest z przyczynkiem geograficznym, na który od roku szukam subwencji u władz autonomicznych, podobnie z kilku innymi naukowymi rozprawami. Wszystko narazie za-

²⁾ Julian Krzyżanowski: „Pieśniarz krainy kępi i wiecznej nędzy. Rzecz o Władysławie Orkanie“. Zakopane 1927. Wydawnictwa Muzeum Tatrzańskiego Nr. 4. Tytuł i streszczenie po francusku.

leży od przypadku, czy to od uroczystości, czy od zainteresowania tematem tego lub owego posiadacza kapitałów. W tych warunkach trudno o programowe wykonywanie planu. A obejmuje on nie tylko rozprawy, ale i opracowania materiałów, katalogi, bibliografię, roczne sprawozdania działalności — niezależnie od „odświętnych okazji”.

Ostatecznie można być zadowolonym, że się wogóle coś wydaje. Przecież wydawnictwa, to jeden z dowodów żywotności, nie mówiąc już o nich jako o środku wymiennym dla powiększenia biblioteki. Jeżeli zaś do wydanych dotąd numerów z zakresu historii, etnografii i krytyki literackiej dojdzie pierwszy numer przyrodniczy, nasze wymienne stosunki rozszerzą się znacznie, jeżeli już pominiemy nowy dowód ekspansji.

Z projektowanych wystaw nie doszła żadna do skutku. Robiliśmy wszystko, aby urządzić wystawę narciarską w zimie, a kartograficzną (o nowej mapie Tatr) w lecie. Głównie odmowy subwencji unicestwiły na ten rok nasze plany. Pocieszamy się jednak, że Pol. Związek Narciarski solennie przyrzekł pamiętać o funduszach na zimową wystawę, a Komisja Delimitacyjna Spisko-Orawska również nie wyrzeka się obiecanej dawno pomocy na pokaz prac swoich kartografów.

Prócz tych wystaw z inicjatywy komitetu organizującego Międzynarodowy Kongres Botaników w Polsce, odbędzie się w Muzeum podczas wycieczki kongresistów do Zakopanego kilkudniowy pokaz botanicznej literatury tatrzańskiej.

Współdziałanie z Państw. Radą Ochrony Przyrody kontynuowaliśmy znacznie intensywniej niż w poprzednich latach. Bo kustosz przyrodnik — i z tytułu swoich zajęć w Muzeum, i z tytułu jednoczesnego kierownictwa sprawami ochroniarskimi, łowieckimi i rybactwami w Fundacji Kórnickiej, jest przede wszystkim powołany do współpracownictwa z P. R. O. P., i do zastępowania jej na tutejszym gruncie. To też ten jedynie celowy podział pracy wydaje już poważne rezultaty. Czysto administracyjny zaś kolportaż ogłoszeń ochroniarskich, reklama uliczna, po schroniskach i diapozytywami w kinie pozostały nadal zajęciem kierownika Muzeum, jak i gromadzenie bibliograficznych materiałów dla użytku „Ochrony Przyrody”.

Jak kustosz-przyrodnik z urzędu współpracuje z P. R. O. P., tak znowu w sprawie ochrony zabytków na Podhalu, Spiszu i Orawie kustosz-etnograf ma współdziałać z wojewódzkim konserwatorem zabytków przeszłości. Jednym z najważniejszych postula-

tów w tym kierunku, to uzupełnianie inwentaryzacji zabytków na wymienionych obszarach. Skąd jednak zdobyć fundusze na wyjazdy i kontrolę, skoro wszystkie dochody Muzeum nie starczą nawet na konserwację własnego budynku?

W ciągu ostatnich lat mieliśmy sposobność kilka razy wpłynąć na remont zagrożonych pamiątek przeszłości, np. na naprawę drewnianego kościółka w Trybszu, przyczyniając się przytem pewną kwotą do wykonania jego pomiarów i zdjęć. Obecnie alarmujemy o opiekę nad starym zakopiańskim kościołem i cmentarzem, zaniedbanym haniebnie. Szturmowaliśmy także do tej samej władzy, t. j. do gminy, o naprawę pomnika Chałubińskiego przez całe dwa lata, nawet z pomocą prasy, aż wreszcie nie doczekawszy się wyniku, własnym kosztem doprowadziliśmy pomnik do dawnego stanu. Ale co pomnik, to nie kościół i cmentarz. Więc jeszcze raz na tem miejscu przypominam zakopiańskiemu samorządowi obowiązek zajęcia się temi obiektami.

W stałym kontakcie jesteśmy również ze Stacją Meteorologiczną, która opróżniła już w ub. roku zajmowany przez siebie pokój w Dworcu P. T. T. i przeniosła się w całości do muzealnego budynku. Jedynie dwie klatki meteorologiczne pozostały jeszcze na dawnym miejscu, t. j. w ogrodzie P. T. T. oraz wiatromierz na szczycie wieży Dworca. Stałe staramy się interwenjować na rzecz te ruchliwej placówki w sprawach finansów i udogodnień, o dotacje na przyrządy, wyposażenie pracowników i powiększenie liczby obserwatorów.

Możnaby jeszcze sporo napisać pod rubryką „Różne“, czy to o ubiegłych czynnościach, czy też o planach na przyszłość, których nie spuszcza się z oka, jak np. rozbudowa terenów dookoła Muzeum w związku z przyszłym powiększeniem gmachu i rozszerzeniem alpinarium, jak dawny i dotąd nieudały projekt przeniesienia drewnianego kościółka wiejskiego na grunt obok naszego budynku, jak postawienie zagrody góralskiej, szafasu i t. d. Dość jednak zaznaczyć tylko, iż o tem myślimy, a dopiero po zrealizowaniu zamiarów pochwalimy się gotowem dziełem.

Wypada nakoniec podkreślić, że „władze“ muzealne pracują w najlepszej harmonii i wzajemnie sobie pomagają. Łącznie między Kuratorjum a personelem wytworzyła się ścisła i ku prawdziwemu pożytkowi dla instytucji.

* * *

„Siedzibę Malarską“ ufundowała z końcem 1925 r. p. Alicja Mińska, zakupiwszy dla jej pomieszczenia willę przy ul. Kościelnej. Pełna nazwa brzmi obecnie: „Siedziba Malarska im. Alicji i Zygmunta Mińskich przy Muzeum Tatrzańskim“.

Fundatorka interesując się żywo dola malarzy, zwłaszcza początkujących, po odnowieniu i wyposażeniu budynku w niezbędne urządzenia, stworzyła wieczystą fundację, niosącą pomoc słuchaczom uczelni sztuk pięknych w Polsce. Przeznaczona przez p. Mińską środki zapewniają czterem naraz malarzom, przedewszystkiem uczniom, zupełnie bezpłatny pobyt wraz z całkowitem utrzymaniem na przeciąg sześciu tygodni, które artyści obracają zarówno na studia górskiego pejzażu, jak i na wypoczynek w otoczeniu Tatr. Po sześciu tygodniach przybywa nowa partja lokatorów. Ponadto statut fundacji przewiduje trzymiesięczny pobyt dla malarzy, którzy ukończyli studia. W ten sposób użyteczna instytucja, jedyna w całym kraju w tym typie i dlatego też zasługująca na poparcie Departamentu Sztuki, miała w ciągu dwóch lat około 40 pensjonariuszy. Obowiązkowo każdy z nich musi wzamian za gościnę zostawić w „Siedzibie“ obraz własnego pendzla. Co kilka lat najlepsze zostaną wybrane jako zaczątek przyszłej zakopiańskiej galerji obrazów, resztę zaś spienięży się na dochód instytucji. Okres od połowy listopada do końca grudnia jest przeznaczony na remonty domu i urzędzeń. W tym czasie lokatorów w „Siedzibie“ niema.

Aby zapewnić fundacji trwałą rozwój i opiekę, p. Mińska uczyniła z niej darowiznę na rzecz Muzeum Tatrzańkiego. Zarówno fundusze i ich nienaruszalność na inne cele, jak i skład osobnego kuratorjum, normuje odrębny statut. W ten sposób „Siedziba“ tworzy zupełnie autonomiczną jednostkę, opartą na specjalnej ustawie. Bezpośrednio zarządza nią administratorka obecnie p. Kazimiera d'Alfonsowa, kierująca instytucją z wielką starannością. Z ramienia kuratorjum fundacji stara się być pomocnym administratorem kierownik Muzeum.

Juljusz Zborowski.

Tatrzańskie Pogotowie Ratunkowe. — W organizacji Tatrzańkiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego zaszła w bieżącym roku doniosła zmiana. Dnia 22 czerwca 1927 roku na Walnem Zebraniu członków T. O. P. R. uchwalono jednogłośnie fuzję z Polskiem Towarzystwem Tatrzańskim, przez co T. O. P. R. staje się sekcją P. T. T. Myśl

fuzji T. O. P. R. z P. T. T. powstała w łonie P. T. T. i była na Walnym Zjeździe delegatów P. T. T. we Lwowie jednogłośnie przyjęta. Za fuzją przemawiały te względy, że T. O. P. R. jest bardzo ściśle z P. T. T. związane, otrzymuje od P. T. T. bezpłatnie lokal, członkowie T. O. P. R. rekrutują się w całości prawie z członków P. T. T., działalność zaś T. O. P. R. na terenie Tatr zbliża jedną instytucję do drugiej. Dla określenia prawnego stosunku T. O. P. R. do P. T. T. wybrano specjalną komisję, mającą wypracować i wprowadzić w życie zmianę statutu T. O. P. R.

T. O. P. R. interwenjowało w br. w trzech wypadkach górskich. Dnia 9. VIII. 1927 udzieliło pomocy p. Oldze Łukaszewiczówniej przy zejściu z Ciemniaka do dol. Kościelskiej w wąwozie „Kraków“, gdzie p. Ł. wskutek osłabienia utknęła. T. O. P. R. zniósło ją na Halę Tomanową, żkąd przewiezioną została kołmi do Zakopanego.

Druga wyprawa odbyła się po ś. p. Mieczysława Szczukę, art. malarza, który dnia 13 sierpnia wybrał się z towarzyszami Jerzym Ramertem i Tadeuszem Piechowiczem na Zamarłą Turnię, gdzie uległ tragicznemu wypadkowi. Prawdopodobny przebieg katastrofy był następujący: przy wspinaniu się na południową ścianę Zamarłej Turni J. Ramert, niedbale asekurowany przez idącego przodem Szczukę, odpadł od skały pociągając za sobą Szczukę. Szczuka upadł na piarg z wysokości około 70 m, ponosząc śmierć na miejscu, Ramert zaś szczęśliwym zbiegiem okoliczności, spadłszy z wysokości około 40 m poniósł tylko silne potłuczenia na całym ciele. Trzeci towarzysz nieszczęśliwej wycieczki stał najniżej i widząc moment upadku swych kolegów, z wielką przytomnością umysłu starał się umocować linę, przez co zmniejszył siłę upadku Ramerta i ocalił mu życie, uległ jednak wskutek silnego tarcia liny oparzeniu obu dłoni. T. O. P. R. zawiadomione o wypadku telefonicznie od Wogospadów Mickiewicza udało się niezwłocznie na miejsce, zniósło rannego Ramerta do schroniska przy Pięciu Stawach Polskich, zaś zwłoki ś. p. Szczuki przetransportowało do Zakopanego, gdzie na trzeci dzień odbył się pogrzeb przy współudziale wielkiej ilości turystów. Należy nadmienić, że ś. p. Szczuka należał do bardzo wybitnych spinaczy i miał za sobą szereg niezwykle trudnych przejść.

Trzeci wypadek, gdzie T. O. P. R. interwenjowało, miał miejsce przy Niżnym Ciemnosmreczyńskim Stawie. P. Jadwiga Suderska zwichnęła nogę i została przez T. O. P. R. zniesiona przez Wrota Chałubińskiego do

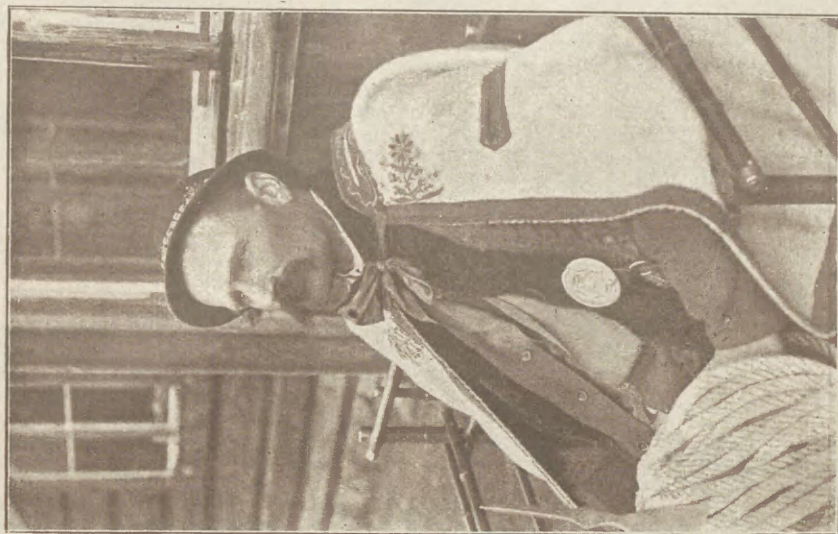
DWAJ ZNAKOMICI PRZE WODNICY TATRZAŃSCY



JAKÓB WAWRYTKO

odznaczony medalem zasługi za ratownictwo

Fot. J. Oppenheim



JĘDRZEJ MARUSARZ

Fot. J. Oppenheim

Morskiego Oka, zkąd samochodem przewieziono ją do Zakopanego.

Koszta ekspedycji ratunkowych pokrywa T. O. P. R. przeważnie własnymi środkami, na co otrzymuje subwencje. I tak w br. otrzymało T. O. P. R. 1000 zł od Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych, 1000 zł od Zarządu Uzdrawiska Zakopane, 1000 zł od Ministerstwa Robót Publicznych, (referat turystyki), 100 zł od Pol. Tow. Tatr.; nadto Polski Komitet Pomocy dzieciom (Dr. M. Gromski) nadał bezinteresownie większą ilość medykamentów i środków opatrunkowych na cele T. O. P. R., za co Zarząd T. O. P. R. składa na tem miejscu serdeczne podziękowanie.

I. B.

Karpackie Towarzystwo Narciarzy w r. 1926/7. — Towarzystwo to, będące najstarszym zrzeszeniem narciarskim w Polsce, obchodziło ubiegłej zimy swoje 20-lecie, dla uczczenia którego urządzono we Lwowie, w dniach 22 i 23 stycznia ze współudziałem zawodników zakopiańskich, zawody w biegu i skoku.

Ubiegła zima okazała się dość niekorzystną dla narciarstwa albowiem pokrywa śnieżna była przez cały czas skąpa i znikła już wczesną wiosną. Z tego powodu ruch wycieczkowy poza okolicą Sławska był słaby. Z inwestycji wymienić należy przebudowę skoczni na Zniesieniu, która przedstawia się dziś poważnie i umożliwiła urządzenie kilku konkursów ze współudziałem skoczków zagranicznych. Zawodnicy towarzystwa startowali w wielu zawodach krajowych i zagranicznych. Szczególnie podnieść należy sukcesy p. Janiny Loteczkowej, która zdobyła mistrzostwa: Francji, Czechosłowacji, Austrii i Polski. Członków liczyło około 200. Szczegóły znaleźć można w Sprawozdaniu K. T. N. za rok 1926/7 (Lwów, 1927, cena 1.50 zł.), które zawiera prócz części sprawozdawczej ponadto artykuły „Udała wycieczka“, T. Owieńskiego, „Tereny narciarskie w Gorganach Zachodnich“ — A. Lenkiewicza, „Wskazówki dla treningu w biegach długich“ — Thorleifa Aasa, „Fotografia zimowa w górach“ — A. Lenkiewicza, jakoteż liczne fotograficzne zdjęcia krajobrazowe w dobrych reprodukcjach.

K.

Powszechny Uniwersytet Regionalny im. St. Witkiewicza w Zakopanem. — Regionalne wartości Podhala zostały już przed laty odkryte i są odąd propagowane przez dość licznych działaczy.

Od roku 1925 przybywa nowa placówka, Wierchy V.

która stawia sobie za zadanie szerzyć i pogłębiać znajomość bogatych właściwości kulturalnych Podhala. Jest to Powszechny Uniwersytet Regionalny im. Stanisława Witkiewicza, założony w Zakopanem przez Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych.

Co roku — w czasie letnich wakacyj — urządza P. U. R. im. Witkiewicza kursy uniwersyteckie, poświęcone Podhalu, a urozmaicone wycieczkami w góry. Z różnych stron Polski jeżdżą się na ten okres dla wysłuchania wykładów przedewszystkiem nauczycielstwo szkół powszechnych, choć nie brak przedstawicieli i innych zawodów.

Dotąd omówione zostały następujące tematy:

a) antropogeografia Polski ze szczególnem uwzględnieniem Podhala — dr. August Zierhoffer;

b) geologia Tatr i Podhala — prof. dr. Walery Goetel;

c) flora Podhala — dr. Marjan Sokołowski;

d) historia Podhala — dr. Stanisław Arnold;

e) sztuka ludowa na Podhalu — dr. Stanisław Świerż;

f) język ludowy Podhala — prof. dr. Kazimierz Nitsch;

g) etnografia Podhala — Seweryn Udziela;

h) literatura podhalańska — prof. Leon Płoszewski;

i) muzyka na Podhalu — Stanisław Mierczyński;

j) Park Narodowy w Tatrach — prof. dr. Stanisław Sokołowski.

Nadto w czasie kursów poświęcono szereg wykładów Stanisławowi Witkiewiczowi, jako twórcy regionalizmu podhalańskiego. Prof. dr. Kazimierz Kosiński w cyklu wykładów p. t. „Stanisław Witkiewicz i styl zakopiański“ omówił biografję, poglądy estetyczne, społeczno-polityczne i etyczne Stanisława Witkiewicza. Prof. dr. Jan Gwalbert Pawlikowski na tle wspomnień osobistych mówił o stopniowym rozwijaniu się świadomości odrębności i wartości regionalnej Podhala i o znaczeniu dzieła Witkiewicza. Major Tadeusz Kornitowicz mówił o „Stanisławie Witkiewicz i o ludzie podhalańskim“ oraz o „Witkiewicz i Tatrach“. Prof. dr. Mieczysław Limanowski — o „Witkiewicz i Podhalu“.

Prócz tego Zarząd Sekcji Powszechnych Uniwersytetów Regionalnych Z. P. N. S. P. zorganizował w Warszawie Komitet Witkiewiczowski, który urządził w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych wystawę obrazów Stanisława Witkiewicza oraz Akademię ku ucz-

czeniu jego pamięci. Równocześnie Komitet wydał drukiem „Bibliografię Stanisława Witkiewicza“, opracowaną przez majora Tadeusza Kornilowicza i prof. Kazimierza Kosińskiego, oraz tego ostatniego odczyt syntetyczny p. t. „Stanisław Witkiewicz“; nadto zorganizowano pracę nad wydaniem „zeszytu kościelnego“ Stanisława Witkiewicza w opracowaniu prof. Gosienieckiego.

Działalność Uniwersytetu Regionalnego im. St. Witkiewicza, służąc rozszerzeniu i pogłębieniu znajomości Podhala, ma równocześnie na celu zachęcić do podobnej działalności w innych okolicach Polski.

„Odrodzenie“ w Zakopanem. — Jedną z najwięcej zasłużonych instytucyj w walce z gruźlicą jest: Zakopiański Dom Zdrowia „Odrodzenie“.

Instytucja ta powstała przed czternastu laty dzięki poświęceniu się i ofiarności p. Klary Jelskiej i grupie osób jej blizkich. Duszą całego zakładu do dziś jest jeszcze ta cicha, promienna postać, pracująca wytrwale nad dziełem przez siebie ukochanem. Pomaga w tem dzielnie prezes p. Franciszek Kosiński, dzięki niemu zakład stale się rozwija i wzbogaca w najnowsze środki w walce z gruźlicą...

„Odrodzenie“ obecnie to duże sanatorium, kurujące przeszło 60 osób płci obojga. Przyjmuje się tam młodzież niezamożną wszystkich stanów i zawodów, w miarę możliwości przychodzi z pomocą najbiedniejszym i tym sposobem przysparza Polsce dzielnych i zdrowych obywateli. Sanatorium „Odrodzenie“ przeszło w okresie wojny ciężki kryzys finansowy, ale wyszło z tego zwycięsko i w tym roku przystąpiło do budowy nowego gmachu, odpowiadającego urządzeniem wymogom dzisiejszych sanatorjów.

Naczelnym lekarzem i dyrektorem Zakładu jest dr. Zychon, znany specjalista w chorobach płucnych. Lekarzem mieszkającym w Zakładzie jest dr. Lotocki, pełen inicjatywy, energii i umiłowania swego zawodu. Sanatorium posiada lampę kwarcową, dwa laboratoria i własny aparat Roentgena. Tym działem zajmuje się dr. Hugon Karwowski i dr. W. Jasińska.

A nad ciągłością tej pracy i prawie nad każdym z młodocianych pacjentów potrzebujących oprócz leczenia i serdecznej opieki, czuwa p. Klara Jelska — znajdując w swem sercu niewyczerpany skarb dobroci kobiecej...

I w tej dobroci tkwi tajemnica rozwoju tak potrzebnej tu instytucji... *K. B.*

Dom Zdrowia „Pomoc Bratnia“ w Zakopanem (za czas 1900—1927 r.).

— Zaobserwowane katastrofalne szerzenie się gruźlicy między młodzieżą akademicką skłoniło jeszcze w r. 1900 szereg ludzi dobrej woli i grupę chorej młodzieży do powołania do życia „Tow. Domu Zdrowia uczącej się młodzieży polskiej Pomoc Bratnia“, oraz do założenia Domu Zdrowia w Zakopanem. Była to jedna z pierwszych placówek dla walki z gruźlicą i pierwsze sanatorium w Polsce, oparte na zasadach samopomocowych o charakterze społecznym.

Nader ciężkie warunki finansowe, zagrażające niejednokrotnie bytowi zakładu utrudniały jego rozwój. Jedynie dzięki wytrwałej i ofiarnej pracy szeregu jednostek należy zawdzięczać, iż z dotychczasowych dorywczyczych siedzib sanatorium przeniosło się w r. 1912 na Gubałówkę do własnej pięknej posiadłości z 6-ciomorgowym parkiem, gdzie wzniesiono 2 budynki mieszkalne na 15 łóżek i budynek gospodarczy.

Z wybuchem wojny ówczesny Zarząd Główny „Tow. Domu Zdrowia Pomoc Bratnia“ oddał Zakład na użytek szpitala dla legionistów, zapewniając w ten sposób troskliwą opiekę przynajmniej części chorych i rannych legionistów, tułających się dotąd po austriackich szpitalach. Inicjatorem tego czynu i kierownikiem szpitala był ówczesny prezes Tow. dr. Kazimierz Dłuski. Rolę tę spełniał zakład z przerwami do listopada 1925 r., poczem otwarto ponownie sanatorium dla uczącej się młodzieży.

W roku 1921, po rozwiązaniu się dawnego Tow. Domu Zdrowia zakład przeszedł na własność Ogólnopolskiego Związku Akademickich Bratnich Pomocy, zaś w r. 1924 administrację zakładu z ramienia tego związku objęła Rada Naczelna Pomocy Młodzieży Akademickiej w Warszawie i stan ten pozostaje po dzień dzisiejszy. Dzięki finansowej pomocy Rady Naczelnej przeprowadzono remont budynków, zaprowadzono instalacje lekarskie (laboratorium, Roentgen, kwarcówka itp.) i podniesiono Zakład z jego powojennego upadku na poziom racjonalnie prowadzonego sanatorium.

Za 25 lat swego istnienia Dom Zdrowia uratował wielu ludzi, którzy się bardzo przydadali naszemu młodemu państwu w jego ciężkich chwilach. Między byłymi kuracjuszami znajdujemy nazwiska wicepremiera Bartla, gen. Litwinowicza i wielu innych dziś ludzi wybitnych. Szereg faktów dowodzi niezbitnie niezmiernie dużej wartości tej zasłużonej placówki, która rozporządzając jednak zaled-

wie 50-ma miejscami nie może zaspokoić dzisiejszego zapotrzebowania 36.000-cznej rzeszy akademickiej, wśród której conajmniej 1.500 choruje na gruźlicę wymagającą sanatoryjnego leczenia.

Za inicjatywą Koła Przyjaciół Akademika w Zakopanem, którego prezesem jest dr. Józef „ychoń, a z okazji 25-ciolecia Domu Zdrowia odbył się w dniu 4 stycznia 1927 r. Zjazd jubileuszowy w celu zorganizowania walki z gruźlicą wśród młodzieży akademickiej. W Zjeździe tym wzięli udział między innymi wojewoda warszawski Soltan, prof. Bujwid, prezydent m. Warszawy Stomiński i wiceprezydent dr. Bogucki, prof. Sterling Okuniewski, dr. Polak, przedstawiciele rządu, senatów akademickich, organizacji społecznych, akademickich organizacji samopomocowych itp. Zgromadzeni na Zjeździe w zrozumieniu doniosłości i palącej potrzeby rozszerzenia sanatorium uchwaliли wybudowanie na posiadany teren wzorowego murowanego sanatorium na 100 łóżek. Ogólnopolski Związek Akademickich Bratnich Pomocy obłożył na ten cel podatkiem wszystkich akademików. Młodzież własnymi skromnymi siłami przystępuje do dzieła niesienia pomocy chorym kolegom; pragnąc usiłowania te poprzeć, Rada Naczelna Pomocy Młodzieży Akademickiej oraz Koło Przyjaciół Akademika w Zakopanem organizują pomoc społeczeństwa. Nie należy wątpić, iż mającej się z wiosną 1928 r. rozpocząć budowie, całe społeczeństwo przyjdzie z wydatną pomocą finansową.

Narodowa Organizacja Kobiet w Zakopanem. — Organizacja ta istnieje już od lat pięciu. Prezesową jest p. W. Kopechnowa, osoba nieustrudzona i zawsze czynna w każdej społecznej pracy. Do organizacji należą prawie wszystkie stale tu mieszkające

panie, chcące się czemś więcej poza domową pracą zająć.

Inicjatywy nie brakowało w N. O. K. Próbowano wszelkimi sposobami rozszerzenia myśli przewodniej N. O. K. Utworzono sekcje poszczególne, jak finansową i oświatową. Celem przysporzenia funduszków na cele oświatowe; N. O. K. założyła z wielkim wysiłkiem materialnym mleczarnię przy Krupówkach. Jednak mimo wielkiej ofiarności i bezinteresownej pracy inicjatorek, placówka ta nie dała się utrzymać i musiała być zwinęta w marcu 1927 r. Drugie dzieło N. O. K. — a mianowicie założenie i utrzymywanie 4 klasowej szkoły prywatnej powiodło się w zupełności. W październiku b. r. szkoła ta została poświęconą „pod wezwaniem św. Teresy“, przy licznym współdziałaniu rodziców dziatwy uczęszczającej, jakoteż zaproszonych gości — reprezentantów władz tutejszych i wszystkich instytucji. Szkoła ta mieści się na I-szem piętrze budynku „Gremjum“ przy ul. Witkiewicza. Z ramienia N. O. K. delegatką do opieki i administracji szkoły jest p. E. Wierzuchowska i jej energii oraz bezinteresownej i gorliwej pracy zawdzięczać należy stopniowy rozwój szkoły, która już w tym roku mieści około 40 dzieci.

Kierowniczką pedagogiczną jest p. Krystyna Brudzińska, pracująca wspólnie z p. J. Jeziorańską, inicjatorką w założeniu tej szkoły. Ofiarna praca nauczycielek oraz opieka ze strony N. O. K. jest rękojmią, że tej placówce w Zakopanem zapewniony jest pełny rozwój, zwłaszcza, że brak podobnej szkoły prywatnej dawał się tu oddawna odczuwać!

N. O. K. urząda też odczyty i zebrania oświatowe dla swych członkiń t. zw. szeregowych, zawsze z pełnym poczuciem utrzymania i budzenia religijno-narodowych uczuć u kobiet polskich.

KRONIKA ZAKOPIAŃSKA.

Spisując tę całoroczną „Kronikę zakopiańską“ do „Wierchów“, pragnę na wszystkie sprawy i zdarzenia tutejsze patrzeć z „wierchów“. — Wszystko bowiem z oddalenia przedstawia się jako lepiej, a w perspektywie czasu maleją zdarzenia napozór wielkiej wagi w danej chwili, zostawiając tylko syntetyczny obraz całości.

Kto tylko zamieszkał „na stałe“ w Zakopanem nie może być obojętnym dla tej cudnej miejscowości, ze wszystkimi jej wadami i ułomnościami ludzkimi, zawsze ją kocha, a jeśli narzeka to: „gryzie sercem“..,

Ogół Polski zjeżdżającej się w Zakopanem może nawet mało zajmują te wewnętrzne, zakulisowe zatargi o „władzę“, które trwają tu stale od lat szeregu. „Klimatyka“ czy „gmina“, gmina czy klimatyka, to obojętnem na pozór dla gościa, ale dla pełnego rozwoju uzdrowiska rzecz pierwszorzędnej wagi.

Otóż w r. 1926 i 1927 do 20-tego listopada włącznie stosunki te tak się ułożyły: Kiedy 1-szego grudnia 1925 r. skończyło się trzecielecie Tymczasowej Komisji Uzdrawiskowej, to jednak na życzenie Województwa T. K. U. urzędowała jeszcze do maja 1926 r.,

t. j. do przeprowadzenia planu regulacyjnego przez wszystkie instancje. Istotnie w kwietniu 1926 r. plan regulacyjny został zatwierdzony.

Pod koniec urzędowania T. K. U. rozpoczęły czynniki gminne Zakopiańskie akcję, aby połączyć t. zw. „Klimatykę“ z gminą. Z szeregu powodów lokalnych, a z drugiej strony z powodu zamierzonej nowelizacji ustawy uzdrowskiej, rząd nie powołał nowej Komisji uzdrowskiej, lecz zamianował Komisarzem rządowym Radcą województwa p. Konstantego Starosolskiego, poczem w listopadzie 1926 r. nastąpiło rozwiązanie rady gminnej. Tak nastąpiła niespodzianie upragniona zdawna w sferach gminnych unja obu instytucji, klimatyki i gminy, tylko że w odmiennem znaczeniu, bo tylko jako unja personalna: rządy gminy jako komisarz rządowy objął komisarz klimatyczny p. Starosolski. I ta unja zresztą nie trwała długo, okazała się niepraktyczną. Już 31 maja 1927 nastąpił rozdział, a komisarzem klimatycznym został dr. Kazimierz Wróblewski, naczelnik wydziału zdrowia Województwa Krakowskiego.

Co się o rządach „komisarskich“ mówi w Zakopanem na Krupówkach, w „halu“ poczty i innych środowiskach małomiasteczkowych, co pisał wojowniczy „Góral“, który ostatecznie zamilkł od czasu konfiskaty numeru z dnia 19 czerwca 1927, tego powtarzać nie warto...

Interesują się tem tylko miejscowi; dla przyjeźdźcych to przewroty w administracji przedstawiają się zewnątrz jako przeniesienie biur gminnych do Banku Polskiego na Krupówkach, a klimatyki częściowo do willi dra Konarskiego na rynku, przyczem więcej nowożytnie urządzenie tych lokali sprawia dodatnie wrażenie.

Obaj komisarze rządowi, dalecy od tutejszych podwórkowych stosunków, mają niewątpliwie najlepsze chęci przyczynić się do rozwoju „wielkiego Zakopanego“. Ale jest to czas zbyt krótki, aby można już wydać sąd o ich działalności.

W Zakopanem, jako wysokogórskiej miejscowości, tylko zmiany pogody są szybkie, wszelki zaś postęp wlecze się latami i przeglądając stare gazety zakopiańskie, przekonano się można, że od lat 30-tu te same kłótnie, nieporozumienia były na tle każdej „innowacji, elektryzacji, kanalizacji, regulacji“ i z tej „racji“ ze szkodą dla uzdrowska dużo błędów popełniono.

Makuszyński w „Listach“ swych niezrównany pedagog Zakopanego i zarazem szczerzy i wierny przyjaciel, w tegorocznym swym

artykule (w ABC) p. t. „Zakopane dziś i jutro“, pisze: „Zakopane dziś przypomina człowieka w którym się zbudziło sumienie.“ a zarazem dodaje: „Zakopane się rozrasta, niechże rozrosną się ludzie, którzy niem władną“...

O to ostatnie widocznie najtrudniej... może temu klimat przeszkadza, — a skutki fatalne tej „organicznej“ wady „władców“ Zakopanego „skrupiają“ się w szczególności na... Krupówkach i całym ruchu budowlanym.

Datą naprawdę epokową powinno być zatwierdzenie planu regulacyjnego Zakopanego Karola Stryjeńskiego, wywalczone dwuletniami zabiegami T. K. U.

Jednak z przykrością stwierdzić należy, że zarówno wtedy, kiedy urzędowała gmina, jak później, kiedy już kierowały czynniki rządowe, panuje na tem polu bezład, karygodna pobłażliwość.

Plan regulacyjny, sporządzony po 40-letniem istnieniu uzdrowska, mógł uratować resztki Zakopanego przed bylejakim zabudowaniem i przemianą z uroczej wsi górskiej na „galicyjskie“ miasteczko bez charakteru.

Realizacja planu regulacyjnego potrwa przynajmniej jedno pokolenie, zaniebdanie choćby paroletnie zeszpeci Zakopane na kilka pokoleń.

W obecnej chwili już trudno sobie wyobrazić, aby bez pomocy jakiegoś kataklizmu przyrody np. trzęsienia ziemi, huraganu, potopu itp. można „uregulować“ Zakopane.

Budynki, które powstają w ogromnej ilości, ztraciły charakter swoisty budownictwa ludowego, któremu S. Witkiewicz nadał pierwiastki sztuki i piękna, natomiast buduje się wille „pakowne“ na pensjonaty i przeważnie brzydki.

Tasama historia odwieczna przebudówek, nadbudówek różnych „przyczepek“ się powtarza, a najnowsza moda to... tynkować stare budy. Mimowoli wtedy przypomina się powiedzenie: „nie pomoże blansz i róż“... Pozwolenie na budowanie domów jednopiętrowych, wyzyskuje się t. zw. „mansardami“, nad tem stawia dach kopulasty, cóż więc dziwnego, jeżeli korespondent z „Times'a“ napisał: „W Zakopanem odnosi się wrażenie jakby się było na dalekim Wschodzie“...

Istniejącego już w Zakopanem stałego Urzędu budownictwa rządowego, owoców pracy, jaki w tym chaosie panuje — nie widać...

Ulice, drogi i chodniki pozostawiają wiele do życzenia, na „efekt“ w śródmieściu coś się robi, widać wózki na śmiecie, robotni-

ków mundurowanych, słyszy się o nowych urzędnikach czy inspektorach drogowych, jakież próby i doświadczenia z „czarną“ (!) smołą wszyscy podziwiali, dokąd nie „wdep-tali“ — ale są ulice — drogi, które nadal tylko dobrmi chęciami i obietnicami są bru-kowane...

W każdym razie udało się bardzo rozsze-rzenie jezdni przed Trzaską i postawienie po-licjanta w białych rękawiczkach, aby kiero-wał ruchem pojazdów... Ten obrazek z okien werandy Trzaski przypomina bulwary pary-skie i jest sympatyczny, zwłaszcza, że przy temperamencie fjaków-górali, automobili-stów z całej Europy, którzy tu zjeżdżają, (ci, co naokoło „świata“ jeżdżą, zawsze do Zakopanego wstępują — Jacobi z Dachfel-dem, Eisen itp.) taka ostrożność jest wska-zana i zapobiega wypadkom.

Cisną się bowiem ludziska do Zakopa-nego, ale nie należy się ludzić, że tak zaw-sze będzie i zaniedbywać obowiązku: „uprzy-jemniania pobytu gościom“, — ułatwienia paszportowe mogą zmniejszyć znacznie fre-kwencję sezonową.

Obecnie tak w sezonie zimowym, jak i letnim nasze sławne Krupówki — można tylko porównać z doliną Józefata, gdzie na sądzie ostatecznym mają się wszyscy spot-kać, no i zmieścić...

Większość gości obu sezonów, przeważ-nie szuka wrażeń „wysokogórskich“ na „równi Krupowej“, „werandzie“ najchętniej na we-randzie Trzaski, podziwia „szczyt“ z okien Tatrzaskiej, słucha szmeru strumieni gór-skich na „plaży“ u Karpowicza, albo w „Hy-gienicznej“ p. Flamenhafta...

Wycieczek zbiorowych było w tym roku bardzo dużo, zapowiadane i oczekiwane na kilkaset osób, kończyły się przybyciem znacz-nie zredukowanej liczby, ale zawsze podej-mowane gościnnie... Między innymi bawili u nas: Słowiańscy etnografowie i geografowie, weterani z Ameryki, kupcy z Chicago, Polacy amerykańscy, Związek nauczycieli szkół powszechnych z Kowna i Łotwy, Wyż-sza Szkoła Wojenna, członkowie Międzynar-odowego Kongresu medycyny i formacji wojskowej, członkowie Kongresu Pata i Y. M. C. A., Zjazd Asocjacji Słowiańskich Towa-rzystw Turystycznych i wiele innych z róż-nych stron Polski, młodzieży szkolnej, skau-tów różnych stowarzyszeń i związków.

Ruch samochodowy, odciążający ruch ko-lejowy, zaczyna odgrywać w komunikacji między Zakopanem, a całą Polską coraz wy-bitniejszą rolę.

Odbyły się też w sezonie letnim raidy

automobilowe polskiego klubu automobili-stów, wyścig górski na szosie do Morskiego Oka, raid klubu automobilowego krakowskie-go, który się odbył 14 sierpnia b. r. zmobilizo-wał około 500 samochodów i motocykli. Za-kopane huczało, „ryczało“ z radości, że tyle ludzi tak się tu spieszy — „ozon“ z powie-trza zawoniał benzyną, ale to wszystko było bardzo miłe...

W każdą sobotę i niedzielę przyjeżdżają tu autami z Krakowa, ze Śląska, a nawet z Warszawy.

Zagranicznych gości było w tym roku stosunkowo wielu. Z osobistości znanych ba-wili: Cherston, szef misji wojsk. franc., Hen-rikson, szwedzki radca legacyjny z rodziną, generał Charpié z żoną, Böghelm, duński publicysta, Bückleman, konsul franc., George Jan, konsul rumuński, Jakobson, poseł estoń-ski, Etiore Logatio, prof. Uniwersytetu w Rzy-mie, Damiani, bibliotekarz parlamentu włoskiego i de Andreis, publicysta. Dwaj ostatni gorący przyjaciele Polski, władający dobrze polskim językiem i tłumacze naszych pisar-zy na język włoski. Zawadziła też o Zako-pane wycieczka grona członków towarzystwa „Les amis de la Pologne“, prowadzona przez „naszą różyczkę“ (jak ją nazywa Boy w swo-ich wspomnieniach paryskich) — sekretarkę towarzystwa p. Różę Bailly, przyrzekając dłuż-sze odwiedziny w roku przyszłym.

Ogólne zdanie cudzoziemców o Zako-pane jest pochlebne, o ile się tyczy przyrody i krajobrazu, o usterkach „kulturalnych“ mó-wią zapewne między sobą...

Rząd nasz interesował się Zakopanem, bo kolejno przyjeżdżali tu ministrowie: wicepre-mjer Bartel, min. Niezabytowski, min. Skład-kowski, min. Miedziński, min. Romocki, min. Moraczewski.

„Wszystko dla dobra Zakopanego“ jest jeszcze modnem hasłem, jakkolwiek w nie-kórych wypadkach nadużytem...

Są więc różne plany na najbliższą przy-szość, a niektóre z nich bardzo aktualne.

Dyrektor Elektrowni miejskiej inżynier Ogiński przedstawił już gotowe plany i pro-jekty kolejki linowej na Gubałówkę. Trasa wynosiłaby 1.400 m, jedna stacja ma być u podnóża Gubałówki, druga pośrodku, trze-cia na szczycie.

W ten sposób zbliża się do realizacji po-mysł rzucony jeszcze przed laty w epoce pamiętnych walk o kolej na Świnnicę przez J. G. Pawlikowskiego, a ostatnio zalecony przez ankietę ministerjalną w sprawie roz-woju Zakopanego.

Projekt inżyniera Ogińskiego jest bardzo

praktyczny, nie pociąga bowiem zbyt wielkich wkładów, a wobec stwierdzonych już przez prof. Romera wartości terenów Gubałówki, jako klimatycznie odpowiednich na budowę sanatorjów, powinien być jak najprędzej zrealizowany... Czy będzie, niewiadomo, wszak dotąd jeszcze porządnej drogi na Gubałówkę niema, ani do szpitala, choć to chyba dość ważny punkt...

Drugi projekt, ale jeszcze bardzo niewyraźnie zarysowujący się w mrocznej dali — to budowa Domu Zdrojowego, przy czym mówi się też o „kasynie gry — ruletce“, co wywołuje dyskusje pro i contra...

Tymczasem zaś bez tych innowacji, mogących wprowadzić pewną zmianę, wszystkie sezony są do siebie podobne...

Tegoroczny sezon zimowy należał do bardzo ożywionych. Dobre warunki śnieżne, które od paru lat zawodziły, tej zimy pozwoliły na uprawianie sportu narciarskiego. Białe stoki gór „zakwitły“ barwą przeróżnych sweterów, czapeczek i szali nadobnych narciarek i narciarzy... Jedni dla sportu, drudzy dla flirtu w sporcie — ale przyczyn nie należy badać, kiedy na białym śniegu tak wesoło się bawią...

Karnawał również dostarczył miłych okazji do „stańczenia się“ w parze dobranej.

Dancingowano przedpołudniem u Karpowicza, który bardzo sprytnie zrobił na swej werandzie na to „zagródkę“, popołudniu zaś wszędzie panował: „szał jazz-band“, a nad wszystkimi: „Melodyst“ — — — Ten ostatni w bezkonkurencyjnym lokalu Trzaski, miał największe powodzenie. Toteż na popołudniowych dancjach i wieczorkach urządzanych u Trzaski, zawsze się bawią najlepiej w największym tłoku — popychani, podeptani, wszyscy szczęśliwi... Prawdziwy humor i nastroj do zabawy panuje tam bezpodzielnie i każdy zwykły dancing ściąga więcej gości, niżeli najsumniej „rymowane“ afisze innych przedsiębiorstw.

Trzeba tu zauważyć, że ta „afiszowana“ konkurencja w humorze, bywa często niesmaczną. „Pożegnanie bocianów przez uroczce Zakopianki“, „pamiątkasz Janku na sianku“, „pochód staruszków do Zuzanny“ itp. bzdury, licho rymowane, a pornograficznie zaczepne, nie stoją na wyżynie kultury, jakiej musimy wymagać w Zakopanem...

Hotel „Bristol“ tańczył — po polsku, po francusku, po angielsku — pod wszelkimi tytułami urządzając pomysłowe zabawy, zawsze eleganckie, a zarazem wesołe.

Jeżeli do tych zabaw przybyły jeszcze codziennym zwyczajem urządzane bale: Bratniej

Pomocy, Bursy gimnazjalnej, T. S. L., N. O. K., Czerw. Krzyża, „Sokoła“, Ligi morskiej i rzecznej itd. itd. — można sobie wyobrazić jak tańczono w karnawale...

„Teatr eksperymentalny“, który powstał jako „unja“ dwóch towarzystw teatralnych, nie czynił w tym roku żadnych „eksperymentów“ innych, jak tylko... maskarady (bez masek i kostjumów), tylko pod fantastycznymi tytułami: „Noc w Bombaju“, „noc na Saturnie“...

Oprócz tego razem ze Sekcją plastyków, Teatr eksperymentalny stworzył wcale udatną szopkę na tle tutejszych „ploteczek“. Impreza ta powiodła się — ale mimo to z „teatru eksperymentalnego“ niema żadnej pociechy, bo jest bezczynny z niewiadomych szerszemu ogółowi przyczyn...

„Sztuka podhalańska“, która jeszcze w tym roku w obu sezonach urządziła wystawę — też przestała... wegetować. Część artystów pod nazwą „Modła“ urządziła swoją wystawę w szkole przemysłu drzewnego, inni mają zamiar stworzyć coś nowego...

Towarzystwo, które się trzyma zwarem i wypełnia swoje zadania, to „Sokół“ z prezesem prof. Stopowym. Tej zimy nawet organizację zawodów międzynarodowych powierzono „Sokołowi“. Z powodu złych warunków atmosferycznych, zawody te jednak nie bardzo się udały. Kino, też przedsiębiorstwo „Sokoła“, jest prowadzone bardzo starannie, dobór najlepszych filmów, częste zmiany, to wszystko jest widoczne w frekwencji publiczności, która nie mając tu innych rozrywek garnie się do kina.

„Sokół“ rozpoczął już budowę nowego budynku, odpowiadającego warunkom „miasta“ Zakopanego.

Powszechnie są tu narzekania na brak koncertów i teatru. Tymczasem frekwencja na tego rodzaju imprezach, nie świadczy o koniecznej potrzebie tychże. Z wyjątkiem koncertów mistrzów tej miary jak Petri, Szymanowski, związanych już pewną sympatyczną „nutą“ z Zakopanem, inne się nie udawały. Koncertowali w tym roku: Łabuński, Kniaginin, Sliwiński, były występy opery, operetki, artystów Reduty i innych zespołów różnej wartości. Zawsze powodzeniem cieszą się w Zakopanem występy p. Rity Sacchetto, która z gronem swych uczenic dała w sezonie letnim dwa wiewiory taneczne.

Pewne grono niepoprawnych „romantyków“, bo i tacy się tu znajdują, za inicjatywą p. Anny Sokołowskiej, pragnęło wprowadzić pewien podnioslejszy ton w towarzyskie stosunki Zakopanego.

W tym celu zaaranżowano wieczory „dyskusyjne“, na werandzie Tow. Tatrzańskiego, gdzie przez parę wieczorów zgromadziła się garstka ciekawych jakiegoś referatu, poczem dyskutowano... Prawdziwego jednak zainteresowania się, coby mogło utrzymać i rozwinąć ten „Klub dyskusyjny“ brakło, tak że narazie na usiłowania „romantyczne“ powiedzieć można z Mickiewiczem: „Zawczasie kwiatku, zawczasie...“

Z wielkim trudem zdołano złożyć Komitet Obchodu Słowackiego, w czym wzięło udział Tow. nauczycieli szkół wyższych, zresztą też bezczynne w tym roku... Obchód Słowackiego ograniczył się do „skromnej“ Akademii, oraz poświęcenia „bulwaru Słowackiego“ narazie nie różniącego się od innych zaniedbanych dróg zakopiańskich.

Ozdobą i atrakcją wszelkich tutejszych obchodów patriotycznych jest chór, złożony z miejscowej ludności, prowadzony umiejętnie przez tutejszego organistę p. Mistrzyka. Każdy występ chóru świadczy o sumiennej pracy twórcy tego zespołu śpiewackiego.

Pomysłowością pewną odznaczała się Redakcja ABC, zarządzając: „wiosnę w Zakopanem“, jako sezon konkursowy dla swych czytelników. Trochę się zjechało gości na miejsca bezpłatne i zniżkowe, ofiarowane przez większe hotele i pensjonaty.

Jednak przyjechało zbyt mało obcych ludzi, aby zakopiańscy nie mieli czasu zajmować się miejscową polityką, kłócić i godzić, obmawiać i gniewać, co jest cechą każdego t. zw. martwego sezonu. Wtenczas także rodzimy Zakopiańczyk, należący do 10-ciu stowarzyszeń, instytucyj, lig itp. urządza szereg posiedzeń, na których się kombinuje sposób wyzyskania sezonu „pełnego“ dla napełnienia kasy tychże organizacyj! Na przybyszach odbija się to w postaci zbiórek, na które skarżą się powszechnie, jako na istną plagę w czasie sezonów. Możeby można obmyśleć już co innego dla uprzyjemnienia gościom pobytu. Gdyby Polacy byli narodem mniej indywidualnym, a na prowincji mniej kandydatów na „prezesów“, a więcej czynnych szeregowych oddanych idei pracy, to można by daleko więcej zdziałać, mając mniej „Towarzystw“ niżeli ich jest w takim małym miasteczku jak Zakopane. Ale zakładanie nowych towarzystw, wybór prezesa, sekretarza, skarbnika, to ulubione zajęcie w martwych sezonach...

Sezon letni nie należał w tym roku do najlepszych. Przyczyny ku temu były różnego rodzaju.. Zakopane-miasto z wysoka stosunkowo taką klimatyczną, już nie jest

letniskiem dla tych, którzy pragną naprawdę wypoczynku. Inne wsie podtatrzańskie jak: Olcza, Bukowina, Witów, Chochołów, Kościeliska, Poronin, Białka, Jurgów itd. miały w tym roku mnogie zastępy letników. Od czasu do czasu letnik ten i ów, wypoczęty i odżywiony pobylem na prawdziwej wsi, wpadał do Zakopanego, t. j. do Trzaski, wytrząsał się w charlestonie i ulżył nieco kieszeni, aby potem wrócić do wsi zapadłej w górach.

Przytem kardynalnym błędem jaki popełniono w Zakopanem — to brak kąpeli. Łazienki miejskie to pierwszorzędne — epokowe dzieło, ale to nie wystarczy w lecie, bo kąpiel w wannie w kulturalnym domu zawsze się ma. Trzebaby basenu jakiegoś do pływania, kąpeli rzecznych etc. Mamy cieplice w Jaszczurówce, ten dar Boży naturalny, skarb w rękę ludzi nieudolnych, zmarnowany...

Krażyły w tym roku autobusy wożące gości dzień i noc do „Jaszczurówki — cieplice naturalne“, ale tylko na... dancingi w nowo-odrestaurowanej sali restauracyjnej hotelu w Jaszczurówce...

A łazienki nawet te stare zburzono i „cieplica“ uciekła gdzieś... w bagno zakopiańskie...

Letnicy w Zakopanem „łazikowali“ w górach z przewodnikami dr. Świerza lub braci Zwolińskich, bez pomocy „żywych“ przewodników się obywając. Nawet wypadków było stosunkowo mało.

Hasłem sezonu letniego był również dancing pod rozmaitymi nazwami, a więc i turniej o wytrzymałość, walka między charlestonem a walcem, konkursy nożki, rączki, główki, oczka, buzi, noska, a nakoniec z tych „szczegółów“ ABC skombinowało „gwiazdę sezonu“ z całą plejadą mniejszych gwiazdek...

Oczywiście znów weranda Trzaski, jako też nowo wymalowana w kubistyczne wzory sala, była przepelnioną temi... gwiazdeczkami, a Melodyst z Marion święcili triumfy.

Ścisł — pisk, kwik — ryk, wszystkie tony saksofony zagłuszają wszystko, ludzie jedni się kołują w kole tanecznym, drudzy przypatrują... Człowiek, który nie może myśleć, wtedy staje się bezwzględnie szczęśliwym i wypoczywa.

A kto chce zobaczyć jeszcze innych „szczęśliwych“ wypoczywających na letnisku bez „jazz-szał-bandu“, niech wstąpi na werandę Dworca Tatrzańskiego. Jest tam restauracja pod zarządem przemijającej gospośi p. Zofji Krzeptowskiej, siostrzyczki naszych sławnych narciarzy... P. Zofja z wdziękiem jej właści-

wym, gospodarzy wśród turystów i „starej wiary“ Tatrzańskiej. Znają ją wszyscy i ona zna. a dla każdego ma miłe słówka i uśmiech...

Tu siedzą profesorowie z różnych wyższych uczelni, literaci, muzycy, co drugi „gość“ tej werandy, to człowiek znany i ceniący dla swej wartości w całej Polsce i często zagranicą. To są „mózgi“ Polski, której „nóżki“ fikają charlestona przy dzikiej muzyce negrów... Parę kroków zaledwie dzieli tę werandę od tych „rozańczonych“, a jaki inny tu nastrój panuje, jak inaczej tu ludzie wypoczywają.

Ci, co tu siedzą, kochają Tatry i dla nich tu przyjeżdżają, dla nich tu pracują, każdy w swym zakresie wiedzy.

Tu na tej werandzie lęgną się myśli owocne nie tylko na krótką metę powodzenia lub niepowodzenia sezonów w Zakopanem, ale dla przyszłości... jak myśl Parku Narodowego. Rozmowy poważne, wymiana myśli, wspólność idei łączy tych ludzi, a od czasu do czasu dla „wypoczynku“ z uroczą gospośią pukają „pin-ponga“.

Muzeum Chałubińskiego, Dworzec Tatrzański z tą sympatyczną werandą i zarosłym starymi drzewami ogrodem, to zupełnie inne Zakopane... Tu jeszcze czuje się duszę dawnych świętych postaci zakopiańskich, Chałubińskiego, Witkiewicza i innych, którzy umieli kochać Tatry i służyć im wiernie aż do śmierci.

W tym roku uczczono z inicjatywy Tow. Botanicznego pamięć jednego z ludzi tego pokroju, jednej ze świetlanych postaci dawnego Zakopanego, pamięć prof. Marjana Raciborskiego.

W niedzielę 25 września odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika na grobowcu znakomitego uczonego. Pomnik ten ufundowali uczniowie swemu niezapomnianemu profesorowi. Po nabożeństwie w kościele i poświęceniu pomnika na nowym cmentarzu w Zakopanem, w sali Muzeum Chałubińskiego odbyła się uroczysta Akademia ku uczczeniu pamięci nieodżałowanego uczonego. Akademję zagał prof. Sokołowski, Wójcicki i Szafer, jako dawni uczniowie nakreślili życiorys ukochanego profesora, dając charakterystykę jako uczonego i człowieka. Prócz nich przemawiali jeszcze: imieniem uniwersytetów krakowskiego i lwowskiego, Państwowej Rady Ochrony Przyrody i Tow. Tatrzańskiego prof. Jan Gwalbert Pawlikowski, prof. Romer, prof. Kulczyński i prof. Walery Goetel.

Cała ta uroczystość o nader podniosłym nastroju, była hołdem pamięci i wdzięczno-

ści dla człowieka, który umiał kochać naukę i... Tatry...

Działalność dzisiejszą P. T. T. można porównać do „arki przymierza, między dawnymi a nowymi laty“... Przechowuje się tam wszystko z dawnych tradycji, czci pamięć zmarłych osobistości, których zasługi dla Tatr są wiekopomne, a w młodym pokoleniu rozwija, popiera zamiłowanie do najszlachetniejszego ze sportów, taternictwa, tego środka na odrodzenie tężyzny duchowej.

Pomiędzy dawną a współczesną działalnością zachodzi jedna różnica: kiedy dawniej głównym zadaniem P. T. T. było uprzyętnianie Tatr i otwarcie ich dla szerokiego mas społeczeństwa, dzisiaj to zadanie jest spełnione, a otwarło się nowe w postaci ochrony przyrody i piękności Tatr. To też i w samym Zakopanem rozwija się propaganda P. T. T. w tym kierunku, widzimy ją na ogłoszeniach po pensjonatach i hotelach. Także i tradycyjny „Tydzień tatrzański“ odbywa się od kilku już lat pod tem hasłem, a w szczególności pod hasłem „Parku Narodowego“, który jest najradykałniejszym środkiem zabezpieczenia Tatr i idealnym celem, do którego dąży Towarzystwo.

Tegoroczny „Tydzień tatrzański“ odbył się w sierpniu. Na program złożyły się nader zajmujące odczyty prof. Roszkowskiego i p. inż. Liberaka, wycieczki pod przewodnictwem prof. M. Sokołowskiego, zbiórka na fundusz utrzymania ścieżek górskich i bal w Bristolu, który zakończył program „Tygodnia“.

W kancelarii Dworca Tatrzańskiego zaszły bardzo korzystne zmiany. Nieocenionym „właściwym człowiekiem, na właściwym stanowisku“, jest obecny kierownik tej kancelarii p. Ignacy Bujak, brat sławnych narciarzy. Bracia zbierają nagrody, a p. Ignacy skromnie, cichutko w swej kancelarii na Dworcu Tatrzańskim jest prawdziwą „duszą“ P. T. T. Zawsze mile uśmiechnięty, uprzejmy i czynny, cały oddany swemu „urzędowi“, służy informacjami z niewypowiedzianą cierpliwością...

Dworzec Tatrzański i jego otoczenie to ośrodek duchowych wartości Zakopanego. Obok Dworca leży Muzeum Tatrzańskie, w którym rządzi zawsze niestrudzony jego kustosz p. Juljusz Zborowski. Obecnie obsadzonym zostało nareszcie — wakujące od czasu wyjazdu dr. K. Steckiego — miejsce drugiego kustosza, a to działu przyrodniczego. Kustoszem tym jest dr. Janusz Domański, wybitny zoolog, który równocześnie piastuje urząd oddanego Fundacji Zamoy-

skiej — więc opiekuna tak bardzo dotąd opieki pozbawionej fauny tatrzańskiej. Trzecim stałym rezydentem Muzeum jest — jak dotąd — postać mimo łagodnego wyglądu, napawająca trwogą każdego tubyłca, a zwłaszcza gościa — meteorolog tatrzański p. Federowicz, ogłaszający swe straszliwe wyroki codzień na tablicy u wejścia do Dworca Tatrzańskiego. W tym roku jednak wyroki były wogóle łaskawsze, a już jesień mieliśmy przedcudną — co powszechnie przypisywano wstąpieniu w tym czasie meteorologa w związek małżeński. Muzeum zresztą prócz stałych ma i mieszkańców czasowych, uczonych, którzy w jego gościnnych pokojach na drugim piętrze znajdują co roku przytułek i możliwość oddawania się naukowym badaniom na terenie tatrzańskim.

Trzecim wreszcie budynkiem w tem duchem centrum Zakopanego jest Szkoła Przemysłu Drzewnego, na której czele stał dotąd inż. Karol Stryjeński. P. Stryjeński był nie tylko w szkole, którą kierował przez lat kilka, postacią wybitną w Zakopanem. On to jest twórcą planu regulacyjnego Zakopanego i oczekiwano ogólnie, że on będzie także jego wykonawcą.

Dziełem Stryjeńskiego, jako architekta jest piękny grobowiec Kasprowicza na Harendzie, który niestety nie mógł być dotąd ukończony tak, że przeniesienie zwłok poety nastąpi w najlepszym razie dopiero w roku 1928. W dziedzinie sportu inicjatywa i praca Stryjeńskiego przyniosła niejedną pożytek, między innymi skocznię na Krokwi. Skocznia ta, obecnie w przebudowie, dzięki czynnej pomocy wojskowości będzie oddaną tej zimy do użytku i dozwoli na skoki aż do 60 m. (W rekonstrukcji jest również skocznia w Jaworzynce). Inż. K. Stryjeński przynosi się obecnie na nowy posterunek do Warszawy. Dla Zakopanego ubytek tak wszechstronnie czynnego i niepospolicie uzdolnionego człowieka jest stratą bardzo poważną.

Wracając z tych „wyzyn“ skupionych około Dworca Tatrzańskiego na padoł miasta Zakopanego trzeba podnieść i tu kilka momentów dodatnich.

Towarzystwo przeciwgruźlicze, niewątpliwie jedno tu z najpotrzebniejszych, miało też swój „tydzień“ imprez i zbiórek, a co najważniejsze celowej propagandy niebezpieczeństwa tej choroby. Odczyt dra Kuczewskiego, zasłużonego na polu walki z gruźlicą, wystawa eksponatów T. P. G., rozdawanie ulotek z „10 przykazaniami“ jak się ustrzedz od gruźlicy, to było zadaniem pracy Komitetu. Kursy Uniwersytetu regionalnego im. Sta-

nisława Witkiewicza, zorganizowanego przez Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, były poświęcone w tym roku głównie etnografii Podhala. Prelegentami byli: prof. K. Nitsch, który mówił o „Mowie Podhala“, dyr. Seweryn Udziela wykladał o „strojach i obyczajach podhalańskich“, o „twórczości muzycznej“ p. Stanisław Mierczyński; ponadto prof. Płoszewski i prof. Mieczysław Limanowski mieli wykłady. Szkoda, że niewłaściwy sposób ogłaszania wykładów nie daje sposobności korzystania z nich także ludziom nie będącym uczestnikami kursów.

Na kłeskę powodzi w Małopolsce nie pozostało Zakopane obojętne. Komitet niesienia pomocy, na czele którego stanął ks. dziekan Tobolak, zebrał fundusze, a największy dochód dał koncert złożony z pierwszorzędnych sił jak: Egon Petri, Janina Gluzińska-Makuszyńska, Rita Sacchetto, Ela Ziętkiewiczowa i dr. Bogdan Szypuła.

Tak w sezonie letnim, jak i na początku września był duży zjazd osób ze sfer artystyczno-literackich. Seniorem tych sfer i stałym przyjacielem Zakopanego jest Frenkiel. Codziennie można go było widzieć: rano w ogrodzie miejskim, słuchającego orkiestry pod batutą p. Runda, w południe na werandzie u Trzaski w gronie przyjaciół. Widawało się tam między innymi, którzy zapewne chętnie tu zachowują „incognito“, Ferdynanda Goetla, F. Hoesicka, W. Kossaka, Karola Szymanowskiego, Piotra Choynowskiego, Adolfa Nowaczynskiego, red. K. Wierzyńskiego, M. Dąbrowskiego, Czyżewskiego i i.

Wypatrywano z ciekawością Kornela Makuszyńskiego, jako człowieka, który postąpił trochę wbrew głoszonemu zasadom... Narzekając i obgadując tak Zakopane i... kobiety, w sierpniu tego roku wziął ślub z kobietą... utalentowaną artystką-śpiewaczką p. J. Gluzińską... w zakopiańskim kościele parafjalnym.

Po tym fakcie dokonanym, znikł w „Ustroń“ mifej willi p. dr. Gluzińskich i już zapewne będzie od tego czasu chwalić kobietę i Zakopane...

Wrzesień jeszcze był bardzo ożywiony, pogoda dopisywała i kto mógł to przedłużał swój pobyt. Obecnie, t. j. w listopadzie jest już cisza posezonowa, ale w miasteczku — niepokój przedwyborczy... Będą — czy nie będą — kto — i kogo wybierać... Byłoby pożądanym, aby ta cisza zapanowała wśród tych „polityków“ miasteczkowych i nastąpiło jakieś porozumienie między wyborcami.

Cały ten rok odznaczał się bardzo niemiłą walką w prasie tutejszej, wszystko na tle partyjnictwa przedwyborczego...

„Góral“, który już zanadto sobie pozwolił „wydrukować“ (bo mówić wolno!) przebrał się w szaty „kobiece“, aby wystąpić jako „Gmina Zakopiańska“ w obronie rękoma zagrożonego samorządu...

Była przedtem nudna „Kronika Zakopiańska“ zmieniała się w cipersko-piastowego „Gazdę“, który wojował z „Góralem“ — (w Zakopanem wszystko możliwe — tak powiedział sam Makuszyński) i też „gdziesik się podział“.

„Epoka“ chciała się stać „epokową“ w życiu Zakopanego, ale nie znalazła widocznie dość twardej „opoki“ do oparcia... (widocznie i kamienie wietrzeja).

Niby — dyplomatyczny i ugrzeczniiony „Głos Zakopiański“, który nigdy nikomu nie

zrobił krzywdy, ale też sam w sobie się wy-czerpał i umilkł 11 lutego 1927.

Dotąd wytrwało ABC. — ma zawsze stałą kronikę zakopiańską, artykuły różnych domorosłych „zrzedów“ (tych tu nie brak!) i listę gości.

Pozatem rzeczowe wiadomości z Zakopanego są w „Codziennym Kurjerku Ilustr.“, a „Kurjer Podhalański“ gdzieś aż z Nowego Sącza, zajmował się głównie „plotkami“ zakopiańskimi, co mu zapewne trochę prenumeratorów przysporzyło, bo w Zakopanem lubia... plotki...

Skończyłam — w tem ostatniem słowie powiedziałam już wszystko o Zakopanem.

Krystyna Brudzińska.

Zakopane 21 listopada 1927.

Z PODHALA.

Jubileusz Władysława Orkana w Nowym Targu. — „Związek Podhalański“ nie ograniczył się tylko do obchodu jubileuszu Orkana w Krakowie, ale urządził jeszcze drugą uroczystość w stolicy Podhala. Związał ją z tegorocznym Zjazdem Podhalański, jedenastym z rzędu i ujął jako hołd góralskiej ziemi dla znakomitego twórcy.

Reasumując plon jubileuszowego roku notujemy zatem uroczystość krakowska, ochrzczenie schroniska pod Turbaczem, dzieła Oddziału P. T. T. „Gorce“, nazwiskiem Orkana, wydanie rozprawy J. Krzyżanowskiego, pierwszego wogóle literackiego studjum o jubileju, przez Muzeum Tatrzzańskie przy współudziale „Związku Podhalański“, dedykowanie pieśniarzowi gór naszymu piątego rocznika „Wierchów“, nadanie mu honorowego członkostwa Muzeum Tatrzńskiego, wreszcie nowotarski typowo regionalny hołd góralszczyzny.

Należałoby jeszcze życzyć tak serdecznie uczczonemu poecie, aby do wyliczonych objawów uznania dla jego literackiej twórczości, przyłączył się także dowód wdzięczności materialnej natury, t. zn. aby starania o wyjednanie mu stałej rządowej pensji, zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem.

Komitet, organizujący obchód w Nowym Targu wywiązał się bardzo dobrze ze swego zadania i urządził uroczystość oryginalnie, barwnie i ochoczko. Przyczyniło się do tego w pierwszym rzędzie wykorzystanie etnograficznego podłoża. Więc podniosły przebieg jubileuszowego dnia, stroje ludowe, muzyki wiejskie, konne banderje, tańce góralskie, chóry, wreszcie akademja z przemówieniami

reprezentantów instytucyj i zrzeszeń pod gołym niebem, pod lipą na wielkim placu. A wszystko odbyło się w słoneczny dzień, w niedzielę 7 sierpnia, co jeszcze dodatniej wpłynęło na pogodny i wesełny jubileusz.

Uroczystość rozpoczęło powitanie jubilata na nowotarskim rynku przez burmistrza J. Rajskiego, poczem udano się na nabożeństwo do parafjalnego kościoła. Po niem pochód ruszył na plac Słowackiego. Tu na trybunie pod lipą zasiadł Orkan z rodziną oraz przedstawiciele władz rządowych, autonomicznych, towarzysystw, związków itd. Na stopniach podniesienia usiedli góralscy grajkowie z Białego Dunajca, obok ustawiły się dwa chóry, nowotarski i zakopiański. Co skończyło się przemówieniem z trybuny, rozlegał się na przerywkę to śpiew, to muzyka. Słyły staroświeckie nuty podhalańskie, grane tak, jak je „drzewiej“ grywano, rozbrzmiewały starodawne pieśni, którym oprawę dała harmonizacja prof. dra Adolfa Chybińskiego i innych. Dookoła w szeregach: hufiec góralski, „Sokół“, „Strzelec“, straż pożarna z dętą kapelą, a głęboko w rozciągniętym szeroko froncie, niby wzorzysta rama barwnego obrazu, konnica góralska i Szaflarzenie na umajonych wozach, niby wesele wiejskie. Wewnątrz czworoboku tłum z „miasta“ i ze wsi okolicznych; przeważają oczywiście ludowe ubiory, chudy czarne i białe. Z kolorów wyszyc i ornamentów rozeznasz „skalnych“ Podhalański od Szczawniczanki czy Kliszczaków. Jest i Rabka, są i Sądeczanie wyróżniający się strojem, na którego powstanie złożyło się i krakowskie i góralszczyzna.

Z inteligencji najliczniej oczywiście stawali się członkowie „Związku Podhalański“,

starsi i młodszy, grupujący się w akademickich ogniskach. Oprócz nich widzimy prof. dra Adama Fischera, etnografa ze Lwowa, J. Krzyżanowskiego i Leona Płoszewskiego, krytyków literackich, Jędrzeja Cierniaka, zasłużonego pioniera teatrów ludowych, itd. itd. Są reprezentanci prasy, a nawet gość z Italji, Enrico Damiani, tłumacz naszych poetów na język włoski.

Akademję zagają dyr. Jakób Zachemski, prezes „Związku Podhalań”, poczem pierwszy imieniem Ministerstwa Oświaty przemawia dr. Jan Lankau. Po nim imieniem „Związku” red. Feliks Gwiżdż, od kuratorjum szkol-

nego w Krakowie wizytator Jakóbiec, od Związku Nauczycieli dyr. Malicki Tadeusz, b. poseł Wojciech Rój w imieniu górali, jako przedstawiciel Centr. Tow. Rolniczego w Warszawie Stanisław Mierczyński, od Oddziału „Gorce” Józef Czaja, potem poseł sejmowy Langer, dyr. Muzeum Tatrzańskiego J. Zborowski i inni. Odczytano nakoniec ogromną ilość telegramów, poczem jubilat odpowiedział silnym rymowanym utworem na cześć Podhala. Defilada przed trybuną, popołudniowa ludowa zabawa i wieczornica podhalańska zakończyły tę niezwykłą uroczystość.

A. B.

KSIĄŻKI I CZASOPISMA.

Władysław Orkan: Listy ze wsi. Tom I, r. 1925, str. 178, tom II, r. 1927, str. 188 (Gebethner i Wolff) — W bezpretensjonalnych, luźnych fejetonach („listach”) omawia Orkan różne strony i sprawy życia wsiowego przewybornym językiem, jedynym, świeżym i rzetelnym, jak jedyną, świeżą i rzetelną jest treść tych Listów. Wychodzi z założenia, że miasto i wieś nie znają się nawzajem i chce dać poznać miejskim ludziom wieś prawdziwą. Oprócz tej tendencji — jeśli to można nazwać tendencją — niema żadnej innej; mówi prawdę i dość na tem. Ani się gniewa, ani gorszy, ani sentymentalizuje, ani ironizuje; mówi ze zrównoważoną pogodą, ceniując ją tylko subtelnie troską lub uśmiechem. Książka ta jest jak strumień świeżej wody czystego górskiego potoku. Nie znam miłszej nad nią wpośród książek lat ostatnich. A może i pożyteczniejszej. Niema w niej nic belferskiego, — a jednak uczy, nie wesołego — a krzepi. Streścić ją byłoby trudem daremnym, bo niema w niej systemu; mówi luźnie o rzeczach różnorodnych, jak co przyjdzie na myśl. Jedne sprawy omawia szczegółowiej, inne pobieżniej, nie sili się na wyczerpanie zagadnień, a kto wie — może jeszcze poszerzy je kiedy trzecim tomem.

Jeżeli „Listom ze wsi” zechcemy wyznaczyć miejsce w całokształcie twórczości Orkana, to uderza w nich jeden rys: brak barwy czarnej, która charakteryzowała przecież „piewę” krainy kęp i wiecznej nędzy”. I co szczególnie — brak barwy czarnej pomimo tego, że na wszystkie prawie lekarstwa stosowane ku poprawie bytu tego ludu patrzy on z pobłażliwą nieufnością. Szczęśliwość demokratycznego ustroju, powszechne głosowanie etc., nie budzi u niego znanego wicoapatosu, ale wywołuje szereg obrazków humorystycznych. Zaszczepianie „kultury” dało

dotąd tyle rezultatów dodatnich co i ujemnych; na emigrację zarobkową, tak samo jak na reformę rolną spogląda sceptycznie; także zapomogę rządu przedstawia w świetle ujemnym. O bogactwie, względnie ubóstwie chłopów, ludzie „niepiłi” mają sady najsprzeczniejsze. „Dla mieszczucha, który chłopów zna jedynie z targu i widzi go rozpartego wśród sterty plonów, jakie ziemia rodzi, wieś jest synonimem bogactwa wszeliniejakiego; o tem, by bieda prawdziwa tam bytować mogła, nie ma, nie widząc jej ocznie, wyobrażenia; nie wierzy. To jeno chłopskie chytre skargi i żale, aby więcej pod się dobra z miasta i państwa przygarnąć. Zaś znowu dla platonicznych patriotów wsi, znających lud jedynie z wydawnictw Macierzy i z poezji Konopnickiej, wieś jest łązmem jeziorem niedoli, a każdy chłop bronujący rolę „biednym kmiotkiem”.

Zadeń z tych poglądów nie opiera się na własnej obserwacji. Orkan bierze tę sprawę w liście p. t.: „Kto na wsi jest biednym”. Pokazuje się, że nędza nie jest bądź co bądź bezwzględny udziałem chłopów, nawet w Gorcach. Jeśli tak jaskrawo występuje w powieściach Orkana — to trzeba coś odliczyć na konwenans artystyczny... Najszczególniejszym jest jednak pogląd Orkana na tę sprawę w liście p. t. „Bożek i jego zagroda”. Maluje on tu bytowanie chłopów bogatych, który duchowo nie dorósł do swoich dwunastu morgów. „Widać — patrząc na jego dom i na stodołę, że człowiek tu żadnych duszno-człowieczych potrzeb nie zna, że jest jeno przydatkiem do obsługi bydła”. „Gdyby zagrodę ową postać na wystawę, wzbudzałaby zapewne wiele sentymentu, jako zagroda „biednego kmiotka” naszego. Już i tak Bożek bożkiem prawie jest dla tych naiwnych chłopskich patriotów, dla których każdy kmiotek, — gałgan czy matolek, — jest nietykalnym „tabu”.

Nic to, że Bożek jest poprostu gniołek, niegodzien ziemi orać, którą psuje". „Bożków takich jest tysiące. Powinno się ich jako nikomu nieużytecznych, jako zachwaszczających sobą ziemię, że zagród wywłaszczyć"... Tacy Bożkowie to bogacze niegodni; ale Orkan idzie dalej i w mnogości statku i obszarze gruntu nie widzi miary właściwej dla oceny „bogactwa". Porównajmy oto chatę bogacza z chatą chałupnika: „W izbie bogacza zgiz, brud, ścisk — kury, prosięta, cieląt parę (bo w stajni za pełno), dzieci umorusane, kurz od lat nieomiętany, bo przy zajęciach gospodarskich czasu niema nigdy na porządku; podczas gdy w izbie chałupnika czysto, dzieci umyte, piec i ściany wapnem obielone, ludzie tu, nie mając wciąż prac gospodarskich na głowie, mogą chwil trochę dzieciom i izbie poświęcić. To samo z warzą i jadłem. U gospodarza przedewszystkiem bydo trza napaść, owce, świnię, potem najemnikom dać — ludzie domowi na ostatnim planie. Cóż z tego, że jest pełno w sąsiekach, w komorze, kiedy niema czasu ustroić. Nawet niedziela zajęta. Przy zabieganiu o wiele, marny żywot: nędza bogacza".

Jak już z przytoczonych tu ustępów widać, Orkan ma zdanie na wskrós indywidualne, niezależne, i nie waha się go wypowiedzieć — idąc „pod włos" utartym opiniom. Podobnie z oceną alfabetyzmu i analfabetyzmu („Czytelnik i analfabeta"), gdzie podaje przedmiotowej ocenie konwencjonalny miernik kultury — umiejętność czytania. W ocenie ludzi i stosunków społecznych wysuwa wszędzie jako jedyny miernik nieomylny wartości duchowe. Ten rys, przy zupełnym braku wszelkiej pozy, nadaje książce charakter niezwykle szlachetny.

Pod tem wszystkim, spodem utajony, niewypowiedziany jawnie, wre w duszy Orkana jeden bolesny problem: czem będzie pod wpływem najazdu niwelującej urbanistycznej kultury ten rasowy chłop podhalański w przyszłości?!... Czy bezrasowe ceperstwo jest nieodwołalną koniecznością dziejowego rozwoju? Jest to troska miłującego — i troska artysty, — jest to troska człowieka, który własne wartości indywidualne wzięt z wartości rasowych swego środowiska a świadomy ich ceny nie może patrzeć obojętnie na wysychanie ich źródeł. Ztąd to może — wobec nierozwikłania tego problemu — stanowisko Orkana względem różnych planów „poprawy" i „postępu" jest jakoby bierne i mógłby na swej książce napisać owe motto: „Je ne suppose rien, je ne propose rien, j'expose".

Jest między listami jeden, w którym Orkan mówi o sędzie słyszonym o sobie, p. t. „Okulary gubernera". Guwerner jakiejś arystokratycznej rodziny, nie wiedząc, z kim mówi, rozprawia w wagonie kolejowym o najnowszej literaturze i zarzuca Orkanowi jego chłopskie tematy. Cały ten list trąci myślą. Ten guwerner jakby pochodził z przed lat kilkudziesięciu i był rodem n. p. z pierwszych powieści Kraszewskiego, gdzie to dla chłopca wywalczało się dopiero prawo obywatelstwa w literaturze. Zdarzenie może być prawdziwe — ale dla dnia dzisiejszego nie jest już wcale typowe. A już zgola nie po nagrodzie Nobla dla Reymonta. Jeśli chodziło o ukazanie przeciwstawnej opinii, należało ją ucieleśnić nie w „pańskim guwernerze", ale w urbanistycznym literacie z hasłami uniwersalizmu. W jednym słowie: „ceper", „ceperstwo", to jest właściwy przeciwstawnik Orkanowej duszy.

J. G. Pawlikowski.

Juljan Krzyżanowski: Pieśniarz krainy kęp i wiecznej nędzy. Rzecz o Władysławie Orkanie. Zakopane 1927. Nakładem Muzeum Tatrzańkiego w Zakopanem i Związku Podhalań (str. 72).

W ostatnich dwóch latach Muzeum Tatrzańskie im. dr. Tytusa Chałubińskiego wydało dwie książki z dziedziny literatury: K. Górskiego: „Tatry i Podhale w twórczości Jana Kasprowicza", (omówiona, w poprzednim roczniku Wierchów), a po niej wymienioną tutaj w nagłówku. Można by postawić pytanie, czy tego rodzaju wydawnictwa leżą w zakresie zadań Muzeum — i na pytanie to odpowiedzieć przecząco, gdyby w nich zaangażowane były fundusze muzealne. W obu wypadkach jednak środki znalazły się gdzieś indziej — a zarząd Muzeum dał tylko swoją inicjatywę i swoją pracę z wydawnictwem połączoną — a wobec tego odpadają wszelkie wątpliwości i można tylko wyrazić zadowolenie, że w ten sposób zyskała literatura — w szczególności literatura związana z Podhalem — dwie prawdziwie wartościowe prace.

Obie były wywołane okazją jubileuszową. Ale kiedy praca Górskiego, zszedłszy się ze śmiercią jubilata, daje obraz plonu żywota zamkniętego, praca Krzyżanowskiego daje obraz danego momentu twórczości żywej dotąd i płodnej, o której tuszyć można że wyda jeszcze niejeden piękny owoc. Obok tej cechy, że jest to obrazek plonu niezamkniętej jeszcze działalności, ma ta praca dwa inne rysy charakterystyczne: po pierwsze — że będąc „jubileuszową" niema zgola jubileuszowej maniery panegirycznej, ale dąży

do sądu przedmiotowego i sprawiedliwego, a po drugie — że, jak to autor podkreśla, ma na celu wykazać „w czym tkwi odrębna wartość twórczości autora „Drzewiej” i odzielić w niej elementy o znaczeniu przemijającym... To ograniczenie się zacierają może niektóre rysy indywidualności Orkana, ale daje książce zwartość i jasność. A z wyboru który autor czyni między tem co trwałe a tem co przemijające, widać — chociaż tego wyraźnie nie mówi — że oryginalność i trwałość zapewniają Orkanowi jego cechy regionalistyczne, to co z ziemi — tej, danej właśnie ziemi, a nie ziemi in abstracto — wyrosło. Sprawdza się na nim stary, wiecznie prawdziwy mýt o Anteuszu.

Dwie odróżnia autor w twórczości Orkana epoki: pierwsza naturalistyczna, gdzie „bałwochwalca prawdy” — jak go nazywa — fotografował tylko rzeczywistość, i druga, w której podniósł się do jej przetworzenia artystycznego w poszukiwaniu prawdy wyższej, wewnętrznej. Kulminacyjnym punktem okresu pierwszego są „Komornicy” i „Pomór”, punktem zwrotnym zaś „W Roztokach”, owa powieść o „mesjaszu chłopskim” Franku Rakoczym. Refleksje, jakie nasuwa Krzyżanowskiemu ta powieść, są nader trafne i bystre. „Potraktowanie przez autora Franka jako mesjasza, jest zjawiskiem niezwykle interesującym, nietyle zresztą ze względu na samą powieść, ile raczej dlatego, że Orkan podejmuje tu temat posiadający w literaturze polskiej tradycję mocno zakorzenioną i koneksje wprost świetne, ustalenie zaś na ich tle rodowodu Franka Rakoczego w zgoła osobliwym świetle ukazuje nam cały romans — Franek tedy jest niewątpliwie dziedzicem ducha wielkich indywidualistów romantycznych, Konradów, Kordjanów, Irydjonów, z których każdy nazywał się „milion”, każdy deptając rany własnego, krwią żywą ociekającego serca, prawował się o dobro swej społeczności z Bogiem i światem, by wreszcie paść w walce z potęgami, których znaczenia nie umiał docenić. Każdy z nich poświęcał dla dobra ślubowanej sprawy w głębi duszy ukrywana miłość ku kobiecie-aniolowi, moda bowiem romantyczna w prawdziwym heroście kazała widzieć nieszczęśliwego kochanka...” — „Romans Orkana dowodzi, że dla pisarza z przed lat dwudziestu, usiłującego wskazać drogę postępu kulturalnego dla chłopów, nie było innego wyjścia jak tylko zaszczerpić mu kulturę szlachecką...” „Przykład Franka przejmującego wraz z ową kulturą typowe choroby psychiki romantycznej... dokumentuje... w jaki sposób przesiąkała ele-

mentami kulturalnymi inteligencja ludowa w Galicji — i na tem niewątpliwie historyczne znaczenie romansu polega”.

Możnaby to podobieństwo z romantyzmem wykonać nietylko na ideologii i na typie charakterowym. Przebija się ono i w tym rysie lirycznego egotyzmu, w tak charakterystyczny sposób zabarwiającym epickie i dramatyczne utwory owej epoki, w których bohater jest wyrazicielem własnego „ja” autora. Franek Rakoczy jest tem taksamo jak Konrad lub Kordjan. Oryginalność polega na nowości maski i na zespoleniu elementów naturalistycznych z romantycznymi. To czyni powieść interesującą, jak interesującym jest paradoks, ale w tem też leży jej słabość. Jeśli stoi wyżej od utworów poprzednich, to przez udoskonalenie tych elementów, które już w poprzednich tkwiły, możnaby zaś zakwestjonować zdanie Krzyżanowskiego, że to ten nowy element — ów element wyższej rzekomo, wewnętrznej prawdy — o tej wyższości stanowi. Raczej żałowaby należało, że rozwój Orkana nie poszedł w kierunku czystej epiki „Chłopów” Reymontowych. Z tem zastrzeżeniem sąd Krzyżanowskiego o niepospolitych wartościach tej powieści jest zupełnie uzasadniony.

Ale palmę pierwszeństwa przypisuje on nie temu, ale późniejszemu utworowi, „Drzewiej”. Tu Orkan wchodzi na tor całkiem nowy. Porzuca on szlaki naturalizmu — nad fotografowaniem życia bierze już stanowczo górę koncepcja artystyczna, wzbogacona całym zasobem środków i motywów od życia przejętych. Utwór ten jednak tak się różni od poprzednich, do tak odmiennej kategorii należy, że trudno jego stosunek wartości do tamtych odważyć. Czy jest „arcydziełem” — jak chce Krzyżanowski — nie przesądzamy; arcydzieła muszą się odleżeć. Jest niepospolity. Zwłaszcza obrazowanie nastrojów przyrody — co i K. podnosi — jest pierwszorzędne. Pierwszorzędne są też zalety języka, chociaż byłaby kwestja czy właśnie w tym utworze zalety języka Orkanowego najsilniej się uwydatniają. W każdym razie przy ocenie języka tego trzeba rozróżnić dwa wypadki: z jednej strony — jak n. p. ostatnio w „Listach ze wsi” — język potoczny, konwersacyjny, wzmoczony przyswojonymi i zespolonymi organicznie elementami gwarowymi, — z drugiej — tak jak w „Drzewiej”, utworze fantastycznym rozgrywającym się w czasach zamierchłych — język poetycki, wymagający właściwej stylizacji. W pierwszym wypadku język ten jest bez zastrzeżeń wyborynym, w drugim możnaby dopatrzeć się pewnych niedociągnięć.

W czym nie mógłbym się zgodzić z Krzyżanowskim, to w tem, że Orkana nazywa „socjologiem“. Jeśli chodzi o obserwację stosunków społecznych ludu który opisuje — dobrze; jest on obserwatorem doskonałym. Ale pod tą nazwą socjologa zdaje się kryć sąd nie tylko i nie tyle o trafności obserwacji i opisu, (w tem znaczeniu zresztą nikt tego terminu nie używa), ile o wartości wniosków i rad dotyczących poprawy tych stosunków. Jest to przypisywanie Orkanowi czegoś, czego u niego wcale niema — i niema na szczęście. Tym razem nie Orkan ale Krzyżanowski popadł w konwencje romantyczną, przypisującą poetom rolę mędrców, nauczycieli i przewodników. Dość już chyba mamy tych złudzeń i oswabdamy się z nich powoli — w teorii. W praktyce — niebardzo. „Przepióreczkowanie“ ostatnich czasów przybiera owszem prawie komiczne formy... Orkan nawet w „Listach ze wsi“ nie próbuje być reformatorem, zaledwie tu i ówdzie rzuca skromną uwagę. A utopie Franka Rakoczego chyba tylko psychologiczną mają logikę i interes i nie mogą być brane za opinie poety.

Krzyżanowski zakładając sobie zadanie przedstawienia czem jest Orkan jako zjawisko oryginalne, swoiste w naszej literaturze, i czem się w niej wyodrębnia a zatem trwale zapisze, ma zupełną słuszność ograniczając się do utworów szczególnie znamiennych. Ale daje to pozór jakoby zbyt lekceważył twórczość Orkana pozostając: nowele, poezję, dramaty. I tu znajdują się rzeczy niepoślednie. O tyle nakreśliły portret Orkana jako twórcy jest tylko zarysem. Z jednego ustępu można wnosić, że autor nosi się z zamiarem większego wyczerpującego studjum. Szkic dzisiejszy pozwala żywić jak najlepsze nadzieje o wartości takiej pracy. Tak jak jest, daje on doskonałą orientację ogólną — a o to na razie chodziło.

Co do strony formalnej, to język Krzyżanowskiego jest jasny, rzeczowy, bez zarzutu. Tylko — nie pisze się: „w Franku“ ale „we Franku“, nie „z swą“ ale „ze swą“, nie „z stanowiska“ ale „ze stanowiska“. Trzeba bowiem „mieć sumienie w uszach“, jak mówi Nietzsche. Ale może to tylko błąd korekty — która, jak cała wydawnicza strona książki, jest zresztą wzorowa.

J. G. Pawlikowski.

Skandal wydawniczy. — W tak zwanej „Bibliotece groszowej“ (95 gr.) pojawiło się „Na skalnem Podhalu“ Tetmajera. Radosny ten fakt, że dzieło to stanie się w ten

sposób dostępnem dla warstw najszerszych, wzbudzał jednak pewne zaniepokojenie. Poza tłumaczeniami (najczęściej tandetnymi, — „tanie mięso psi jedzą“) — i dziełami starszemi, na których już wygasła prawa autorskie, w tem tanim wydaniu wychodzą bowiem tylko rzeczy, których karjera już się kończy i które próbują wziąć jeszcze ludzi na taniocść. Czyżby i „Na skalnem Podhalu“ musiało już w ten sposób starać się o czytelników? To niepodobna!

Przypatrzmy się tedy temu wydaniu, aby tajemnicę jego taniocści odsłonić. Rysunki... Czyżby one były powodem tej deprecjacji? Byłoby to całkiem zrozumiałe, że za to zanieczyszczenie trzeba czemś czytelnika wynagrodzić... Ale jaki byłby w tem interes wydawcy? Więc co innego. Na pierwszej stronie znajduje się rodzaj przedmowy, raczej notatki podpisanej przez autora, z której dowiadujemy się, że wydanie to mieści tylko wybór nowel, i to zrobiony ze względu na udośćpienie książki dla młodzieży. Bardzo dobrze, — tylko że to powinno być zaznaczone na tytule, aby się czytelnik nie łapał w zasadzkę, nabywając towar półwartościowy za pełny. Z pomiędzy 42 nowel wydania pełnego znajdujemy tu tylko 15-cie. A więc antologia — i to antologia dla młodzieży. Zgoda. Zobaczmy teraz, co ona mieści.

Lecz oto kiedy wgłębimy się w książkę, ogarnia nas coraz większe zdumienie. Nie znachodzimy tu bowiem wcale oryginalnego Tetmajera, ale jego przeróbkę. Kto sobie na to pozwolił i z kąd miał prawo do tego? Z kąd miał przedewszystkiem prawo robić to nie uprzedzając czytelnika, że niema do czynienia z oryginalnem dziełem? Boć ta ramota chyba to nie „ostatnia redakcja“ autorska, tekst „ne varietur“, który znosi wszystkie poprzednie?! A wobec milczenia tytułu i przedmowy takby się zdawało! Tak nie jest niewątpliwie — a wobec tego wydanie to jest zbrodnią popełnioną na dziele — a względem czytelnika pospolitem oszustwem. Jedyną okolicznością łagodzącą jest to, że przetwarzacz nie zdawał sobie zapewne wcale sprawy z tego co czyni. Wszakże „bajka“ pozostała ta sama. Któżby się tam troszczył o treściowe i uczuciowe lub — śmieszna rzecz — dźwiękowe walory słów i inne tym podobne łapał! Jest to przecież w duchu czasu, że Faust „zna się“ z kina, a Pana Tadeusza ze streszczeń sporządzanych przez wyranżerowanych pedagogów, jako t. zw. „ośle mosty“ dla abiturjentów.

Na czemże polega ta przeróbka? Oto prze-

dewszystkiem na wykluczeniu gwary, która tak przyrosła do treści „Skalnego Podhala“, jak twarz do człowieka. Ale cóż to jest twarz? To tylko mały kawałek, — ludzi się dziś przecie poznaje po łydkach. Twarz zresztą powinna być ostatecznie skasowaną. Jest ona elementem różnicującym, a to co różnicuje jest przeżytkiem. Twarz powinna być jak kula bilardowa — z dziurą, jako jeden z wylotów kanału pokarmowego. Kanał pokarmowy bowiem jest wszystkim wspólny — jest on tem co łączy. Precz z twarzą! Uniwersalistyczny-urbanistyczny człowiek bez twarzy, bezrasowy ceper, to człowiek dnia. Ma to być ideał demokratyczny... I rzecz szczególna! Dawniej demokracja przychodziła do chłopu, aby tu znaleźć pierwiastki odżywcze, aby odnaleźć swoją twarz zgubioną. Dziś boi się go — aby jej ceperskiej gładkości nie naruszył... Ale te refleksje za daleko by nas zaprowadziły...

W plagjacie — bo tak to trzeba nazwać — „Skalnego Podhala“ — wykluczenie gwary ma na celu oczywiście spoupartyzowanie, uprzystępnienie tego dzieła, przez jego zbanalizowanie, czyli zceprzenie. Przerabiacz nie ufa czytelnikom nawet czy przełkną „gruleczkę“ i zamienia ją na „ziemniaczka“, szkoda że nie na bardziej jeszcze uniwersalistyczny „kårtofelek“. Poza tem jednak kierując przerabiaczem inne jeszcze widocznie pobudki jak względ na potrzebę zrozumiałości. Dlaczego bowiem nie pozwala biednemu Walkowi sietniakowi zostać w „gaciach“, ale przebiera go w „majtki“? (T. II, str. 99). (Po tych „majtkach“ poznaje bodaj uroczą jakąś Warszawiankę jako tę, która podjęła się honorowego obrządku obrzezania Tetmajerowego dzieła). Prawdopodobnie chodzi tu o względy przystojności, które w istocie nie są już modernistyczne. Podobne względy — a może i pedagogiczno-wychowawcze — każą skreślić przerabiaczowi, czy — jak sądzę — przerabiaczce, kłęcie od djabłów, albo spluwanie na podłogę, przyczem jednak jest ciekawe, że wykreśla się to raz a zostawia parę wierszy niżej — widocznie w przekonaniu, że sadić djabłami i pluć wolno — byle nie zadużo.

To uprzyżwoicenie „Skalnego Podhala“ idzie miejscami tak daleko, że przypomina anekdotkę o owym pastorze niemieckim — którego pyta gość: „Jak się nazywa nasz nowy lekarz gminny?“ — Pastor rzuca okiem na córkę: „Lizi, zostaw nas samych“, — poczem powiada głosem stłumionym: „doktor Kloze. — Lizi, możesz wrócić!“ Z tego punktu widzenia nie zamierzamy jednak zgoda-

wdawać się w dyskusję. Rzecz w tem, że to wydanie „Skalnego Podhala“ nie jest już dziełem Tetmajerowem, ale jego przeróbką, a jeśli wogóle takie przeróbki miałyby być uznane za dozwolone, to w każdym razie tylko pod warunkiem, że jako przeróbki się wyraźnie wylegitymują, a nie przez zamilczenie podawać się będą za oryginał.

W przeróbce tej zniekształcenie oryginału jest całkiem gruntowne. Poza wykluczeniem gwary i odjęcie przez to dziełu jego właściwej barwy, skreślenia — a nawet dodatki — powtarzają się niemal na każdej stronie. Bywa też i tak, że po skreśleniu sens się zupełnie gubi. Zbójnicy biją żyda, aby się przyznał gdzie schował pieniądze. Żyd powiedziec nie chce. Wtedy Nowobilski każe zapalić kaganek i przypala żydowi pięty aż skóra skwirczy, a sam fajkę pali, aby mu nie śmierdziało. W przeróbce skasowano tę małą budującą scenę w ten sposób: „Zobuć go“ — krzyknął. My w mig. „Daj kaganek! Przyznał się na ostatku“. — Czytelnik może to oczywiście tylko tak zrozumieć, że żyd pociemku przyznać się nie chciał, ale przy świetle uważał to za naturalne. Dla podobnych powodów opuszczono scenę znęcania się tłumu nad Murzańskim, co siano kradł, aby je sarnom do lasu nosić, — zakończenie skutkiem tego jest zmienione i niejasne. W noweli „Ku niebu“ względy moralności kazały opuścić opis krzywdy jaką Wojtek wyrządził Hance, ale bez tego upada cały tragizm utworu, który staje się banalnym. Taksamo w noweli „O ludzkiej biedzie“ odpada cała końcowa pointe'a: Mudołoń umiera sponiewierany przez „hrubych gazdów“, z których niejeden na krzywdzie ludzkiej utył — ba i na zbój chadzał, a nad sierotami jego ulituje się tylko Pawlik, mały złodziej, co prosię, albo kurę czasem ukradnie... Względy dydaktyczne dyktują czasami zabawne dodatki. W noweli o Murzańskim przerabiacz uważał za stosowne uzupełnić niedomówienia autora i objaśnić postępek Murzańskiego brakiem rozumu. Dodał więc (T. II, str. 131) takie zdanie: „Jak to człowiek niespełna rozumu“ — albo: „Nie rozumiał biedak, że mu za złe karmienie sarn można było wziąć“. Przerabiacz „nie rozumiał biedak“, że właśnie to „niedomówienie“ ma swój cel artystyczny i nadaje utworowi właściwy charakter. Względ dydaktyczny podyktował też takie inteligentne dopełnienie (T. II, str. 63): „Parobek... skoczył na siodłowego lewego, śmignął po naręcznym prawym batem i ruszył kłusem“.

Młody czytelnik ma się nauczyć, że siódłowy koń jest lewym, a naręczny prawym, efekt jednak jest ten, że istnieją widocznie dwa siódłowe i dwa naręczne, prawe i lewe.

Niekiedy opuszczenia tłumacza się tem, że przerabiacz nie znalazł poprostu odpowiedników w swoim ceperskim języku. I tak w oryginalne („O Zosi Walcawkównie“) mówi Jaś do Zosi, która go chce odwieść od zbójowania: „Je kie ty temu nie rozumieś. Dziewka i dziewczka — jedno, a drugie, bo pojedna toby sama za bucki hipla, dziewczkaś siumna, co raty, Walcocka cysta, ale żeś ty jakaś taka co drugiej takiej niema“. — Przerabiacz ulżył sobie trudu przerabiania na ceperskie w ten sposób: „Ale — kiedy ty tego nie rozumiesz. Dziewka i dziewczka — jedno, a drugie jakaś taka, że drugiej takiej niema“. — Marcin Mudroń („O ludzkiej biedzie“), słysząc dzieci dzielące się ostatnią zimną grulicką, jęczy na swym barłogu: „Serce strzim, serce strzim!“ Gdy na to nie było ceperskiego odpowiednika, przeróbka oszczędziła poprostu Mudroniowi tej boleści. — Co do gwary zresztą, to dziwne rzeczy się dzieją. I tak „dla kolorytu“ zostawiono z niej tu i ówdzie ślady w postaci t. zw. „mazurzenia“, które dla gwary góralskiej zgoła nie jest charakterystyczne. Niekiedy został się ni ztąd ni zowąd — jak mucha w mleku — jakiś wyraz gwarowy. Np. oryginał: „Stasek Mocarnego miał hipnąć bez okno jak się krata wytardze“. Przeróbka: Staszek Mocarnego miał skoczyć przez okno, jak się krata wytardze“. Zdarza się, że zostaje ten sam wyraz, który parę wierszy przedtem był wykreślony. Wypadają czasem rzeczy przekomiczne. I tak np. wyraz „cobyk“ zamieniono na „abyk“, a zatem gwarową końcówkę docepiono do zceprzonego trzona: bastard kury z karpim.

Poza tem wszystkiem są jeszcze liczne opuszczenia, których powodu trudno znaleźć. Tak np. w noweli „Ku niebu“ Hanka idzie w fujawicę w pustać tatrzańską, aby znaleźć tu grób niepoświęcony. I w jękach wiatru zdaje jej się że słyszy głosy tych, co tu takie groby znaleźli i których dusze przeto spokoju nie mają. Taka oczywiście była myśl poety, gdy każe Hance te głosy słyszeć. Ale w przeróbce cały ten ustęp został skreślony. Ma się wrażenie, jakby o to chodziło, by jak najbardziej zbanalizować dzieło Tetmajerowe. O cóż bowiem innego mogło chodzić przy takim np. przekształceniu początku noweli „Ocean“. Oryginał: „Djabli wynieśli Jędrzka Mahajczaka z Ratułowa z Pod jedli za ocean do Ameryki. No, prawda, że w domu bieda

była co raty!“ Przeróbka: „Pojechał Jędrzej Mahajczak z Ratułowa z Pod jedli za ocean do Ameryki na zarobek. W domu była straszna bieda“. Albo jaką mógł mieć rację przerabiacz, by sobie zadawać trud zmienienia takiego ustępu („Murzański“): Oryginał: „Jo im (sarnom) hań dołek wygrzób we śniegu, bo jedne to se racyj z gałęzie idom sianko skubść, a drugim to sie zaś widzi ze ziemcki świentyj zbierać“. Przeróbka: „Ja im tam dołek wygrzebałem w śniegu, bo jedne z gałęzi idą sianko skubać, a drugie z ziemi zbierają“. Widać nie dosyć było usunąć gwarę — ale trzeba było i „świętą ziemeczkę“ wyrzucić... Ha! może i nie każdemu ta ziemka jest świętą... To pewna, że „zapach ziemi“ — rys decydujący o wartości Tetmajerowego dzieła — w tej jego przeróbce się ulotnił.

Powiedziano w Hamlecie: „głupstwo to wprawdzie — lecz ma swą metodę“. O tem głupstwie i tego powiedziec nie można. Brak tu wszelkiej metody. Gdyby nawet przyjął wszystkie niedorzeczne założenia, z jakich wychodzi przeróbka, pozostawałoby na ciężar jej rachunku że cała robota jest w najwyższym stopniu niechlujna.

Czy warto było rozpisywać się o tej racmocie? Niewątpliwie nie, gdyby mogła być publicznie spalona, jako owoc zbrodni przeciwko niepospolitemu dziełu. Gdy tego środka nie staje, niemasz — niestety — innego, jak pisać. Na co zesłały literatura, gdyby została swobodę podobnemu kłusownictwu? Co może na swe usprawiedliwienie przytoczyć wydawca? Może — że się autor zgodził?... Tem gorzej. Bo do zbrodni przeciwko dziełu przyłącza się wtedy zbrodnia przeciwko człowiekowi.

J. G. Pawlikowski.

Dr. Mieczysław Świerz: Przewodnik po Tatrach i Zakopanem. — Z mapą Tatr, planem Zakopanego i 18 szkicami. Nakładem autora. Zakopane 1927, str. VIII + 230.

Jest zasadą — można powiedzieć — naukową, że popularyzatorem pewnego zakresu wiadomości może być tylko ten, kto temat ogarnął w zakresie najgłębszym i najszerszym. Popularną książkę historyczną — o ile ma być naprawdę dobrą — może napisać tylko prawdziwy historyk, który zgłębił przedmiot w sposób rzetelnie naukowy. I nie należy sądzić, że ta praca popularyzatorska jest specjalnie łatwa i że stoi na niższym jakoby poziomie pracy umysłowej. Dlatego w morzu wydawnictw popularnych tak rzadko spotkać można rzecz naprawdę wartościową.

Zasada powyższa obowiązuje także w zakresie „tatroznawstwa“. Dlatego dobrze się stało, że popularny Przewodnik po Tatrach wyszedł z pod pióra człowieka, który równocześnie — jako współautor „Tatr Wysokich“ reprezentuje znajomość Tatr, stojącą na wyżynach prawdziwej wiedzy. Jeżeli zatem dr. Świerz wydał w r. 1927 czwarte wydanie swego popularnego, przed 19 laty zapoczątkowanego „Przewodnika po Tatrach Polskich i Zakopanem“, możemy być z góry przekonani, że rzecz jest naprawdę dobra i że jest najlepsza w plejadzie wszystkich analogicznych wydań — polskich i zagranicznych. Najlepsza — to znaczy, że w tej ogromnej masie materiału faktycznego, który przynosi — jest napisana z największym znanstwem i z największym poczuciem odpowiedzialności za ich prawdziwość. Innymi słowy — że możliwość wprowadzenia w błąd turysty jest sprowadzona do znikomego minimum.

I to jest najważniejsze. Dlatego, nie bawiąc się w rozbiór treści „Przewodnika“ — należy stwierdzić, że na tej wyżynie, na jakiej postawił autor najnowsze wydanie „Przewodnika po Tatrach i Zakopanem“, jest to pierwsze w tej chwili wydawnictwo, które możemy ze spokojnym sumieniem dać w rękę turyście, przychodzącemu do Tatr w celach ogólnie poznawczych.

Nie chcemy przez to twierdzić, że „Przewodnik“ nie posiada wogóle żadnych błędów. Jest w nim najpierw pewna ilość drobnych usterek i nieścisłości, których wymienianie na tem miejscu uważamy za zbędne. Autor sam te nieistotne braki swego dzieła najlepiej dostrzeże i niewątpliwie w V-tem wydaniu usunie. Natomiast pragniemy zwrócić uwagę na wady bardziej ogólnej natury, których uniknięcie w przyszłości będziemy uważali za wyraźny krok naprzód w ulepszeniu rzeczy dziś już dobrej.

Chodzi tu najpierw o przeprowadzenie zasady, według której dokonuje autor selekcji szczytów tatrzańskich na te, które opisuje, i na te, które pomija. Dziś jeszcze takiej konsekwentnie przeprowadzonej zasady nie widzimy. Nie można np. zrozumieć, dlaczego autor uwzględnił Kończystą i Snieżną Przełęcz, a pominął Durny lub Jaworowy. Mamy wrażenie, że w obecnej fazie rozwojowej turystyki popularnej po Tatrach — Przewodnik typu omawianego powinien obejmować wszystkie samodzielne t. zw. pierwszorzędne szczyty Tatr Wysokich. Więc np. w okolicy Zielonego Stawu Kieszmarzkiego należałoby uwzględnić: Kieszmarzki, Łomnicę, Durny, Baranie Rogi,

Wierchy V.

Kołowy i Jagnięcy z pominięciem wszystkich innych do tej grupy należących (ew. z pozostaniem Jastrzębiej Turni ze względu na ścieżkę). Z tych samych względów należałoby także podać krótkie opisy dróg na Pośrednią Grań, Jaworowy i Staroleśna. Jest to tem bardziej wskazane, że zawsze powinniśmy traktować całe Tatry jako „sferę wpływów“ polskiej turystyki.

W związku z powyższem pozostaje także sprawa wyboru szczytów w Tatrach Zachodnich. Na zachód od Bystrej opisuje dr. Świerz tylko Wołowiec, Rohacze i Osobitą. Uważamy, że już choćby względny na „odcieniu“ Tatr Wysokich wymagałoby poważniejszego uwzględnienia wycieczek w Tatry Zachodnie, nie pozbawione swoistego uroku, a ciągle jeszcze lekceważone. Jako minimum wymagań w stosunku do Tatr Zachodnich wysuwamy konieczność opisu graniówki od Tomanowej po Salatycki, z uwzględnieniem możliwości noclegowych w związku z tą graniówką.

Drugim wyraźnym niedostatkiem „Przewodnika“ jest sprawa — techniczna zresztą — podawania czasu trwania całej wycieczki. Autor czasu potrzebne do przebycia pewnej drogi liczy najpierw od wskazanego w nagłówku danej drogi punktu wyjścia, a potem od ostatnio wymienionego czasu. W ten sposób droga cała zostaje rozkawałkowana na drobne odcinki. To, co jest najważniejsze, tj. czas całej wycieczki, można otrzymać tylko w drodze dodawania poszczególnych etapów, co nie zawsze jest całkiem łatwe, gdyż trwanie ich obliczone jest częstokroć w rozmaitych jednostkach czasu (godzina, kwadrans, minuta). Wadliwość tę najpraktyczniej usunąć — wedle wzorów alpejskich — przez podanie czasu całej wycieczki zaraz po nagłówku danej drogi w nawiasie klamrowym, gdy czasy poszczególnych odcinków drogi będą uwidocznione dotychczasowym sposobem w nawiasach okrągłych.

Można się spodziewać, że powyższe uwagi będą uwzględnione w najbliższem wydaniu.

rk.

T. i S. Zwoliński: Przewodnik po Tatrach i Zakopanem. Wyd. III. Str. 301 + 10 ryc. z mapą Tatr 1:200.000 i planem Zakopanego. Nakład księgarni L. Zwolińskiego w Zakopanem. Zakopane 1927.

Trzecie już z rzędu wydanie tego popularnego przewodnika po Tatrach i Zakopanem świadczy o powodzeniu wydawnictwa wśród publiczności zakopiańskiej. Powodzenie to przypisać należy niewątpliwie w znacz-

nej mierze nader wyczerpującej części informacyjnej, zawierającej szczegółowe daty co do urzędów, wynajmu will i t. p. szczegółów dotyczących się Zakopanego, których zwykle przewodniki po Tatrach nie posiadają.

Całość rozpada się na 3 części: Przewodnik po Zakopanem, przewodnik po Tatrach i dział inseratowy. W części pierwszej w „Ogólnym opisie Zakopanego“ omówione jest jego powstanie i rozwój, położenie, klimat, środowisko turystyczne i kulturalne, styl zakopiański, wreszcie miejscowości i letniska w pobliżu Zakopanego, W tejże części w „Informacjach szczegółowych“ zawarte są wiadomości o środkach komunikacyjnych (koleje, auta, dorożki), o mieszkaniach, urzędach, instytucjach publicznych, zakładach leczniczych, lekarzach, jadłodajniach, bankach, biurach podróży, księgarniach, stowarzyszeniach i rozrywkach. Część druga ma szereg działów (Wstęp ogólny, pogląd na Tatry, towarzystwa turystyczne i sportowe, przewodnicy, literatura tatrzańska, wskazówki dla turystów — następnie przechadzki, Tatry Zachodnie Orawskie, Tatry Wysokie strona południowa i program wycieczek na krótki pobyt w Tatrach).

Zanim przejdę do uwag szczegółowych, muszę stwierdzić niestety, że układ drugiej części jest nienaturalny i do pewnego stopnia chaotyczny. Autorowie dzielą Tatry raz z punktu widzenia politycznego, to znów wedle stron świata, wreszcie biorą też w rachubę znany podział na Tatry Zachodnie, Wysokie i Bielskie. Do tego kolejność w omawianiu szczytów i przełęczy nie jest jednolita: Tatry Zachodnie omawiają w kierunku od wsch. ku zach., półn. stronę Tatr Wysokich od zach. ku wsch., południową w odwrotną stronę. Te dwie usterki sprawiają, że orientacja w materiale przewodnikowym jest trudna. Byłoby bardzo polecenia godną rzeczą, gdyby w następnych wydaniach przyjęli autorowie przy omawianiu dróg na szczyty i przełęcze sposób ogólnie przyjęty, t. j. podział Tatr na trzy ich części i kolejność od zach. ku wschod., z zarzućciem podziału politycznego i wyróżniania części półn. i płd. Tatr.

Skoro zaczęliśmy już od usterek, to skończmy już z nimi za jednym zamachem.

A więc zmienićby należało niektóre szczegóły co do flory Tatr; warto było wspomnieć, że w najbliższym czasie nastąpi połączenie Ochotn. Pogotowia Ratunkowego z Polskiem Towarzystwem Tatrzańskim; na str. 66 w dziale „Przewodniki po Tatrach“ wypuszczono przez przeoczenie nazwisko inż. J.

Chmielowskiego jako współautora najlepszego obecnie przewodnika po Tatrach; w nazwach szczytów i przełęczy powinno się używać wyłącznie tylko nazwisk bez tytułów, a więc np. „Żleb Kulczyńskiego“, a nie „prof. Kulczyńskiego“ (str. 168); „pechowna“ a tak często używana droga z Czarnego St. Gąsienicowego na Granaty (N. 142), na której tyle zdarzyło się śmiertelnych wypadków, jest opisana zbyt ogólnikowo. Opis pod N. 182 na Mnicha powinien być albo rzeczywiście opisem drogi, albo powinien być opuszczony. Na Wielki Mjęguszowiecki nie podano najkrótszej i wcale od podanych nie trudniejszej „Drogi po głazach“.

Te wszystkie usterki nie zmniejszą jednak wartości „Przewodnika“, o którym można zresztą powiedzieć, że jest zupełnie dobrym i godnym polecenia.

Przedewszystkiem, o czym już wspominałem, materiał opisowo-informacyjny co do Zakopanego i Tatr jest zebrany obficie i znamionuje znajomość stosunków lokalnych i turystyki wysokogórskiej. Uznania godną rzeczą jest silne podkreślenie konieczności ochrony przyrody tatrzańskiej i należytego w tej mierze zachowania się turystów. Cenne są uwagi o sposobie przygotowywania i przeprowadzania wycieczek. Trafne rady znajdzie też narciarz-turysta przy opisach dróg na szczyty lub przełęcze. Pierwszy raz znajdują się w „Przewodniku“ dokładne opisy grot dawniej znanych i świeżo przez autorów odkrytych. Opisy dróg są dobre, tj. krótkie i jasne. Mapka Tatr może stanowić raczej miłą pamiątkę po nich, niż być przydatną turystyce, ale obecność jej wcale nie szkodzi. Plan Zakopanego natomiast może oddać naprawdę nowicjuszowi znaczne usługi.

M. S.

Alha-Marczak-Wiktor: Ilustrowany Przewodnik po Pieninach i Szczawnicy. (Kraków. Nakładem Komitetu 1927. Stron XII + 186 + 2 mapy).

Jeżeli pod nazwą „Przewodnik“ rozumiemy książeczkę kieszonkowego formatu, która towarzyszy nam na wycieczkach, aby pouczać o drogach w okolicy nieznannej, to ten „Przewodnik“ wogóle „przewodnikiem“ nie jest. Najprzód już dlatego, że nie możemy się nosić z dużą książką (8^o), zawierającą mnóstwo rzeczy może bardzo pożytecznych w domu ale zbędnych zgola w drodze, a następnie i dlatego, że właściwy „przewodnikowy“ tj. turystyczny materiał jest tu ubogi i niewystarczający. To też wyborem przewodnikowi K. Sośnowskiego książka ta konkuruje

robić nie będzie. Z punktu widzenia czysto turystycznego, albo powiedzmy jaśniej „drowgowskazowego“, mały z niej pożytek.

Ale byłoby rzeczą niesłuszną, z tego właśnie punktu widzenia — dla jej dwuznacznej nazwy — ją oceniać. Trzeba to powiedzieć, że przy dzisiejszym typie „przewodników“, typie, który sam w sobie jest zresztą bardzo racjonalnym, zapomniano prawie zupełnie o tem, że pokazywać drogę nie jest to jeszcze dosyć, gdyż jałowy to możół „uświadamiać“, nogi jeśli to wehikuł obnoszący ślepego. Trzeba jeszcze uświadamiać oczy i głowę. Przewodniki po Tatrach muszą objąć tyle materiału wyłącznie sportowo-turystycznego, że dla spełnienia tego drugiego zadania konieczny jest podział pracy, natomiast przewodniki po górach średnich lub zgoła po okolicach równych nie tylko mogą, ale często muszą przedstawiać typ mieszany, bo inaczej nie miałyby wogóle o czem mówić. Książka podejmująca takie zadanie operująca z natury rzeczy materiałem bardzo różnorodnym musi zajmować się przyrodą, etnografią, historią, zabytkami sztuki i kultury. Wymaga tedy zawodowego podziału pracy. Nad Przewodnikami, który omawiam, pracowało też trzech autorów, jeśli jednak wglądnijemy bliżej, zobaczymy, że jest to rozkład ciężaru ale nie podział pracy zawodowy. Brak kompetencji daje się też dotkliwie uczuć przedewszystkiem w dziale przyrodniczym.

Oto, co o tem pisze fachowy przyrodnik, do którego redakcja „Wierchów“ zwróciła się z prośbą o ocenę tego działu:

„Ustępy przyrodnicze w „Ilustrowanym Przewodniku po Pieninach“ Alhy, Marczaka i Wiktora są, niestety, przykładem, jak rzeczy takie, w zasadzie bardzo potrzebne i pożyteczne, pisane być nie powinny. Autorzy mieli zapewne dobre chęci — dowodem tego, że starali się korzystać z kilku źródeł, ale, nie orientując się widocznie w przedmiocie, zrobili to zupełnie bezkrytycznie. W rezultacie najciekawsza roślina pienińska, *Chrysanthemum Zawadzki Herb.*, figuruje u nich pod trzema różnymi nazwami wśród trzech odrębnych grup flory Pienin, do „roślin endemicznych“ zaliczone są całkiem błędnie gatunki, których nikt nigdy za takie nie uważał, nadto wymienione są z tych gór rośliny, nie spotykane wogóle w całej Polsce. Czy zresztą ma jakąś wartość wyliczanie w popularnej książeczce długiego szeregu suchych nazw łacińskich roślin, nieznanych, jak to wiadać z uwag powyższych, nawet samym autorom? O ich wiadomościach botanicznych świadczy dosadnie zdanie: „Dziwaczną (!)

odmianę (sic!) stanowi żółto kwitnący leśny kwiat *Corydalis scapnoides*“ (str. 30). Skąd zaś zaczępnęli wiadomość, jakoby limba rosła dawniej w Pieninach, to już ich tajemnica.

Jeszcze gorzej dostało się geologii: jurajskie skalice pienińskie zostały przez autorów przeniesione do kredy, a więc odmłodzone o kilka milionów lat, z czego ostatecznie mogłyby być rade, jako że są rodzaju żeńskiego — cóż, kiedy za to „przywiązane są wyłącznie do piaskowców starszych“!

Poza tem szczerą troską autorów o przyrodę, niszczoną bezmyślnie przez człowieka i ich zapał dla idei Parku Narodowego w Pieninach zasługują na pełne uznanie. Powodowani tą troską patrzą niekiedy zbyt czarno na rzeczywistość; możemy ich uspokoić, że Pieniny nie utraciły od r. 1910 bynajmniej swych osobliwości botanicznych“.

Ten sąd nie jest to jednak jeszcze wyrok na książkę. Zawiera ona bowiem także rzeczy dobre a niektóre nawet bardzo dobre. Odnosi się to zwłaszcza do działu etnograficznego. Na pierwszym miejscu trzeba tu wymienić rozdział p. t. „Obrzędy i zwyczaje“, tudzież „Wierzenia, gusła i zabobony“, pióra p. Marczaka. Autor pochodzący z rodziny włościańskiej w Grywałdzie miał sposobność poznać to, o czem pisze zblizka i dokładnie, to też rzeczy te, zwłaszcza ustęp o znachorach i czarownikach, mają wartość pierwszorzędного dokumentu. Mniej udały się p. Marczakowi „Historje i gadki“. Napisane językiem literackim niewiadomo, ile zawierają materiału ludowego a ile własnych dodatków autora. Pomieszczenie tu legend o św. Kindze, które na pewne są własnością literacką p. Marczaka, wzmaga nieufność co do pozostałych. Wyjątek stanowi może legenda o „Pietrowej maci“. W rozdziale o świecie roślinnym podaje p. M. także pewien materiał etnograficzny, a to nazwy ludowe i rośliny używane do leków i czarów. Cóż kiedy nazwy łacińskie przy nich umieszczone opatrzone są w większości swojej znakami zapytania, a zdaje się, że znaki te powinny stać i tam, gdzie ich niema. (Czy naprawdę np. roślina zwana lokalnie „dzwonkiem“ jest to *Hyporicum perforatum*, tj. „dziurawiec“? Bo dziurawiec żadnego podobieństwa do dzwonka niema). Wobec tego wartość tego etnograficznego materiału redukuje się do zera. Rozdział o gwarze nie zadowoli lingwisty, a laika znudzi, ile że wywody zbyt mało są przykładowane. Byłaby szkoda, gdyby p. Marczak nie spożytkował swej znajomości stosunków etnograficznych terenu Pienińskiego w pełniejszej i bardziej metodycznej monografji.

W artykule p. Alha (Alfreda Hamerschlag-a) o stroju góralskim zasługuje na uwagę i krytyczne zbadanie to, co pisze o wpływie stroju szlacheckiego i wojskowego na różne składniki stroju góralskiego. Nieco ryzykownym wydaje się bądźco bądź twierdzenie, jakoby wielkie kapelusze górali słowackich miały pierwowzór w kapeluszach wojsk napoleońskich. Zresztą w artykule tym niema nic nowego — co w książce popularnej nie jest grzechem, natomiast nowości zawierają twierdzenia tego rodzaju jak, że szczególnie (rzekoma) białość czuh zakopiańskich tłumaczy się szczególną białością „włosa“ owiec tamtejszych — o czym (pomijając już, że owce nie mają „włosów“ ale wełnę) — dotąd nikt nie słyszał, albo rewelacyjna wiadomość o istnieniu kieszeni w portkach góralskich. Ponieważ jest to nowe odkrycie, wartoby podać, w jakiej to okolicy noszą takie portki... Cyfrowania, któreby się nazywały „parzelnicami“, nie istnieją — są natomiast „parzenie“ tak zwane od swego modelu — liścia pokrzywy czyli parzenicy. O szarotce jako motywie zdobniczym należało dodać, że jest to naturalistyczna i całkiem niepożądana naleciałość czasów ostatnich; tymczasem autor wysuwać się ją zdaje właśnie na czoło.

Bardzo piękne są impresje p. Wiktora o kapliczkach przydrożnych, obrazach na szkle, kulturze góralskiej, a także o piękności Pienin i o Parku Narodowym. Są to jednak tylko „impresje“, a materiał faktyczny redukuje się w nich do minimum. Nie jest to zarzut przeciw autorowi ale przeciw redakcji, dowodzi bowiem braku planu i jednolitości dzieła.

Materiał czysto turystyczny jest, jak wspomniano, szczupły i zresztą nie bez racji, bo książka tego rodzaju za przewodnik turystyczny służyć nie może; znajdujemy tu raczej tylko rady dotyczące wycieczek. Natomiast obszerniej są traktowane opisy miejscowości, ich historia i zabytki. O wartości tych opisów nie możemy wyrazić zdania. Wyczerpujące są wiadomości o Szczawnicy i Krościenku jako uzdrowiskach.

Co do strony formalnej, to przedewszystkiem ówczesny redaktorski powinien był ściślej cenzurować język niektórych ustępów. Np.: „Pod szczytem rozciąga się... polana z zarosłym szuwarami moczarem w środku z przywiązaną doń legendą o...“ i t. d. „Z Lubonia Tatry przedstawiają się niesłychanie pięknie a ich panorama... niemal „rzuca uroki“ na człowieka“. — „O ile ktoś zamierza zrobić wycieczkę na Luboń wraz z noclegiem...“ To charakterystyczne użycie słowa „wraz“ rozciąga się aż na inseraty, w któ-

rych ktoś ogłasza, że ma do wynajęcia pokoje „wraz z piecami“. To już niemal „po polskiemu“. Słowo „wycieczkowicze“ oznaczać może tylko synów IMC. pana Wycieczko, a co najwyżej potomstwo wycieczkowców, ale nigdy ich samych. — Korekta też szwankuje Liczne ilustracje, jak na dobrany dla nich widocznie piękny papier, odbite zostały dość mizernie. Do książki dodano jeszcze obszerną bibliografię. Choć nie jest ona zupełna (między innymi brakuje np. tytułów prac drukowanych w 4 zeszytcie „Ochrony Przyrody“), byłaby bardzo pożądana przy naukowej monografii Pienin czy Szczawnicy. Tu jednak jest balastem, a raczej dezorientuje czytelnika zalecając mu literaturę w znacznej części przestarzałą. Znowu dowód niedostatecznego przemyślenia planu dzieła przez redakcję.

Z tem wszystkiem pomimo tych niedomagań, błędów i usterek książka ze względu na swe składniki dodatnie jak i na informacje, których dostarcza, będzie mogła być z pożytkiem często z przyjemnością czytana, przez tych zwłaszcza, którzy przybywają dla wycieczek lub kuracji do Szczawnicy czy innych miejscowości pienińskich.

J. G. Pawlikowski.

Przewodnik Kongresowy II. Zjazdu Słowińskich geografów i etnografów w Polsce 1927. (Kraków 1927).

Pragnąc ułatwić członkom II. Zjazdu Słowińskich geografów i etnografów wyciągnięcie jaknajpoważniejszych owoców z ich pobytu w Polsce, Komitet Organizacyjny Zjazdu wydał Przewodnik naukowy w dwu oddzielnych wydaniach, polskim i francuskim. Przewodnik doszedł do skutku dzięki współpracy 42 fachowców. Rozpada się na trzy części: ogólną, szczegółową i informacyjną. Z części szczegółowej, omawiającej marszrutowo kraj- obraz, florę, faunę, geologię i etnografię zwiedzanych okolic Polski, zwracają naszą uwagę szczególnie rozdziały: 14. Borysław—Zakopane, 15. Tatry i 16. Zakopane—Kraków. Żalować niezmiernie wypada, że pożyteczne to wydawnictwo jest szerszemu ogółowi niedostępne, nie znajduje się bowiem w handlu księgarskim.

M. S.

Dr. Witold Kulesza: Ze świata roślinności tatrzańskiej. — Wydawnictwo Księgarni L. Zwolińskiego w Zakopanem 1927. Str. 128, rycin 30, cena 3— zł.

Książeczka dra Kuleszy należy do tych, którym szczerze, nie powodując się względami żadnej kurtuazji wobec autora, można

wystawić jaknajlepsze świadectwo. Napisa-
na popularnie, przeznaczona jest dla tych
z pośród licznych rzesz tatrzańskich turystów
i letników, którzy bez specjalnych studiów
i mozołów chcieliby zaznajomić się nieco
z tatrzańską roślinnością. Przeważna część
książeczki poświęcona jest krótkiemu omó-
wieniu stu kilkudziesięciu najważniejszych
gatunków roślinnych, zebranych w kilka grup
wedle miejsc występowania, pory kwitnienia
lub też naturalnego pokrewieństwa. Autor
charakteryzuje je w sposób zwięzły i prosty,
a zrozumiały i pod względem rzeczowym
zupełnie poprawny. Rozpoznanie ich ułatwiają
pięknie wykonane ryciny, przeważnie foto-
grafije. Niestety, tylko część omówionych ro-
ślin została na nich przedstawiona, nie moż-
na jednak oczywiście robić z tego zarzutów
ani autorowi, ani wydawcy. Wstępne rozdziały
książeczki, zaznajamiające pokrótce czytelnika
z przystosowaniami roślin wysokogórskich
do warunków życia, z roślinami arktycznymi
w Tatrach, z najważniejszą literaturą bota-
niczną, układem piętrowym roślinności (wed-
ług B. Kotuli) oraz z hasłami ochrony przy-
rody, napisane są również poprawnie. Nie-
potrzebnie tylko wprowadza autor nazwy
„dolnej“ i „górnjej hali“ w znaczeniu dotąd
nigdy nie stosowanym, a mojem zdaniem
nieodpowiednim, bo na oznaczenie krain
„kosodrzewia zwartego“ i „rozrzuconego“ Ko-
tuli. Czy nie lepiej zostawić tylko owe stare,
nie wywołujące nieporozumień nazwy, a naz-
wą „piętra halnego“ oznaczać raczej t. zw.
piętra alpejskie?

Książeczka Kuleszy nie zastąpi oczywiście
klucza do oznaczania roślin, ani też koloro-
wanych atlasików, jakie posiada zagranicą,
ma jednak nad nimi tę przewagę, że jest
tania i dostępna chyba dla każdego. Życzyć
jej wypada, by rozeszła się jak najszerzej,
przyczyniając się choć trochę do zmniejsze-
nia tak powszechnej u nas, bolewnia god-
nej ignorancji w sprawach przyrody.

B. Pawłowski.

**Adolf Chybiński: O muzyce górali
podhalańskich** (Zakopane 1927. Nakładem
Muzeum Tatrzańskiego im. dr. Tytusa Cha-
łubińskiego, str. 30). — W formie popular-
nego wykładu czy fejletonu lwowski muzy-
kolog i etnograf muzyczny przedstawia dzieje
zapatrywań, zarówno w kołach laików, jak
muzyków, na muzykę górali podhalańskich,
a to zaczynając od Goszczyńskiego a kończąc
na Szymanowskim. Krag tych zapatrywań jest
bardzo szeroki; gdy jedni określają tę muzy-
kę jako barbarzyński hałas, inni przypisuja

jej wysokie wartości; nader ciekawy problem
psychologiczny. Szkic ten możnaby niewąt-
pliwie rozszerzyć, a w podanej bibliografii
uwzględnić rozmaite, ogłoszone tu i ówdzie
różnemi czasami, notowania nut góralskich,
podając ich ocenę. Wtedy jednakże rzecz uro-
słaby do rozmiarów studjum muzykologicz-
nego, co nie było na razie zamiarem autora,
po którym zarówno świat muzyczny jak et-
nografja i zwyczajni miłośnicy Tatr oczeku-
ją wyczerpującego, podstawowego studjum
o muzyce góralskiej. Książeczka poświęcona
jest pamięci Bartłomieja Obrochty.

**Adam Fischer: Czarownice w do-
linie nowotarskiej.** (Lwów 1927. Odbitka
z kwartalnika etnograficznego „Lud“ — 8^o,
str. 19). — Rzeczą tę wydał i opatrzył przy-
pisanymi prof. Fischer z rękopisu znajdującego
się w Bibl. Ossolińskich we Lwowie. Ręko-
pis pochodzi z pierwszej połowy XIX wieku;
nieznany autor, (nawiasem mówiąc pozba-
wiony wszelkiego literackiego talentu), zdaje
się być rodem ze wschodniej Małopolski jak
na to wskazują właściwości języka, w któ-
rym jednakże odnaleźć można wpływy gwary
podhalańskiej.

Jest charakterystycznym, że autor zajmuje
się wyłącznie czarownicami, o czarownikach
zaś niema mowy. Ostatnio p. Marczak, w omó-
wionym wyżej „Ilustrowanym przewodniku
po Pieninach i Szczawnicy“, pisząc o tej sa-
mej materji mówi niemal wyłącznie o czar-
ownikach. Ciekawem też jest, że już wtedy,
mniej więcej przed stu laty, czarownice, jak
stwierdza autor, były rzadkością, tradycja
zaś niósł, że dawniej było ich bardzo wiele.
Oryginalną jest — niezwykle łaskawa dla
czarownic — hipoteza autora co do pocho-
dzenia czarownic. Oto twierdzi on, że gdy
u rządnej i rozumnej gospodni statek cho-
wał się bardzo dobrze, w szczególności
krowy dobrze się doily, inne głupsze i nie-
zaradne baby ogłaszały ją za czarownicę, któ-
ra cudzym krowom mleko podbiera, a swoim
przysparza. Gdy tómaczenie do niczego nie
prowadziło, kobiety za czarownice uznane po-
częły same to potwierdzać, bądź to aby od-
straszyć nieprzyjaciół od szkodenia sobie,
bądź dla zyskania wpływu lub nawet dla za-
robku. Odsuwane od towarzystwa, stowarzy-
szały się takie „czarownice“ między sobą,
i ztąd gadki o sejmach czarownic i t. p. Co
do czarów, to autor mówi prawie wyłącznie
o tych, które dotyczą bydła, jak podbieranie
mleka, zbieranie powązką najtustszej paszy
z łąki i t. p. Rzeczy te przeważnie są już
zkdądinąd znane, ale ważne choćby dla stwier-

dzenia zasięgu geograficznego pewnych praktyk i wierzeń.

Cenne są przypisy prof Fischera, wskazujące analogie i podające bibliografię. Do tej należałoby teraz dodać jeszcze wyżej wymieniony artykuł p. Marczaka.

Nie każdemu wiadomo, że miejscem zboru — „Łysą Górą” — czarownic podhalańskich, gdzie zlatują się na miotłach i ozogach w wigilię św. Łucji (12/13 grudnia), jest polana Hałęczkowa na Babiej Górze. Tu mają też rosnąć pewne zioła czarnoksięskie, których gdzieindziej niema.

J. G. P.

Jan Gwalbert Pawlikowski: Prawo ochrony przyrody.

— Nakład Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Kraków 1927 (str. 121). — W chwili, kiedy przygotowuje się u nas ustawa o ochronie przyrody, zachodzi potrzeba zorientowania zarówno kół prawniczych jak szerszego ogółu w tej dziedzinie i podania materiału porównawczego. To zadanie podejmuje ta książka. Składa się ona z rozprawy: „O prawie ochrony przyrody”, dającej pogląd ogólny na istotę i zakres tej dziedziny prawnej, i z „aneksów”, które zajmują większą część książki a rozpadają się na dwie części. Pierwsza, to przypisy i ekskursy w poszczególnych sprawach zaznaczonych w rozprawie, druga, to materiał ustawodawczy w przekładach lub streszczeniach ustaw państw rozmaitych.

Biblioteka „Orlego Lotu“: Nr. 10. M. Sokołowski: Zdobycie Mont Cervin, (str. 35, 1926 r.). Nr. 11. Tenże: W zimowych ostępach Tatr (str. 35, 1927 r.). — Czasopismo „Orli Lot”, organ Krajoznawczych Kół Młodzieży, wydawany przez krakowski Oddział Pol. Tow. Krajoznawczego, wydaje Bibliotekę treści krajoznawczej, w której turystyce górskiej i Tatom poświęcono dotąd trzy tomiki. Pierwszy z nich przedrukował dr. Tytusa Chałubińskiego „Sześć dni w górach”, dwa inne wymieniliśmy w nagłówku.

Mont Cervin (Monte Cervino), znana u nas częściej pod niemiecką nazwą Matterhorn, uchodzi za najpiękniejszy szczyt alpejski. Ruskin nazywa go „ideałem góry”. Jest on zarazem jednym z najtrudniejszych. Zdobyty został 60 lat temu przez Anglika Whympera. Historię wiolelotnich prób i trudów, tudzież współzawodnictwa dwóch zapasników Whympera i włoskiego górala Carrelą, wreszcie ostatnią zwycięską wyprawę, opłaconą śmiertcią czterech uczestników, opisuje M. Sokołowski na podstawie dzieł źródłowych.

Cenniejszą, bo oryginalną jest druga broszura, opisująca wyjście zimowe autora wspólnie z pięcioma towarzyszami na Łomnicę ścianą północną, 9 kwietnia 1926 r. Opis nader żywy i zajmujący, posiada zalety pióra p. S. znane czytelnikom „Wierchów”. (Na str. 20 przykry błąd: 16 godzin zamiast 6; o jeszcze przykrzejszym, bo w samym tytule nie chcemy już mówić).

J. G. P.

Ceskoslovenské státní dráhy. — Ministerstwo kolei Republiki czechosłowackiej wydaje propagandowe albumy, zawierające bardzo piękne ilustracje różnych okolic państwa. Między innymi z okolic górskich ukazały się albumy Tatr i Karkonoszów. Album tatrzańskie mieści 24 widoków Tatr i miejscowości podtatrzańskich, formatu 16/12 cm, (jeden podwójny). Piękniejszym jeszcze jest album Karkonoszów, przedstawiający przeważnie widoki zimowe, góry te bowiem są idealnym terenem narciarskim. Jest to dla nas pouczające. Jeżeli bowiem robi się coś dla Tatr, to inne nasze góry, przedstawiające pewnie nie mniejsze wartości turystyczne i sportowe jak Karkonosze, są w zupełnym zaniedbaniu. O podobnych zaś wydawnictwach Ministerstwa kolei wogóle dotąd nie słyszeliśmy.

Przegląd Turystyczny. Organ Pol. Tow. Tatrzańkiego Nr. 5—6 (Wydawnictwo Zarządu Głównego P. T. T. Kraków). — Po rocznej przerwie spowodowanej trudnościami finansowymi „Przegląd Turystyczny” zaczął wychodzić na nowo; w r. 1927 oprócz zeszytu obecnego, który wyszedł przed sezonem letnim, ma wyjść drugi zeszyt w sezonie zimowym. W roku zeszłym 1926, gdy Przegląd nie wychodził, Wierchy musiały zastąpić jego miejsce i umieścić dział sprawozdań Tow. Tatrzańkiego, tudzież szereg wiadomości kronikarskich, należących właściwie — jako sprawy bieżące — do Przeglądu. Obecnie praca będzie podzielona: Kronika Wierchów będzie z dziedziny wspólnej z Przeglądem podawać tylko to, co interesować może szersze koła czytelników, a resztą to, co wychodzi poza ramy Przeglądu. Poza turystykę rozszerzył jednak i Przegląd swój zakres, pomieszczając sprawozdania Muzeum tatrzańkiego i — jak zapowiada — podejmując omawianie spraw zdrowisk. W ten sposób chce objąć Przegląd całość spraw bieżących, dotyczących świata górskiego. Charakter aktualności podniesie się przy wychodzeniu kwartalnym, do czego ma przyszyć w roku przyszłym.

Treść zeszytu według działów jest następująca: Jan Kasprowicz (krótkie wspomnienie pozgonne), — Odezwa uczonych czechosłowackich i polskich w sprawie Parku narodowego, — Związek Pol. Tow. Turystycz-

nych, — Sprawy Towarzystwa, — Z Oddziałów i Sekcyj, — Asocjacja Słowiańskich Towarzystw Turystycznych, — Ochrona przyrody, — Taternictwo i alpinizm, — Muzeum tatrzańskie, — Czasopisma i książki, — Kronika.

RÓŻNE SPRAWY.

Zakopane a Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu w 1929 roku. — Otrzymałmy następujące pismo, które podajemy pod rozwagę i dyskusję czynników interesowanych.

Jak przystało na nasze uzdrowisko, jedyne wysokogórskie w Polsce, ośrodki zimowych sportów i letniej turystyki, nacechowany do tego etnograficznymi odrębnościami, mający w tradycji wybitne ruchy kulturalne i artystyczne, — Zakopane nie może być jak wystąpić na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu, od której dziela nas tylko niecałe dwa lata. Wszystkie miejscowe instytucje i zrzeszenia muszą zrozumieć, iż jest to rzadka sposobność pokazu, czem jest dla Polski Zakopane, i walnie przyczynić się do tego, aby pokaz wypadł jak najlepiej. Nie może taki „reklamowy” popis być partacki, w ostatniej chwili sklepany i ośmieszający naiwną nieudolnością. Trzeba się wysilić przed tysiącami przyjezdnych z Polski i zagranicy, zdobyć się nie na tandetę, lecz na całość w każdym szczególe przemyślaną celowo i wykonaną pierwszorzędnie. Tylko takie maximum energii i — powiedzmy odrazu — dużych wydatków opłaca się sownie.

Niezależnie od pojedynczych tutejszych wystawców, których wyroby znajdują pomieszczenie w różnych działach, właściwy pokaz powinien być zawarty w osobnym pawilonie *ad hoc* wystawionym. Oczywiście stylowym, co nie oznacza obowiązkowego u nas kłecenia bezmyślnie budynku, kopującego nasze wille w „stylu zakopiańskim”. Na taką budowlę warto ogłosić konkurs dla architektów. Już ten wydatek — niewielki zresztą — będzie dobrą reklamą dla Zakopanego i wposobi korzystnie w ocenie poziomu naszych wysiłków. Sądze, iż koszt pawilonu obniży się znacznie, jeżeli Fundacja Kórnicka, zarząd kamieniołomu, dobra szafłarsko-jaszczurowskie i witowskie przyczynią się ofiarowaniem materiału drzewnego i kamiennego, niemniej wapiennik szafłarski, eksploatacja andezytu w Kluszkowcach lub cegielnia nowotarska. Ofiary takie są właściwie jednocześnie reklama, procentująca się dobrze, bo przecież i setki pism i przewodnik po wystawie i informacyjne napisy w pawi-

lonie wyjaśnia *urbi et orbi*, kto i czem przyłożył się do stylowej budowli. A tak samo rozgłos przyniosłoby zakopiańskiej Szkole Przemysłu Drzewnego, gdyby jej właśnie za zgodą władz szkolnych oddano wykonanie konstrukcji zewnętrznej i wewnętrznych urządzeń meblarskich, które również powinny być wynikiem konkursu i harmonizować ze ścianami pawilonu. O materiał poza drzewem i kamieniem może postara się tutejsze kupiectwo i Gremjum właścicieli hoteli i pensjonatów.

Mając zaś dwie kilimiarnie o wysoce artystycznych wyrobach, nie trudno byłoby uzupełnić dekorację wnętrza tkaninami. Znajdzie się również kilku wybitnych artystów i rzeźbiarzy, którzy chętnie użyczą dla okraszenia pawilonowych swoich dzieł tatrzańskich i podhalańskich. Zresztą pomysły dekoracyjne mogą iść bardzo daleko i oddać ogromną usługę w wyposażeniu budowli, *posito*, iż wykonanie ich i użycie znajdzie się w rękach artystycznej komisji. Nie da się bowiem pomyśleć, iżby pawilonowy ekspoznat obył się bez współudziału i surowego jury artystów, choćby nawet komitet wystawowy lokalny miał się narażać na liczne obrazy ze strony rzekomo zapoznanych twórców.

To są ramy. A teraz: co w nich umieścić? Otóż trzeba przedewszystkiem kierować się programem Powszechnej Wystawy Krajowej. W myśl tego programu dopiero może lokalny zakopiański komitet szczegółowo ustalić treść pokazu. Poniższe wyszczególnienia nie obejmują zatem całości i są tylko zarysem, jak mniej więcej współczesne Zakopane zobrazować.

Współczesne! Jestem bowiem zwolennikiem poinformowania Polski i zagranicy o dzisiejszym Zakopanem, z niewielkim tylko nawiązaniem ku niedawnej przeszłości, z zarysowym rzutem — ówa na minione dzieje, niemniej jednak z uwzględnieniem przyszłości, oczekującej nasze uzdrowisko.

Proponuję zatem następujące działy, które oczywiście powołani rozszerzą, uzupełnią czy skreślą.

1) Zakopane jako uzdrowisko i jego rozwój. Wykresy frekwencji z pewnego okresu czasu, ruch budowlany, inwestycje miejskie

jak elektrownia, szpital, łaźienki, ogród klimatyczny, urządzenia sanitarne, plan regulacyjny, projekt kanalizacji, projekt kolejki na Gubałówkę, sanatorja, ich urządzenia i działalność, mapa okręgu sanitarnego, tabele wydatków na rozwój miejscowości i na stosunki zdrowotne, wykresy klimatologiczne itd. itd. — w mapach, wykresach, fotografiach, rysunkach, eksponatach oryginalnych — jak zresztą w każdym innym dziale.

2) Zakopane i Tatry jako letnisko ośrodkiem, ośrodek sportów zimowych i letniej turystyki. Hotelarstwo, pensjonaty, miejscowości rozrywkowe, udogodnienia pobytu, ruch samochodowy i komunikacyjny, domy wycieczkowe, ruch turystyczny, schroniska międzyznanarodowe, wyścig samochodowy, modele i rysunki skocznicy, działalność towarzystw sportowych i turystycznych, wyniki polskie w zawodach, odznaki towarzystw, żetony i nagrody, wybitni taternicy i narciarze, udział zagranicy w sportowych wyczynach w Tatrach i pod Tatrami, wyrób przyborów narciarskich i turystycznych, projekt „Parku Sportowego“, sztuczny jeziora itd.

W związku z tem: krajobraz w licznych fotografiach, pocztówkach i dziełach sztuki.

3) Zakopane jako osobliwość etnograficzna. Stroje ludowe, wyszycia, ornament, fajczarstwo, tkactwo, tańce i obrzędy itd.

4) Zakopane jako siedziba przemysłu artystycznego. Kilimy, wyroby szkoły drzewnej, galanterja — ale nie ta okropna „tyrolszczyzna“, nazywana „stylem zakopiańskim“, — ceramika, szkolnictwo zawodowe, fotografie will Witkiewicza itd. itd.

5) Zakopane i Tatry jako punkt wyjścia dla ochrony przyrody. Ogłoszenia, wydawnictwa, projekt „Parku Narodowego“, chronione okazy fauny i flory, działalność ochroniarska, fotografie skutków niszczycielskiej ręki człowieka itd.

6) Zakopane i Tatry: pamiątki z przeszło-

ści, znaczenie w literaturze, sztuce i nauce. Fotografie kościoła drewnianego, Chałubińskiego, jego domu, domu Kraszewskiego, Witkiewicza, Sienkiewicza; fotografie Tetmajera, Asnyka, Orkana, obrazy współczesnych twórców, jak Wyczółkowski, Kamocki, Stryjeńska, Jarocki, Filipkiewicz i inni, powieści i poezja w oryginalnych wydaniach, instytucje naukowe, badania naukowe, wybitni uczeni itd. itd.

7) Fundacja Kórnicka. Statut, mapa terenów, zakład „Czeczulek“, kamieniołomy itd. itd.

Nie potrzeba chyba dodawać, że mapy, przewodniki i informacyjne wydawnictwa, oraz dobrze napisany przewodnik po pawilonie ze wstępem o Zakopanem i Tatrach, z fotografiami, z artystyczną okładką, szkicem mapy i reklamowymi ogłoszeniami są nieodzownym uzupełnieniem pokazu.

Narzuca się również pomysł wygłaszania przez radio odczytów o Zakopanem, Tatrach i Podhalu, oraz wystania muzyki góralskiej i tancerzy.

Program, jak widzimy tylko w zarysie, ale, jeżeli chcemy go na czas i rzetelnie wykonać, dosyć duży i wymagający już w niedługim czasie zapoczątkowania. Inicjatywę musi dać rychło Komisarjat Klimatyczny i do komitetu powołać przede wszystkim przedstawicieli zreszła i instytucyj. Tu musi nastąpić podział pracy, więc utworzenie komisji funduszów, komisji artystycznej itd., oraz rozdanie czynności, czyli powierzenie każdego działu we właściwe ręce. Jasne zresztą, że zobrazowanie np. sanitarnej strony przypadnie lekarzowi klimatycznemu, zarys turystyki, oraz sportów wykona P. T. T. i „Sokół“, oraz jego sekcje, że etnografją zajmie się Muzeum Tatrzańskie, swój własny dział opracuje Fundacja — t. zn., że zdecentralizuje się robotę, jednocząc jednak akcję w centralnym organie. A. B.



Od Redakcji.

Rocznik obecny wydany został wyłącznym nakładem Zarządu Głównego Pol. Tow. Tatrzańskiego; firma wydawnicza H. Altenberg we Lwowie, która z inicjatywy Oddziału lwowskiego P. T. T. wydawnictwo nasze zapoczątkowała i przez trzy lata prowadziła samodzielnie, a w roku zeszłym na spółkę z P. T. T., obecnie zdała je w całości Towarzystwu. W sprawach administracyjnych należy przeto odnosić się obecnie do Zarządu Głównego Tow. Tatrzańskiego. Roczniki I—IV pozostały dotąd własnością Księgarni wydawniczej H. Altenberga i tam można je nabywać.

Centrum redakcyjne pozostało jak dotąd w Oddziale lwowskim P. T. T., który to Oddział łącznie i w porozumieniu z Zarządem Głównym P. T. T. redakcję prowadzi, czemu odpowiada skład Komitetu redakcyjnego.

Ponieważ w roku bieżącym wznowione zostało, przez Zarząd Główny P. T. T. wydawanie „Przeglądu Turystycznego“, przeto szczegółowe urzędowe sprawozdania z działalności P. T. T. tam będą pomieszczane, we „Wierchach“ zaś będzie ta działalność o tyle tylko przedstawiana, o ile szerszy ogół czytelników interesować może. Również szczegółowa kronika turystyczna oraz sprawy mające znaczenie wyłącznie praktyczne i bieżące, pozostawią „Wierchy“ „Przeglądowi Turystycznemu“. W ten sposób przeprowadzony będzie podział pracy a „Wierchy“ pozbędą się balastu spraw bieżących lub interesujących tylko pewne koła ściślejse.

Potrzeba obniżenia ceny zmusiła — podobnie jak i w roku zeszłym — do zredukowania objętości „Wierchów“, co jednak wobec wyeliminowania tych działów, które obejmie „Przegląd Turystyczny“, nie wpłynie znacząco na ich zawartość. Natomiast wprowadzamy jako nowość ilustracje poza tekstem i niezależnie od niego, na kredowym papierze, co pozwoli nam dać czytelnikom prócz lektury także doborowy materiał ilustracyjny.

„Wierchy“ wychodzić będą w grudniu lub styczniu. Rękopisy należy przysyłać: artykuły do połowy czerwca, wiadomości do Kroniki do połowy września. Artykuły jednakowoż, o ile mają znaleźć miejsce w roczniku bieżącym, winny być zgłaszane do Redakcji jaknajwcześniej, w każdym razie już w pierwszych miesiącach roku.

Poprzednie roczniki „Wierchów“ są do nabycia w Księgarni wydawniczej H. Altenberg, Lwów, ul. Piłsudskiego (dawniej Pańska) l. 16 I p., po cenie: rocznik I zł. 5, w oprawie zł. 7-50, — rocznik II zł. 7-50, w oprawie

zł. 10, — rocznik III zł. 15, w oprawie zł. 17.50, — rocznik IV zł. 5.70, w oprawie zł. 10.

Członkowie P. T. T. nabywać mogą lub zamawiać „Wierchy“ (także poprzednie roczniki) po cenie niższej (około 30%) w Zarządzie Głównym P. T. T. (Kraków, ul. Andrzeja Potockiego 4), lub w Dworcu Tatrzańskim w Zakopanem za okazaniem legitymacji członkowskiej.

Adres Redakcji: Dr. Jan Gw. Pawlikowski, Lwów, ul. 3 Maja 1. 5; od 1 lipca do końca września: Zakopane-Bystre, na Kozińcu.

W Krakowie reprezentuje Redakcję Dr. Walery Goetel, ul. Szlak 4.

Adres Administracji: Zarząd Główny Pol. Tow. Tatrzańskiego, Kraków, ul. Andrzeja Potockiego 4.

Korespondencja Redakcji.

Do naszych współpracowników. Prosimy o wczesne zgłaszanie prac, o ile mają znaleźć miejsce w najbliższym Roczniku! Przypominamy obowiązek wyraźnego pisma, (zwłaszcza wykalgigrafowania nazwisk i terminów technicznych!). Rękopis winien mieć wolny margines.

K. A. w Warszawie. Przystane nam wiersze nie są „wierchowe“ — zatem nie dla nas. Buduarowych porównań wód strumieni do dżetów, a smreków do parasoli — nie uznajemy. Zdaje się, że trudno dwom bogom naraz służyć... Bardzo nam przykro.

M. N. w Cieszynie. Wspomnienia z Gorganów zatrzymujemy w tece; z pewnemi zmianami mogłyby być drukowane, o ile ograniczona objętość „Wierchów“ pozwoli. Jeśli to Panu nie konwenjuje, prosimy napisać, a rękopis i fotografie odeszliśmy.

R. S. Dlaczego nie chcemy recenzji o tej powieści? Bo o takiej ramocie pisać nie warto. Chwałą ją po dziennikach? Daj Boże zdrowie! Któż to bierze dziś na serjo!

NAKŁADEM KSIĘGARNI GEOGRAFICZNEJ »ORBIS« KRAKÓW-DĘBNIKI, ULICA BARSKA L. 41

wyszedł z druku

PRZEWODNIK

PO BESKIDACH ZACHODNICH I PIENINACH

PROF. KAZIMIERZA SOSNOWSKIEGO

Książka ta, zawiera w II. wydaniu 450 stron i 82 ilustracji, obejmuje pogląd ogólny i szczegółowy opis terenów letniej i zimowej turystyki od Krynicy po granicę Moraw w Czechosłowacji.

Cena egzemplarza oprawnego 9.60 zł. Dla członków P. Tow. Tatrzańskiego 8.60 zł. w Księgarni Nakładowej.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.

